

Daniel Silva

Portret szpiega

powieść sensacyjna

Anioł zemsty Gabriel Allon i piękna Saudyjka
niszczą pajęczą sieć islamskiego terroryzmu



Daniel Silva

Portret szpiega

Portrait of a Spy

Przełożyła

Katarzyna Bieńkowska



*Dla moich cudownych dzieci, Nicholasa i Lily,
które kocham i podziwiam bardziej, niż kiedykolwiek
zdołam im to okazać. I, jak zawsze, dla mojej żony
Jamie, dzięki której wszystko staje się możliwe.*

Dżihad staje się na wskroś amerykański - jak jabłecznik, i na
wskroś brytyjski - jak popołudniowa herbatka.

Anwar al-Awlaki, lider Al-Kaidy,
radikalny duchowny islamski

Jedna prawa osoba może wiele zdziałać, zaważyć o życiu lub o śmierci.

Elie Wiesel

Część pierwsza

Śmierć w Covent Garden

1.

PÓLWYSEP LIZARD, KORNWALIA

To Rembrandt rozwiązał tę zagadkę raz na zawsze. Potem w staroświeckich sklepikach, gdzie robili zakupy, i w mrocznych małych nadbrzeżnych pubach, gdzie popijali, wszyscy gadali o tym, jak to możliwe, że nikt nie zwrócił uwagi na żadne wiele przecież mówiące znaki, no i podśmiewali się ze swych co dziwaczniejszych teorii na temat prawdziwego charakteru jego pracy. Bo też nikt spośród nich w swoich najśmielszych marzeniach nie podejrzewał, że ten małomówny mężczyzna z samego krańca zatoki Gunwalloe jest konserwatorem dzieł sztuki, i to w dodatku konserwatorem światowej sławy.

Nie był pierwszym obcym, który zawędrował do Kornwalii z jakąś tajemnicą, ale niewielu strzegło swojej tak zazdrośnie, z takim fasonem i sprytem. Chociażby ten osobliwy sposób, w jaki zarezerwował kwatery dla siebie i swojej pięknej, acz znacznie młodszej żony. Wybrawszy malowniczy domek na skraju klifowego wybrzeża - jak powiadano, bez oglądania, jak kota w worku - zapłacił za wynajem za rok z góry, a wszystkie formalności załatwiono dyskretnie przez jakiegoś bliżej nieznanego prawnika w Hamburgu. Wprowadził się do domku dwa tygodnie później, zupełnie jakby szykował atak na odległy przyczółek wroga. Tych, którzy spotkali go podczas jego pierwszych wypadów do wioski, uderzył jego wyjątkowy brak otwartości. Zdawał się nie mieć imienia ani nazwiska - w każdym razie swoimi personaliami nie zamierzał z nikim się dzielić - ani też kraju pochodzenia, który ktokolwiek z miejscowych umiałby wskazać. Duncan Reynolds, od trzydziestu lat przebywający na emeryturze pracownik kolei, uważany za najbardziej światowego z mieszkańców Gunwalloe, określał przybysza jako „człowieka zagadkę”, podczas gdy inni wahali się między „nieprzystępnym” a „niemożliwie grubiańskim”. Tak czy owak, wszyscy zgadzali się, że mała wioska Gunwalloe w zachodniej Kornwalii stała się dzięki niemu znacznie ciekawszym miejscem.

Z czasem udało im się ustalić, że nazywa się Giovanni Rossi i że, tak jak jego piękna żona, jest z pochodzenia Włochem. Co tylko przydało osobliwości faktowi, że w wiosce, najczęściej późną nocą, zaczęły się pojawiać rządowe limuzyny z jakimiś ministerialnymi typkami w środku. No i było jeszcze tych dwóch, którzy czasem łowili nad zatoką. Powszechna opinia była taka, że to najgorsi rybacy, jakich ktokolwiek widział. Właściwie większość twierdziła, że to wcale nie byli rybacy. Naturalnie, jak to bywa w małej wiosce takiej jak Gunwalloe, rozgorzała namiętna dyskusja na temat prawdziwej tożsamości

przybysza i charakteru jego pracy - dyskusja, którą ostatecznie zamknął *Portret młodej kobiety*, olej na płótnie, 104 na 86 centymetrów, Rembrandta van Rijna.

Kiedy dokładnie przyjechał obraz, nigdy już się nie dojdzie. Przyjęli, że stało się to jakoś w połowie stycznia, bo wtedy właśnie dostrzegli radykalną zmianę w jego planie dnia. Jednego dnia maszerował po nieregularnym klifowym wybrzeżu półwyspu Lizard, jak gdyby dręczony wyrzutami sumienia; następnego zaś stał przy sztalugach w salonie domku, z pędzlem w jednej dłoni i paletą w drugiej, a w tle muzyka i operowe wycie brzmiały tak głośno, że słyhać je było wyraźnie w Marazion po drugiej stronie Mount's Bay. Dzięki bliskości domku w stosunku do nadbrzeżnej ścieżki można było - jeśli się przystanęło w odpowiednim miejscu i wyciągnęło szyję pod odpowiednim kątem - zobaczyć go w pracowni. Z początku sądzili, że pracuje nad własnym obrazem. Ale w miarę jak pracował mozolnie przez kolejne tygodnie, stało się jasne, że para się on rzemiosłem znanym jako konserwacja czy też renowacja dzieł sztuki.

- A co to, u diaska, znaczy? - zapytał któregoś wieczoru w pubie Lamb and Flag Malcolm Braithwaite, emerytowany poławiacz homarów, który na zawsze przesiąkł zapachem morza.

- Znaczy, że reperuje to cholerstwo - odparł Duncan Reynolds.

- Obraz jest jak żywe, oddychające stworzenie. Kiedy się starzeje, łuszczy się i kapcanieje, całkiem jak ty, Malcolm.

- Słyszałem, że to młoda dziewczyna.

- Ładna - przytaknął Duncan. - Policzki rumiane jak jabłuszka. Aż chciałoby się ją schrupać.

- Znamy artystę?

- Pracujemy nad tym.

Tak też było w istocie. Szperali w książkach, przeglądali strony internetowe i próbowali dotrzeć do ludzi, którzy znali się na sztuce lepiej od nich - a kategoria ta obejmowała większość populacji zachodniej Kornwalii. Wreszcie, na początku kwietnia, Dottie Cox z lokalnego sklepu zdobyła się na odwagę i zwyczajnie z a p y t a ła o obraz piękną młodą Włoszkę, gdy ta przyszła zrobić zakupy. Kobieta zbyła pytanie niejednoznacznym uśmiechem. Po czym zarzuciła na ramię swoją słomianą torbę i spacerowym krokiem wróciła nad zatokę, podczas gdy wiosenny wiatr targał te jej nieokielznane ciemne włosy. Kilka minut po jej powrocie do domku operowe wycie ustało, a rolety opadły na okna jak powieki.

Pozostały opuszczone przez następnego tydzień, po czym konserwator i jego piękna

żona zniknęli bez uprzedzenia. Przez kilka dni mieszkańcy Gunwalloe bali się, że może już wcale nie zamierzają wrócić, i kilkoro z nich wypominało sobie, że wtykało nos w prywatne sprawy małżonków. Aż pewnego ranka Dottie Cox, wertując w swoim sklepie „Timesa”, natrafiła na relację z Waszyngtonu dotyczącą odsłonięcia dawno zaginionego portretu Rembrandta - portretu, który wyglądał dokładnie jak ten w domku nad zatoką. I w ten sposób zagadka została rozwiązana.

Traf chciał, że w tym samym numerze „Timesa” na pierwszej stronie był artykuł o serii tajemniczych wybuchów w czterech tajnych irańskich instalacjach nuklearnych. Nikt w Gunwalloe nie przypuszczał, że między tymi dwiema relacjami może istnieć jakiś związek. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

*

Konserwator był innym człowiekiem, kiedy wrócił z Ameryki; wszyscy to widzieli. Chociaż w kontaktach osobistych pozostał ostrożny - i nadal raczej nie chciałoby się zaskoczyć go w ciemności - wyraźnie widać było, że spadł mu kamień z serca. Od czasu do czasu na jego kanciastej twarzy gościł uśmiech, a nienaturalnie zielone oczy wydawały się odrobinę mniej czujne. Nawet jego długie codzienne spacery nabrały innego charakteru. Podczas gdy przedtem chodził po ścieżkach ciężkim krokiem i wyglądał czasem jak człowiek opętany, teraz zdawał się unosić nad spowitymi we mgle skałami klifowego wybrzeża niczym duch arturiański, który powrócił do domu po długim czasie spędzonym w dalekiej krainie.

- Mnie to wygląda zupełnie, jakby został zwolniony z jakiejś świętej przysięgi - zauważyła Vera Hobbs, właścicielka lokalnej piekarni. Ale nie potrafiła powiedzieć, cóż to mogła być za przysięga lub też komu miał ją złożyć. Jak wszyscy inni w miasteczku wygłupiła się już poprzednio, próbując odgadnąć jego zawód. - Zresztą - orzekła - lepiej zostawić go w spokoju. Bo inaczej kiedy następnym razem on i jego śliczna żona opuszczą półwysep Lizard, to już może być na dobre.

W istocie, w miarę jak to wspaniałe lato powoli blakło, dalsze plany konserwatora stały się głównym przedmiotem zainteresowania całej wioski. Umowa wynajmu domku wygasła we wrześniu, a z braku namacalnego dowodu, że zamierza ją przedłużyć, poczynili potajemne kroki, by jakoś skłonić go do zostania. Doszli do wniosku, że konserwatorowi trzeba wynaleźć coś, co przywiąże go do kornwalijskiego wybrzeża, jakąś pracę, zajęcie, które wykorzystaloby jego niepowtarzalny zestaw umiejętności, tak że miałby tu do roboty coś jeszcze poza łażeniem po klifach. Czego dokładnie ta praca miałaby wymagać i kto miałby mu ją zapewnić, na razie nie wiedzieli, ale postanowili za wszelką cenę znaleźć coś odpowiedniego.

Po wielu naradach to Dottie Cox wpadła w końcu na pomysł zorganizowania Pierwszego Dorocznego Festiwalu Sztuk Pięknych Gunwalloe, którego honorowym przewodniczącym byłby słynny konserwator dzieł sztuki, Giovanni Rossi. Następnego ranka przedstawiła swoją propozycję żonie konserwatora, gdy ta zaszła do sklepu o zwykłej porze. Włoszka - ni mniej, ni więcej - śmiała się przez kilka minut. Propozycja jest kusząca, powiedziała, gdy odzyskała już panowanie nad sobą, ale nie sądzi, by signor Rossi przystał na coś podobnego. Jego oficjalna odmowa nastąpiła wkrótce po tym i tak pomysł

Festiwalu Sztuk Pięknych Gunwalloe spełznął na niczym. Okazało się to jednak bez znaczenia; kilka dni później dowiedzieli się, że konserwator wynajął domek na kolejny rok. I znów zapłacono za całość z góry, a wszystkie formalności załatwiono przez tego samego bliżej nieznanego prawnika w Hamburgu.

Odtąd życie mniej więcej wróciło do normy. Widywali konserwatora przed południem, kiedy przychodził z żoną do wioski na zakupy, i widywali go znowu po południu, kiedy włóczył się po klifach w swojej kurtce firmy Barbour i wełnianej czapce z daszkiem nasuniętej nisko na czoło. I nie mieli mu za złe, jeśli nie witał się z nimi jak należy. A kiedy wydawał się nieswój z jakiegoś powodu, pozwalali mu uporać się z tym samemu. A gdy w miasteczku zjawiał się ktoś obcy, śledzili każdy jego krok, dopóki się nie wyniósł. Może i konserwator wraz z żoną pochodzili z Włoch, ale teraz ich miejsce było w Kornwalii i niech Bóg ma w swej opiece dumnia, który kiedykolwiek spróbowałby znów ich stąd zabrać.

Na półwyspie Lizard byli jednakże tacy, którzy sądzili, że za tym wszystkim kryje się coś jeszcze. Zwłaszcza jeden człowiek uważał wręcz, że wie, co to takiego. Nazywał się Teddy Sinclair, był właścicielem całkiem dobrej pizzerii w Helston i wyznawcą wielkich i małych teorii spiskowych. Teddy uważał, że lądowania na Księżycu to bujda. Teddy uważał, że atak z jedenastego września to robota wewnętrzna. Teddy uważał także, że mężczyzna znad zatoki Gunwalloe miał do ukrycia coś więcej poza sekretną zdolnością uzdrawiania obrazów.

By raz na zawsze dowieść swej racji, w drugi czwartek listopada zwołał mieszkańców wioski do Lamb and Flag i pokazał im diagram, który wyglądał trochę jak układ okresowy pierwiastków. Miał on wykazać ponad wszelką wątpliwość, że wybuchy w irańskich instalacjach nuklearnych były dziełem legendarnego oficera izraelskiego wywiadu, Gabriela Allona, i że tenże sam Gabriel Allon żył sobie teraz spokojnie w Gunwalloe pod nazwiskiem Giovanni Rossi. Kiedy śmiech w końcu ucichł, Duncan Reynolds oświadczył, że to najgłupsza rzecz, jaką słyszał, odkąd jakiś Francuz zdecydował, że Europa powinna mieć wspólną walutę. Ale tym razem Teddy nie ustępował, co ostatecznie okaże się słuszną

postawą. Bo Teddy mógł się mylić co do lądowań na Księżycu i co do jedenastego września, ale jeśli chodziło o mężczyznę znad zatoki Gunwalloe, jego teoria była pod każdym względem prawdziwa.

Następnego ranka, w Dzień Pamięci, mieszkańcy wioski po przebudzeniu odkryli, że konserwator i jego żona zniknęli. Vera Hobbs w panice popędziła nad zatokę i zajrzała przez okna do domku. Malarskie przybory konserwatora leżały rozrzucone na niskim stoliku, a na sztalugach znajdował się obraz przedstawiający nagą kobietę wyciągniętą na kanapie. Vera potrzebowała chwilę, by zdać sobie sprawę, że ta kanapa była identyczna z kanapą w saloniku i że ta kobieta to ta sama, którą widywała co rano w swojej piekarni. Pomimo odczuwanego zażenowania Vera nie mogła jakoś się zmusić, by odwrócić wzrok, bo tak się składało, że to był jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek widziała. To był także bardzo dobry znak, myślała, wracając do wioski. Mężczyzna nie zostawiłby takiego obrazu, nawet gdyby był zmuszony salwować się ucieczką. Konserwator i jego żona w końcu wrócą. I niech Bóg ma w opiece tego cholernego Teddy'ego Sinclaira, jeśli tak się nie stanie.

2.

PARYŻ

Pierwsza bomba wybuchła o 11:46 na Avenue des Champs-Élysées w Paryżu. Szef francuskich służb bezpieczeństwa powie później, że nie otrzymał żadnego ostrzeżenia o grożącym ataku, jego krytycy mogliby uznać tę wypowiedź za śmiechu wartą, gdyby liczba ofiar śmiertelnych nie była tak duża. Sygnały ostrzegawcze były jasne i wyraźne, twierdzili. Tylko ktoś ślepy albo ktoś, kto rozmyślnie nie chciał ich zobaczyć, mógł je przeoczyć.

Z punktu widzenia Europy atak nie mógł nastąpić w gorszym momencie. Po całych dekadach szczodrych wydatków socjalnych znaczna część krajów europejskich balansowała na krawędzi fiskalnej i walutowej katastrofy. Długi rosły gwałtownie, skarbcze były puste, a rozpieszczeni starzejący się obywatele rozczarowani. Zaciskanie pasa było na porządku dziennym. W obecnej sytuacji nic nie było święte - opieka zdrowotna, opłaty za studia, finansowanie sztuk pięknych, a nawet świadczenia emerytalne, wszystko to podlegało drastycznym cięciom. Na tak zwanych peryferiach Europy mniejsze gospodarki padały jak domino. Grecja zanurzała się powoli w Morzu Egejskim, Hiszpania robiła bokami, a irlandzki cud okazał się mirażem. Na eleganckich brukselskich salonach wielu eurokratów ośmielało się powiedzieć głośno to, co kiedyś było nie do pomyślenia - że sen o integracji europejskiej był mrzonką. A w gorszych chwilach niektórzy zastanawiali się wręcz, czy Europa, taka, jaką ją znali, przypadkiem nie umiera.

Kolejny akt wiary został porwany na strzępy w listopadzie tego roku - przekonanie, że Europa może w nieskończoność wchłaniać falę muzułmańskich imigrantów ze swych byłych kolonii, zachowując jednocześnie swoją kulturę i styl życia. To, co zaczęło się jako tymczasowy program mający zaradzić powojennemu brakowi rąk do pracy, w konsekwencji trwale zmieniło oblicze całego kontynentu. Niespokojne muzułmańskie przedmieścia otaczały niemal każde miasto, a kilka krajów w sensie demograficznym zdawało się skazanych na muzułmańską większość przed końcem stulecia. Nikt z rządzących, zanim otworzył drzwi na oścież, nie zadał sobie trudu, by zasięgnąć opinii rodowitych mieszkańców Europy, i teraz, po latach względnej pasywności, Europejczycy zaczęli się buntować. Dania nałożyła drakońskie restrykcje na małżeństwa imigrantów. Francja zakazała noszenia publicznie pełnej zasłony na twarzy. A Szwajcarzy, którzy z trudem tolerowali się nawzajem, uznali, że chcą uchronić swoje schludne miasta i miasteczka przed szpetnymi minaretami. Przywódcy Wielkiej Brytanii i Niemiec ogłosili koniec ochrony wielokulturowości, wirtualnej religii

postchrześcijańskiej Europy. Większość nie będzie się dłużej naginać do woli mniejszości, oznajmili. Nie będzie też przymykać oka na kwitnący wśród mniejszości ekstremizm. Odwieczny konflikt Europy z islamem wkroczył w nową i potencjalnie niebezpieczną fazę. Obawiano się, że będzie to nierówna walka. Jedna ze stron była stara, zmęczona i w znacznej mierze zadowolona z siebie. Drugą były gryzmoły w duńskiej gazecie potrafiły wpędzić w morderczy szal.

Nigdzie problemy, przed jakimi stała Europa, nie rysowały się wyraźniej niż w Clichy-sous-Bois, niestabilnej arabskiej *banlieue* tuż pod Paryżem. To przedmieście było punktem zapalnym morderczych rozruchów, jakie ogarnęły Francję w 2005 roku. Miało jeden najwyższych w kraju wskaźników bezrobocia do pary z jednym z najwyższych wskaźników brutalnej przestępczości. Clichy-sous-Bois było tak niebezpieczne, że nawet francuska policja powstrzymywała się od wkraczania na kipiące nienawiścią osiedla mieszkań komunalnych - w tym również to, gdzie Nazim Kadir, dwudziestosześcioletni Algierczyk, zatrudniony w słynnej restauracji Fouqueta, gnieździł się wraz z dwunastoma innymi członkami swojej wielopokoleniowej rodziny.

Tego listopadowego poranka wyszedł z mieszkania po ciemku, by oczyścić się w meczecie, wybudowanym za saudyjskie pieniądze, w którym działał wyszkolony w Arabii Saudyjskiej imam, niemówiący ani słowa po francusku. Wypełniwszy ten najważniejszy obowiązek, pojechał autobusem 601 AB na przedmieście Le Raincy, a następnie wsiadł do pociągu RER jadącego na Gare Saint-Lazare. Tam na ostatni odcinek podróży przesiadł się do paryskiego metra. Nigdzie nie wzbudził podejrzeń władz ani współpasażerów. Gruba kurtka dobrze maskowała kamizelkę z materiałami wybuchowymi, którą miał na sobie.

Wyłonił się z metra na stacji George V o zwykłej porze, 11:40, i ruszył Avenue des Champs-Élysées. Ci, którzy mieli dość szczęścia, by przeżyć piekło, które nastąpiło chwilę potem, mówili, że w jego wyglądzie nie było nic niezwykłego, choć właściciel popularnej kwiaciarni twierdził, że dostrzegł osobliwą determinację w jego sposobie chodzenia, gdy zbliżał się do wejścia do restauracji. Wśród osób stojących na zewnątrz znajdowali się: wiceminister sprawiedliwości, prezenter francuskiej telewizji, modelka zdobiąca aktualnie okładkę magazynu „Vogue”, cygańska żebraczka trzymająca za rękę małe dziecko i hałaśliwa grupa japońskich turystów. Zamachowiec ostatni raz spojrzął na zegarek. Po czym rozpiął suwak kurtki.

Nigdy jednoznacznie nie ustalono, czy wybuch poprzedzony był tradycyjnym okrzykiem *Allahu Akbar*. Kilkoro spośród ocalałych twierdziło, że go słyszało; kilkoro innych zaklinało się, że zamachowiec detonował bombę w milczeniu. Jeśli zaś chodzi o odgłos

samego wybuchu, ci stojący najbliżej wcale go nie pamiętają, gdyż ich bębni zostały uszkodzone. Wszyscy co do jednego przypominali sobie, że widzieli oślepiający biały błysk światła. To było światło śmierci, powiedział ktoś. Światło, które postrzega się w chwili, gdy po raz pierwszy staje się przed Bogiem.

Sama bomba była cudem konstrukcyjnym. To nie było urządzenie zbudowane na podstawie internetowych podręczników czy też broszurek rozprowadzanych po salafistycznych meczetach Europy. Ta bomba została udoskonalona w warunkach bojowych Palestyny i Mezopotamii. Wypełniona gwoździami maczanymi w trutce na szczury - praktyka zapożyczona od zamachowców samobójców z Hamasu - przeorała tłum niczym piła tarczowa. Wybuch był tak silny, że piramida Luwru, mieszcząca się półtorej mili na wschód, zdrząła od fali uderzeniowej. Osoby znajdujące się najbliżej zamachowca zostały rozerwane na kawałki, przepołowione albo ścięte, co stanowi najczęstszą karę dla niewiernych. Nawet w odległości kilkudziesięciu metrów znaleziono ofiary z oberwanymi kończynami. Zabitym na najodleglejszym krańcu strefy śmierci oszczędzone zostały obrażenia zewnętrzne, zabiła ich fala uderzeniowa, niszcząc ich organy wewnętrzne niczym tsunami. Opatrzność w swej łaskawości pozwoliła im po prostu wykrwawić się na śmierć.

Pierwsi żandarmi, którzy przybyli na miejsce, byli zupełnie porażeni tym, co zobaczyli. Wokół wałały się kończyny, a także buty, rozbite zegarki zatrzymane na godzinie 11:46 i telefony komórkowe, które nieodbierane wciąż dzwoniły. Szczątki mordercy - ostateczna zniewaga - były rozrzucone wśród jego ofiar, poza głową, która wylądowała na samochodzie dostawczym ponad czterdzieści metrów dalej. Wyraz twarzy zamachowca był dziwnie pogodny.

Francuski minister spraw wewnętrznych stanął się pod restauracją dziesięć minut po wybuchu. Widząc tę masakrę, oświadczył: „Bagdad dotarł do Paryża”. Siedemnaście minut później Bagdad dotarł do ogrodów Tivoli w Kopenhadze, gdzie o 12:03 drugi zamachowiec samobójca zdetonował się wśród dużej grupy dzieci czekających niecierpliwie, by wsiąść do kolejki górskiej. Duńskie służby bezpieczeństwa, PET, szybko ustaliły, że *shahid* urodził się w Kopenhadze, uczęszczał do duńskich szkół i ożenił się z Dunką. Najwyraźniej to, że jego własne dzieci chodziły do tej samej szkoły co jego ofiary, nie stanowiło problemu.

Dla służb bezpieczeństwa w całej Europie to była realizacja najkoszmarniejszego scenariusza - skoordynowane i bardzo skomplikowane ataki, które zdawały się zaplanowane i wykonane przez wyrafinowanych terrorystów. Służby obawiały się, że terroryści uderzą znowu, tyle że brakowało im dwóch kluczowych informacji. Nie wiedzieli gdzie. I nie wiedzieli kiedy.

3.

ST JAMES'S, LONDYN

Później jednostka antyterrorystyczna londyńskiej policji poświęci sporo cennego czasu i wysiłku, próbując zrekonstruować poczynania tego ranka niejakiego Gabriela Allona, legendarnego, acz krnąbrnego syna izraelskiego wywiadu, oficjalnie pozostającego obecnie w stanie spoczynku i żyjącego spokojnie w Zjednoczonym Królestwie. Wiadomo, na podstawie relacji naocznych świadków, czyli jego wścibskich sąsiadów, że o świcie wraz z piękną, urodzoną we Włoszech żoną, Chiarą, opuścili swój domek w Kornwalii i wsiedli do swego range rovera. Wiadomo także, dzięki brytyjskiemu orwellowskiemu systemowi kamer, że małżonkowie dotarli do centrum Londynu w niemalże rekordowym czasie oraz że, wskutek ingerencji sił nadprzyrodzonych, zdołali znaleźć całkiem legalne miejsce do zaparkowania na Piccadilly. Stamtąd udali się pieszo do Mason's Yard, spokojnego czworokątnego brukowanego handlowego dziedzińca w St James's, i stanęli pod drzwiami galerii Isherwood Fine Arts.

Według zainstalowanej na dziedzińcu kamery wpuszczono ich do środka o 11:40 londyńskiego czasu, chociaż Maggie, najnowsza marna sekretarka Isherwooda, błędnie odnotuje w swoim kajecie czas ich przybycia jako 11:45.

Galeria, będąca od 1968 roku dostawcą muzealnej jakości obrazów włoskich i holenderskich starych mistrzów, miała kiedyś wysoką pozycję na szykownej New Bond Street w Mayfair. Skazana na wygnanie do St James's przez Hermesy, Burberry, Cartiery i tym podobne, znalazła schronienie na trzech piętrach podupadłego magazynu należącego wcześniej do Fortnum & Mason. Zaściankowa, plotkarska społeczność St James's zawsze traktowała galerię jako niezłe widowisko - komedię i tragedię, spektakularne wzloty i także upadki, no i ta upajająca, ledwie wyczuwalna atmosfera konspiracji. Wynikało to w dużej mierze z osobowości właściciela. Julian Isherwood napiętnowany był pewną, niemalże fatalną u handlarza dzieł sztuki, słabością - zdecydowanie wolał posiadać dzieła sztuki, niż je sprzedawać. W rezultacie obarczony był pokaźnymi zbiorami, znanymi w branży pod czułym mianem martwego inwentarza - były to obrazy, za które żaden nabywca nie zapłaci nigdy dostatecznej ceny. Krążyły plotki, że prywatne zbiory Isherwooda dorównywały tym należącym do brytyjskiej rodziny królewskiej. Nawet Gabriel, który restaurował obrazy dla galerii od ponad trzydziestu lat, miał jedynie blade pojęcie o prawdziwych zbiorach Isherwooda.

Zastali go w gabinecie - wysoka, nieco chwiejna postać oparta o biurko zavalone starymi katalogami i monografiami. Ubrany był w szary garnitur w kredowe paski i lawendowy krawat, który poprzedniego wieczoru dostał od swojej najnowszej miłości. Jak zwykle wydawał się lekko skacowany, był to stan i styl, który namiętnie kultywował. Teraz utkwiał ponury wzrok w ekranie telewizora.

- Zakładam, że już słyszeliście?

Gabriel skinął z wolną głową. Wraz z Chiarą usłyszeli pierwsze radiowe doniesienia, kiedy jechali przez zachodnie przedmieścia Londynu. Obrazy ukazane na ekranie były uderzająco podobne do tych, które Gabriel wytworzył sobie w głowie - zmarli nakryci plastikowymi płachtami, ci, którzy ocaleli, zalani krwią, przerażeni gapie zasłaniający twarze dłońmi. To się nigdy nie zmieniało. I podejrzewał, że nigdy się nie zmieni.

- W zeszłym tygodniu jadłem z klientem lunch u Fouqueta - powiedział Isherwood, przeczesując dłonią swoje przydługie siwe loki.

- Pożegnaliśmy się dokładnie w tym miejscu, gdzie ten maniak zdetonował bombę. A gdyby klient wyznaczył lunch na dziś? Mógłbym teraz...

Isherwood urwał. To typowa reakcja po ataku, pomyślał Gabriel. Żywi zawsze szukali jakiegoś, choćby najsłabszego związku ze zmarłymi.

- Ten zamachowiec w Kopenhadze zabił dzieci - mówił Isherwood. - Możesz mi wytłumaczyć, czemu ma służyć mordowanie niewinnych dzieci?

- Wywołaniu strachu - odrzekł Gabriel. - Chcą, żebyśmy się bali.

- Kiedy to się skończy? - zapytał Isherwood, potrząsając głową z oburzeniem. - Kiedy, na Boga, skończy się to szaleństwo?

- Powinieneś wiedzieć, że takie pytania nie mają sensu, Julianie.

- Gabriel zniżył głos i dodał: - W końcu nie od dziś masz w tej walce miejsce przy samym ringu.

Isherwood uśmiechnął się melancholijnie. Jego na wskroś angielskie nazwisko i pozycja społeczna skrywały fakt, że nie był on wcale, w każdym razie formalnie rzecz biorąc, Anglikiem. Miał brytyjskie obywatelstwo i paszport, owszem, ale z pochodzenia był Niemcem, wychowanym we Francji, jeśli zaś chodzi o religię - żydem. Jedynie garstka zaufanych przyjaciół wiedziała, że Isherwood dotarł do Londynu jako dziecięcy uchodźca w 1942 roku; jak dwaj baskijscy pasterze przeprowadzili go przez zasypane śniegiem Pireneje. I że jego ojciec, słynny paryski handlarz sztuki Samuel Isakowitz, wraz z matką Isherwooda zostali zamordowani w obozie śmierci w Sobiborze. Chociaż Isherwood pilnie strzegł tajemnic swojej przeszłości, historia jego dramatycznej ucieczki z okupowanej przez nazistów

Europy dotarła do uszu tajnych izraelskich służb wywiadowczych. I w połowie lat siedemdziesiątych, podczas fali palestyńskich ataków terrorystycznych na żydowskie cele w Europie, został zwerbowany jako sajan, dobrowolny pomocnik. Isherwood miał tylko jedno zadanie - pomóc w stworzeniu i utrzymaniu operacyjnej przykrywki dla konserwatora dzieł sztuki i zabójcy, Gabriela Allona.

- Nie zapominaj o jednym - powiedział Isherwood. - Teraz pracujesz dla mnie, nie dla nich. To nie twój problem, złociutki. Już nie. - Wycelował pilota w telewizor i koszmarny zamęt w Paryżu i Kopenhadze zniknął, przynajmniej na chwilę. - Popatrzmy teraz na coś pięknego, zgoda?

Ograniczona przestrzeń galerii zmusiła Isherwooda do ułożenia swego imperium w pionie - na parterze magazyny, na pierwszym piętrze biura, na trzecim zaś imponująca oficjalna sala wystawowa wzorowana na słynnej galerii Paula Rosenberga w Paryżu, gdzie jako dziecko mały Julian spędził wiele radosnych godzin. Gdy weszli do pomieszczenia, południowe słońce padało skośnie przez świetlik nad ich głowami, oświetlając ogromny obraz olejny wsparty na owiniętym w grube sukno postumencie. Obraz przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną na wieczornym tle, najwyraźniej było to dzieło szkoły weneckiej. Chiara zdjęła podróżny skórzany płaszcz i usiadła na otomanie ustawionej jak w muzeum pośrodku sali. Gabriel stanął tuż przed płótnem, jedną dłonią podparł swój wąski podbródek - przechylił na bok głowę.

- Gdzie go znalazłeś?

- Na wielkim stosie wapienia na wybrzeżu Norfolk.

- Czy ten stos ma właściciela?

- Prosił o zachowanie anonimowości. Wystarczy powiedzieć, że wywodzi się z utytułowanej rodziny, ma ogromny majątek nieruchomy i ruchomy, a jego rezerwy gotówkowe kurczą się w zastraszającym tempie.

- Więc poprosił cię, żebyś go uwolnił od kilku obrazów, tak by mógł zachować płynność finansową przez następny rok.

- Biorąc pod uwagę tempo, w jakim przepuszcza pieniądze, dałbym mu dwa miesiące góra.

- Ile mu zapłaciłeś za ten obraz?

- Dwadzieścia tysięcy.

- Ależ z ciebie dobroczyńca, Julianie. - Gabriel zerknął na Isherwooda i dodał: - Domyślałem się, że dla niepoznaki wzięłeś jeszcze kilka innych obrazów.

- Sześć bezwartościowych bohomazów - przyznał Isherwood.

- Ale jeśli przeczucie co do tego mnie nie myli, ta inwestycja opłaci się z nawiązką.

- Pochodzenie? - spytał Gabriel.

- Zakupił go w Veneto jeden z przodków mojego sprzedawcy w trakcie tradycyjnego objazdu Europy przez młodego arystokratę na początku dziewiętnastego wieku. Od tamtej pory pozostawał w rodzinie.

- Komu się go przypisuje obecnie?

- Pracowni Jacopa Palmy Starszego.

- Serio? - spytał Gabriel sceptycznie. - Kto tak twierdzi?

- Włoski rzeczoznawca, który nadzorował warunki sprzedaży.

- Był ślepy?

- Tylko na jedno oko.

Gabriel uśmiechnął się. Wielu Włochów, którzy doradzali brytyjskiej arystokracji podczas podróży, było szarlatanami prowadzącymi ożywiony handel bezwartościowymi kopiami fałszywie przypisywanymi florenckim i weneckim mistrzom. Czasami mylili się w drugą stronę. Isherwood podejrzewał, że obraz na postumencie podpadał pod tę drugą kategorię. Gabriel był tego samego zdania. Przeciągnął czubkiem palca wskazującego po twarzy Marii Magdaleny, usuwając z powierzchni brud nagromadzony tam w ciągu stuleci.

- Gdzie on wisiał? W kopalni?

Drasnął paznokciem mocno odbarwiony werniks. Najprawdopodobniej składał się z żywicy, mastyksu lub damary, rozpuszczonej w terpentynie. Usunięcie go to będzie mozolny proces wymagający użycia starannie kalibrowanej mieszanki acetonu, metoksypropanolu i spirytusu mineralnego. Gabriel mógł sobie tylko wyobrazić koszmar czekający go po usunięciu starego werniksu: archipelagi *pentimento*, pustynia pęknięć i zmarszczeń powierzchni, masowe ubytki farby ukryte przez poprzednie renowacje. Do tego jeszcze dochodził stan samego płótna, dramatycznie porozciągane ze starości. Sposobem na to był dublaż, podklejenie obrazu nowym płótnem, niebezpieczny zabieg wymagający zastosowania wysokiej temperatury, wilgoci i nacisku. Każdy konserwator, który kiedykolwiek tego dokonywał, miał na dowód bolesne urazy. Gabriel zniszczył kiedyś sporą partię obrazu Domenica Zampieriego, używając żelazka z zepsutym termostatem. W pełni odrestaurowany obraz, choć nieskazitelny dla niewprawnego oka, był z całą pewnością efektem pracy zespołowej Zampieriego i pracowni Gabriela Allona.

- No więc? - powiódł pytanie Isherwood. - Kto namalował to cholerstwo?

Gabriel udał, że się zastanawia.

- Będę potrzebował zdjęć rentgenowskich, żeby to stwierdzić jednoznacznie.

- Mój człowiek wpadnie jeszcze dziś po południu zrobić zdjęcia. Ale obaj wiemy, że wcale ich nie potrzebujesz, żeby dokonać wstępnych ustaleń. Jesteś jak ja, złociutki. Obcujesz z obrazami od stu tysięcy lat. Od razu wiesz, z czym masz do czynienia.

Gabriel wyłowił niewielką lupę z kieszeni kurtki i przyjrzał się pociągnięciom pędzla w powiększeniu. Pochylając się nieco do przodu, czuł znajomy kształt pistoletu Beretta 9 mm wbijającego mu się w lewe biodro. Po tym jak współpracował z brytyjskim wywiadem przy sabotażu irańskiego programu nuklearnego miał teraz pozwolenie na noszenie broni w każdych okolicznościach. Przyznano mu także brytyjski paszport, którego mógł używać podczas zagranicznych podróży, o ile nie pracował dla swojej dawnej agencji. A o tym nie było już mowy. Błyskotliwa kariera Gabriela Allona wreszcie się skończyła. Nie był już izraelskim aniołem zemsty. Był konserwatorem dzieł sztuki zatrudnionym przez galerię Isherwood Fine Arts, a jego domem stała się Anglia.

- Masz przeczucie - oświadczył Isherwood. - Widzę to w twoich zielonych oczach.

- Owszem, mam - odparł Gabriel, nadal pochłonięty obserwacją pociągnięć pędzla - ale najpierw chciałbym zasięgnąć opinii jeszcze kogoś.

Zerknął przez ramię na Chiare. Z lekko zakłopotaną miną bawiła się kosmykiem niesfornych włosów. W takiej pozycji jak teraz była uderzająco podobna do kobiety na obrazie. I nic dziwnego, rozmyślał Gabriel. Chiara, potomkini Żydów wydalonych z Hiszpanii w 1942, wychowywała się w niegdysiejszym weneckim getcie. Całkiem możliwe, że niektórzy jej przodkowie służyli jako modele takim mistrzom jak Bellini, Veronese i Tintoretto.

- I co sądzisz? - spytał ją.

Chiara dołączyła do Gabriela przy płótnie i aż cmoknęła, widząc, w jak opłakanym jest ono stanie. Chociaż na uniwersytecie studiowała historię cesarstwa rzymskiego, asystowała Gabrielowi przy wielu pracach konserwatorskich i przy okazji sama stała się godnym szacunku historykiem sztuki.

- To znakomity przykład Sacra Conversazione, Świętej Rozmowy, sielankowej sceny, w której postaci zgrupowane są na tle przyjemnego dla oka pejzażu. I jak każdy głupi wie, uważa się Jacopa Palmę Starszego za pomysłodawcę tej formy przedstawienia.

- A co sądzisz o rysunku? - zapytał Isherwood tonem adwokata naprowadzającego sprzyjającego mu świadka.

- Zdecydowanie zbyt dobry jak na Palmę - odrzekła Chiara. - Jego paleta nie miała sobie równych, ale nigdy nie był uważany za szczególnie wprawnego rysownika, nawet przez współczesnych.

- A kobieta, która pozowała jako Madonna?

- O ile się nie mylę, a to bardzo mało prawdopodobne, na imię miała Violante. Pojawia się na wielu obrazach Palmy. Ale w tamtym czasie był w Wenecji jeszcze jeden sławny malarz, który ponoć bardzo ją lubił. Nazywał się...

- Tiziano Vecello. - Isherwood dokończył jej myśl. - Lepiej znany jako Tycjan.

- Gratulacje, Julianie - uśmiechnął się Gabriel. - Właśnie pochwyciłeś Tycjana za nędną sumkę dwudziestu tysięcy funtów. Teraz trzeba ci tylko konserwatora, który potrafi przywrócić mu dobrą formę.

- Ile? - spytał Isherwood.

Gabriel zmarszczył brwi.

- To będzie wymagało ogromnej pracy.

- Ile? - powtórzył Isherwood.

- Dwieście tysięcy.

- Mógłbym znaleźć kogoś za połowę tej kwoty.

- Owszem. Ale obaj pamiętamy, co się stało ostatnim razem, kiedy tak zrobiłeś.

- Kiedy możesz zacząć?

- Będę musiał zajrzeć do terminarza, zanim się do czegokolwiek zobowiązę.

- Dam ci sto tysięcy zaliczki.

- W takim razie mogę zaczynać od razu.

- Pojutrze wyślę obraz do Kornwalii - oznajmił Isherwood. - Pytanie natomiast, kiedy dostanę go z powrotem?

Gabriel nie odpowiedział. Przez chwilę spoglądał na zegarek, jakby powątpiewał, czy dobrze chodzi, następnie w zamyśleniu zadarł głowę ku świetlikowi.

Isherwood łagodnym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- To nie twój problem, złociutki - powiedział. - Już nie.

4.

COVENT GARDEN, LONDYN

Policyjny punkt kontrolny przy Leicester Square wstrzymał ruch na Charing Cross Road. Gabriel i Chiara przedarli się pospiesznie przez ławicę spalinowej mgły i poszli dalej Cranbourn Street. Pełno tu było pubów i barów kawowych zaspokajających potrzeby tłumów turystów, którzy zdawali się włóczyć bez celu po Soho o każdej porze dnia i nocy, bez względu na porę roku. Tym razem Gabriel zupełnie na nich nie zważał. Wpatrzony był w ekran swojego telefonu. Liczba ofiar śmiertelnych w Paryżu i Kopenhadze wciąż rosła.

- Jak bardzo źle to wygląda? - spytała Chiara.

- Dwadzieścia osiem osób na Champs-Élysées i kolejne trzydzieści siedem w ogrodach Tivoli.

- Są już jakieś podejrzenia, kto za tym stoi? - zapytała Chiara.

- Jeszcze za wcześnie - odparł Gabriel - ale Francuzi sądzą, że to może być Al-Kaida w islamskim Maghrebie.

- Zdołaliby zorganizować takie dwa skoordynowane ataki?

- Mają jednostki rozrzucone po całej Europie i Ameryce Północnej, chociaż analitycy z Bulwaru Króla Saula zawsze byli sceptyczni co do ich zdolności przeprowadzenia widowiskowego ataku w stylu Bin Ladena.

Przy Bulwarze Króla Saula znajdowała się siedziba izraelskich zagranicznych służb wywiadowczych. Nosiła długą i rozmyślnie mylącą nazwę, która miała niewiele wspólnego z jej faktyczną działalnością. Ci, którzy tam pracowali, mówili o niej po prostu Biuro.

Nawet agenci w stanie spoczynku, jak Gabriel i Chiara, nigdy nie wypowiedali prawdziwej nazwy organizacji.

- Mnie to nie wygląda na Bin Ladena - stwierdziła Chiara. - Raczej na...

- Bagdad - dopowiedział Gabriel. - Liczba ofiar śmiertelnych jest wyjątkowo duża jak na atak na wolnym powietrzu. To by świadczyło o tym, że twórca bomby wiedział, co robi. Jeśli będziemy mieli szczęście, zostawił swój podpis.

- My? - spytała Chiara.

Gabriel bez słowa schował telefon do kieszeni kurtki. Doszli do ruchliwego ronda na końcu Cranbourn Street. Znajdowały się tutaj dwie włoskie restauracje - Spaghetti House i Bella Italia. Popatrzył na Chiare i poprosił, żeby którąś wybrała.

- Nie zamierzam rozpoczynać długiego weekendu w Londynie od wizyty w Bella

Italia - skrzywiła się. - Obiecałeś, że zabierzesz mnie na porządny lunch.

- Moim zdaniem, w Londynie można trafić na znacznie gorsze lokale niż Bella Italia.

- Ale ty nie urodziłeś się w Wenecji.

Gabriel uśmiechnął się.

- Mamy rezerwację w uroczej knajpce o nazwie Orso, przy Wellington Street. Jest bardzo włoska. Pomyślałem, że możemy po drodze zahaczyć o Covent Garden.

- Nadal masz na to ochotę?

- Musimy coś zjeść - odparł - a spacer obojgu nam dobrze zrobi.

Przeszli pospiesznie przez rondo ku Garrick Street, gdzie dwaj policjanci w żółtawozielonych płaszczach przesłuchiwali wyglądającego na Araba kierowcę białej furgonetki. Niepokój pieszych był niemalże namacalny. Na niektórych twarzach Gabriel widział prawdziwy strach; na innych ponurą determinację, by zachowywać się tak jak gdyby nigdy nic. Chiara mocno trzymała go za rękę, gdy mijali wystawy sklepowe. Od tak dawna czekała na ten weekend w Londynie i nie zamierzała pozwolić, by wiadomości z Paryża i Kopenhagi go zepsuły.

- Byłeś trochę zbyt ostry dla Juliana - powiedziała. - Dwieście tysięcy dolarów to dwa razy tyle co twoje zwykłe honorarium.

- To Tycjan, Chiara. Julian całkiem dobrze na tym wyjdzie.

- No to mogłeś chociaż przyjąć jego zaproszenie na lunch dla uczczenia transakcji.

- Nie miałem ochoty na lunch z Julianem. Wołałem zjeść go z tobą.

- Chciał omówić z tobą pewien pomysł.

- Co to za pomysł?

- Spółki - odrzekła Chiara. - Chce, żebyśmy zostali jego współnikami.

Gabriel przystanął.

- Pozwól, że postawię sprawę jasno - powiedział. - Nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany i nie mam chęci zostać współnikiem w tylko niekiedy wypłacalnej firmie Isherwood Fine Arts.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze - ruszył dalej - nie mamy pojęcia, jak prowadzić firmę.

- W przeszłości prowadziłeś już kilka świetnie prosperujących przedsięwzięć.

- To łatwe, kiedy ma się poparcie służb wywiadowczych.

- Nie doceniasz swoich możliwości, Gabrielu. Czy to takie trudne prowadzić galerię sztuki?

- N i e w i a r y g o d n i e trudne. I jak tego wielokrotnie dowiódł Julian, łatwo jest

wpaść w tarapaty. Nawet najbardziej wzięta galeria może splajtować, jeśli zrobi złą inwestycję. - Gabriel zerknął na nią z ukosa i spytał: - Kiedy uknuliście z Julianem ten plan?

- Mówisz tak, jakbyśmy spiskowali za twoimi plecami.

- Bo to właśnie robiliście.

Chiara przyjęła ten przytyk z uśmiechem.

- Rozmawialiśmy o tym, kiedy byliśmy w Waszyngtonie na odsłonięciu Rembrandta. Julian wziął mnie na bok i powiedział, że zaczyna myśleć o przejściu na emeryturę. Chce, żeby galeria trafiła w ręce kogoś, komu ufa.

- Julian nigdy nie przejdzie na emeryturę.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- A gdzie ja byłem, kiedy wy dochodziliście do porozumienia?

- Zdaje mi się, że wymknąłeś się na zewnątrz, żeby pomówić na osobności z pewną brytyjską dziennikarką śledczą.

- Dlaczego wcześniej nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo Julian mnie o to prosił.

Wymownym milczeniem Gabriel dał Chiarze do zrozumienia, że złamała jedną z fundamentalnych zasad ich małżeństwa. Tajemnice, nawet niezaprzeczalnie błahe, były zakazane.

- Przepraszam, Gabrieliu. Powinam była coś ci powiedzieć, ale Julian nalegał. Wiedział, że w pierwszym odruchu odmówisz.

- Mógłby w okamgnieniu sprzedać galerię Oliverowi Dimbleby'emu i spokojnie osiąść na jakiejś karaibskiej wyspie.

- A wzięłeś pod uwagę, co to mogłoby oznaczać dla nas? Naprawdę chcesz odnawiać obrazy dla Olivera Dimbleby'ego? Albo dla Giles'a Pittawaya? Czy może myślałeś, że mógłbyś dostać jakieś zlecenia jako wolny strzelec z Tate Modern czy National Gallery?

- Wygląda na to, że macie to z Julianem rozpracowane w szczegółach.

- Bo mamy.

- To może ty powinnaś zostać współniczką Juliana.

- Pod warunkiem że będziesz odnawiał obrazy dla mnie.

Gabriel widział, że Chiara nie żartuje.

- Prowadzenie galerii to nie tylko udział w snobistycznych aukcjach i długie lunche w luksusowych restauracjach przy Jermyn Street. To nie jest coś, co można traktować jak hobby.

- Miło mi, że uważasz mnie za kompletną dyletantkę.

- Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz.

- Nie tylko ty jesteś agentem Biura w stanie spoczynku, Gabrielu. Ja też. Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam swoich zniszczonych dawnych mistrzów, którymi mogłabym się zająć.

- Więc chcesz zostać handlarzem dziełami sztuki? Całymi dniami będziesz szperać w stosach miernych obrazów w poszukiwaniu kolejnego zaginionego Tycjana. A istnieje duże prawdopodobieństwo, że nigdy go nie znajdziesz.

- Mnie to się wcale nie wydaje takie straszne. - Chiara rozejrzała się wokół. - I to by znaczyło, że moglibyśmy mieszkać tutaj.

- Myślałem, że lubisz Kornwalię.

- Uwielbiam - odparła. - Tylko nie w zimie.

Gabriel pogrążył się w milczeniu. Już od jakiegoś czasu szykował się na tę rozmowę.

- Sądziłem, że będziemy mieli dziecko - powiedział wreszcie.

- Ja też - odparła Chiara. - Ale zaczynam myśleć, że to może okazać się niemożliwe. Nic, czego próbuję, jakoś nie działa.

W jej głosie pobrzmiwała rezygnacja, jakiej Gabriel nigdy wcześniej u niej nie słyszał.

- Więc będziemy próbować dalej - stwierdził.

- Nie chcę tylko, żebyś się rozczarował. To przez tamto poronienie. Teraz będzie mi znacznie trudniej w ogóle zająć się ciążą. Kto wie? Może zmiana scenerii mogłaby pomóc. Pomyśl o tym chociaż - powiedziała, ściskając mu dłoń. - Tylko o to cię proszę, kochanie. Moglibyśmy naprawdę polubić życie tutaj.

Na rozległym niby włoska piazza rynku Covent Garden komik uliczny ustawiał dwoje niczego niepodejrzewających niemieckich turystów w niedwuznaczną pozę sugerującą seksualną intymność. Chiara oparła się o filar, żeby obejrzeć występ, a Gabriel stał naburmuszony, wodząc wzrokiem po tłumach zebranych na placu i na balkonie baru Punch and Judy. Nie był zły na Chiare, ale na siebie. Przez lata ich związek kręcił się wokół Gabriela i jego pracy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Chiara może mieć własne aspiracje zawodowe. Gdyby byli normalną parą, mógłby rozważyć tę propozycję. Ale oni nie byli normalną parą, tylko byli tajnymi agentami jednej z najsłynniejszych agencji wywiadowczych na świecie. A ich przeszłość była zdecydowanie zbyt krwawa, by mogli wieść tak publiczne życie.

Gdy wchodzili do wysokiego szklanego pasażu handlowego, resztki napięcia po sprzeczce szybko się rozwiały. Nawet Gabriel, który nie znosił zakupów w żadnej formie,

czepał przyjemność z łażenia po wielobarwnych sklepikach i straganach z Chiarą u boku. Odurzony zapachem jej włosów wyobrażał sobie czekające ich popołudnie - spokojny lunch, a potem miły spacer z powrotem do hotelu. Tam, w chłodnym cieniu pokoju, powoli ją rozbierze i będą się kochać na olbrzymim łożu. Przez chwilę Gabriel był niemal w stanie wyobrazić sobie, że jego przeszłość została wymazana, że jego wyczyny to tylko tomy akt zbierające kurz w archiwach Bulwaru Króla Saula. Po tym wszystkim pozostała mu jedynie czujność - instynktowne, uporczywe skupienie, które nie pozwalało mu nigdy całkowicie odprężyć się w miejscu publicznym. Kazało mu sporządzać w myślach portret pamięciowy każdej mijanej na zatłoczonym rynku twarzy. A na Wellington Street, gdy zbliżali się do restauracji, ta czujność sprawiła, że stanął jak wryty. Chiara pociągnęła go figlarnie za rękaw. Potem spojrzała mu prosto w oczy i zrozumiała, że coś się stało.

- Masz taką minę, jakbyś właśnie zobaczył ducha.

- Nie ducha. Samobójcę.

- Gdzie?

Gabriel ruchem głowy wskazał postać w szarym wełnianym płaszczu.

5.

COVENT GARDEN, LONDYN

Istnieją charakterystyczne zachowania typowe dla zamachowca samobójcy. Porusza mimowolnie ustami przy recytowaniu ostatnich modlitw. Oczy ma zazwyczaj wpatrzone w dal, a wzrok jakby szklany. Jego twarz czasem może się wydawać nienaturalnie blada, co zwykle świadczy o tym, że obfity zarost został pospiesznie usunięty w ramach przygotowań do misji. Ten samobójca nie przejawiał żadnej z wymienionych cech. Usta miał zaciśnięte. Spojrzenie jasne i skupione. A jego twarz miała jednolitą karnację. Golił się regularnie od dawna.

Tym, co go wyróżniało, była cienka strużka potu wypływająca spod lewego baczka. Dlaczego się pocił w rześkie jesienne popołudnie? A skoro było mu gorąco, to czemu schował ręce do kieszeni wełnianego płaszcza? I czemu ten płaszcz - zdaniem Gabriela, o rozmiar za duży - wciąż był zapięty pod szyją. No i jego sposób chodzenia. Nawet najsprawniejszy fizycznie mężczyzna pod trzydziestkę miałby trudności z udawaniem normalnego chodu, obciążony pięćdziesięcioma funtami kruszących materiałów wybuchowych, gwoździ i łożysk kulkowych. Kiedy samobójca mijął Gabriela na Wellington Street, wydawał się nienaturalnie wyprostowany, jak gdyby chciał zrównoważyć dodatkowy ciężar wokół brzucha i nerek. Tkanina jego gabardynowych spodni wibrowała przy każdym kroku, jak gdyby stawy bioder i kolan drżały pod ciężarem bomby. Możliwe, że spocony młody człowiek w za dużym płaszczu był niewinnym przechodniem, który po prostu chciał zrobić południowe zakupy, ale Gabriel podejrzewał, że jest inaczej. Sądził, że mężczyzna idący kilka kroków przed nim miał rozegrać finał obejmującego cały kontynent dnia terroru. Najpierw Paryż, potem Kopenhaga, teraz Londyn.

Gabriel polecił Chiarze, by schroniła się w restauracji, i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Śledził samobójcę przez około sto jardów, a następnie obserwował, jak tamten skręca na rynek Covent Garden. Po zachodniej stronie piazza znajdowały się dwie knajpki, w porze lunchu obie pełne klientów. Pomiędzy nimi, w plamie słońca, stało trzech umundurowanych policjantów. Żaden nie zwrócił uwagi na samobójcę, gdy ten wchodził do pasażu handlowego.

Gabriel musiał podjąć szybką decyzję. Najbardziej oczywistym posunięciem byłoby powiadomienie policjantów o jego podejrzeniach - oczywistym, myślał, ale niekoniecznie optymalnym. Najprawdopodobniej wzięliby Gabriela na bok, chcąc go przesłuchać, i

zmarnowaliby w ten sposób kilka cennych sekund. Co gorsza, mogliby posunąć się do bezpośredniej konfrontacji z zamachowcem, co niemal na pewno doprowadziłoby do zdetonowania bomby. Chociaż praktycznie każdy londyński policjant otrzymał podstawowe szkolenie z taktyki antyterrorystycznej, mało który posiadał doświadczenie i siłę ognia, niezbędne, by zdjąć zaangażowanego wojownika dżihadu gotowego na męczeńską śmierć. Gabriel dysponował jednym i drugim i już wcześniej miał do czynienia z zamachowcami samobójcami. Przemknął obok trzech policjantów i wślizgnął się do pasażu.

Samobójca był teraz dwadzieścia jardów przed nim, szedł krokiem defiladowym po podwyższonej kładce biegnącej środkiem głównej hali. Gabriel szacował, że miał na sobie wystarczająco dużo materiałów wybuchowych i szrapneli, by zabić wszystkich w promieniu kilkudziesięciu stóp. Doktryna postępowania nakazywała, by Gabriel pozostał poza śmiertelną strefą wybuchu, dopóki nie przyjdzie pora na jego ruch. Warunki jednak kazały mu zmniejszyć dystans i narazić się na większe niebezpieczeństwo. Strzał w głowę z siedemdziesięciu pięciu stóp był trudny w najlepszych warunkach, nawet dla Strzelca o takiej wprawie jak Gabriel Allon. W zatłoczonym pasażu handlowym był praktycznie niemożliwy.

Gabriel poczuł, że komórka wibruje mu delikatnie w kieszeni kurtki. Nie zważając na to, patrzył, jak samobójca przystaje i opierając się o balustradę kładki, spogląda na zegarek. Gabriel zwrócił uwagę, że nosi zegarek na lewym nadgarstku, co oznaczało, że włącznik detonatora ma niemal na pewno w prawej ręce. Ale po co zamachowiec samobójca miałby zatrzymywać się w drodze do męczeńskiej śmierci, by patrzeć na zegarek? Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie było takie, że kazano mu zakończyć życie swoje i wielu niewinnych ludzi w ściśle wyznaczonym momencie. Gabriel podejrzewał, że w grę może tu wchodzić jakiś symbolizm. Na ogół tak właśnie było. Terrorysty z Al-Kaidy i jej odgałęzień uwielbiali symbolizm, zwłaszcza związany z liczbami.

Gabriel znajdował się teraz tak blisko samobójcy, że widział jego oczy. Spojrzenie wciąż miał jasne i skupione, co stanowiło obiecujący znak. Oznaczało, że wciąż myśli raczej o swojej misji, a nie o cielesnych rozkoszach czekających go w raju. Kiedy zacznie marzyć o wy perfumowanych ciemnookich hurysach, odmaluje się to na jego twarzy. Wtedy Gabriel będzie musiał dokonać wyboru. Na razie zależało mu na tym, żeby samobójca pozostał na tym świecie trochę dłużej.

Samobójca raz jeszcze sprawdził, która godzina. Gabriel także szybko zerknął na zegarek: 14:34. Przepuścił te cyfry przez bazę danych swojej pamięci, usiłując z czymś je skojarzyć. Dodawał je, odejmował, mnożył, odwracał i zmieniał ich kolejność. Potem pomyślał o dwóch poprzednich atakach. Pierwszy zdarzył się o 11:46, drugi o 12:03.

Możliwe, że te cyfry oznaczały lata w kalendarzu gregoriańskim, ale Gabriel nie umiał z niczym ich powiązać.

W myślach wymazał godziny ataków i skupił się wyłącznie na minutach. *Czterdzieści sześć minut po, trzy minuty po.* I nagle zrozumiał. Znał te pory tak dobrze jak pociągnięcia pędzla Tycjana. *Czterdzieści sześć minut po, trzy minuty po.* To były dwa z najsłynniejszych momentów w historii terroryzmu - dokładny czas, w którym dwa porwane samoloty pasażerskie uderzyły w gmach World Trade Center jedenastego września. Samolot American Airlines lot 11 roztrzaskał się o Północną Wieżę o 8:46. Samolot United Airlines lot 175 uderzył w Południową Wieżę o 9:03. Trzecim samolotem, któremu udało się osiągnąć swój cel tamtego ranka, był samolot American Airlines lot 77, ten naprowadzono na zachodnią stronę Pentagonu. Według miejscowego czasu była godzina 9:37, czyli 14:37 w Londynie.

Gabriel spojrzął na swój cyfrowy zegarek. Było kilka sekund po 14:35. Podniósł głowę i zobaczył, że mężczyzna w szarym płaszczu znowu idzie szybkim krokiem, z rękoma w kieszeniach, na pozór nieświadom obecności innych ludzi wokół. Kiedy Gabriel ruszył za nim, jego komórka znów zaczęła wibrować. Tym razem odebrał i usłyszał głos Chiary. Powiedział jej, że zamachowiec samobójca właśnie zamierza detonować się w Covent Garden, i polecił jej skontaktować się z MI5. Następnie wsunął telefon z powrotem do kieszeni i zaczął zmniejszać odległość pomiędzy sobą i celem. Bał się, że wkrótce zginie wielu niewinnych ludzi. I zastanawiał się, czy zdoła temu zapobiec.

6.

COVENT GARDEN, LONDYN

Istniała oczywiście inna możliwość - że mężczyzna idący kilka kroków przed Gabrielem ma pod płaszczem tylko kilka nadprogramowych funtów tkanki tłuszczowej. Gabriel, chcąc nie chcąc, przypomniał sobie sprawę Jeana Charlesa de Menezesa, urodzonego w Brazylii elektryka, który został śmiertelnie postrzelony przez brytyjską policję na londyńskiej stacji metra Stockwell, po tym jak omyłkowo wzięto go za poszukiwanego islamskiego bojownika. Brytyjscy prokuratorzy odmówili wniesienia oskarżenia przeciwko policjantom odpowiedzialnym za zabójstwo, a decyzja ta na całym świecie wywołała oburzenie wśród działaczy na rzecz praw człowieka i zwolenników libertarianizmu obywatelskiego. Gabriel wiedział, że w podobnych okolicznościach nie może liczyć na taką pobłażliwość. To oznaczało, że będzie musiał mieć pewność, zanim zacznie działać. Co do jednego już ją miał. Był przekonany, że zamachowiec, jak malarz, złoży swój podpis, zanim wciśnie włącznik detonatora. Będzie chciał, by jego ofiary wiedziały, że ich bliska śmierć nie pozostanie bezcelowa, że zostaną złożeni w ofierze w imię świętego dżihadu i w imię Allaha.

Na razie jednak Gabriel nie miał innego wyboru, jak iść za tamtym i czekać. Powoli, ostrożnie zmniejszał odległość, przesuując się nieznacznie to w prawo, to w lewo, by nic nie blokowało linii strzału. Wzrok miał wpatrzony w dolną część czaszki tamtego. Kilka centymetrów poniżej znajdował się pień mózgu, odpowiedzialny za kontrolowanie motorycznych i sensorycznych układów reszty ciała. Gdyby udało się zniszczyć pień mózgu kilkoma strzałami, zamachowiec nie miałby możliwości wcisnąć włącznika detonatora. Gdyby natomiast chybić, męczennik mógłby wykonać swoją misję w czasie przedśmiertnych drgawek. Gabriel był jednym z niewielu ludzi na całym świecie, którzy faktycznie zabili terrorystę, z a n i m ten przeprowadził swój atak. Wiedział, że różnica między powodzeniem a porażką sprowadza się do ułamka sekundy. Powodzenie oznaczało, że zginie tylko jeden człowiek. Porażka spowoduje śmierć dziesiątków ludzi, w tym może nawet samego Gabriela.

Samobójca przeszedł przez drzwi prowadzące na piazzę. Była teraz znacznie bardziej zatłoczona. Wiolonczelista grał suitę Bacha. Parodysta Jimiego Hendrixa zmagął się z podłączoną do wzmacniacza elektryczną gitarą. Dobrze ubrany mężczyzna stojący na drewnianej skrzynce wykrzykiwał coś o Bogu i wojnie w Iraku. Samobójca zmierzał prosto na środek placu, gdzie przedstawienie komika ku uciesze tłumu widzów osiągnęło kolejny

stopień perwersji. Wykorzystując techniki, jakich nauczył się w młodości, Gabriel po kolei wyciszył w myślach wszystkie otaczające go odgłosy, zaczynając od ledwo słyszalnych dźwięków suity Bacha, a kończąc na gromkim śmiechu widzów. Następnie po raz ostatni spojrział na zegarek i czekał, aż samobójca złoży swój podpis.

Była 14:36. Samobójca znalazł się na obrzeżach gęstego tłumu. Przystanął na kilka sekund, jakby szukając słabego punktu, przez który mógłby się precyzyjnie przemieszczać do środka, następnie wpełznął się między dwie zaskoczone kobiety. Gabriel zanurzył się w tłum w innym miejscu, kilka jardów na prawo od tamtego, prześlizgując się niemal niepostrzeżenie przez skupioną w grupkę rodzinę amerykańskich turystów. Krąg wokół komika składał się z czterech rzędów widzów i tłum był naprawdę zbity, co stawiało Gabriela przed kolejnym dylematem. Idealną amunicją w takiej sytuacji był pocisk grzybkujący, który powoduje większe uszkodzenie tkanek celu i znacznie zmniejsza ryzyko przypadkowych ofiar, bo przechodzi na wylot. Ale beretta Gabriela była załadowana zwykłymi pociskami parabellum 9 mm. Musiałby tak się ustawić do strzału, by tor pocisku był skierowany maksymalnie ku dołowi. W przeciwnym razie istniało duże prawdopodobieństwo, że nieumyślnie odbierze życie niewinnej osobie, faktycznie próbując je ratować.

Samobójca przedostał się do pierwszego rzędu widzów i teraz zmierzał prosto w kierunku komika. Patrzył w dal szklanym wzrokiem. Usta się poruszały. *Ostatnie modlitwy...* Komik błędnie założył, że samobójca chce wziąć udział w przedstawieniu. Z uśmiechem zrobił dwa kroki w jego stronę, zamarł jednak, gdy zobaczył dłonie wylaniające się z kieszeni płaszcza. Palce lewej pozostały lekko rozchylone. Prawa była zaciśnięta w pięść, kciuk uniesiony pod kątem prostym. Jednak Gabriel wciąż się wahał. A jeśli to nie detonator? Jeśli to długopis albo ochronna pomadka do ust? Musiał mieć pewność. *Zdradź mi swoje zamiary, myślał. Złóż swój podpis.*

Samobójca odwrócił się twarzą do rynku. Klienci pubu Punch and Judy spoglądający w dół z balkonu zaśmiali się nerwowo, podobnie jak kilkoro spośród widzów zgromadzonych na piazzie. Gabriel wyciszył w myślach śmiech i zatrzymał obraz. Widział scenę przed sobą tak, jakby została namalowana pędzlem Canaletta. Postacie znieruchomiały; tylko Gabriel, konserwator dzieł sztuki, mógł poruszać się swobodnie między nimi. Precyzyjnie przemieszczał się przez pierwszy rząd widzów i wbił wzrok w punkt z tyłu czaszki tamtego. Strzał ku dołowi był niemożliwy. Ale istniało inne potencjalne rozwiązanie, pozwalające uniknąć ofiar: linia ognia biegnąca ku górze poprowadzi pocisk z broni Gabriela bezpiecznie ponad głowami widzów i skieruje go na fasadę sąsiedniego budynku. Wyobraził sobie cały manewr po kolei - wyciągnięcie broni po skosie, przykucnięcie, strzał, podejście bliżej - i czekał, aż samobójca

złoży swój podpis.

Ciszę w głowie Gabriela przerwał pijacki okrzyk z balkonu pubu Punch and Judy - żądanie, by męczennik odsunął się i pozwolił na dalszy ciąg przedstawienia. Samobójca w odpowiedzi uniósł obie ręce nad głowę, niczym biegacz długodystansowy przekraczający linię mety. Po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka miał cienki drucik prowadzący od włącznika detonatora do materiałów wybuchowych. To był dowód, jakiego Gabriel potrzebował. Zanurzył rękę pod kurtkę i chwycił kolbę swojej beretty. Potem, gdy samobójca wrzeszczał „Allahu Akbar”, Gabriel opadł na jedno kolano i wymierzył broń w swój cel. Co zdumiewające, strzał był czysty, bez ryzyka przypadkowych ofiar. Ale gdy Gabriel już miał pociągnąć za cyngiel, dwie silne dłonie pociągnęły broń ku dołowi, a ciężar dwóch mężczyzn powalił go na bruk.

W momencie gdy padł na ziemię, usłyszał dźwięk przypominający uderzenie pioruna i poczuł, jak zalewa go fala palącego powietrza. Przez kilka sekund Gabriel nie słyszał nic więcej. Następnie zaczęły się krzyki, pojedynczy pisk, a zaraz potem zbiorowe wycie. Gabriel uniósł głowę i ujrzał scenę ze swych najgorszych koszmarów. Wszędzie części ciała i krew. Bagdad nad Tamizą.

7.

SCOTLAND YARD, LONDYN

Niewiele jest cięższych grzechów dla zawodowego oficera wywiadu, nawet pozostającego w stanie spoczynku, niż dać się aresztować lokalnym władzom. Ponieważ Gabriel od dawna poruszał się w dolnych obszarach pomiędzy światami jawnym a tajnym, ten los spotykał go częściej niż większość jego współpracowników. Doświadczenie nauczyło go, że w takich okolicznościach istniał ustalony rytuał, swego rodzaju taniec kabuki, który musi dobiec końca, zanim wyższe władze mogą interweniować. Bardzo dobrze znał kroki. Na szczęście jego gospodarze również.

W ciągu kilku minut po ataku został aresztowany i pospiesznie przewieziony do Scotland Yardu, głównej siedziby londyńskiej policji. Po przybyciu na miejsce zaprowadzono go do pozbawionej okien sali przesłuchań, gdzie opatrzono mu liczne skaleczenia i otarcia i poczęstowano go filiżanką herbaty, którą pozostawił nietkniętą. Inspektor jednostki antyterrorystycznej zjawił się bezzwłocznie. Obejrzał dowód tożsamości Gabriela ze sceptycyzmem, na jaki dokument ten zasługiwał, a następnie próbował ustalić spłot wydarzeń, który skłonił „pana Rossiego” do wyciągnięcia ukrytej broni palnej w Covent Garden tuż przed tym, jak terrorysta detonował swój pas samobójcy. Gabriela korało, by zadać parę własnych pytań. Ciekawiło go mianowicie, czemu dwaj agenci specjalni z wydziału y stołecznej policji postanowili rozbroić j e g o, a nie oczywistego terrorystę mającego właśnie dokonać bezlitosnego masowego mordu. Zamiast tego na każde z pytań detektywa odpowiadał, recytując pewien numer telefonu.

- Proszę tam zadzwonić - powtarzał, stukając palcem miejsce, gdzie detektyw zapisał numer w swoim notesie. - Telefon zadzwoni w ogromnym budynku niedaleko stąd. Nazwisko człowieka, który odbierze, nie jest panu obce. W każdym razie nie powinno być.

Gabriel nie znał tożsamości policjanta, który w końcu zadzwonił pod ten numer, nie wiedział też, kiedy dokładnie to się stało. Wiedział jedynie, że jego internowanie w Scotland Yardzie trwało znacznie dłużej, niż było to konieczne. W istocie dochodziła północ, kiedy detektyw poprowadził go labiryntem jasno oświetlonych korytarzy do wyjścia z budynku. W lewej dłoni detektywa znajdowała się szara koperta wypełniona rzeczami osobistymi Gabriela. Sądząc z jej rozmiaru i kształtu, nie zawierała beretty 9 mm.

Na zewnątrz ładna pogoda popołudnia przemieniła się w zacinający deszcz. Pod szklanym portykiem czekała limuzyna, ciemny jaguar z włączonym silnikiem. Gabriel wziął

kopertę od detektywa i otworzył tylne drzwi wozu. W środku, z nogą założoną elegancko na nogę, siedział mężczyzna, który wydawał się stworzony do swojej roli. Miał na sobie idealnie dopasowany grafitowy garnitur i srebrny krawat w odcieniu swoich włosów. Normalnie spojrzenie jego jasnych oczu było nieodgadnione, ale teraz widać w nich było napięcie długiej i trudnej nocy. Na Grahamie Seymourze, zastępcy dyrektora MI5, spoczywała całkowita odpowiedzialność za ochronę Wielkiej Brytanii przed siłami ekstremistycznego islamu. I po raz kolejny, mimo najlepszych wysiłków jego ludzi, ekstremistyczny islam zwyciężył. Chociaż oni dwaj mieli długą wspólną zawodową przeszłość, Gabriel niewiele wiedział o osobistym życiu Grahama Seymoura. Wiedział, że Seymour miał żonę o imieniu Helen, którą uwielbiał, i syna, który zarządzał pieniędzmi innych ludzi z ramienia nowojorskiej filii ważnego brytyjskiego domu finansowego. Poza tymi informacjami wiedza Gabriela o prywatnych sprawach Seymoura pochodziła z obszernych akt Biura. Stanowił relikwiarz świetlanej przeszłości Wielkiej Brytanii, produkt wyższej klasy średniej, tak wychowany, wyedukowany i zaprogramowany, by przewodzić innym. Wierzył w Boga, ale bez szczególnej żarliwości. Wierzył w swój kraj, ale nie był ślepy na jego niedociągnięcia. Dobrze grał w golfa i inne gry, ale był gotów przegrać ze słabszym przeciwnikiem, jeśli miałyby to służyć słusznej sprawie. Był człowiekiem podziwianym i, co najważniejsze, takim, któremu można ufać - rzadka cecha wśród szpiegów i tajnych policjantów.

Graham Seymour nie był jednakże człowiekiem o niewyczerpanej cierpliwości, o czym świadczyła jego ponura mina, gdy jaguar wyjeżdżał na ulicę. Z kieszeni na oparciu fotela wyjął egzemplarz porannego „Telegraphu” i położył go Gabrielowi na kolanach. Nagłówek głosił: RZĄDY TERRORU. Poniżej widniały trzy fotografie ukazujące następstwa trzech ataków. Gabriel wypatrywał na zdjęciu z Covent Garden jakichś oznak swojej obecności, ale widać było jedynie ofiary. To był obraz klęski, myślał - osiemnaście osób zabitych, dziesiątki rannych w stanie krytycznym, w tym jeden z policjantów, którzy powalili go na ziemię. A wszystko dlatego, że Gabrielowi uniemożliwiono oddanie strzału.

- Cholerny dzień - powiedział Seymour ze znużeniem. - Gorzej mogłoby być tylko wtedy, gdyby prasa dowiedziała się o tobie. Zanim zwolennicy teorii spiskowych skończyliby swoje wywody, cały islamski świat byłby przekonany, że to Biuro zaplanowało i przeprowadziło te ataki.

- Możesz być pewien, że już tak jest. - Gabriel oddał mu gazetę i spytał: - Gdzie jest moja żona?

- W waszym hotelu. Moi ludzie są na korytarzu. - Seymour przerwał, po czym dodał: - Nie muszę mówić, że nie jest specjalnie zadowolona z twoich wyczynów.

- Skąd wiesz? - Gabrielowi wciąż dzwoniło w uszach od wstrząsu wywołanego wybuchem. Zamknął oczy i zapytał, jak ludzie z SO19 zdołali tak szybko go odnaleźć.

- Jak możesz sobie wyobrazić, mamy do dyspozycji szeroki wachlarz technicznych środków.

- Takich jak mój telefon komórkowy i wasza sieć kamer?

- Właśnie - odparł Seymour. - Byliśmy w stanie zlokalizować cię w ciągu kilku sekund od telefonu Chiary. Przekazaliśmy informację Złotej Brygadzie, operacyjnemu centrum kryzysowemu stołecznej policji, a oni natychmiast wysłali dwie ekipy z brygady szybkiego reagowania.

- Musieli być w pobliżu.

- Byli - potwierdził Seymour. - Byliśmy w stanie wzmożonej gotowości po atakach w Paryżu i Kopenhadze. Kilka grup było już rozmieszczonych w dzielnicy finansowej i miejscach, gdzie zazwyczaj gromadzą się turyści.

- To dlaczego rozbrowili m n i e zamiast zamachowca?

- Bo ani Scotland Yard, ani Służby Bezpieczeństwa nie chciały powtórki fiaska Menezesa. W związku z jego śmiercią wprowadzono szereg wytycznych i procedur, żeby mieć pewność, że coś takiego nigdy już się nie zdarzy. Dość powiedzieć, że pojedyncze ostrzeżenie nie wystarczy jeszcze, byśmy podjęli śmiertelne działania, nawet jeśli ostrzeżenie pochodzi ze źródła, które nazywa się Gabriel Allon.

- I z tego powodu zginęło osiemnaście osób?

- A gdyby to nie był terrorysta? Gdyby to był jeszcze jeden artysta uliczny albo ktoś z problemami psychicznymi? Zostalibyśmy spaleni na stosie.

- Ale to nie był artysta uliczny ani chory psychicznie, Grahamie. To był zamachowiec samobójca. I mówiłem wam to.

- Skąd wiedziałeś?

- Równie dobrze mógłby mieć na szyi wywieszkę informującą o jego zamiarach.

- To było tak oczywiste?

Gabriel wymienił cechy, które najpierw wzbudziły jego wątpliwości, a potem wyjaśnił obliczenia, dzięki którym doszedł do wniosku, że terrorysta zamierza detonować bombę o 14:37. Seymour powoli pokręcił głową.

- Straciłem rachubę, ile godzin spędziliśmy na szkoleniu naszych policjantów w dostrzeganiu potencjalnych terrorystów, nie wspominając już o milionach funtów, jakie poszły na oprogramowanie kamer mających wyłapywać określone zachowania. Mimo to bojownik dżihadu, zamachowiec samobójca wszedł prosto do Covent Garden i nikt jakoś nie

zwrócił na niego uwagi. Poza tobą oczywiście.

Seymour pogrążył się w posępnym milczeniu. Jechali na północ oświetlonym reflektorami białym kanionem Regent Street. Gabriel ze znużeniem oparł głowę o szybę i spytał, czy zidentyfikowano zamachowca.

- Nazywa się Farid Khan. Jego rodzice emigrowali do Zjednoczonego Królestwa z Lahaur pod koniec lat siedemdziesiątych, ale Farid urodził się w Londynie. W Stepney Green, ściśle mówiąc - powiedział Seymour. - Jak wielu brytyjskich muzułmanów z jego pokolenia odrzucił umiarkowane, apolityczne poglądy religijne swoich rodziców i stał się islamistą. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych spędzał stanowczo zbyt wiele czasu we wschodniolondyńskim meczecie przy Whitechapel Road. Nie minęło wiele czasu, a został członkiem bez zobowiązań radykalnych grup Hizb ut-Tahrir i al-Muhajiroun.

- Wygląda na to, że figurował w waszych aktach.

- Owszem - odparł Seymour - ale z innych powodów, niż mógłbyś sądzić. Widzisz, Farid Khan był promykiem słońca, naszą nadzieją na przyszłość. W każdym razie tak się nam zdawało.

- Zdawało wam się, że go przekabaciliście?

Seymour skinął głową.

- Wkrótce po jedenastym września Farid przyłączył się do grupy zwanej Nowe Początki. Jej celem było uwolnienie bojowników spod wpływu ekstremistycznych sekt i odzyskanie ich dla głównego nurtu islamskiej i brytyjskiej opinii publicznej. Farid uchodził za jeden z wielkich sukcesów grupy. Zgolił brodę. Zerwał stosunki z dawnymi znajomymi. Jako jeden z najlepszych w swojej klasie ukończył King's College i znalazł dobrze płatną pracę w małej londyńskiej agencji reklamowej. Kilka tygodni temu zaręczył się z kobietą ze swojej dawnej dzielnicy.

- I wykreśliliście go z waszej listy?

- Poniekąd - przyznał Seymour. - Teraz wygląda na to, że to wszystko był sprytny podstęp. Farid był całkiem dosłownie tykającą bombą zegarową czekającą tylko, kiedy wreszcie wybuchnie.

- Macie jakieś przypuszczenia, kto go zwerbował?

- Cały czas ślęczymy nad danymi z jego telefonu i komputera, analizujemy też pożegnalny film, który zostawił. Jasne jest, że jego atak był powiązany z zamachami w Paryżu i Kopenhadze. W tej chwili trwają intensywne dyskusje co do tego, czy koordynowały je pozostałości po Al-Kaidzie, czy jakaś nowa sieć. Tak czy owak, jednak ciebie to nie dotyczy. Twoja rola w tej sprawie jest oficjalnie zakończona.

Jaguar przejechał przez Cavendish Place i zatrzymał się przed wejściem do hotelu Langham.

- Chciałbym odzyskać pistolet.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedział Seymour.

- Jak długo muszę tu zostać?

- Scotland Yard chciałby, żebyś pozostał w Londynie przez resztę weekendu. W poniedziałek rano możesz wracać do swojego domku nad morzem i nie myśleć o niczym innym poza Tycjanem.

- Skąd wiesz o Tycjanie?

- Wiem wszystko. Wszystko poza tym, jak nie dopuścić, by urodzony w Wielkiej Brytanii muzułmanin dokonał masowego mordu w Covent Garden.

- Mogłem go powstrzymać, Grahamie.

- Tak - odparł Seymour z rezerwą. - A my odwdzięczylibyśmy ci się za tę przysługę, rozrywając cię na strzępy.

Gabriel wysiadł z samochodu bez słowa.

- Twoja rola w tej sprawie jest oficjalnie zakończona - mruczał, wchodząc do hotelowego holu. Powtarzał to raz po raz, jak mantrę.

8.

NOWY JORK

Tego samego wieczoru drugi świat, w którym również poruszał się Gabriel Allon, był podminowany, ale z zupełnie innych powodów. W Nowym Jorku była to pora jesiennych aukcji, niespokojny czas, kiedy świat sztuki, z całym swoim szaleństwem i brakiem umiaru, gromadzi się na dwa tygodnie zapamiętałego kupowania i sprzedawania. Była to, jak mawiał z upodobaniem Nicholas Lovegrove, jedna z niewielu okazji, kiedy to obnoszenie się ze swym bogactwem było w dobrym tonie, a także śmiertelnie poważny biznes. Tworzono wielkie kolekcje, zbijano i trwoniono fortuny. Pojedyncza transakcja mogła komuś otworzyć drogę do wspaniałej kariery. Mogła także zniszczyć życie.

Reputacja zawodowa Lovegrove'a była, podobnie jak w przypadku Gabriela Allona, trwale ugruntowana. Urodzony i wykształcony w Wielkiej Brytanii, uchodził za najbardziej rozchwytywanego doradcę artystycznego na świecie - był tak wpływowy, że mógł zachwiać rynkiem sztuki jedną rzuconą mimochodem uwagą czy też zmarszczeniem swego eleganckiego nosa. Jego znajomość sztuki była legendarna, podobnie jak stan konta bankowego. Lovegrove nie musiał już zabiegać o klientów; oni sami przychodzili do niego, prawie na kolanach i z obietnicami ogromnych prowizji. Sekret sukcesu Lovegrove'a tkwił w jego bezbłędnym oku i dyskrecji. Nigdy nie zawiódł niczyjego zaufania, nigdy nie plotkował ani nie prowadził podwójnej gry. Był rzadkim okazem w branży - człowiekiem słownym.

Pomimo swojej reputacji Lovegrove nie uniknął typowego dla siebie przedaukcyjnego zdenerwowania, gdy szedł pospiesznie Szóstą Aleją. Po latach, kiedy ceny wciąż spadały, a sprzedaż wyglądała wyjątkowo anemicznie, rynek sztuki wreszcie zaczął wykazywać oznaki odnowy. Pierwsze aukcje w sezonie były przyzwoite, ale nie spełniły oczekiwań znawców. Dzisiejsza aukcja Christie's, „Sztuka powojenna i współczesna”, miała potencjał, by wreszcie ich rozpalić. Jak zwykle Lovegrove miał klientów po obu stronach. Dwaj byli sprzedawcami - sprzedającymi w branżowym żargonie - podczas gdy trzeci zamierzał kupić pozycję nr 12, *Ocherand Red on Red*, olej na płótnie, Marka Rothki. Rzeczony klient był wyjątkowy pod tym względem, że Lovegrove nie znał jego nazwiska. Kontaktował się jedynie z niejakim panem Hamdalim w Paryżu, który z kolei porozumiewał się z klientem. Układ nietypowy, ale - z punktu widzenia Lovegrove'a - niezwykle lukratywny. Tylko w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy kolekcjoner nabył obrazy za ponad dwieście milionów dolarów. Prowizje Lovegrove'a od tych transakcji przekroczyły dwadzieścia milionów dolarów. Jeśli dziś

wieczorem wszystko pójdzie według planu, jego majątek znacznie wzrośnie.

Skręcił w Czterdziestą Dziewiątą Zachodnią i przeszedł jeszcze kawałek dzielący go od wejścia do Christie's. W wysokim oszklonym holu zastał istny ocean diamentów, jedwabiu, ego i kolagenu. Lovegrove przystanął na chwilę, by pocałować wyperfumowany policzek pewnej niemieckiej dziedziczki fortuny, po czym ustawił się w kolejce do szatni, gdzie natychmiast napadli go dwaj pomniejsi handlarze z Upper East Side. Odprawił ich stanowczym gestem, po czym odebrał swoją tabliczkę do licytacji i ruszył na górę do sali aukcyjnej.

Pomimo całego swojego splendoru była to zaskakująco zwyczajna sala: skrzyżowanie sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ i kościoła telewizyjnego kaznodziei. Ściany w nijakim szarobeżowym odcieniu, podobnie jak składane krzesła, ściśnięte jedno obok drugiego, by maksymalnie wykorzystać ograniczoną przestrzeń. Za przypominającym ambonę podium znajdowała się obrotowa gablota, obok zaś rząd telefonów obsługiwanych przez pół tuzina pracowników Christie's. Lovegrove spojrział w górę ku łóżom, w nadziei, że dojrzy parę twarzy za przyciemnianymi szybami, następnie zwrócił się nieufnie w stronę reporterów zamkniętych za ogrodzeniem w kącie sali niczym bydło. Chowając numer swojej tabliczki, minął ich pospiesznie, kierując się na swoje zwykłe miejsce z przodu. To była Ziemia Obiecana, miejsce, które wszyscy marszandzi, doradcy i kolekcjonerzy mieli nadzieję kiedyś zająć. Wymagało hartu ducha i pieniędzy. Lovegrove nazywał je „strefą zabijania”.

Aukcja miała się rozpocząć o szóstej. Francis Hunt, główny licytator Christie's, dał swojej niecierplivej publiczności dodatkowe pięć minut na znalezienie miejsc, zanim sam zajął swoje. Miał nienaganne maniery i zabawną angielską ogładę, która z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wciąż budziła w Amerykanach poczucie niższości. W prawej dłoni trzymał słynną „czarną księgę” skrywającą tajemnice wszechświata, w każdym razie związane z tym wieczorem. Każda pozycja katalogowa miała swoją własną stronę, zawierającą takie informacje, jak cena rezerwowa sprzedającego, plan sali z zaznaczeniem miejsc, gdzie siedzieli spodziewani oferenci, a także strategia Hunta, jak uzyskać możliwie najwyższą cenę. Nazwisko Lovegrove'a pojawiało się na stronie poświęconej pozycji nr 12, obrazowi Rothki. Podczas przedaukcyjnego pokazu zamkniętego Lovegrove dał do zrozumienia, że m ó g ł b y być zainteresowany, ale tylko jeśli cena będzie odpowiednia, a gwiazdy sprzyjające. Hunt wiedział oczywiście, że Lovegrove kłamie. Hunt wiedział wszystko.

Życzył zebranych miłego wieczoru, po czym z celebrą godną kierownika sali serwującego obiad dla czworga ogłosił: „Pozycja numer jeden, Twombly”. Licytacja ruszyła

natychmiast, oferty rosły szybko, postąpienie wynosiło sto tysięcy dolarów. Licytator sprawnie kierował aukcją z pomocą dwóch asystentów o nieskazitelnych fryzurach, którzy przechadzali się i ustawiali za podium w wystudiowanych pozach niczym dwaj modele na sesji zdjęciowej. Ten spektakl mógłby zrobić na Lovegrovie wrażenie, gdyby nie wiedział, że to wszystko zostało starannie wyreżyserowane i przećwiczone zawczasu. Przy kwocie półtora miliona licytacja zamarła, lecz po chwili uległa wznowieniu dzięki telefonicznej ofercie miliona sześciuset tysięcy. Po czym jedna po drugiej pojawiło się jeszcze pięć ofert i tu licytacja znowu ustała.

- Oferta wynosi dwa miliony sto tysięcy, u Cordelii przy telefonie - wyrecytował Hunt, wodząc uwodzicielskim wzrokiem od jednego oferenta do drugiego. - Nie u pani, proszę pani. Ani nie u pana, proszę pana. Dwa sto przez telefon za Twombly'ego. Uwaga. Ostatnia szansa. Dwa sto po raz pierwszy. Dwa sto po raz drugi. Dwa sto po raz trzeci. - I młotek opadł energicznie z głośnym łupnięciem. - Dziękuję - mruknął Hunt, notując transakcję w swojej czarnej księdze.

Po Twomblym przyszła kolej na Lichtensteina, a następnie Basquiata, Diebenkorna, De Kooninga, Johnsa, Pollocka i szereg Warholów. Każde dzieło osiągało więcej niż przedaukcyjna wycena i więcej niż poprzednia pozycja. Nie był to przypadek; Hunt sprytnie zaaranżował aukcję w taki sposób, by podtrzymywać narastające napięcie. Kiedy pozycja numer 12 została umieszczona w gablocie, wśród publiczności i oferentów panowało dokładnie takie podniecenie, jak Hunt zaplanował.

- Po mojej prawej ręce mamy Rothkę - ogłosił. - Czy możemy zacząć licytację od dwunastu milionów?

To było o milion więcej, niż zakładała przedaukcyjna wycena, znak, że Hunt spodziewał się, iż obraz pójdzie za naprawdę dużą sumę. Lovegrove wyjął komórkę z kieszonki swojej marynarki od Brioniego i wybrał paryski numer. Odebrał Hamdali. Jego głos przypominał ciepłą herbatę osłodzoną miodem.

- Mój klient chciałby poczuć atmosferę sali, zanim złoży pierwszą ofertę.

- Mądre posunięcie.

Lovegrove położył telefon na kolanach, obok oparł splecione dłonie. Szybko stało się jasne, że zapowiada się zacięta walka. Oferty napływały ze wszystkich stron sali i od pracowników Christie's obsługujących telefony. Hector Candiotti, doradca artystyczny belgijskiego magnata przemysłowego, trzymał swoją tabliczkę w górze niby policjant na przejściu dla pieszych, tę ostentacyjną technikę licytacji nazywano forsowaniem. Tony Berringer, który pracował dla rosyjskiego oligarchy aluminiowego, licytował tak, jakby od

tego zależało jego życie, co nie było zresztą niemożliwe. Lovegrove poczekał, aż cena osiągnie trzydzieści milionów, zanim znów podniósł telefon.

- I jak? - spytał spokojnie.

- Jeszcze nie, panie Lovegrove.

Tym razem Lovegrove trzymał komórkę przy uchu. W Paryżu Hamdali rozmawiał z kimś po arabsku. Niestety, nie był to żaden z kilku języków, którymi Lovegrove biegle władał. W oczekiwaniu na polecenia zaczął wodzić wzrokiem po łóżach, wypatrując tajemniczych oferentów. W jednej dostrzegł piękną młodą kobietę trzymającą przy uchu telefon komórkowy. Po kilku sekundach Lovegrove dostrzegł coś jeszcze. Kiedy Hamdali mówił, kobieta siedziała w milczeniu. A kiedy ona mówiła, milkł Hamdali. To pewnie zbieg okoliczności, pomyślał. Chociaż z drugiej strony, może nie.

- Może już pora zbadać grunt - zasugerował Lovegrove, nie spuszczać wzroku z kobiety na gorze.

- Może ma pan rację - odparł Hamdali. - Chwileczkę.

Hamdali wymamrotał kilka słów po arabsku. Kilka sekund później kobieta w łóżu powiedziała coś do swojej komórki. Wtedy Hamdali oznajmił po angielsku:

- Klient się zgadza, panie Lovegrove. Proszę złożyć pierwszą ofertę.

Aktualna oferta wynosiła trzydzieści cztery miliony. Unosząc jedną brew, Lovegrove podbił ją o kolejny milion.

- Mamy trzydzieści pięć - powiedział Hunt tonem sugerującym, że do walki przyłączył się poważny nowy drapieżca. Hector Candiotti natychmiast przebił ofertę, podobnie jak Tony Berringer. Dwaj oferenci telefoniczni podbili cenę tak, że przekroczyła próg czterdziestu milionów. Wtedy Jack Chambers, król nieruchomości, od niechcienia rzucił czterdzieści jeden. Lovegrove nie martwił się zbyt Jackiem. Romans z tą małą kokotką w New Jersey słono go kosztował podczas rozwodu. Jack nie miał wystarczającej płynności finansowej, by dotrwać do końca licytacji.

- Czterdzieści jeden milionów przeciwko panu - wyszeptał Lovegrove do telefonu.

- Klient sądzi, że w tej licytacji jest sporo pozerstwa.

- To aukcja sztuki w Christie's. Pozerstwo jest tu wymagane.

- Cierpliwości, panie Lovegrove.

Lovegrove spoglądał na kobietę w łóżu, gdy licytacja przekroczyła próg pięćdziesięciu milionów. Jack Chambers złożył ostatnią ofertę w wysokości sześćdziesięciu milionów; Tony Berringer i jego rosyjski gangster zaofferowali siedemdziesiąt. Hector Candiotti w odpowiedzi pomachał białą flagą.

- Wygląda na to, że gra toczy się teraz między nami a Rosjaninem - powiedział Lovegrove do mężczyzny w Paryżu.

- Mój klient nie przepada za Rosjanami.
- Co zatem pański klient chciałby zrobić w tej sytuacji?
- Jaki jest aukcyjny rekord Rothki?
- Siedemdziesiąt dwa z hakiem.
- Proszę licytować siedemdziesiąt pięć.
- To za dużo. Nigdy nie...
- Proszę licytować, panie Lovegrove.

Lovegrove uniósł brew i pokazał pięć palców.

- Oferta wynosi siedemdziesiąt pięć milionów - ogłosił Hunt. - Nie dla pana, proszę pana. Ani nie dla pana. Siedemdziesiąt pięć milionów za Rothkę. Uwaga. Ostatnia szansa. Siedemdziesiąt pięć po raz pierwszy. Siedemdziesiąt pięć po raz drugi. Nikt nie da więcej? Siedemdziesiąt pięć po raz trzeci.

Łup.

Sala po prostu się zachłysnęła. Lovegrove spojrział w górę ku łożu, ale kobiety już nie było.

9.

PÓŁWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Za zgodą Scotland Yardu, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i samego premiera Wielkiej Brytanii Gabriel i Chiara wrócili do Kornwalii trzy dni po zamachu bombowym w Covent Garden. *Madonna z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną*, olej na płótnie, 110 na 92 centymetry, przybyła o dziesiątej następnego ranka. Gabriel wyjął ostrożnie obraz z ochronnego pudła, ustawił go na antycznych dębowych sztalugach w salonie i spędził resztę popołudnia, oglądając zdjęcia rentgenowskie. Umocniły one tylko jego przeświadczenie, że obraz jest istotnie dziełem Tycjana, i to bardzo dobrym.

Minęło kilka miesięcy, odkąd Gabriel miał w rękach jakikolwiek obraz, i chciał od razu zabrać się do pracy. Następnego dnia wstał wcześniej rano, przygotował sobie filiżankę café au lait i natychmiast przystąpił do delikatnej misji dublażu. Pierwszy krok polegał na zabezpieczeniu bibułką japońską lica obrazu, żeby uniknąć dalszych odprysków farby. W sprzedaży było sporo nadających się do tego celu klejów, ale Gabriel zawsze wolał przygotowywać własną mieszankę, według przepisu, jakiego nauczył się w Wenecji od mistrza sztuki konserwacji Umberta Contiego - granulki kleju ze skór króliczych rozpuszczone w mieszaninie wody, octu, wolej żółci i melasy.

Gotował tę miksturę o duszącym zapachu na wolnym ogniu, aż uzyskała konsystencję syropu. Oglądając poranne wiadomości BBC, czekał, by mieszanka ostygła. Nazwisko Farid Khan było teraz powszechnie znane w Zjednoczonym Królestwie. Zważywszy na precyzyjny czas ataku, Scotland Yard i wywiad brytyjski wychodzili z założenia, że był powiązany z zamachami w Paryżu i Kopenhadze. Wciąż niejasna pozostawała przynależność zamachowców do organizacji terrorystycznych. Wśród ekspertów telewizyjnych toczyły się zażarte dyskusje, jeden obóz głosił, że ataki zorganizowało tradycyjne przywództwo Al-Kaidy w Pakistanie, a drugi przekonywał, że to bez wątpienia dzieło nowej sieci, która dopiero się pojawi na ekranach radarów zachodniego wywiadu. Tak czy owak, europejskie władze szykowały się na nowy rozlew krwi. Połączone Centrum Analizy Terroryzmu MI5 uznało poziom zagrożenia za „krytyczny”, co znaczyło, że w najbliższym czasie spodziewano się kolejnego ataku.

Gabriel skupił całą uwagę na sprawozdaniu dotyczącym postępowania Scotland Yardu w ostatnich minutach przed atakiem. W starannie sformułowanym oświadczeniu pełnomocnik stołecznej policji przyznał, iż policja otrzymała ostrzeżenie o podejrzanym mężczyźnie w

zbyt obszernym płaszczu zmierzającym w stronę Covent Garden. Niestety, powiedział pełnomocnik, ta informacja nie spełniała specyficznych standardów wymaganych do wszczęcia akcji zbrojnej. Następnie potwierdził, że dwaj funkcjonariusze SO19 zostali wysłani do Covent Garden, jednak wobec obowiązujących procedur nie mieli innego wyboru, jak wstrzymać ogień. Jeśli chodzi o pogłoski, jakoby wyciągnięto broń, policja przesłuchała zamieszanego w sprawę mężczyznę i ustaliła, że był to aparat fotograficzny. Ze względu na prawo do zachowania prywatności tożsamość mężczyzny nie zostanie ujawniona. Wyglądało na to, że prasa przyjęła wersję wydarzeń stołecznej policji, podobnie jak obrońcy praw obywatelskich, którzy pochwalili zachowaną przez policję powściągliwość, mimo że oznaczała ona śmierć osiemnastu niewinnych osób.

Gabriel wyłączył telewizor, kiedy Chiara weszła do kuchni. Natychmiast otworzyła okno, żeby wywietrzyć smród, i złażała Gabriela za to, że zapaskudził jej ulubiony rondel ze stali nierdzewnej. Gabriel tylko się uśmiechnął i zanurzył czubek palca wskazującego w rondlu. Mikstura ostygła już na tyle, że mógł jej użyć. Chiara zaglądała mu przez ramię, gdy smarował równomiernie klejem poźółkły werniks i przykładał do powierzchni prostokątne kawałki bibułki japońskiej. Dzieło Tycjana było teraz niewidoczne i miało takie pozostać przez następnych kilka dni, dopóki dublaż nie zostanie ukończony.

Gabriel nie mógł już tego ranka więcej pracować nad obrazem, poza sprawdzaniem co jakiś czas, czy klej wysycha jak należy. Z notebookiem na kolanach usiadł przy wychodzącym na morze oknie i szukał w internecie dodatkowych informacji o trzech zamachach. Korciło go, żeby się skontaktować z Bulwarem Króla Saula, ale się powstrzymał. Nie powiadomił Tel Awiwu o ataku terrorystycznym, którego był świadkiem w Covent Garden, a gdyby zrobił to teraz, dałby tylko byłym współpracownikom wymówkę, by wtrącać się w jego życie. Doświadczenie nauczyło Gabriela, że Biuro należy traktować jak porzuconą kochankę: kontakty trzeba ograniczać do minimum i najlepiej aranżować je w miejscach publicznych, gdzie ewentualna przykra scena będzie niestosowna.

Tuż przed południem ostatnie podmuchy nocnego sztormu przemknęły nad zatoką Gunwalloe, pozostawiając za sobą krystalicznie czysty błękit nieba. Ostatni raz sprawdziwszy obraz, Gabriel włożył skafander i trapery i wyruszył na swój codzienny marsz po klifie. Poprzedniego dnia szedł ścieżką nadbrzeżną na północ do Praa Sands. Teraz pokonał niewielkie wzniesienie za domkiem i skierował się na południe ku Lizard Point.

Wkrótce magia kornwalijskiego wybrzeża sprawiła, że zniknął dręczący go widok zabitych i rannych w Covent Garden. Właściwie gdy Gabriel dotarł na skraj Mullion Golf Club, ostatni potworny obraz był już dokładnie wymazany z jego pamięci. Gdy zmierzał dalej

na południe, mijając nieregularne wypiętrzenia Polurrian Cliffs, myślał już tylko o pracy nad Tycjanem. Jutro zdejmie obraz ostrożnie z blejtramu i przyklei osłabioną tkaninę do pościeli świeżego włoskiego płótna, przyciskając obraz ciężkim krawieckim żelazkiem. Potem przyjdzie najdłuższa i najbardziej mozolna faza konserwacji - usunięcie spękanego i pożółkłego werniksu i podretuszowanie tych partii obrazu, które zniszczył czas czy mechaniczne uszkodzenia. Niektórzy konserwatorzy przy retuszowaniu stawali się agresywni, Gabriel natomiast znany był w świecie sztuki z lekkości swojego pędzla i z niesamowitej umiejętności naśladowania pociągnięć pędzla dawnych mistrzów. W jego odczuciu obowiązkiem konserwatora była niezauważalność, niepozostawianie innych śladów swoich działań poza przywróceniem oryginalnej wspaniałości obrazu.

Kiedy Gabriel dotarł do północnego krańca zatoki Kynance, pas ciemnych chmur przysłonił słońce, a wiatr od morza stał się wyraźnie chłodniejszy. Jako uważny obserwator kapryśnej kornwalijskiej pogody zorientował się, że to „przejaśnienie”, jak brytyjscy meteorolodzy z upodobaniem określali okresy, gdy słońce na chwilę przeziiera przez chmury, właśnie raptownie się kończy. Przystanął na chwilę, rozważając, gdzie by tu się schronić. Na wschód, za szachownicą pól, leżało miasteczko Lizard. Dokładnie na wprost był przylądek. Gabriel wybrał przylądek. Nie chciał skracać spaceru z tak błahego powodu jak przelotny szkwał. Poza tym na skalistym wybrzeżu znajdowała się świetna kafejka, gdzie mógł przeczekać burzę, popijając herbatę i zagryzając ją świeżo upieczoną bułeczką.

Postawił kołnierz skafandra i ruszył skrajem zatoki w momencie, gdy spadły pierwsze krople deszczu. W dali widział kafejkę spowitą mgłą. U podnóża skał, schowany po zawietrznej stronie walącego się hangaru na łodzie, stał dwudziestokilkuletni krótko ostrzyżony mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych na czole. Drugi mężczyzna kręcił się na górze w punkcie obserwacyjnym i właśnie przytknął oczy do teleskopu na monety. Gabriel wiedział na pewno, że był on nieczynny od miesięcy.

Przystanął i spojrzał w stronę kafejki, trzeci mężczyzna wyszedł akurat na taras. Miał na głowie nieprzemakalną czapkę zsuniętą nisko na oczy i okulary bez oprawki lubiane przez niemieckich intelektualistów i szwajcarskich bankierów. Wyraz jego twarzy zdradzał zniecierpliwienie - zapracowany dyrektor, którego żona zmusiła, by wybrał się na wakacje. Długą chwilę patrzył prosto na Gabriela, zanim uniósł ku twarzy gruby nadgarstek, by spojrzeć na zegarek. Gabriel miał ochotę zawrócić na pięcie. Zamiast tego wbił wzrok w ścieżkę i szedł dalej. Lepiej załatwić to w miejscu publicznym, pomyślał. To zmniejszy ryzyko przykrej sceny.

10.

LIZARD POINT, KORNWALIA

- Naprawdę musisz zamawiać te bułeczki? - zapytał Uzi Nawot z urazą.

- Tu mają najlepsze w całej Kornwalii. Śmietaną też.

Nawot ani drgnął. Gabriel uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Ile jeszcze Bella każe ci schudnąć?

- Pięć funtów. A potem dalej dieta, żeby utrzymać tę wagę - dodał Nawot ponuro, jakby to była co najmniej kara więzienia. - Co ja bym dał za twój metabolizm. Jesteś mężem jednej z najlepszych kucharek na świecie, a ciągle masz figurę dwudziestopięciolatka. A ja? Moja żona jest jednym z głównych znawców Syrii w kraju, a wystarczy, że powącham coś słodkiego, już muszę poszerzać spodnie.

- Może pora zasugerować Belli, żeby złagodziła te żywieniowe restrykcje?

- T y jej to powiedz - odparł Nawot. - Te wszystkie lata studiowania Ba'athistów w Damaszku odcisnęły na niej swoje piętno. Czasem mam poczucie, jakbym żył w państwie policyjnym.

Siedzieli przy odosobnionym stoliku przy zalanych deszczem oknach. Gabriel był zwrócony twarzą do wnętrza kafejki; Nawot w stronę morza. Miał na sobie sztruksowe spodnie i beżowy sweter, który wciąż pachniał tak jak wszystkie ubrania w dziale męskim Harrodsa. Czapkę położył na sąsiednim krześle i przesunął dłonią po krótko obciętych rudawych włosach. Widniało w nich nieco więcej siwizny, niż Gabriel pamiętał, ale to zrozumiałe. Uzi Nawot był teraz szefem izraelskich tajnych służb wywiadowczych. Siwe włosy należały do wielu dodatkowych skutków ubocznych tej pracy.

Gdyby krótkie urzędowanie Nawota miało zakończyć się teraz, z całą pewnością uznano by je za jedno z najpomyślniejszych zwierzchnictw w długiej i legendarnej już historii Biura. Pochwały, którymi go zasypywano, związane były z Operacją Arcydzieło, wspólnym anglo-amerykańsko-izraelskim przedsięwzięciem, które doprowadziło do zniszczenia czterech tajnych irańskich instalacji jądrowych. Większość tych pochwał słusznie należała się Gabrielowi, choć Nawot wołał nie wnikać w ten aspekt sprawy. Otrzymał stanowisko szefa jedynie dlatego, że Gabriel wielokrotnie je odrzucał. A te cztery wirówki wzbogacania uranu nadal by pracowały, gdyby Gabriel nie zidentyfikował i nie zwerbował szwajcarskiego biznesmena, który potajemnie sprzedawał Irańczykom niezbędne części.

W tej chwili jednakże myśli Nawota zdawały się skupiać wyłącznie na talerzu z

bułeczkami. Nie mógł dłużej im się opierać, wybrał jedną, starannie ją przepołowił, posmarował dżemem truskawkowym, a na wierzch nałożył łyżeczkę gęstej śmietany. Gabriel nalał sobie filiżankę herbaty z czajniczka i cicho spytał o powód niezapowiedzianej wizyty Nawota. Zadał to pytanie po niemiecku, którym mówił płynnie z berlińskim akcentem swojej matki. Był to jeden z pięciu języków, jakimi obaj z Nawotem biegle władali.

- Miałem kilka wewnętrznych kwestii do przedyskutowania z naszymi brytyjskimi sojusznikami. W tym dość kłopotliwy raport dotyczący jednego z naszych byłych agentów, który teraz żyje tutaj w odosobnieniu pod ochroną MI5. Krążą szalone plotki o tym agencie i o zamachu w Covent Garden. Szczerze mówiąc, byłem trochę sceptyczny, gdy mi je przekazano. Znam tego agenta dobrze i nie mieściło mi się w głowie, że narażałby swoją pozycję w Wielkiej Brytanii, robiąc coś tak głupiego jak wyciągnięcie broni w miejscu publicznym.

- To co miałem zrobić, Uzi?

- Powinieneś był zadzwonić do swojego opiekuna z MI5 i nie mieszać się w to.

- A gdybyś ty znalazł się w podobnej sytuacji?

- Gdyby to było w Jerozolimie albo Tel Awiwie, bez wahania sprzątnąłbym sukinsyna. Ale tutaj... - Nawot zawiesił głos. - Myślę, że najpierw rozważyłbym potencjalne konsekwencje moich działań.

- Zginęło osiemnaście osób, Uzi.

- Masz szczęście, że liczba ofiar nie wyniosła dziewiętnaście. - Nawot zdjął swoje wiotkie okulary, co często robił, gdy czekała go nieprzyjemna rozmowa. - Korci mnie, by spytać, czy faktycznie zamierzałeś oddać strzał. Ale biorąc pod uwagę twoje przeszkolenie i wcześniejsze wyczyny, obawiam się, że znam odpowiedź. Agent Biura w terenie sięga po broń z jednego i tylko jednego powodu. Nie wymachuje nią jak gangster ani nie ucieka się do czczych pogróżek. Pociąga za spust i strzela, żeby zabić. - Nawot umilkł, po czym dodał: - Uczynić to drugiemu, zanim on zdoła uczynić to tobie. Mam wrażenie, że można znaleźć te słowa na stronie dwunastej małej czerwonej książeczki Szamrona.

- On wie o Covent Garden?

- Sam wiesz, że nie ma sensu zadawać takich pytań. Szamron wie wszystko. Właściwie nie zdziwiłbym się, gdyby usłyszał o twojej przygodzie wcześniej niż ja. Mimo moich usiłowań, by skłonić go do przejścia w prawdziwy stan spoczynku, uparcie pozostaje w kontakcie ze swymi dawnymi informatorami.

Gabriel dolał kilka kropli mleka do swojej herbaty i zamieszał ją powoli. *Szamron...* To nazwisko było niemalże synonimem historii Izraela i izraelskiego wywiadu. Ari Szamron

walczył w wojnie, która doprowadziła do ponownego utworzenia państwa Izrael, a przez następnych sześćdziesiąt lat bronił kraju przed całymi zastępami chcących go zniszczyć nieprzyjaciół. Bywał na dworach królewskich, wykradał sekrety tyranów i zabijał niezliczonych wrogów, czasem własnymi rękami, a czasem rękami takich ludzi jak Gabriel. Jednego tylko sekretu nie potrafił posiadać - sekretu zadowolenia. Wiekowy obecnie i schorowany trzymał się kurczowo swojej roli szarej eminencji izraelskich służb bezpieczeństwa i wciąż się wtrącał w wewnętrzne sprawy Biura, jakby to było jego osobiste lenno. Szamronem nie kierowała arogancja, lecz dręczący lęk, że praca całego jego życia poszła na marne. Izrael, choć kwitnący pod względem gospodarczym i silny pod względem wojskowym, pozostawał w otoczeniu państw świata, które były w większości wrogo nastawione do jego istnienia. Fakt, że Gabriel postanowił zamieszkać w tym świecie, stanowił jedno z największych rozczarowań Szamrona.

- Dziwię się, że sam tu nie przyjechał - powiedział Gabriel.

- Miał na to wielką ochotę.

- I co się stało?

- Nie tak łatwo mu podróżować.

- Co mu teraz dolega?

- Wszystko - odparł Nawot, wzruszając potężnymi ramionami. - Ostatnio rzadko opuszcza Tyberiadę. Nic, tylko siedzi na tarasie i patrzy na jezioro. Doprowadza Dżilę do szału. Błagała mnie, żebym mu wynalazł jakieś zajęcie.

- Powinienem do niego pojechać?

- Nie jest jeszcze na łożu śmierci, jeśli to sugerujesz. Ale w najbliższym czasie powinienęś go odwiedzić. Kto wie? Mógłbyś wręcz dojść do wniosku, że znów lubisz swój kraj.

- Kocham mój kraj, Uzi.

- Ale nie na tyle, żeby w nim mieszkać.

- Zawsze przypominałeś mi trochę Szamrona - powiedział Gabriel, marszcząc brwi - ale teraz podobieństwo jest naprawdę niesamowite.

- Nie tak dawno Dżila powiedziała mi to samo.

- Z mojej strony to nie był komplement.

- Z jej też nie. - Nawot z przesadną dbałością nałożył kolejną łyżeczkę śmietany na bułeczkę.

- To co tu właściwie robisz, Uzi?

- Chcę ci przedstawić niepowtarzalną okazję.

- Mówisz jak akwizytor.
- Jestem szpiegiem - odparł Nawot. - To niewielka różnica.
- Co to za okazja?
- Okazja, by naprawić błąd.
- Jaki błąd?
- Powinieneś był strzelić Faridowi Khanowi w tył głowy, zanim wcisnął włącznik detonatora. - Nawot ściszył głos i dodał poufnym tonem: - Ja tak bym właśnie zrobił, gdybym był na twoim miejscu.

- I jak mógłbym naprawić ten błąd?
- Przyjmując zaproszenie.
- Od kogo?

Nawot w milczeniu spoglądał na zachód.

- Od Amerykanów? - upewnił się Gabriel.

Nawot uśmiechnął się.

- Jeszcze herbaty?

*

Deszcz ustał równie nagle, jak lunął. Gabriel zostawił pieniądze na stoliku i poprowadził Nawota stromą ścieżką w dół ku zatoce Polpeor. Ochroniarz wciąż opierał się o rozpadającą się pochylnię dla łodzi ratunkowych. Z udawaną obojętnością patrzył, jak Gabriel i Nawot idą powoli kamienistą plażą. Nawot zerknął w roztargnieniu na zegarek z nierdzewnej stali i postawił kołnierz kurtki dla ochrony przed porywistym wiatrem od morza. Gabriela znów poraziło jego niesamowite podobieństwo do Szamrona. Nie było jedynie powierzchowne. Szamron, samą siłą swej nieugiętej woli, w jakiś sposób wziął Nawota we władanie, z ciałem i duszą. To nie był Szamron osłabiony starością i chorobą, myślał Gabriel, ale Szamron w kwiecie wieku. Brakowało jedynie tych okropnych tureckich papierosów, które zrujnowały Szamronowi zdrowie. Bella nigdy nie pozwalała Nawotowi palić, choćby przez wzgląd na jego operacyjną przykrywkę.

- Kto stoi za tymi zamachami, Uzi?

- Jak dotąd nie udało nam się jednoznacznie tego ustalić. Amerykanie jednakże sądzą najwyraźniej, że jest to przyszłe oblicze globalnego dżihadystycznego terroru, nowy Bin Laden.

- Czy ten nowy Bin Laden jakoś się nazywa?

- Amerykanie nalegają, by podzielić się z tobą tą informacją osobiście. Chcą, żebyś poleciał do Waszyngtonu, oni oczywiście pokryją wszelkie koszty.

- W jaki sposób wystosowano to zaproszenie?

- Adrian Carter zadzwonił do mnie osobiście.

Adrian Carter był dyrektorem Działu Operacji Tajnych CIA.

- Jakie stroje obowiązują?

- Czarne - odparł Nawot. - Twoja wizyta w Ameryce będzie całkowicie nieoficjalna.

Gabriel przez chwilę w milczeniu spoglądał na Nawota.

- Ty oczywiście chcesz, żebym pojechał, Uzi. Inaczej by cię tu nie było.

- To nie zaszkodzi - powiedział Nawot. - Przynajmniej będziemy mogli usłyszeć, co Amerykanie mają do powiedzenia o tych zamachach. Ale to może też przynieść dodatkowe korzyści.

- Na przykład?

- Nasze stosunki mogłyby ulec niejakiej poprawie.

- Jakiego rodzaju poprawie?

- Nie słyszałeś? W Waszyngtonie wieje wiatr odnowy. Zmiany czuć w powietrzu - dodał Nawot sarkastycznie. - Nowy amerykański prezydent jest idealistą. Sądzi, że uda mu się polepszyć relacje pomiędzy światem zachodnim a światem islamu, i doszedł do przekonania, że to my stanowimy część problemu.

- A rozwiązaniem ma być wysłanie m n i e, byłego zabójcy z rękami splamionymi krwią kilku palestyńskich i islamskich terrorystów?

- Kiedy szpiedzy grzecznie się razem bawią, to na ogół wpływa również na sferę polityki, dlatego właśnie także premier popiera twój wyjazd.

- Premier? Za chwilę mi powiesz, że Szamron też jest w to zamieszany.

- Bo jest. - Nawot podniósł kamyk i cisnął go do morza. - Po operacji w Iranie miałem nadzieję, że Szamron może wreszcie taktownie usunąć się na dalszy plan. Myliłem się. Nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić mi kierować Biurem bez swoich ciągłych ingerencji. Ale nie ma w tym w końcu nic dziwnego, co, Gabrielu? Obaj wiemy, że Szamron miał kogoś innego na oku, gdy myślał o swoim następcy. Mnie dane jest przejść do historii naszych znamienitych służb jako szef przypadkowy. A ty zawsze będziesz tym wybranym.

- Wybierz kogo innego, Uzi. Przeszedłem w stan spoczynku. Pamiętasz? Wyślij kogoś innego do Waszyngtonu.

- Adrian nie chce nawet o tym słyszeć - powiedział Nawot, rozcierając sobie ramię. - Szamron zresztą też. A jeśli chodzi o twój tak zwany stan spoczynku, to skończył się w momencie, gdy zdecydowałeś się iść za Faridem Khanem do Covent Garden.

Gabriel patrzył na morze, ale przed oczami miał następstwa nieoddanego strzału:

porozrywane ciała i krew, Bagdad nad Tamizą.

Nawot zdawał się przeczuwać, o czym Gabriel myśli. Wykorzystał chwilę przewagi.

- Amerykanie chcieliby cię widzieć w Waszyngtonie z samego rana. Gulfstream czeka na ciebie pod Londynem. To jeden z samolotów, które wykorzystali w programie transferu więźniów. Zapewnili mnie, że kajdanki i igły do strzykawek zostały zabrane.

- A co z Chiarą?

- To zaproszenie dla jednej osoby.

- Nie może tu zostać sama.

- Graham zgodził się przysłać ochronę z Londynu.

- Nie ufam im, Uzi. Zabierz ją ze sobą do Izraela. Może pomóc Dżili opiekować się staruszką przez tych kilka dni do mojego powrotu.

- To może potrwać trochę dłużej.

Gabriel spojrział na Nawota z uwagą. Najwyraźniej wiedział więcej, niż był gotów powiedzieć. Zazwyczaj tak było.

- Właśnie zgodziłem się odrestaurować obraz dla Juliana Isherwooda.

- *Madonnę z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną*, poprzednio przypisywaną pracowni Jacopa Palmy Starszego, obecnie wstępnie przypisywaną Tycjanowi, w oczekiwaniu na ostateczne ustalenia.

- Jestem pod wrażeniem, Uzi.

- Bella usiłuje poszerzyć moje horyzonty.

- Obraz nie może zostać w pustym domku nad morzem.

- Julian zgodził się zabrać go z powrotem. Jak można się było spodziewać, jest dość rozczarowany.

- Miałem dostać za tę robotę dwieście tysięcy funtów.

- Nie patrz na mnie, Gabrielu. Nasze zapasy są na wyczerpaniu. Byłem zmuszony wprowadzić drastyczne cięcia we wszystkich działach. Księgowi nastają nawet na mnie, żebym ograniczył osobiste wydatki. Moja dniówka to marne grosze.

- Dobrze, że jesteś na diecie.

Nawot machinalnie dotknął swojego brzucha, jakby dla sprawdzenia, czy powiększył się od wyjazdu z domu.

- Czeka cię długa droga powrotna do Londynu, Uzi. Może powinieneś wziąć ze sobą parę bułeczek.

- Nawet o tym nie myśl.

- Boisz się, że Bella się dowie?

- W i e m, że tak będzie. - Nawot rzucił piorunujące spojrzenie ochroniarzowi opartemu o pochylnię dla łodzi ratunkowych. - Te sukinsyny wszystko jej mówią. Zupełnie jakbym żył w państwie policyjnym.

11.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Dom stał w 3300 kwartale N Street, jednej z eleganckich ulic zabudowanych rezydencjami w federalnym stylu, których ceny znacznie przekraczały finansowe możliwości osób nienależących do najbogatszych waszyngtończyków. Gabriel wspiął się po krętych frontowych schodach w szarym półmroku świtu i zgodnie z otrzymanym poleceniem wszedł bez pukania. Adrian Carter czekał w przedsionku, ubrany w wymięte luźne bawełniane spodnie, sweter pod szyję i jasnobrązowy sztruksowy blezer. Ten strój w połączeniu ze zmierzwionymi rzednącymi włosami i niemodnym wąsem nadawał mu wygląd profesora pomniejszego uniwersytetu, takiego, który nieustająco walczy w słusznych sprawach i jest solą w oku swego dziekana. Jako dyrektor Działu Operacji Tajnych CIA Carter nie miał ostatnio na głowie innych spraw poza chronieniem Ameryki przed kolejnym atakiem terrorystycznym - chociaż dwa razy w miesiącu, gdy pozwalał mu na to rozkład zajęć, można go było zastać w piwnicy kościoła episkopalnego w podmiejskim Reston przy szykowaniu posiłków dla bezdomnych. Dla Cartera praca społeczna była formą medytacji, rzadką okazją, by zająć się czymś innym niż wyniszczające działania wojenne szalejące ciągle w salach konferencyjnych amerykańskiego środowiska wywiadowczego.

Przywitał Gabriela z naturalną dla ludzi z tajnych służb ostrożnością i wprowadził go do środka. Gabriel przystanął na chwilę w głównym holu i rozejrzał się dokoła. W tych nijako urządzonych pokojach tworzono i naruszano tajne protokoły; skłaniano ludzi do zdrady własnych krajów w zamian za walizki amerykańskich pieniędzy i obietnice amerykańskiej ochrony. Carter tak często korzystał z tej posiadłości, że znana była w Langley jako jego pied-à-terre w Georgetown. Jeden z dowcipnisiów Agencji nazwał ten gmach Dar-al-Harb, co znaczy po arabsku Dom Wojny. Była to oczywiście wojna z ukrycia, gdyż Carter nie znał innych sposobów walki.

Adrian Carter nigdy nie zabiegał o władzę. Wbrew jego woli stopniowo kładziono mu na barki coraz większy ciężar. Zwerbowany przez Agencję jeszcze jako student, przez większą część swojej kariery zawodowej prowadził tajną wojnę z Rosjanami - najpierw w Polsce, gdzie dostarczał pieniądze i powielacze działaczom Solidarności; następnie w Moskwie, gdzie był szefem placówki CIA; i wreszcie w Afganistanie, gdzie wspierał i zbroił żołnierzy Allaha, chociaż wiedział, że pewnego dnia skierują swój śmiercionośny ogień przeciwko niemu. Gdyby się okazało, że Afganistan doprowadzi do zguby Imperium Zła, dla

Cartera byłby do bilet do awansu zawodowego. Rozpad Związku Radzieckiego monitorował nie z placu boju, lecz z wygodnego gabinetu w Langley, gdzie awansował właśnie na stanowisko szefa Wydziału Europejskiego. Podczas gdy jego podwładni otwarcie celebrowali klęskę wroga, Carter miał złe przeczucia, śledząc rozwój wydarzeń. Jego ukochana Agencja nie przewidziała upadku komunizmu, ta wpadka będzie dręczyć Langley przez lata. Co gorsza, w mgnieniu oka CIA straciła rację bytu.

Wszystko zmieniło się rankiem jedenastego września 2001 roku. Wojna, która rozpoczęła się tego dnia, długo jeszcze będzie toczyć się w ukryciu, a Carter znał dobrze te rejony. Podczas gdy Pentagon starał się usilnie przygotować jakąś wojskową reakcję na koszmar jedenastego września, Carter i jego ludzie opracowali śmiały plan zniszczenia afgańskiego azylu Al-Kaidy dzięki finansowanej przez CIA wojnie partyzanckiej pod wodzą małego oddziału amerykańskich agentów specjalnych. A kiedy dowódcy i żołnierze Al-Kaidy zaczęli wpadać w ręce Amerykanów, to właśnie Carter, zza swojego biurka w Langley, często występował w roli ich sędziego. Tajne więzienia, nadzwyczajne transfery więźniów, wzmocnione techniki przesłuchań - za tym wszystkim stał Carter. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu swoich działań; nie stać go było na taki luksus. Dla Adriana Cartera każdy nowy dzień był dwunastym września. Już nigdy więcej, poprzysiął sobie, nie będzie patrzeć, jak Amerykanie rzucają się z płonących drapaczy chmur, bo nie mogą dłużej wytrzymać w ogniu terroru.

Przez dziesięć lat Carterowi udawało się dotrzymać danego sobie słowa. Nikt nie zrobił więcej dla ochrony Ameryki przed spodziewanym drugim atakiem, ale z powodu wielu jego sekretnych grzechów prasa stawiała go pod pręgierzem i oskarżała o zbrodnie. Za radą prawników Agencji zatrudnił drogiego waszyngtońskiego adwokata, która to ekstrawagancja stopniowo pozbawiła go oszczędności i zmusiła jego żonę, Margaret, by wróciła do pracy nauczycielki. Przyjaciele namawiali go, by zostawił Agencję i przyjął jakieś lukratywne stanowisko w kwitnących w Waszyngtonie prywatnych agencjach ochrony, ale on kategorycznie odmawiał. Wciąż prześladowała go myśl, że nie zapobiegł atakom z jedenastego września. A duchy trzech tysięcy osób kazały mu walczyć tak długo, póki nie pokona wroga.

Ta wojna odcisnęła na Carterze swoje piętno - nie tylko na jego życiu rodzinnym, które było w rozsypce, ale również na zdrowiu. Twarz miał chudą i wymizerowaną, Gabriel dostrzegł też lekkie drżenie jego prawej ręki, gdy beznamiętnie nakładał na talerz smakołyki z rządowej kuchni wyłożone na kredensie w jadalni.

- Wysokie ciśnienie - wyjaśnił Carter, nalewając kawę z termosu z pompką. - Zaczęło

się w dniu wprowadzenia prezydenta na urząd, od tamtej pory rośnie i spada w zależności od poziomu zagrożenia terrorystycznego. Przykro mi to mówić, ale po dziesięciu latach walki z islamskim terrorem stałem się najwyraźniej żywym wskaźnikiem zagrożenia narodowego.

- Jaki poziom mamy dzisiaj?

- Nie słyszałeś? - spytał Carter. - Porzuciliśmy stary system kolorów.

- A co ci mówi ciśnienie krwi?

- Czerwony - odparł Carter ponuro. - Jaskrawoczerwony.

- Ale nie wedle waszej pani dyrektor bezpieczeństwa wewnętrznego. Ona twierdzi, że nie ma bezpośredniego zagrożenia.

- Ona nie zawsze sama pisze swoje kwestie.

- A kto je pisze?

- Biały Dom - odrzekł Carter. - A prezydent nie lubi niepotrzebnie alarmować narodu.

Poza tym podniesienie poziomu zagrożenia byłoby sprzeczne z dogodną teorią krążącą ostatnio wśród inteligencji Waszyngtonu.

- Co to za teoria?

- Taka, która głosi, że Ameryka zareagowała przesadnie na jedenasty września. Taka, która głosi, że Al-Kaida nie stanowi już zagrożenia dla nikogo, a co dopiero dla najpotężniejszego państwa na świecie. Taka, która twierdzi, że pora uznać globalną wojnę z terroryzmem za zwycięską i zwrócić naszą uwagę na sprawy wewnętrzne.

- Carter zmarszczył czoło. - Boże, ależ ja nie znoszę, kiedy dziennikarze zajmują się wysnuwaniem teorii. Swego czasu to była domena socjologów czy filozofów, a dziennikarze zadowalali się relacjonowaniem faktów. A fakty są całkiem proste. W dzisiejszym świecie istnieje zorganizowana siła, która usiłuje osłabić czy nawet zniszczyć Zachód poprzez akty masowej przemocy. Ta siła stanowi część szerszego radykalnego ruchu, który dąży do tego, by narzucić prawo szariat i przywrócić kalifat islamski. I niczyje pobożne życzenia tego nie zmieniają.

Siedzieli po przeciwległych stronach prostokątnego stołu. Carter skubał nieświeżego croissanta, wyraźnie myślami będąc gdzie indziej. Gabriel wiedział, że nie należy go ponaglać. Carter często potrafił w rozmowie chodzić opłotkami. W końcu jednak po szeregu dygresji - które zawsze okazywały się później dla Gabriela przydatne - okrężną drogą docierał do sedna.

- Pod pewnymi względami - ciągnął Carter - popieram pragnienie prezydenta, by zamknąć tę kartę historii. On postrzega globalną wojnę z terroryzmem jako niepotrzebne odwrócenie uwagi od jego szerszych celów. Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale

widziałem się z nim tylko dwukrotnie. Mówi do mnie Andrew.

- Ale przynajmniej dał nam nadzieję.

- Nadzieja nie jest właściwą strategią, gdy chodzi o ludzkie życie. To nadzieja doprowadziła do jedenastego września.

- Więc kto pociąga za sznurki w rządzie?

- James McKenna, asystent prezydenta do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego i antyterroryzmu, znany także jako car terroryzmu, co jest dość ciekawe, zważywszy na to, że wydał edykt zakazujący użycia słowa „terroryzm” we wszelkich naszych wypowiedziach publicznych. Zachęca nawet do nieużywania tego słowa za zamkniętymi drzwiami. A już zwłaszcza przestrzega, żebyśmy, broń Boże, nie umieścili gdzieś w pobliżu słowa „islamski”. Jeśli chodzi o Jamesa McKennę, to nie jesteśmy zaangażowani w wojnę z islamskimi terrorystami. Włączamy się jedynie w międzynarodowe działania prowadzone przeciwko małej grupie ponadnarodowych ekstremistów. Owi ekstremiści, którzy, tak się akurat składa, są muzułmanami, bywają kłopotliwi, ale nie stanowią realnego zagrożenia dla naszej egzystencji ani dla naszego stylu życia.

- Powiedz to rodzinom tych, którzy zginęli w Paryżu, Kopenhadze i Londynie.

- To emocjonalna reakcja - powiedział Carter szyderczo. - A James McKenna nie uznaje emocji, gdy mowa o terroryzmie.

- Chciałeś powiedzieć: ekstremizm - poprawił Gabriel.

- Wybacz - odparł Carter. - McKenna jest zwierzęciem politycznym i uważa się za eksperta od wywiadu. W latach dziewięćdziesiątych pracował w Komisji do spraw Wywiadu Senatu Stanów Zjednoczonych i przeszedł do Langley, krótko po przybyciu Greka. Wytrwał tylko kilka miesięcy, co nie powstrzymuje go przed określaniem się mianem weterana CIA. Według jego własnych słów, jest człowiekiem Agencji i leżą mu na sercu jej interesy. Prawda jest trochę inna. Nie znosi Agencji i wszystkich tych, którzy w niej pracują. A przede wszystkim nienawidzi mnie.

- Dlaczego?

- Ponoć wprowadziłem go kiedyś w zakłopotanie na zebraniu pracowników wyższych rangą. Nie pamiętam tego incydentu, ale zdaje się, że McKenna nie potrafi mi tego zapomnieć. Poza tym mówiono mi, że McKenna uważa mnie za potwora, który wyrządził nieodwracalną szkodę wizerunkowi Ameryki na świecie. Nic by go bardziej nie uszczęśliwiło niż zobaczenie mnie za kratkami.

- Dobrze wiedzieć, że w środowisku wywiadu Stanów Zjednoczonych wszystko znów funkcjonuje gładko.

- Prawda jest taka, że McKenna trwa w przeświadczeniu, że wszystko działa jak należy, odkąd to on jest tu szefem. Zdołał nawet doprowadzić do tego, że mianowano go przewodniczącym naszej nowej specjalnej grupy przesłuchującej aresztowanych. Jeśli gdziekolwiek w świecie ważniejszy terrorysta zostanie schwytyany, bez względu na okoliczności to właśnie James McKenna będzie odpowiadał za jego przesłuchanie. Jest to wielka władza skupiona w rękach jednej osoby, nawet gdyby ta osoba była kompetentna. Ale niestety James McKenna nie podpada pod tę kategorię. Jest ambitny, ma dobre intencje, ale nie wie, co robi. I jeśli nie będzie uważać, to wszystkich nas pozabija.

- Brzmi zachęcająco - powiedział Gabriel. - Kiedy go poznam?

- Nigdy.

- To co ja tu robię, Adrianie?

- Jesteś tutaj z powodu Paryża, Kopenhagi i Londynu.

- Kto stoi za tymi atakami?

- Nowy odłam Al-Kaidy - odrzekł Carter. - Ale obawiam się, że mieli wsparcie ze strony osoby, która zajmuje delikatną i wpływową pozycję w zachodnim wywiadzie.

- Czyli kogo?

Carter nie odpowiedział. Jego prawa ręka drżała.

12.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Przenieśli się na taras na tyłach domu i usadowili przy balustradzie w fotelach z kutego żelaza. Carter trzymał na kolanie filiżankę kawy i spoglądał na szare wieże wznoszące się strzeliście nad uniwersytetem Georgetown. Paradoksalnie, mówił właśnie o nędznej dzielnicy San Diego, gdzie pewnego letniego dnia 1999 roku pojawił się młody jemeński duchowny nazwiskiem Raszid al-Husseini. Za pieniądze z islamskiej organizacji charytatywnej z siedzibą w Arabii Saudyjskiej Jemeńczyk kupił zaniedbaną nieruchomość o charakterze komercyjnym, założył tam meczet i wyruszył na poszukiwanie wiernych. Większość z nich znalazł na kampusie uniwersytetu stanowego San Diego, gdzie pozyskał zagorzałych zwolenników spośród arabskich studentów, którzy przybyli do Ameryki, by uciec przed utrudniającym życie uciskiem społecznym w ich krajach rodzinnych, a teraz, na obczyźnie, zwanej przez nich *ghurba*, czuli się zagubieni i utracili cel i sens życia. Raszid miał wyjątkowe kwalifikacje, by służyć im jako przewodnik. Był jedynym synem byłego ministra w jemeńskim rządzie, urodził się w Ameryce, mówił potocznym amerykańskim angielskim i - czym się bynajmniej nie szczycił - posiadał amerykański paszport.

- Meczet Raszida przyciągał wszystkie zbłąkane dusze, w tym dwóch Saudyjczyków o nazwiskach Khalid al-Mihdhar i Nawaf al-Hazmi, które - tu Carter zerknął na Gabriela - jak sądzę, nie są ci obce.

- To dwaj spośród porywaczy samolotu American Airlines lot siedemdziesiąt siedem, wybranych osobiście przez samego Osamę Bin Ladena. W styczniu dwutysięcznego roku byli obecni na spotkaniu organizacyjnym w Kuala Lumpur, po czym rozpracowująca Bin Ladena jednostka CIA straciła ich z oczu. Później okazało się, że polecili do Los Angeles i prawdopodobnie w dalszym ciągu przebywali w Stanach, którego to faktu nie przekazaliście FBI.

- I nie przestaję tego żałować - przerwał mu Carter. - Ale teraz nie chodzi o al-Mihdhara i al-Hazmiego. Chodzi o Raszida al-Husseiniego, cieszącego się w świecie islamskim reputacją magnetycznego kaznodziei, mężczyzny, którego Allah obdarzył piękną i uwodzicielską mową. Słuchanie jego kazań stało się obowiązkiem nie tylko w San Diego, ale także na Bliskim Wschodzie, gdzie rozprawdzano je na kasetach. Wiosną dwa tysiące pierwszego zaproponowano Raszidowi posadę duchownego we wpływowym islamskim ośrodku pod Waszyngtonem, w podmiejskim Falls Church, w stanie Wirginia. Nie minęło

wiele czasu, a modlił się tam Nawaf al-Hazmi, wraz z młodym Saudyjczykiem z Taif nazwiskiem Hani Hanjour.

Tak się składa, że meczet znajduje się przy Leesburg Pike. Jeśli skręcić w lewo w Columbia Pike i jechać parę mil, wpada się prosto na zachodnią fasadę Pentagonu, co w sensie jak najbardziej dosłownym zrobił Hani Hanjour rankiem jedenastego września. Raszid był w tym czasie w swoim gabinecie. Słyszał wręcz, jak samolot przelatuje nad meczetem na kilka sekund przed uderzeniem w budynek.

FBI nie zajęło wiele czasu powiązanie al-Hazmiego i Hanjoura z meczetem w Falls Church, a dziennikarzom dotarcie pod drzwi Raszida. Odkryli za nimi elokwentnego i światłego młodego duchownego, zwolennika umiaru, który jednoznacznie potępił ataki z jedenastego września i apelował do swych muzułmańskich braci, by porzucili wszelkie formy przemocy i terroryzmu. Charyzmatyczny imam wywarł takie wrażenie na Białym Domu, że wraz z kilkoma innymi muzułmańskimi uczonymi i duchownymi został zaproszony na prywatne spotkanie z prezydentem. Departament Stanu widział w Raszidzie idealną postać, która mogłaby pomóc zbudować most pomiędzy Ameryką a półtora miliona sceptycznych muzułmanów. Agencja jednakże miała inny pomysł.

Sądziliśmy, że Raszid pomoże nam przeniknąć do obozu naszego nowego wroga. Ale przedtem musieliśmy odpowiedzieć sobie na kilka pytań. A mianowicie, czy był jakoś zamieszany w plan jedenastego września, czy też jego kontakty z trzema porywaczami były czysto przypadkowe? Przyglądaliśmy mu się pod każdym możliwym kątem, wychodząc z założenia, że ma na rękach krew tysięcy Amerykanów. Sprawdzaliśmy rozkłady zajęć. Dociekaliśmy, kto był gdzie i kiedy. I ostatecznie doszliśmy do wniosku, że Raszid al-Husseini jest czysty.

- I co dalej?

- Wysłaliśmy emisariusza do Falls Church, by się przekonać, czy Raszid będzie skłonny wprowadzić swoje słowa w czyn. Jego reakcja była pozytywna. Następnego dnia pojechaliśmy po niego i zabraliśmy go w bezpieczne miejsce przy granicy z Pensylwanią. I wtedy zaczęła się prawdziwa zabawa.

- Zaczęliście sprawdzać go od początku.

Carter skinął głową.

- Ale tym razem obiekt siedział przed nami, przypięty do poligrafu. Przesłuchiwaliliśmy go przez trzy dni, odsłaniając, kawałek po kawałku, jego przeszłość i kontakty.

- I historia trzymała się kupy.

- Zdał celująco. Więc wyłożyliśmy naszą propozycję na stół, wraz z kupą forsy. To

była prosta operacja. Raszid miał jeździć po świecie islamu, nawołując do tolerancji i umiarkowania, a jednocześnie dostarczać nam nazwiska innych potencjalnych rycerzy naszej sprawy. Dodatkowo miał wypatrywać młodych gniewnych, którzy mogli ulec syreniemu śpiewowi dżihadystów. Najpierw wypróbowaliśmy go na terenie kraju, ściśle współpracując z FBI. A potem puściliśmy go na szerokie międzynarodowe wody.

Raszid miał swoją główną bazę w muzułmańskiej dzielnicy wschodniego Londynu. Spędził następne trzy lata, przemierzając wzdłuż i wszerz Europę i Bliski Wschód. Przemawiał na konferencjach, wygłaszał kazania w meczetach i udzielał wywiadów nadskakującym mu dziennikarzom. Napiętnował Bin Ladena jako mordercę, który sprzeniewierzył się prawom Allaha i naukom Proroka. Uznał prawo Izraela do istnienia i wzywał do pertraktacji pokojowych z Palestyńczykami. Potępił Saddama Husajna jako skrajnie nieislamskiego, chociaż, za radą swych przełożonych z CIA, powstrzymał się przed poparciem amerykańskiej inwazji. Jego przesłanie nie zawsze było dobrze przyjęte, podobnie jak jego działalność ograniczająca się do świata materialnego. Z pomocą CIA Raszid zaistniał w internecie, gdzie usiłował konkurować z dżihadystyczną propagandą Al-Kaidy. Odwiedzających stronę identyfikowano i śledzono w cyberprzestrzeni.

Ta operacja uchodziła za jeden z naszych największych sukcesów, jeśli chodzi o próbę przeniknięcia do świata, który dotychczas pozostawał dla nas prawie całkowicie nieznany. Raszid stale dostarczał swoim przełożonym nazwiska tych dobrych i tych potencjalnie złych, a nawet przekazywał im informacje o niektórych tajnych spiskach. W Langley wiele czasu spędzaliśmy, upajając się własnym sprytem. Myśleliśmy, że to będzie trwało już zawsze. Jednak skończyło się dość nagle.

Miejscem akcji, ni mniej, ni więcej, była Mekka. Raszid został zaproszony, by przemawiał na uniwersytecie, wielki zaszczyt dla duchownego napiętnowanego amerykańskim paszportem. Ze względu na to, że Mekka jest zamknięta dla niewiernych, CIA nie miała innego wyjścia, jak pozwolić mu wyprawić się tam samemu. Poleciał z Ammanu do Rijadu, gdzie po raz ostatni spotkał się z jednym ze swych zwierzchników z CIA, następnie wsiadł do lecącego do Mekki samolotu linii Saudia Airlines. Jego przemówienie było zaplanowane na godzinę ósmą wieczorem. Raszid nie stawił się na uniwersytecie. Zniknął bez śladu.

Z początku obawialiśmy się, że został porwany i zabity przez lokalny odłam Al-Kaidy. Niestety, nasze obawy się nie potwierdziły. Kilka tygodni później nasz pieszczołek znów pojawił się w internecie. Elokwentny, świątły, nawołujący do umiarkowania młody człowiek zniknął. Zastąpił go kompletny fanatyk, który głosił, że jedynym sposobem

poradzenia sobie z Zachodem jest zniszczenie go.

- Oszukiwał was.

- Najwyraźniej.

- Od jak dawna?

- To pytanie pozostaje otwarte - powiedział Carter. - W Langley są tacy, którzy sądzą, że Raszid był zły od samego początku, inni wysuwają teorię, że nie wytrzymał poczucia winy z powodu szpiegowania na rzecz niewiernych. Tak czy owak, jedno pozostaje bezsporne. W czasie kiedy podróżował po świecie islamu za moją forszę, stworzył imponującą siatkę tajnych agentów tuż pod naszym nosem. To urodzony łowca talentów, biegły w sztuce zwodzenia i podstępu. Mieliśmy nadzieję, że ograniczy się do wygłaszania kazań i werbunku, ale nasza nadzieja okazała się płonna. Ataki w Europie to impreza inaugurująca jego nowe wcielenie. Chce zastąpić Osamę Bin Ladena jako przywódca globalnego ruchu dżihadystycznego. Pragnie także dokonać czegoś, co Bin Ladenowi nie udało się już nigdy po jedenastym wrześniu.

- Uderzyć Odległego Wroga w jego ojczyźnie - dopowiedział Gabriel. - Przełać amerykańską krew na amerykańskiej ziemi.

- Za pomocą sieci kupionej i opłacanej przez Centralną Agencję Wywiadowczą - dodał Carter trzeźwo. - Chciałbyś mieć to wyryte na nagrobku? Gdyby do wiadomości publicznej przedostała się wiadomość, że Raszid al-Husseini był kiedyś na naszej liście płac...

- Carter zawiesił głos. - Gorzej już być nie może.

- Czego oczekujesz ode mnie, Adrianie?

- Chcę, żebyś sprawił, że zamach w Covent Garden to będzie ostatni atak przeprowadzony przez Raszida al-Husseiniego. Chcę, żebyś zlikwidował jego sieć, zanim z powodu mojego szaleństwa zginie jeszcze ktoś.

- To wszystko?

- Nie - odparł Carter. - Chcę, żebyś trzymał całą operację w tajemnicy przed prezydentem, Jamesem McKenną i resztą amerykańskiego wywiadu.

13.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, Adrian Carter ściśle trzymał się doktryny, co oznaczało, że nie mógł rozmawiać zbyt długo wewnątrz budynku, nawet jeśli była to jedna z bezpiecznych kryjówek CIA. Zeszli po krętych frontowych schodach i - z jednym tylko ochroniarzem CIA deptającym im po piętach - udali się N Street w kierunku zachodnim. Było kilka minut po dziewiątej. Podeszwy tanich butów Cartera stukały rytmicznie o chodnik z czerwonej cegły, za to Gabriel zdawał się stąpać bezszelestnie. Minął ich wypełniony po brzegi autobus miejski. Gabriel wyobraził sobie ten sam autobus w płomieniach, rozerwany na dwoje.

- Dokąd trafił po wyjeździe z Mekki?

- Sądźmy, że żyje pod opieką elementów plemiennych w dolinie Rafadh w Jemenie. To kraina kompletnego bezprawia, nie ma tam szkół, brukowanych dróg ani nawet stałego dostępu do wody. Prawdę powiedziawszy, cały kraj jest wyschnięty na wiór. Sana może okazać się pierwszą światową stolicą, w której naprawdę zabraknie wody.

- Ale nie islamskich bojowników - odpowiedział Gabriel.

- O, nie - zgodził się Carter. - Jemen jest na dobrej drodze, by stać się kolejnym Afganistanem. Na razie zadowalaliśmy się przerzucaniem od czasu do czasu przez granicę pocisku Hellfire. Ale to tylko kwestia czasu, aż będziemy musieli wysłać tam naszych żołnierzy i osuszyć to bagno. - Zerknął na Gabriela i dodał: - A tak w ogóle w Jemenie faktycznie są bagna, pas moczarów wzdłuż wybrzeża, gdzie roi się od malarycznych komarów wielkości sępów. Mój Boże, co za okropne miejsce.

Carter szedł chwilę w milczeniu, z rękami splecionymi na plecach i pochyloną głową. Gabriel zręcznie ominął wystający z chodnika korzeń drzewa i spytał, w jaki sposób Raszidowi udawało się porozumiewać ze swoją siatką z tak odizolowanego miejsca.

- Jeszcze tego nie rozpracowaliśmy - odparł Carter. - Zakładamy, że za pośrednictwem przedstawicieli lokalnych plemion przekazuje wiadomości do Sany albo może przez Zatokę Adeńską do Somalii, gdzie nawiązał stosunki z terrorystycznym ugrupowaniem al-Shabaab. Jednego natomiast jesteśmy pewni. Raszid nie korzysta ani z telefonu satelitarnego, ani żadnego innego. Wiele się nauczył o amerykańskich możliwościach, kiedy był na naszych usługach. I teraz, kiedy przeszedł na drugą stronę, robi z tej wiedzy dobry użytek.

- Ale to chyba raczej nie wy nauczyliście go, jak zaplanować i wykonać serię

zsynchronizowanych ataków w trzech krajach Europy?

- Raszid jest łowcą talentów i źródłem inspiracji - powiedział Carter - ale nie mózgiem operacji. Bez wątplenia współpracuje z kimś dobrym. Gdybym miał zgadywać, te trzy ataki w Europie zorganizował ktoś, kto nabierał doświadczenia w...

- Bagdadzie. - Gabriel dokończył za niego myśl.

- Na tamtejszym uniwersytecie terroryzmu - dodał Carter, kiwając głową potakująco. - Wszyscy jego absolwenci mają stopień doktorski i odbyli staż w starciach z Agencją i amerykańską armią.

- Tym bardziej to w y powinniście się z nimi rozprawić.

Carter nie odpowiedział.

- Dlaczego my, Adrianie?

- Bo amerykański aparat antyterrorystyczny rozrósł się do takich rozmiarów, że sami wchodzimy sobie w drogę. Kiedy ostatnio liczyliśmy, mieliśmy ponad osiemset tysięcy osób z zezwoleniem na dostęp do tajnych informacji. O s i e m s e t t y s i ę c y - powtórzył Carter z niedowierzaniem - a mimo to nie zdołaliśmy powstrzymać jednego islamskiego bojownika przed podłożeniem bomby w samym środku Times Square. Nasza umiejętność zbierania informacji nie ma sobie równych, ale struktury są zbyt rozbudowane, a nas jest stanowczo zbyt dużo, byśmy mogli być efektywni. W końcu jesteśmy Amerykanami i w obliczu zagrożenia wydajemy ogromne sumy pieniędzy. Czasem lepiej jest być małym i bezwzględny. Jak wy.

- Ostrzegaliśmy was przed niebezpieczeństwami reorganizacji.

- I powinniśmy byli was posłuchać - odparł Carter. - Ale nasza niedogodna wielkość to tylko część problemu. Po jedenastym września skończyły się ceregiele i w walce z wrogiem przyjęliśmy postawę: wszystko dla dobra sprawy. Ostatnimi czasy staramy się nie wymawiać imienia wroga, żeby go nie obrazić. W Langley posady w wydziale antyterrorystycznym uchodzą za ryzykowne politycznie. Wszyscy najlepsi oficerowie w Dziale Operacji Tajnych uczą się mówić po mandaryńsku.

- Chińczycy nie szykują się do zabijania Amerykanów.

- Za to Raszid tak - odrzekł Carter - a nasz wywiad daje do zrozumienia, że planuje coś spektakularnego w najbliższej przyszłości. Musimy zniszczyć jego siatkę, i to szybko. Ale nie zrobimy tego, jeśli będziemy zmuszeni działać według nowych reguł ustanowionych przez pana prezydenta i jego działającego w dobrej wierze współnika Jamesa McKennę.

- Więc chcecie, żebyśmy to my odwalili za was brudną robotę.

- Ja zrobiłbym dla was to samo - zapewnił Carter. - I nie mów mi, że nie jesteście do

tego zdolni. Biuro jako pierwsza nastawiona na Zachód agencja wywiadowcza utworzyło jednostkę analityczną poświęconą globalnemu ruchowi dżihadystycznemu. To także wy pierwsi wskazaliście Osamę Bin Ladena jako głównego terrorystę i to wy pierwsi próbowaliście go zabić. Gdyby wam się udało, najprawdopodobniej nigdy by nie doszło do jedenastego września.

Dotarli do skrzyżowania z Trzydziestą Piątą. Aż do następnej przecznicy ulica była zamknięta dla ruchu barykadą. Za barykadą dzieci ze szkoły Świętej Trójcy skakały przez skakankę i rzucały piłkami na jezdni, a ich radosne okrzyki odbijały się echem od fasad okolicznych budynków. Ta sielankowa scena, pełna życia i uroku, wyraźnie budziła w Carterze niepokój.

- Bezpieczeństwo narodowe to mit - oświadczył, spoglądając na dzieci. - To bajka na dobranoc, którą opowiadamy naszym obywatelom, żeby mogli spać spokojnie. Pomimo naszych najlepszych chęci i starań, i wszystkich tych wydanych miliardów Stany Zjednoczone są w gruncie rzeczy nie do obrony. Jedyнным sposobem zapobieżenia atakom na amerykańskiej ziemi jest załatwienie zamachowców, z a n i m do nas dotrą. Musimy zlikwidować ich siatki i pozabijać ich agentów.

- Zabicie Raszida al-Husseiniego też nie byłoby takim złym pomysłem.

- Zrobilibyśmy to z radością - zapewnił Carter. - Ale to nie będzie możliwe, dopóki nie zdołamy jakoś przeniknąć do ścisłego grona jego współpracowników.

Carter prowadził Gabriela na północ Trzydziestą Piątą. Wyjął fajkę z kieszeni kurtki i w roztargnieniu zaczął ją nabijać.

- Walczysz z terrorystami dłużej niż ktokolwiek inny w tym biznesie, Gabrielu, nie licząc Szamrona, rzecz jasna. Wiesz, jak przeniknąć do ich siatek, w czym my nigdy nie byliśmy dobrzy, wiesz także, jak wywrócić je na lewą stronę. Chcę, żebyś przedostał się do siatki Raszida i zniszczył ją. Chcę, żebyś się z nim rozprawił raz na zawsze.

- Przeniknięcie do siatki dżihadystycznych terrorystów to nie to samo co przeniknięcie do OWP. One mają nazbyt klanowy system, żeby dopuścić do swego grona osobę z zewnątrz, a ich członkowie są na ogół odporni na ziemskie pokusy.

- Róża jest różą jest różą. A siatka jest siatką jest siatką.

- To znaczy?

- Przyznaję, że pomiędzy dżihadystycznymi i palestyńskimi siatkami terrorystycznymi istnieją różnice, ale zasadnicza struktura jest ta sama. Są planciści i żołnierze piechoty, płatnicy i kwatermistrzowie, kurierzy i kryjówki. A w punktach, gdzie te wszystkie elementy się przecinają, pojawiają się słabości, które tylko czekają na to, by wykorzystał je ktoś tak bystry

jak ty.

Powiew wiatru dmuchnął Gabrielowi w twarz dymem z fajki Cartera. Mieszanka przygotowywana specjalnie dla niego w nowojorskim sklepie z wyrobami tytoniowymi pachniała palącymi się liśćmi i mokrym psem. Gabriel machnięciem ręki przegonił dym i spytał:

- Jak to miałyby wyglądać?

- Czy to znaczy, że się tego podejmiesz?

- Nie - odparł Gabriel - to znaczy, że chcę wiedzieć, jak dokładnie miałyby to wyglądać.

- Działałbyś na wirtualnym stanowisku Centrum Antyterrorystycznego, mniej więcej tak samo, jak przed jedenastym września funkcjonowała jednostka Bin Ladena, tyle że z jedną istotną różnicą.

- Reszta Centrum nie będzie wiedziała o moim istnieniu.

Carter kiwnął głową.

- Wszelkimi sprawami formalnymi zajmę się ja i moi ludzie. A kiedy przyjdzie pora, byś zaczął działać, wezmę na siebie rolę tajnego funkcjonariusza drogówki, żeby mieć pewność, że nie natkniesz się na żadną trwającą właśnie operację Agencji, a z kolei nikt z agentów nie natknie się na ciebie.

- Będę musiał zobaczyć wszystko, co macie. W s z y s t k o, Adrianie.

- Uzyskasz dostęp do najtajniejszych informacji, jakie są w posiadaniu rządu Stanów Zjednoczonych, włączając w to akta Raszida i wszystkie materiały Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Będiesz także mógł przejrzeć informacje dotyczące tych trzech ataków, jakie napływają do nas z siostrzanych agencji w Europie. - Carter przerwał. - Byłbym skłonny sądzić, że już same te informacje okażą się wystarczająco kuszące, byś się podjął tego zadania. W końcu, jeśli chodzi o wymianę informacji, twoje relacje z Europejczykami nie są w tej chwili najlepsze.

Gabriel nie odpowiedział wprost.

- To zbyt dużo materiału, bym miał go przeglądać sam. Musiałby mi ktoś pomóc.

- Możesz wziąć do pomocy, kogo tylko zechcesz, w granicach rozsądku. Biorąc pod uwagę delikatny charakter tych informacji, będę również chciał, żeby ktoś z Agencji zaglądał ci przez ramię. Ktoś, kto zna twoje przewrotne oblicze. Mam już na oku kandydatkę.

- Gdzie ona jest?

- Czeka w kawiarni przy Wisconsin Avenue.

- Jesteś bardzo pewny siebie, Adrianie.

Carter zatrzymał się i zajął do swojej fajki.

- Gdybym miał się zniżyć do prymitywnej gry na emocjach - powiedział po chwili - przypomniabym ci rzeź, której byłeś świadkiem w piątek po południu w Covent Garden, i poprosiłbym, żebyś sobie wyobraził, że to się powtarza raz po raz. Ale nie zrobię tego, bo to byłoby nieprofesjonalne. Zamiast tego powiem ci, że Raszyd ma całą armię męczenników, takich jak Farid Khan, czekających tylko na jego skinienie, armię, którą zwerbował z moją pomocą. To ja stworzyłem Raszida. On jest moim błędem. I chcę, żebyś go zniszczył, zanim ktoś jeszcze będzie musiał zginąć.

- Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale tak naprawdę nie jestem uprawniony do tego, by przystać na twoją propozycję. Uzi musiałby najpierw wyrazić zgodę.

- Już to zrobił. Tak jak wasz premier.

- Przypuszczam, że rozmówiłeś się też na osobności z Grahamem Seymourem.

Carter przytaknął.

- Z oczywistych powodów Graham chciałby śledzić postępy twoich działań. Liczy także, że zostanie uprzedzony z góry, gdyby twoja operacja miała akurat zahaczyć o Wyspy Brytyjskie.

- Zwiodłeś mnie, Adrianie.

- Jestem szpiegiem - powiedział Carter, zapalając ponownie fajkę.

- Kłamstwo to mój żywioł. Podobnie jak twój. A teraz będziesz musiał obmyślić plan okłamania Raszida. Tylko bądź ostrożny. Ten nasz Raszyd jest bardzo dobry. Mam na dowód blizny.

14.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Kawiarnia znajdowała się na północnym krańcu Georgetown, u podnóża Book Hill Park. Gabriel zamówił cappuccino przy barze i przez otwarte oszklone drzwi zaniósł filiżankę do małego ogródka otoczonego porośniętymi winem murami. Trzy stoliki były w cieniu; czwarty w pełnym słońcu. Siedziała tam samotnie kobieta czytająca gazetę. Miała na sobie czarny dres opinający ciasno jej szczupłą sylwetkę i nieskazitelnie białe adidas. Jasne włosy do ramion zaczesła do tyłu i związała gumką na karku. Okulary przeciwsłoneczne zasłaniały jej oczy, ale nie były w stanie ukryć jej niezwyklej urody. Zdjęła okulary, gdy Gabriel do niej podszedł, i nadstawiła policzek do pocałowania. Wydawała się zaskoczona jego widokiem.

- Miałam nadzieję, że to będziesz ty - powiedziała Sara Bancroft.

- Adrian cię nie uprzedził?

- Jest na to zbyt staroświecki - odparła, machając lekceważąco ręką. Miała głos i sposób mówienia z innej epoki. Zupełnie jakby słuchało się postaci z powieści Fitzgeralda. - Wczoraj wieczorem przysłał mi bezpiecznego e-maila i kazał przyjść tu o dziewiątej. Miałam czekać do wpół do jedenastej. Gdyby nikt się nie pojawił, miałam wyjść i iść do pracy jak zwykle. Dobrze, że jesteś. Wiesz, jak nie znoszę, kiedy wystawia się mnie do wiatru.

- Widzę, że wzięłaś coś do czytania - powiedział Gabriel, zerkając na gazetę.

- Nie pochwalasz tego?

- Doktryna Biura zabrania agentom czytać gazety w kawiarniach. To stanowczo zbyt oczywiste. - Umilkł, po czym dodał: - Sądziłem, że lepiej cię przeszkoliliśmy, Saro.

- Owszem, ale czasami lubię zachowywać się jak normalna osoba. A normalna osoba ma niekiedy ochotę poczytać gazetę w kawiarni w słoneczny jesienny poranek.

- Z glockiem schowanym za plecami.

- Dzięki tobie to mój nieodłączny towarzysz.

Sara uśmiechnęła się melancholijnie. Jako córka zamożnego dyrektora Citibanku sporą część dzieciństwa spędziła w Europie, gdzie zdobyła europejskie wykształcenie wraz ze znajomością europejskich języków i nienaganych europejskich manier. Wróciła do Ameryki, gdzie uczęszczała do Dartmouth, a później, spędziwszy rok w prestiżowym Courtauld Institute of Art w Londynie, stała się najmłodszą kobietą w historii, która uzyskała stopień doktora historii sztuki na Harvardzie.

Ale to życie uczuciowe Sary Bancroft, a nie jej imponujące wykształcenie,

wprowadziło ją w świat wywiadu. Kiedy kończyła swoją dysertację, zaczęła się spotykać z młodym prawnikiem o nazwisku Ben Callahan, który rankiem 11 września 2001 roku miał nieszczęście wsiąść do samolotu United Airlines lot 175. Zdołał wykonać jeden telefon, zanim samolot wbił się w Południową Wieżę World Trade Center. Zadzwoił właśnie do Sary. Mając błogosławieństwo Adriana Cartera, Gabriel, przy pomocy zaginionego Van Gogha, wprowadził ją do otoczenia saudyjskiego miliardera nazwiskiem Zizi al-Bakari w ramach śmiałej próby znalezienia głównego mózgu terrorystów, który czaił się w tym gronie. Po zakończeniu operacji Sara dołączyła do CIA i została przydzielona do Centrum Antyterrorystycznego. Od tamtej pory pozostawała w stałym kontakcie z Biurem i wielokrotnie pracowała z Gabrielem i jego ekipą. Miała nawet ukochanego wśród pracowników Biura, zabójcę i członka oddziałów specjalnych Michaiła Abramowa. Sądząc po braku pierścionka na jej palcu, ten związek rozwijał się wolniej, niż miała nadzieję.

- Od jakiegoś czasu schodzimy się i znów rozchodzimy - powiedziała, jakby czytając Gabrielowi w myślach.

- A w tej chwili?

- Rozstaliśmy się - odparła. - Bez dwóch zdań.

- Mówiłem ci, żebyś się nie wiązała z facetem, który zabija dla swojego kraju.

- Miałaś rację, Gabrielu. Zawsze masz rację.

- To co się stało?

- Wolałabym się nie wdawać w paskudne szczegóły.

- Mówił mi, że cię kocha.

- Mnie mówił to samo. Zabawne, jak to się toczy.

- Skrzywdził cię?

- Nie wydaje mi się, żebym mogła jeszcze zostać skrzywdzona. - Chwilę trwało, nim Sara zdobyła się na uśmiech. Nie była szczerą, Gabriel to widział.

- Chcesz, żebym z nim pogadał?

- Boże, nie - odparła. - Doskonale potrafię spieprzyć sobie życie bez niczyjej pomocy.

- On ma za sobą parę trudnych operacji, Saro. Ostatnia była...

- Opowiadał mi o tym - przerwała mu. - Czasem żałuję, że w ogóle wyszedł z tych Alp żywy.

- Nie mówisz tego serio.

- Nie - przyznała niechętnie - ale dobrze mi to zrobiło.

- Może tak będzie lepiej. Powinnaś znaleźć sobie kogoś, kto nie mieszka na drugim końcu świata. Kogoś tutaj, w Waszyngtonie.

- I co miałabym odpowiedzieć, gdyby mnie spytał, gdzie pracuję?

Gabriel nic nie odpowiedział.

- Nie robię się coraz młodsza, wiesz. Właśnie skończyłam...

- Trzydzieści siedem lat - dopowiedział Gabriel.

- Co oznacza, że gwałtownie się zbliżam do staropanieństwa. - Sara zmarszczyła brwi.

- Pewnie najlepsze, na co w tym momencie mogę liczyć, to komfortowe, acz pozbawione namiętności małżeństwo ze starszym zamożnym mężczyzną. Jeśli będę miała szczęście, pozwoli mi mieć dziecko albo dwoje dzieci, które będę zmuszona wychowywać sama, bo on nie będzie nimi zainteresowany.

- To z pewnością nie jest aż tak przygnębiające.

Wzruszyła ramionami i upiła łyk swojej kawy.

- A jak się układa między tobą a Chiarą?

- Doskonale - odparł Gabriel.

- Bałam się, że to powiesz - mruknęła Sara z filuternym uśmiechem.

- Saro...

- Nie martw się, Gabrielu, wyleczyłam się z ciebie dawno temu.

Dwie kobiety w średnim wieku weszły do ogródka i usiadły w przeciwległym rogu. Sara pochyliła się do przodu, pozorując intymną pogawędkę, i po francusku spytała Gabriela, co porabia w mieście. W odpowiedzi postukał palcem w pierwszą stronę jej gazety.

- Od kiedy to nasze gwałtownie rosnące zadłużenie państwowe stanowi problem dla izraelskiego wywiadu? - spytała żartobliwie.

Gabriel wskazał artykuł z pierwszej strony gazety o dyskusji na temat źródła trzech ataków w Europie, jaka rozgorzała w środowisku amerykańskiego wywiadu.

- Jak się dałeś w to wciągnąć?

- Postanowiliśmy z Chiarą w piątek po południu przespacerować się po Covent Garden w drodze na lunch.

Sara sposępniała.

- Więc te doniesienia o niezidentyfikowanym mężczyźnie, który wyciągnął broń na kilka sekund przed atakiem...

- Są prawdziwe - dokończył Gabriel. - Mogłem ocalić życie osiemnastu osobom. Niestety, Brytyjczycy nie chcieli o tym słyszeć.

- A jak myślisz, kto za tym stoi?

- To ty jesteś ekspertem od terroryzmu, Saro. Ty mi powiedz.

- Możliwe, że te ataki zorganizowało dawne szefostwo Al-Kaidy w Pakistanie -

powiedziała. - Ale moim zdaniem, mamy do czynienia z całkowicie nową siatką.

- Kto nią kieruje?

- Ktoś o charyzmie Bin Ladena, kto może zwerbować własnych agentów w Europie i korzystać z pomocy innych grup terrorystycznych.

- Masz jakichś kandydatów?

- Tylko jednego - odparła. - Raszida al-Husseiniego.

- Dlaczego Paryż?

- Zakaz zasłaniania twarzy.

- Kopenhaga?

- Wciąż kipią gniewem z powodu tych karykatur.

- Londyn?

- Londyn to łatwy cel. Londyn można atakować do woli.

- Nieźle jak na byłą kuratorkę kolekcji Phillipsa.

- Jestem historykiem sztuki, Gabrielu. Wiem, jak łączyć ze sobą różne punkty. Mogę połączyć jeszcze parę, jeśli chcesz.

- Bardzo cię proszę.

- Twoja obecność w Waszyngtonie oznacza, że te pogłoski są prawdziwe.

- Jakie pogłoski?

- Że Raszid został zatrudniony przez Agencję po jedenastym września. Że pewien dobry pomysł okazał się bardzo zły. Adrian wierzył w Raszida, a on odplacił mu się za okazane zaufanie, tworząc siatkę terrorystyczną tuż pod naszym nosem. Teraz pewnie Adrian chce, żebyś załatwił za niego ten problem, nieoficjalnie, rzecz jasna.

- Jest inne wyjście?

- Nie, jeśli chodzi o ciebie - odparła. - Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Adrian potrzebuje kogoś, kto by mnie szpiegował. Byłaś oczywistą kandydatką. - Gabriel zawahał się, po czym powiedział: - Ale jeśli sądzisz, że to byłoby zbyt niezręczne...

- Z powodu Michała?

- Możliwe, że znów będziecie pracować razem, Saro. Nie chciałbym, żeby osobiste uczucia zakłócały gładkie funkcjonowanie zespołu.

- Od kiedy to twój zespół funkcjonuje gładko? Jesteście Izraelitami. Bez przerwy się kłócicie.

- Ale nigdy nie pozwalamy, żeby osobiste uczucia wpływały na operacyjne decyzje.

- Jestem profesjonalistką - odparła. - Biorąc pod uwagę naszą dotychczasową współpracę, nie muszę ci chyba o tym przypominać.

- Nie musisz.
- To od czego zaczniemy?
- Musimy poznać Raszida trochę lepiej.
- Jak tego dokonamy?
- Czytając jego agencyjne akta.
- Ale tam jest pełno kłamstw.
- Zgadza się - odparł Gabriel. - Ale te kłamstwa są jak warstwy farby na płótnie. Jeśli je umiejętnie usuniemy, możemy pod spodem odkryć prawdę.
- W Langley nikt tak nigdy nie mówi.
- Wiem - powiedział Gabriel. - Gdyby mówili, wciąż byłbym w Kornwalii i pracował nad Tycjanem.

15.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Gabriel i Sara wprowadzili się do domu przy N Street o dziewiątej następnego ranka. Pierwsza partia akt przyjechała godzinę później - sześć skrzyń ze stali nierdzewnej, wszystkie zamknięte na cyfrowe zamki. Z jakiegoś niezgłębionego powodu Carter powierzył szyfry tylko Sarze.

- Zasady to zasady - powiedział - a zasady Agencji głoszą, że nigdy nie należy udostępniać szyfrów do pojemników z dokumentami oficerom obcego wywiadu.

Nawet kiedy Gabriel zauważył, że pozwolono mu już oglądać najgorsze brudy Agencji, Carter był nieugięty. Formalnie rzecz biorąc, materiały miały pozostawać w posiadaniu Sary. Robienie notatek należało ograniczyć do minimum, a kserowanie było zabronione. Carter osobiście usunął bezpieczny faks i zażądał telefonu komórkowego Gabriela - jednak Gabriel uprzejmie odmówił. W ten telefon zaopatrzyło go Biuro; posiadał kilka funkcji niedostępnych dla zwykłych użytkowników. Prawdę mówiąc, użył go ubiegłego wieczoru, żeby przeszukać dom pod kątem urządzeń podsłuchowych. Znalazł cztery. Najwyraźniej współpraca między obcymi służbami wywiadowczymi miała jednak swoje granice.

Akta z pierwszej dostarczonej partii koncentrowały się w całości na życiu Raszida w Ameryce przed jedenastym września i jego powiązaniach, świadomych bądź przypadkowych, z uczestnikami spisku. Większość materiału została zgromadzona przez mniej olśniewającego rywala Langley, FBI, i udostępniona w tym krótkim okresie, kiedy to z nakazu prezydenta obie agencje miały zgodnie współpracować. Z akt wynikało, że Raszid al-Husseini pojawił się na radarze FBI już w kilka tygodni po przybyciu do San Diego i był przedmiotem dość apatycznej obserwacji. Były tam zapisy jego rozmów telefonicznych, podsłuchiowanych za zgodą sądu, i zdjęcia Raszida, robione w tych krótkich okresach, kiedy to centrale terenowe z San Diego i Waszyngtonu miały czas i ludzi, by go śledzić. Było tam także poufne międzyagencyjne sprawozdanie, które oficjalnie oczyszczało Raszida z zarzutów o odegranie jakiegokolwiek roli w planie zamachu z jedenastego września. Krótko mówiąc, podsumował Gabriel, naiwne dziełko, które miało na celu ukazanie duchownego w jak najkorzystniejszym świetle. Gabriel sądził, że o człowieku najlepiej świadczy towarzystwo, w jakim się obraca, a sam dostatecznie długo obcował z siatkami terrorystycznymi, by wiedzieć, kiedy ma do czynienia z ich agentem. Raszid al-Husseini był niemal na pewno kurierem albo właścicielem

terrorystycznej mety. A przynajmniej sympatykiem. A w przekonaniu Gabriela sympatycy terrorystów nie powinni raczej być zatrudniani przez agencje wywiadowcze jako płatni wpływowi agenci. Powinni pozostawać pod obserwacją, a w razie konieczności być potraktowani surowo.

Kolejna partia zawierała zapisy i nagrania z przesłuchań Raszida przez CIA, a zaraz potem szczątkowe materiały z owej nieszczęsnej operacji, w której Raszid odgrywał główną rolę. Materiał kończył się rozpaczkliwym podsumowaniem całej akcji, sporządzonym na kilka dni po zniknięciu Raszida w Mekce. Operacja, stwierdzano tam, była źle pomyślana od samego początku. Obwiniano za to przede wszystkim Adriana Cartera, któremu zarzucano karygodne niedopatrzenie. Do akt dołączono pismo samego Cartera, nie mniej ostre w tonie. Przewidując niebezpieczny ciąg dalszy, zalecał gruntowny przegląd kontaktów Raszida w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Zwierzchnik Cartera zlekceważył jednak jego opinię. Agencja zbyt cienko przedzie, by gonić cienie, oświadczył. Raszid wrócił do Jemenu, gdzie było jego miejsce. Kłopot z głowy.

- Niezbyt zaszczytny moment w historii Agencji - skwitowała Sara późnym wieczorem, kiedy zrobili sobie przerwę. - Popelniliśmy wielki błąd, że w ogóle go wykorzystaliśmy.

- Agencja wyszła ze słusznego założenia, że Raszid jest zły, ale potem gdzieś po drodze uległa jego urokowi. Łatwo zrozumieć, jak to się stało. Raszid był bardzo przekonujący.

- Niemal tak przekonujący jak ty.

- Ale ja nie wysyłam moich ludzi na zatłoczone ulice, by dokonywali samobójczych ataków.

- Nie - odparła Sara - ty ich wysyłasz na tajne pola bitwy, by pokarali twoich wrogów.

- To nie jest aż tak biblijne.

- Owszem, jest. Uwierz mi, wiem coś o tym. - Spojrzała ze znużeniem na stos akt. - Wciąż mamy górę materiału do przejrzania, a to dopiero początek. Potop dopiero nastąpi.

- Nie martw się - powiedział Gabriel z uśmiechem. - Pomoc już nadciąga.

*

Przybyli na lotnisko Waszyngton-Dulles następnego dnia późnym popołudniem pod fałszywymi nazwiskami i z fałszywymi paszportami w kieszeniach. Nie zostali ukarani za swoje grzechy; przeciwnie, zespół pracowników Agencji błyskawicznie przeprowadził ich przez kontrolę celną, a następnie zagnał do flotyli opancerzonych escalade, które miały ich zawieźć do Waszyngtonu. Zgodnie z poleceniem Adriana Cartera escalade wyjeżdżały z

Dulles w odstępach piętnastominutowych. W rezultacie przed wieczorem zespół legendarnych już agentów światowego wywiadu wprowadził się do domu przy N Street, a sąsiedzi nie mieli o niczym pojęcia.

Pierwsza przyjechała Chiara, a chwilę później pracująca dla Biura specjalistka od terroryzmu, Dina Sarid. Drobna i ciemnowłosa, Dina znała koszmar przemocy terrorystów aż za dobrze. Stała w Tel Awiwie na ulicy Dizengoffa 19 października 1994 roku, kiedy zamachowiec samobójca Hamasu przemienił autobus numer 5 w trumnę dla dwudziestu jeden osób. Wśród zabitych była jej matka i dwie siostry; Dina została ciężko ranna i wciąż lekko kulą. Po wyjściu ze szpitala poprzysięgła sobie, że pokona terrorystów nie siłą, ale za pomocą szarych komórek. Była chodzącą bazą danych, potrafiła podać czas, miejsce, sprawców i liczbę ofiar każdego aktu terrorystycznego popełnionego wobec Izraela i Zachodu. Dina powiedziała kiedyś Gabrielowi, że wie o terrorystach więcej, niż oni sami wiedzą o sobie. I Gabriel jej wierzył.

Następnie przyjechał starszy mężczyzna, nazwiskiem Eli Lawon. Niewysoki i rozchełstany, o siwych włosach i inteligentnych brązowych oczach, Lawon uchodził za najlepszego ulicznego obserwatora, jakiego kiedykolwiek wyszkoliło Biuro. Obdarzony naturalną anonimowością, wydawał się jednym z tych poniewieranych przez życie. W rzeczywistości był drapieżką, który potrafił śledzić świetnie wykwalifikowanego oficera wywiadu albo zatwardziałego terrorystę na dowolnej ulicy świata, nie wzbudzając cienia zainteresowania. Powiązania Lawona z Biurem, podobnie jak Gabriela, były obecnie w najlepszym razie luźne. Nadal wykładał na Akademii - żaden rekrut Biura nie był wysyłany w teren, jeśli najpierw jako słuchacz nie spędził kilku godzin u stóp Lawona - ale ostatnio jego głównym miejscem pracy był Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, gdzie prowadził zajęcia na archeologii. Mając do dyspozycji ledwie garść potłuczonych skorup, Eli Lawon potrafił odkryć najmroczniejsze sekrety wioski z epoki brązu. A mając kilka istotnych wątków informacyjnych, tego samego mógł dokonać z siatką terrorystyczną.

Jakow Rossman, oświatowy specjalista od przerzutu agentów, przybył następny, a w ślad za nim dwaj wielofunkcyjni pracownicy terenowi o imionach Oded i Mordechaj. Następnie przyjechała Rimona Stern, była oficer wojskowego wywiadu, która obecnie zajmowała się sprawami związanymi z unieszkodliwionym programem nuklearnym Iranu. Rimona, kobieta o rubensowskich kształtach i włosach w kolorze piaskowca, była także siostrzenicą Szamrona. Gabriel znał ją jeszcze jako dziecko - jego najmilsze wspomnienia Rimony to nieustraszona dziewczynka pędząca w dół na hulajnodze po stromym podejździe przed domem sławnego wuja. Na jej potężnym lewym udzie wciąż widniała blada blizna po

ranie, jakiej doznała w wyniku szczególnie gwałtownego upadku. Gabriel założył jej opatrunek, a Dżila osuszyła łzy. Szamron był zbyt wytrącony z równowagi, by zaoferować jakąkolwiek pomoc. Jako jedyny członek swojej rodziny przeżył Holokaust i nie mógł znieść cierpienia tych, których kochał.

Kilka minut po Rimonie zjawił się Jossi Gawisz - wysoka, łysiejąca postać odziana w sztruks i tweed. Jossi był czołowym oficerem do spraw badań, jak Biuro nazywało swój dział analityczny. Urodzony w Londynie, studiował filologię klasyczną w Ali Souls College i mówił po hebrajsku z wyraźnym angielskim akcentem. Parał się także aktorstwem - krytycy ze Stratford wciąż wspominali z wielkim rozczeniem jego kreację Jagona - i był utalentowanym wiolonczelistą. Gabriel nie miał jeszcze okazji wykorzystać muzycznych zdolności Jossiego, ale jego umiejętności aktorskie niejedną raz okazały się przydatne w terenie. W St. Barts przy plaży była kafejka, w której kelnerki uważały pojawienie się Jossiego za spełnienie marzeń, za to obsługujący specjalnych gości pracownik pewnego hotelu w Genewie poprzysiął sobie, że przy najbliższej okazji zastrzeli Jossiego bez uprzedzenia.

Jak zwykle ostatni dotarł na miejsce Michaił Abramow. Chudy i jasnowłosy, o drobnokościstej twarzy i oczach w kolorze glacialnego lodu, wyemigrował z Rosji do Izraela jako nastolatek i wstąpił do Sayeret Matkal, elitarniej jednostki do zadań specjalnych Izraelskich Sił Obronnych. Nazwany kiedyś „Gabrielem pozbawionym sumienia”, Michaił osobiście zabił kilku czołowych przywódców terrorystycznych z Hamasu i Palestyńskiego Dżihadu. Objuczony dwiema ciężkimi skrzyniami ze sprzętem elektronicznym, przywitał Sarę jednoznacznie lodowatym pocałunkiem. Eli Lawon powie później, że było to najzimniejsze powitanie, odkąd Szamron, w beztróskich dniach procesu pokojowego, został zmuszony do uściśnięcia dłoni Jasera Arafata.

Znany pod kryptonimem Barak, co oznacza po hebrajsku błyskawicę, dziewięcioosobowy zespół Gabriela miał wiele idiosynkrazji i wiele tradycji. Do idiosynkrazji należały rytualne dziecinne kłótnie o przydział pokojów. Do tradycji zaś wystawny posiłek przygotowywany przez Chiarę pierwszego wieczoru. Ich pierwszy wspólny wieczór przy N Street był tym bardziej wzruszający, że wcale nie miało do niego dojść. Jak wszyscy inni na Bulwarze Króla Saula, zespół sądził, że operacja związana z irańskim programem nuklearnym będzie ostatnią w karierze Gabriela. Tak im powiedział, nie bez satysfakcji, ich nominalny szef, Uzi Nawot, i zrozpaczony Szamron. - Nie miałem innego wyjścia, jak puścić go wolno - oznajmił im Szamron po swym legendarnym spotkaniu z Gabrielem na skalistym wybrzeżu Kornwalii. - Tym razem już na dobre.

I tak mogłoby się faktycznie stać, gdyby Gabriel nie spostrzegł Farida Khana idącego po Wellington Street z bombą pod płaszczem. Mężczyźni i kobiety zgromadzeni przy stole w jadalni zdawali sobie sprawę z tego, jakie piętno tragedia w Covent Garden odcisnęła na Gabrielu. Przed wielu laty, w innym wcieleniu, pod innym nazwiskiem nie zdołał zapobiec wybuchowi bomby w Wiedniu, co na zawsze zmieniło bieg jego życia. Wtedy bomba nie była ukryta pod ubraniem shahida, lecz pod podwoziem samochodu Gabriela. Ofiarami nie byli obcy mu ludzie, lecz osoby, które kochał - jego żona, Lea, i jedyny syn, Dani. Lea przebywała obecnie w szpitalu psychiatrycznym na Górze Herzla w Jerozolimie, w więzieniu własnego umysłu i ciała okaleczonego przez ogień. Miała jedynie niejasną świadomość, że Dani jest pochowany niedaleko niej, na Górze Oliwnej.

Członkowie zespołu Gabriela nie wspominali tego wieczoru o Lei i Danim ani też nie rozwodzili się nad splotem wydarzeń, które doprowadziły do tego, że Gabriel, chcąc nie chcąc, stał się świadkiem samobójczej śmierci Farida Khana. Mówili natomiast o przyjaciółach i rodzinie, o książkach, które czytali, filmach, które oglądali, i o nadzwyczajnych zmianach, które zachodziły ostatnio w świecie arabskim. W Egipcie obalono wreszcie władcę, co wywołało w innych krajach arabskich falę grożącą obaleniem królów i świeckich dyktatorów, którzy rządili tym obszarem od pokoleń. Czy zmiany te przyniosą Izraelowi większe bezpieczeństwo, czy też wystawią kraj na jeszcze większe niebezpieczeństwo, było tematem gorącej dyskusji w Biurze i przy stole tego wieczoru. Jossi, optymista z natury, sądził, że Arabowie, mając możliwość wzięcia spraw we własne ręce, nie będą chcieli mieć nic wspólnego z tymi, którzy pragną wojny z Izraelem. Jakow, który długie lata zajmował się szpiegowaniem wrogich arabskich rządów, uznał poglądy Jossiego za niebezpieczne urojenia, podobnie jak niemal wszyscy pozostali. Tylko Dina nie wyraziła swojej opinii, bo jej myśli krążyły wokół skrzyń z aktami czekających w salonie. W jej genialnej głowie tykał zegar i miała poczucie, że każda stracona minuta to minuta podarowana terrorystom na podstępne knowania. Te akta skrywały obietnicę ocalonych ludzkich istnień. To były święte teksty zawierające tajemnice, które tylko ona mogła rozszyfrować.

Dochodziła północ, kiedy posiłek wreszcie dobiegł końca. Teraz nastąpiła tradycyjna sprzeczka, kto pozbiera naczynia, kto będzie zmywać, a kto wycierać. Wymigawszy się od wszelkiej pomocy, Gabriel zapoznał Dinę z aktami, a potem zaprowadził Chiare do ich pokoju. Znajdował się na drugim piętrze, okna wychodziły na ogródek za domem. Czerwone światła ostrzegawcze dla samolotów na wieżach Uniwersytetu Georgetown mrugały łagodnie w oddali, przypominając o bezbronności miasta wobec lotniczego terroryzmu.

- Myślę, że są gorsze miejsca na parodniowy pobyt - powiedziała Chiara. - Gdzie ulokowałeś Michaiła i Sarę?

- Tak daleko od siebie, jak tylko się dało.

- Jakie są szanse na to, że ta operacja znów ich do siebie zbliży?

- Mniej więcej takie same jak na to, że świat arabski nagle uzna nasze prawo do istnienia.

- Jest aż tak źle?

- Obawiam się, że tak. - Gabriel podniósł torbę Chiary i postawił ją na brzegu łóżka.

Ugięło się pod ciężarem. - Co ty tam masz?

- Dżila przekazała mi dla ciebie kilka rzeczy.

- Kamienie?

- Jedzenie - sprostowała Chiara. - Znasz Dżilę. Zawsze uważała, że jesteś za chudy.

- Jak ona się miewa?

- Teraz, kiedy Ari nie spędza tyle czasu w domu, wydaje się w znacznie lepszej formie.

- Wreszcie zapisał się na ten kurs garncarski, o którym zawsze marzył?

- Prawdę mówiąc, wrócił na Bulwar Króla Saula.

- Niby po co?

- Uzi doszedł do wniosku, że przyda mu się jakieś zajęcie, więc uczynił go twoim koordynatorem operacyjnym. Chce, żebyś zadzwonił do niego jutro z samego rana. - Chiara pocałowała go w policzek i uśmiechnęła się. - Witaj w domu, kochanie.

16.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Jest taki truizm dotyczący siatek terrorystycznych: złożenie wszystkiego do kupy nie jest tak trudne, jak mogłoby się wydawać. Ale kiedy już terrorysta pociągnie za spust i przeprowadzi swój pierwszy atak, element zaskoczenia znika i siatka zostaje zdemaskowana. W najwcześniejszych latach walki z terroryzmem - kiedy to szaleli Czarny Wrzesień i Carlos Szakal, wspierani przez użytecznych lewicowych euroidiotów, jak grupa Baader-Meinhof i Czerwone Brygady - oficerowie wywiadu przy identyfikacji członków komórek terrorystycznych korzystali głównie z bezpośredniej obserwacji, podsłuchu i starej dobrej roboty detektywistycznej. Teraz, wraz z nastaniem internetu i globalnej komunikacji satelitarnej, kształt pola walki uległ zmianie. Internet dał terrorystom potężne narzędzie do organizowania, inspirowania i komunikacji, ale też umożliwił służbom wywiadowczym śledzenie każdego ich kroku. Cyberprzestrzeń była niczym las zimą. Terrorysty mogli się tam ukrywać przez jakiś czas, obmyślając swoje plany i zbierając siły, ale nie byli w stanie się poruszać, nie zostawiając śladów na śniegu. Wyzwaniem dla oficera antyterrorystycznego było tropienie właściwych śladów, bo ten wirtualny las był ciemnym i zagmatwanym miejscem, w którym zdarzało się błądzić bez celu, podczas gdy ginęli niewinni ludzie.

Gabriel i jego zespół ostrożnie weszli w tę gęstwinę następnego ranka, kiedy brytyjski wywiad, na mocy stałego porozumienia, udostępnił Amerykanom wstępne wyniki śledztwa dotyczącego zamachu w Covent Garden. Materiały obejmowały także zawartość komputerów Farida Khana z domu i z pracy, wydruki wszystkich numerów, pod jakie dzwonił z telefonu komórkowego, oraz listę znanych islamskich ekstremistów, z jakimi miał styczność jako członek grup Hizb ut-Tahrir i al-Muhajiroun. Była tam także kopia nagrania z jego samobójczym przesłaniem, wraz z kilkuset stop-klatkami uchwyconymi przez londyńskie kamery w ostatnich miesiącach jego życia. Ostatnie zdjęcie ukazywało go stojącego w Covent Garden z rękami uniesionymi nad głową i z kłębami ognia buchającymi z ładunków umieszczonych wokół jego pasa. Na ziemi, kilka stóp dalej, osłaniany przez dwóch mężczyzn, leżał Gabriel. Po powiększeniu zdjęcia można było dostrzec cień broni w jego lewej ręce.

Carter dostarczył materiał pracownikom Centrum Antyterrorystycznego w Langley i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland. Następnie, bez wiedzy jednych i drugich, przywiózł trzecią kopię do domu przy N Street. Następnego dnia

podrzucił im uderzająco podobną paczkę od Duńczyków, ale minął cały tydzień, zanim pojawił się z materiałem z Paryża.

- Do Francuzów nadal nie całkiem dotarło, że siedzimy w tym bagnie wszyscy razem - oznajmił Carter. - Postrzegają ten atak jako porażkę własnego systemu wywiadowczego, co oznacza, że na pewno dostaliśmy jedynie część informacji.

Gabriel i jego zespół przeglądali materiały najszybciej, jak się dało, jednak pracowali cierpliwie, zwracając uwagę na szczegóły, tak jak wymagało tego od nich to zadanie. Gabriel poradził im, żeby podchodzili do sprawy niczym do ogromnego płótna, które doznało rozległych zniszczeń.

- Nie patrzcie na nie z dystansu, usiłując dojrzeć wszystko naraz - przestrzegali ich. - To was tylko doprowadzi do obłędu. Pracujcie powoli, zaczynając od brzegów. Skupcie się na drobnych szczegółach: dłoni, oku, rąbku stroju, pojedynczej nitce łączącej wszystkie trzy ataki. Z początku nie będziecie w stanie jej dostrzec, ale ona tam jest, zapewniam was.

Przy pomocy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i rządowych analityków, którzy pracowali w anonimowych biurach na obrzeżach miasta, zespół Gabriela wdzierał się głęboko w pamięć systemów komputerowych i serwerów rozproszonych na całym świecie. Numery telefonów pociągały za sobą kolejne numery telefonów, konta e-mailowe - kolejne konta e-mailowe, nazwiska - kolejne nazwiska. Przeczytali tysiąc bieżących wiadomości w dziesięciu różnych językach. Historie oglądanych stron były analizowane pod kątem ewentualnych zamiarów, zdjęcia pod kątem dowodów na typowanie celu ataku, historie wyszukiwania haseł pod kątem sekretnych pragnień i zakazanych pasji.

Stopniowo zaczął się rysować nikły zarys terrorystycznej siatki. Był rozproszony i niewyraźny - tutaj nazwisko potencjalnego agenta w Lyonie; tutaj adres możliwej mety w Malmö; tutaj numer telefonu w Karaczi; tutaj strona internetowa niewiadomego pochodzenia oferująca możliwość ściągnięcia filmów z zamachów bombowych i egzekucji, pornografii dżihadystycznego świata. Zaprzyjaźnione zachodnie służby wywiadowcze, sądząc, że mają do czynienia z CIA, chętnie udostępniły materiały, które by normalnie zataiły. Podobnie jak tajni policjanci z islamskiego świata. Wkrótce ściany salonu były pokryte oszłamiającą plątaniną informacji. Eli Lawon porównał obcowanie z nią do patrzenia na niebo bez pomocy mapy gwiazd. Było to przyjemne, powiedział, ale mało produktywne, gdy stawką jest życie wielu ludzi. Gdzieś tam była zasada przewodnia, porządkująca to wszystko dłoń terroru. Raszid, charyzmatyczny duchowny, stworzył tę siatkę za pomocą swej pięknej i uwodzicielskiej mowy, ale to ktoś inny przygotował ją do przeprowadzenia trzech ataków w trzech europejskich miastach, każdego w precyzyjnie wyznaczonym momencie. Ten człowiek

nie był amatorem. Był profesjonalnym terrorystycznym mózgiem.

Nadanie imienia i twarzy temu potworowi stało się obsesją Diny. Sara, Chiara i Eli Lawon pracowali niestrudzenie u jej boku, podczas gdy Gabriel zadowalał się rolą chłopca na posyłki i kuriera. Dwa razy dziennie Dina wręczała mu listę pytań, które wymagały pilnych odpowiedzi. Czasem Gabriel wyprawiał się do ambasady Izraela na północno-zachodnim krańcu Waszyngtonu i przysyłał je Szamronowi przez bezpieczne łącze. Kiedy indziej przekazywał je Adrianowi Carterowi, który pielgrzymował do Fort Meade, by porozmawiać na osobności z analitykami. W wieczór Halloween, gdy po Georgetown włościły się dzieci przebrane za duchy, chochliki i superbohaterów, Carter wezwał Adriana do baru przy Trzydziestej Piątej Ulicy, by mu wręczyć gruby pakiet materiałów.

- Jak idzie Dinie? - spytał Carter, zdejmując wieczko ze swojej caffè Americano, której nie zamierzał pić.

- Nawet ja nie jestem pewien - odparł Gabriel. - Ona ma swoje własne metody. Ja staram się jedynie schodzić jej z drogi.

- Ona nas bije na głowę, wiesz. Służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych liczą dwustu analityków usiłujących rozgryźć tę sprawę, a jedna kobieta bije ich na głowę.

- To dlatego, że ona dokładnie wie, co się stanie, jeśli nie powstrzymamy terrorystów. I wygląda na to, że wcale nie potrzebuje snu.

- Czy ma jakąś teorię, kto to może być?

- Ma wrażenie, jakby go znała.

- Osobiście?

- Dla Diny to zawsze jest sprawa osobista, Adrianie. Dlatego właśnie jest taka dobra w tym, co robi.

Chociaż Gabriel nie chciał tego przyznać, dla niego ta sprawa też stała się osobista. I jeśli tylko nie był w ambasadzie ani nie spotykał się z Carterem, na ogół można go było zastać w „Raszidystanie”, jak zespół nazywał ciasną bibliotekę w domu przy N Street. Zdjęcia telegenicznego duchownego pokrywały cztery ściany. Ułożone chronologicznie ukazywały jego nieprawdopodobną przemianę z nikomu nieznanego lokalnego kaznodziei z San Diego w przywódcę dżihadystycznej siatki terrorystycznej. Przez ten czas jego wygląd prawie się nie zmienił - ta sama rzadka broda, te same inteligenckie okulary, to samo dobrotliwe spojrzenie spokojnych brązowych oczu. Nie wyglądał na mężczyznę zdolnego do masowej zbrodni ani nawet na kogoś, kto mógłby stanowić zbrodniczą inspirację. Gabriela to nie dziwiło; swego czasu był torturowany przez mężczyzn o dłoniach księży, a kiedyś zabił czołowego terrorystę o twarzy dziecka. Nawet teraz, ponad dwadzieścia lat później, Gabriel miał trudności z

pogodzeniem słodczy jego martwych rysów z przerażającą ilością krwi plamiącej jego dłonie.

Największym atutem Raszida był nie jego banalny wygląd, lecz głos. Gabriel słuchał kazań Raszida - zarówno po arabsku, jak i wygłaszanych w potocznym amerykańskim angielskim - a także wielu wyważonych wywiadów, jakich udzielił dziennikarzom po jedenastym wrześniu. Skupił się zwłaszcza na nagraniach z przesłuchań, na których Raszid wodził za nos CIA. Raszid był po części poetą, po części kaznodzieją, po części profesorem dżihadu. Ostrzegał Amerykanów, że demograficzne dane statystyczne przemawiają stanowczo na korzyść ich wrogów, że świat islamu jest młody, rozwijający się i kipiący potężną mieszkanką gniewu i upokorzenia. „Jeśli, drodzy przyjaciele, nie zrobimy czegoś, co zmieni to równanie, dżihad pochłonie całe pokolenie”. Ameryka potrzebowała mostu łączącego ją z muzułmańskim światem - i Raszid al-Husseini zaoferował się pełnić tę rolę.

Zmęczeni podstępnością Raszida pozostali członkowie zespołu nalegali, żeby Gabriel szczelnie zamykał drzwi biblioteki, ilekroć słuchał nagrań. Ale późno w nocy, kiedy większość z nich szła spać, nie stosował się do ich prośby, choćby po to, żeby złagodzić uczucie klaustrofobii, jakie wywoływał w nim głos Raszida. Niezmiennie zastawał Dinę wpatrującą się w łamigłówkę rozmieszczoną na ścianach salonu. „Idź spać, Dino”, mówił. A Dina odpowiadała: „Pójdę, jak ty się położysz”.

W pierwszy piątek grudnia, gdy śnieg bielił ulice Georgetown, Gabriel znów słuchał ostatniego raportu Raszida dla jego zwierzchników z Agencji. To było w przeddzień jego ucieczki. Wydawał się bardziej podniecony niż zwykle i nieco rozdrażniony. Na sam koniec spotkania podał rozmawiającemu z nim oficerowi nazwisko imama z Oslo, który, zdaniem Raszida, zbierał pieniądze na rzecz członków ruchu oporu w Iraku. „To nie są członkowie ruchu oporu, to terroryści” - sprostował dobitnie pracownik CIA. „Wybacz, Bill - odparł Raszid, używając pseudonimu tamtego - ale czasami trudno mi zapamiętać, po czyjej jestem stronie”.

Gabriel wyłączył komputer i wślizgnął się cicho do salonu. Dina stała w milczeniu przed gęstwiną danych, pocierając nogę w tym miejscu, które zawsze ją bolało, kiedy była zmęczona.

- Idź spać, Dino - powiedział Gabriel.
- Nie dziś - odrzekła.
- Masz go?
- Tak mi się zdaje.
- Kto to jest?

- To Malik - powiedziała cicho. - I niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece.

17.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Było kilka minut po drugiej nad ranem, okropna pora - jak powiedział kiedyś Szamron - gdy rzadko powstają genialne plany. Gabriel zasugerował, żeby poczekali do rana, ale zegar w głowie Diny tykał stanowczo za głośno, by mogła na to przystać. Osobiście zbudziła pozostałych i przemierzała niespokojnie salon, czekając, aż zaparzy się kawa. Kiedy wreszcie przemówiła, w jej głosie czuło się napięcie, ale i szacunek. Malik, mistrz terroru, zasłużył sobie na to.

Zaczęła swoją relację od przypomnienia zespołowi rodowodu Malika - rodowodu, który mógł zaowocować tylko jednym. Wywodził się z klanu al-Zubair - mieszanej palestyńsko-syryjskiej rodziny mieszkającej pierwotnie w wiosce Abu Ghosh, położonej na zachód od Jerozolimy - urodził się w obozie dla uchodźców Zarqa w Jordanii. Zarqa było paskudnym miejscem, nawet wedle żałosnych obozowych standardów, i wylęgarnią islamskiego ekstremizmu. Jako inteligentny, lecz pozbawiony celu w życiu młody człowiek Malik bardzo dużo czasu spędzał w meczecie al-Falah. Tam znalazł się pod wpływem podżegającego salafistycznego imama, który skierował go do Islamskiego Ruchu Oporu, lepiej znanego jako Hamas. Malik wstąpił do wojskowego skrzydła grupy. Brygad Izzaddin al-Qassam, i uczył się sztuki terroru wraz z najbardziej bezwzględnyimi specjalistami tej branży. Jako urodzony przywódca i sprawny organizator szybko awansował i wraz z wybuchem drugiej intifady był czołowym terrorystycznym mózgiem Hamasu. Z bezpiecznej kryjówki w obozie Zarqa planował najpotworniejsze ataki tamtego okresu, w tym samobójczy zamach na nocny klub w Tel Awiwie, który pochłonął trzydzieści trzy ofiary.

- Po tym ataku - mówiła Dina - premier wydał nakaz zgładzenia Malika. Malik ukrył się głęboko w obozie Zarqa i stamtąd planował swój największy dotychczas atak: zamach bombowy pod Ścianą Płaczu. Na szczęście udało nam się aresztować trzech shahidów, zanim dotarli do celu. Uważa się, że była to jedna jedyna porażka Malika.

Latem dwa tysiące czwartego - ciągnęła Dina - stało się jasne, że konflikt izraelsko-palestyński to dla Malika za małe pole do popisu. Zainspirowany jedenastym września wymknął się z obozu i w kobiecym przebraniu wyprawił się do Ammanu, by spotkać się z osobą werbującą do Al-Kaidy. Wypowiedziawszy *bayat*, osobistą przysięgę posłuszeństwa wobec Osamy Bin Ladena, Malik został przemycony przez granicę do Syrii. Pół roku później wślizgnął się do Iraku.

Malik był znacznie bardziej wyrafinowany od innych członków Al-Kaidy w Iraku - powiedziała Dina. - Latami doskonalił swoje umiejętności, wymykając się najpotężniejszym jednostkom antyterrorystycznym na świecie. Był nie tylko specjalistą od robienia bomb, ale wiedział także, jak przemycić swoich shahidów przez najostrzejsze systemy zabezpieczeń. Sądzi się, że stał za najokrutniejszymi i najbardziej spektakularnymi atakami terrorystów. Jego szczytowym osiągnięciem była fala zamachów bombowych przeprowadzonych jednego dnia w dzielnicy Bagdadu Shiite, w których zginęło ponad dwieście osób.

Ostatnim atakiem Malika w Iraku był zamach na meczet w Shiite, który przyniósł śmierć pięćdziesięciu wiernym. Wówczas Malik był już celem szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej przeprowadzanej przez Specgrupę 6-26, połączoną jednostkę specjalną operacyjno-wywiadowczą. Dziesięć dni po zamachu specgrupa ustaliła, że Malik ukrywa się w domu położonym dziesięć mil na północ od Bagdadu, wraz z dwoma innymi wysokimi rangą działaczami Al-Kaidy. Tej nocy amerykańskie odrzutowce F-16 zrzuciły na dom dwie naprowadzane laserem bomby, jednak po przeszukaniu ruin znaleziono szczątki jedynie dwóch osób. Żadne z nich nie należały do Malika al-Zubaira.

Najwidoczniej wymknął się z domu na kilka minut przed zrzuceniem bomb - ciągnęła Dina. - Później powiedział swoim towarzyszom, że Allah kazał mu opuścić dom. To zdarzenie tylko utwierdziło go w przekonaniu, że został wybrany przez Boga, by dokonać wielkich rzeczy.

To wtedy właśnie Malik uznał, że pora wyjść na arenę międzynarodową. W Iraku zasmakował w mordowaniu Amerykanów i chciał teraz zabijać ich na ich własnej ziemi, więc pojechał do Pakistanu, licząc na fundusze i wsparcie samego szefostwa Al-Kaidy. Bin Laden wysłuchał go uważnie. A następnie odesłał z kwitkiem.

Tak naprawdę - dodała Dina pośpiesznie - sądzi się, że to Ayman al-Zawahiri stał za decyzją odprawienia Malika z kwitkiem. Egipcjanie mieli w toku kilka spisków przeciwko Zachodowi i nie chcieli, by zagroził im palestyński parweniusz z Zarqi.

- W związku z tym Malik pojechał do Jemenu i zaproponował swoje usługi Raszidowi? - zapytał Gabriel.

- Właśnie.

- Dowód - powiedział Gabriel. - Jaki masz na to dowód?

- Jestem analitykiem danych - odparła Dina bez skruchy. - Rzadko mam ten luksus, by dysponować absolutnym dowodem. Mam do zaoferowania przypuszczenia, poparte garścią stosownych faktów.

- Na przykład?

- Damaszek - odparła. - Jesienią dwa tysiące ósmego roku Biuro dostało cynk od naszego człowieka w syryjskim wywiadzie, że Malik ukrywa się tam, przemieszczając się nieustannie z kryjówek do kryjówek w domach należących do różnych członków klanu al-Zubair. Z inicjatywy Szamrona premier wyraził zgodę na rozpoczęcie akcji mającej doprowadzić do dawno zapowiadanego zgładzenia Malika. Uzi wciąż był wtedy szefem Operacji Specjalnych. Wysłał do Damaszku zespół agentów, w zespole tym znalazł się również niejaki Michaił Abramow - dodała Dina, zerkając w jego stronę. - W ciągu kilku dni Malik znalazł się pod stałą obserwacją.

- Mów dalej, Dino.

- Malika niełatwo było śledzić, Michaił może to potwierdzić. Wciąż zmieniał wygląd: zarost, okulary, nakrycia głowy, ubrania, nawet sposób chodzenia, ale zespołowi udało się utrzymywać z nim kontakt. A wieczorem dwudziestego trzeciego października patrzyli, jak Malik wchodzi do mieszkania człowieka zwanego Kemel Arwish. Arwish lubił przedstawiać się jako zwolennik Zachodu i umiarkowania, który chce za wszelką cenę wprowadzić swój naród w dwudziesty pierwszy wiek. W rzeczywistości jednak był islamistą kręcącym się wokół Al-Kaidy i jej sprzymierzeńców. Możliwość podróżowania między Bliskim Wschodem a Zachodem bez wzbudzania podejrzeń czyniła go doskonałym kurierem i pośrednikiem w załatwianiu rozmaitych spraw. - Dina spojrzała prosto na Gabriela. - Jako że spędziłeś wiele czasu na zaznajamianiu się z dotyczącymi Raszida aktami CIA, sądzę, że nazwisko i adres Kemela nie są ci obce.

- Raszid był obecny na przyjęciu w mieszkaniu Kemela Arwisha w dwa tysiące czwartym, kiedy pojechał do Damaszku z ramienia CIA - powiedział Gabriel. - Później przekazał pracownikowi CIA, że omawiał z Arwishem wiele ciekawych pomysłów na to, jak zdusić ogień dżihadu.

- A jeśli w to wierzysz...

- Może to tylko zbieg okoliczności, Dino.

- Może i tak, ale zostałam przeszkolona, by nigdy nie wierzyć w zbiegi okoliczności. Podobnie jak ty.

- Jak się skończyła akcja przeciwko Malikowi?

- Wymknął nam się, tak samo jak wymknął się Amerykanom w Bagdadzie. Uzi rozważał obserwowanie Arwisha, ale to okazało się zbędne. Trzy dni po zniknięciu Malika znaleziono ciało Kemela Arwisha na pustyni na wschód od Damaszku. Zapewniono mu stosunkowo bezbolesną śmierć.

- Malik kazał go zabić?

- Może Malik, może Raszid. To bez większego znaczenia. Arwish był jedynie plotką. Wykonał swoje zadanie. Dostarczył wiadomość, a potem stał się ciężarem.

Gabriel nie wydawał się przekonany.

- Co jeszcze masz?

- Konstrukcja samobójczych pasów, jakie mieli na sobie shahidzi w Paryżu, Kopenhadze i Londynie - odparła. - Były identyczne jak te, których Malik używał w swoich atakach podczas drugiej intifady, a te z kolei identyczne jak te, których używał w Bagdadzie.

- Ta konstrukcja nie musi koniecznie być dziełem Malika. Mogła pojawiać się w rozmaitych miejscach dżihadystycznego półświatka od lat.

- Wykluczone, żeby Malik umieścił ten projekt w internecie, by wszyscy mogli go obejrzeć. Okablowanie, uzbrojenie, kształt ładunku i szrapnel to wszystko jego innowacje, które praktycznie mówią mi, że to on.

Gabriel milczał. Dina uniosła brew i spytała:

- Już nie wspominasz o zbiegach okoliczności?

Gabriel zignorował tę uwagę.

- Gdzie znajdował się ostatnio?

- Mówiło się, że wrócił do Zarqi, choć to niepotwierdzone doniesienia, a nasz rezydent w Turcji słyszał nieprzyjemną plotkę, jakoby doskonale mu się żyło w Stambule. Ta plotka okazała się nieprawdziwa. Jeśli chodzi o Biuro, Malik jest duchem.

- Nawet duch potrzebuje paszportu.

- Sądzymy, że posługuje się syryjskim paszportem, który wydał mu osobiście wielki reformator w Damaszku. Niestety, nie mamy pojęcia, jakiego nazwiska używa ani jak wygląda. Ostatnie dostępne zdjęcie Malika zostało zrobione ponad dwadzieścia lat temu. Jest bezużyteczne.

- Czy jest ktoś z bliskiego otoczenia Malika, do kogo moglibyśmy dotrzeć? Rodzina? Przyjaciele? Dawny towarzysz z czasów jego działalności dla Hamasu?

- Próbowaliśmy, kiedy Malik siał postrach podczas drugiej intifady - odparła Dina, potrząsając głową. - W Izraelu ani na Terytoriach Okupowanych nie ma już żadnych al-Zubairów, a ci z obozu Zarqa są zbyt zaangażowani w walkę, by z nami współpracować. - Przerwała na chwilę. - Ale jest coś, co mogłoby działać na naszą korzyść.

- Co takiego?

- Myślę, że jego siatce mogą kończyć się pieniądze.

- Kto tak mówi?

Dina wskazała fotografię Farida Khana, zamachowca z Covent Garden.

- On.

18.

GEORGETOWN, WASZYNGTON

W ostatnich tygodniach swego krótkiego, acz złowieszczego życia Farid Khan, morderca osiemnaściorga niewinnych ludzi w kraju, w którym przyszedł na świat, zostawił szereg coraz bardziej rozpaczliwych wiadomości na islamskiej internetowej tablicy ogłoszeń, ubolewając nad tym, że nie ma dość pieniędzy, by kupić porządny prezent ślubny dla swojej siostry. Najwyraźniej rozważał wręcz niepójście na ślub, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji. Ale z tą historią był jeden mały problem, zaznaczyła Dina. Allah pobłogosławił rodzinę Khanów czterema synami, ale nie córkami.

- Sądzę, że chodziło mu o zapłatę za męczeńską śmierć, zapłatę, którą obiecał mu Malik. Tak się dzieje w Harnasie. Hamas zawsze dba o pośmiertne potrzeby finansowe swoich *shahidów*.

- Dostał w końcu te pieniądze?

- Tydzień przed atakiem zamieścił ostatnią wiadomość, w której mówił, że otrzymał środki na kupno prezentu siostrze. Będzie jednak mógł pójść na ślub, Allahowi niech będą dzięki.

- Więc Malik ostatecznie dotrzymał słowa.

- To prawda, ale dopiero po tym, gdy jego *shahid* zagroził, że nie wykona swojej misji. Siatka może mieć do dyspozycji dość pieniędzy, by sfinansować jeszcze jedną serię ataków, ale jeśli Raszid i Malik mają się stać kolejnymi Bin Ladenem i Zawahirim...

- Potrzebny im będzie zastrzyk kapitału obrotowego.

- Właśnie.

Gabriel podszedł bliżej i wpatrywał się w sporządzoną przez Dinę galaktykę nazwisk, numerów telefonów i twarzy. Następnie odwrócił się w stronę Lawona i spytał:

- Jak myślisz, ile by trzeba, żeby stworzyć nową dżihadystyczną grupę terrorystyczną o naprawdę globalnym zasięgu?

- Dwadzieścia milionów powinno wystarczyć - odparł Lawon.

- Może trochę więcej, jeśli chcesz im zapewnić pierwszorzędne zakwaterowanie i warunki podróży.

- To kupa forsy, Eli.

- Terror nie jest tani. - Lawon spojrział na Gabriela z ukosa. - Co ty kombinujesz?

- Moim zdaniem mamy dwa wyjścia. Możemy tutaj siedzieć i wpatrywać się w tę

plątaninę telefonów i e-maili w nadziei, że wpadnie nam w ręce jakaś kluczowa informacja, albo... - Gabriel zawiesił głos.

- Albo co?

- Albo sami możemy wejść w terrorystyczny biznes.

- A jak niby mielibyśmy to zrobić?

- Damy im forszę, Eli. Damy im tę forszę.

*

Istnieją dwa podstawowe typy wywiadu, Gabriel niepotrzebnie przypomniał to swojemu zespołowi. Wywiad ludzki, zwany w zawodowym żargonie „humint”, i wywiad sygnałowy, znany także jako „sigint”. Jednak możliwość śledzenia przepływu pieniędzy w rzeczywistym czasie za pośrednictwem globalnego systemu bankowego dała szpiegom skuteczną trzecią formę gromadzenia informacji, nazywaną czasem „finint” albo wywiad finansowy. Finint był na ogół niezawodny. Pieniądze nie kłamały; płynęły po prostu tam, gdzie im kazano. Co więcej, elektroniczne ślady, jakie zostawiały, miały prorocze właściwości. Islamscy terroryści dawno temu nauczyli się zwodzić zachodnie agencje szpiegowskie za pomocą fałszywych pogłosek, rzadko jednak inwestowali w podstęp cenne środki finansowe. Pieniądze zazwyczaj płynęły do prawdziwych agentów, którzy uczestniczyli w prawdziwych spiskach. Jeśli będziemy śledzić pieniądze, twierdził Gabriel, oświetlą zamiary Raszida i Malika niczym światła pasa startowego.

Ale jak się do tego zabrać? Z tym pytaniem Gabriel i jego zespół zmagali się przez pozostałą część tej długiej bezsennej nocy. Sprytne fałszerstwo? Nie, upierał się Gabriel, świat dżihadu jest na to zdecydowanie zbyt hermetyczny. Gdyby zespół spróbował stworzyć wyssanego z palca, fikcyjnego bogatego muzułmańskiego ofiarodawcę, terroryści posadziliby go przed kamerą i odcięli mu głowę. Pieniądze muszą pochodzić od kogoś z nienagannymi dżihadystycznymi referencjami. W przeciwnym razie terroryści nigdy ich nie przyjmą. Ale gdzie znaleźć kogoś, kto stał ponad podziałem? Kogoś, w czyją szczerą dżihadystykę mogliby uwierzyć, ale kto gotów byłby zarazem pracować na rzecz izraelskiego i amerykańskiego wywiadu? Zadzwoń do Starego, podsunął Jakow. Najprawdopodobniej będzie miał odpowiednie nazwisko na pierwsze pstryknięcie swoich poplamionych nikotyną palców. A jeśli nawet nie, z pewnością będzie wiedział, gdzie je znaleźć.

Jak się okazało, Szamron istotnie miał odpowiednie nazwisko, które wyszeptał Gabrielowi do ucha, za pośrednictwem bezpiecznej linii telefonicznej kilka minut po czwartej nad ranem czasu waszyngtońskiego. Szamron obserwował tę osobę od wielu lat. Kontakt z nią będzie dla Gabriela bardzo ryzykowny, tak pod względem osobistym, jak i zawodowym,

ale Szamron miał w swoich szufladach z aktami znaczną liczbę dowodów świadczących o tym, że jego propozycja może się spotkać z pozytywnym przyjęciem. Przedstawił pomysł Uziemiu Nawotowi i w ciągu kilku minut Nawot zatwierdził go na piśmie. I tak, wraz z pociągnięciem groteskowego złotego pióra Nawota, powrót Gabriela Allona, krnąbrnego syna izraelskiego wywiadu, został przypieczętowany.

Członkowie zespołu Barak w ciągu minionych lat wdawali się w wiele głębokich sporów, ale żaden z nich nie mógł się nawet równać z tym, który miał miejsce w domu przy N Street w tamten grudniowy poranek. Chiara podsumowała ten pomysł jako niebezpieczną mrzonkę; Dina uznała go za nieprowadzącą do niczego stratę cennego czasu i środków. Nawet Eli Lawon, najbliższy przyjaciel i sojusznik Gabriela, czarno widział szanse na powodzenie tego projektu.

- Wyjdzie z tego nasza wersja Raszida - zawyrokował. - Będziemy sobie gratulowali przemyślności. A potem, któregoś dnia, to się obróci przeciwko nam.

Ku zaskoczeniu wszystkich, to Sara stanęła w obronie Gabriela. Sara знаła kandydatkę Szamrona znacznie lepiej niż pozostali i Sara wierzyła w moc odkupienia win.

- Ona nie jest taka jak jej ojciec - powiedziała. - Ona jest inna. Próbuje wszystko zmienić.

- To prawda - przyznała Dina - ale to jeszcze nie oznacza, że zgodzi się z nami współpracować.

- Najgorsze, co może zrobić, to powiedzieć: nie.

- Możliwe - powiedział Lawon posępnie. - Ale możliwe też, że najgorsze, co może zrobić, to powiedzieć: t a k.

19.

VOLTA PARK, WASZYNGTON

Gabriel zaczekał do świtu, zanim zadzwonił do Adriana Cartera. Carter był już w drodze do Langley, które stanowiło pierwszy przystanek tego brutalnie długiego dnia. Plan dnia obejmował poranny raport za zamkniętymi drzwiami w Kongresie, południowy lunch z delegacją polskich szpiegów przebywających z wizytą w Stanach i wreszcie obrady dotyczące strategii antyterrorystycznej w Gabinetie Kryzysowym w Białym Domu, którym przewodniczył nie kto inny, jak James McKenna. Krótco po szóstej wieczorem wyczerpany i przygnębiony Carter wysiadł ze swojego opancerzonego escalade na Q Street i w półmroku wszedł do Volta Park. Gabriel czekał na ławce przy kortach tenisowych, postawił kołnierz kurtki, chroniąc się przed zimnem. Carter usiadł obok niego. Pancerny jeep warkotał na jałowym biegu na ulicy, dyskretny niczym wyrzucony na brzeg wieloryb.

- Pozwolisz? - spytał Carter, wyjmując z kieszeni płaszcz fajkę i woreczek z tytoniem. - To było ciężkie popołudnie.

- McKenna?

- Prawda jest taka, że prezydent postanowił zaszczyścić nas swoją obecnością i obawiam się, że nie spodobało mu się to, co miałem do powiedzenia. - Carter zdawał się w pełni skoncentrowany na nabijaniu fajki. - Podczas mojej służby dla naszego wspaniałego kraju miałem już okazję zostać objechany z góry na dół przez czterech prezydentów. Ale to nigdy nie jest przyjemne doświadczenie.

- W czym problem?

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wychwytuje sporo pogłosek sugerujących, że w najbliższej przyszłości może nam grozić kolejny atak. Prezydent zażądał szczegółów, w tym podania miejsca, czasu i rodzajów broni. Zezłościł się, gdy nie potrafiłem udzielić mu odpowiedzi. - Carter zapalił fajkę, oświetlając przy tym na chwilę swoją wymizerowaną twarz. - Jeszcze dwanaście godzin temu byłbym gotów uznać te pogłoski za mało istotne. Ale teraz, gdy wiem, że mamy do czynienia z Malikiem al-Zubairem, nie jestem takim optymistą.

- Kiedy oficerowie z jednostek antyterrorystycznych odczuwają optymizm, na ogólnie giną niewinni ludzie.

- Zawsze jesteś taki radosny?

- To było kilka długich dni.

- Jaką pewność ma Dina, że to naprawdę on?

Gabriel wymienił jej główne argumenty: nieudana próba uzyskania wsparcia ze strony Bin Ladena, spotkanie w mieszkaniu Kemela Arwisha w Ammanie oraz jedyna w swoim rodzaju konstrukcja pasów samobójczych Malika. Carter nie domagał się już innych dowodów. W przeszłości zdarzało mu się działać w obliczu znacznie słabszych przesłanek, zresztą spodziewał się czegoś podobnego od dawna. Malik był typem terrorysty, jakiego Carter najbardziej się bał. Współpraca Malika i Raszida stanowiła urzeczywistnienie jego najkoszmarniejszych snów.

- Tak dla porządku - powiedział - nikt w Centrum Antyterrorystycznym nie powiązał jeszcze Raszida z Malikiem. Dina jest pierwsza.

- Zazwyczaj jest.

- To co osoba na moim stanowisku ma zrobić z taką informacją? Przekazać ją analitykom działającym wewnątrz Centrum Antyterrorystycznego? Podzielić się z nią ze swoim szefem i z prezydentem kraju?

- Zatrzymać ją dla siebie, bo inaczej moją operację diabli wezmą.

- Co to za operacja?

Gabriel wstał i poprowadził Cartera przez park do drugiej ławki z widokiem na plac zabaw. Nachylając się tuż do ucha Cartera, przedstawił mu w zarysie swój plan, podczas gdy pusta huśtawka skrzypiała lekko, kołysana delikatnymi podmuchami wiatru.

- To mi pachnie Arim Szamronem.

- I nie bez powodu.

- Jak to sobie wyobrażacie? Przekażecie anonimową donację wybranej przez was islamskiej organizacji charytatywnej?

- Właściwie myślimy o czymś trochę bardziej konkretnym.

- Bezpośrednia wpłata na fundusz Raszida?

- Coś takiego.

Wiatr targał gałęzie drzew okalających plac zabaw, powodując lawinę liści. Carter strząsnął jeden z ramienia i powiedział:

- To zajmie zbyt dużo czasu.

- Cierpliwość jest cnotą, Adrianie.

- Nie w Waszyngtonie. Tu cenimy pośpiech.

- Masz lepszy pomysł?

Ponure milczenie Cartera wskazywało na to, że nie ma.

- Plan jest interesujący - przyznał. - Mało tego, przebiegły jak diabli. Jeśli faktycznie zostaniemy głównym źródłem finansowania siatki Raszida...

- To będziemy ich mieli w garści, Adrianie.

Carter postukał fajką o bok ławki i powoli nabił na nowo.

- Nie dajmy się ponieść emocjom. Ta rozmowa nie ma żadnej realnej wartości, o ile nie uda ci się przekonać dobrze sytuowanego muzułmanina o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach, żeby z wami współpracował.

- Nigdy nie mówiłem, że to będzie łatwe.

- Ale masz już oczywiście kandydata.

Gabriel zerknął w stronę boiska do koszykówki, gdzie jeden z ochroniarzy Cartera chodził powoli tam i z powrotem.

- Co jest? - zapytał Carter. - Nie ufasz mi?

- Nie chodzi o ciebie, Adrianie. Tylko o osiemset tysięcy osób z zezwoleniem na dostęp do tajnych informacji.

- Mimo wszystko potrafimy te informacje kategoryzować.

- Powiedz to swoim przyjaciołom i sprzymierzeńcom, którzy pozwolili ci umieścić tajne więzienia na swojej ziemi. Jestem pewien, że obiecywałeś im, że ten program pozostanie tajny. Ale tak się nie stało. W rzeczywistości trafił na pierwszą stronę „Washington Post”.

- Tak - powiedział Carter ponuro. - Chyba pamiętam, że coś na ten temat czytałem.

- Osoba, którą mamy na oku, pochodzi z kraju blisko związanego z waszym. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że pracowała dla nas... - Gabriel urwał. - Powiedzmy tylko, że straty nie ograniczyłyby się do żenującego artykułu w gazecie. Zginęliby ludzie, Adrianie.

- Powiedz mi chociaż, co teraz planujesz.

- Muszę odwiedzić kogoś w Nowym Jorku.

- To ktoś, kogo znam?

- Tylko ze słyszenia. Kiedyś była wziętą dziennikarką śledczą dla „Financial Journal” w Londynie. Teraz pracuje dla CNBC.

- Mamy zasadę, że nie korzystamy z pomocy dziennikarzy.

- Ale my nie. A obaj wiemy, że to izraelska operacja.

- Tak czy owak, uważaj. Nie chcę, żebyście skończyli w wieczornych wiadomościach.

- Masz jeszcze jakieś światłe rady?

- Pogłoski, które wychwyciliśmy, mogą być nieszkodliwe albo zwodnicze - powiedział Carter, wstając. - Ale z drugiej strony... mogą okazać się prawdziwe.

Nie mówiąc już nic więcej, odwrócił się i ruszył w stronę swojego escalade, a w ślad za nim ochroniarz. Gabriel został na ławce i patrzył na kołyszącą się na wietrze huśtawkę. Po

kilku minutach wyszedł z parku i skierował się na południe opadającą łagodnie w dół Trzydziestą Czwartą Ulicą. Dwa motocykle, na których jechali szczupli mężczyźni w czarnych kaskach, minęły go z warkotem i zniknęły w ciemności. W tym momencie w pamięci Gabriela mignął pewien obraz: zrozpaczona kobieta o kruczoczarnych włosach klęcząca nad zwłokami ojca na Quai Saint-Pierre w Cannes. Warkot motorów ucichł, a wraz z nim rozwiało się wspomnienie. Gabriel wsunął ręce do kieszeni kurtki i szedł dalej, nie myśląc o niczym, a drzewa roniły złote liście.

20.

PALISADES, WASZYNGTON

W tej samej chwili do krawężnika przed domem znajdującym się w dzielnicy Waszyngtonu znanej jako Palisades podjechał samochód. Samochód, ford focus, należał do Ellisa Coyle'a z CIA, podobnie jak drewniany dom. Małeńki budynek, właściwie domek letniskowy, nie dom z prawdziwego zdarzenia, poważnie nadwyręzał fundusze Coyle'a. Po wielu latach spędzonych za granicą chciał osiąść gdzieś na przedmieściach północnej Wirginii, gdzie ceny były rozsądne, ale Norah upierała się przy Waszyngtonie, żeby mieć blisko do pracy. Żona Coyle'a była psychologiem dziecięcym, zawsze uważał, że to dziwny zawód dla kobiety, której bezpłodne łono nie wydało na świat dziecka. Jej sielska droga do pracy, miły spacer po MacArthur Boulevard, wszystkiego cztery przecznice, ostro kontrastowała z koniecznością przekraczania przez Coyle'a Potomacu dwa razy dziennie. Przez pewien czas próbował słuchać w samochodzie muzyki New Age, ale stwierdził, że to tylko wzmacnia jego irytację. Teraz słuchał audiobooków. Ostatnio skończył arcydzieło Martina Gilberta o Winstonie Churchillu. Właściwie, dzięki robotom drogowym na Chain Bridge, zajęło mu to ledwie tydzień. Zawsze podziwiał stanowczość Churchilla. Ostatnio Coyle też zrobił się stanowczy.

Wyłączył silnik. Zmuszony był parkować na ulicy, bo dom, za który zapłacił blisko milion dolarów, nie miał garażu. Łudził się kiedyś, że ten domek będzie stanowił jedynie punkt zaczepienia w Waszyngtonie, a potem zamieni go na większą posiadłość w Kent albo Spring Valley albo nawet Wesley Heights. Zamiast tego sfrustrowany śledził rosnące gwałtownie ceny, zdecydowanie przekraczające możliwości jego rządowej pensji. Jedynie najbogatsi mieszkańcy Waszyngtonu - prawnicy krwiopijcy, skorumpowani lobbyści, dziennikarze celebryci, którzy na każdym kroku obsmarowywali Agencję - mogli sobie teraz pozwolić na zakup nieruchomości w tych dzielnicach. Nawet w Palisades burzono staroświeckie drewniane domki i na ich miejsce stawiano rezydencje. Sąsiad Coyle'a, wzięty prawnik nazwiskiem Roger Blankman, wybudował sobie ostatnio szkaradzieństwo w stylu Arts and Crafts, które rzucało długi cień na niegdyś słoneczny kącik śniadaniowy Coyle'a. Żle wychowane dzieci Blankmana bez przerwy wlażyły na posiadłość Coyle'a, podobnie jak cała armia architektów krajobrazu, którzy nieustająco dokonywali drobnych udoskonaleń kształtu jałowców i żywopłotów. Coyle zrewanżował się, zatruwając niecierpki Blankmana. Coyle wierzył w skuteczność potajemnych działań.

Teraz siedział bez ruchu za kierownicą, wpatrując się w światło palące się w oknie jego kuchni. Mógł sobie wyobrazić scenę, która rozegra się za chwilę, bo niewiele się ona zmieniała z wieczoru na wieczór. Norah będzie siedzieć przy kuchennym stole ze swoim pierwszym kieliszkiem merlota, przeglądając pocztę i słuchając jakiegoś okropnego programu w publicznym radiu. Pocałuje go w roztargnieniu i przypomni mu, że trzeba wyprowadzić Lucy, ich czarną labradorkę, na wieczorny spacer. Pies, podobnie jak dom w Palisades, był pomysłem Nory, ale jakoś tak się stało, że nadzorowanie wypróżnień Lucy przypadło Coyle'owi. Suka zazwyczaj znajdowała inspirację w Battery Kemble Park, na porośniętym gęstym lasem zboczu, którego raczej nie polecano jako miejsca na spacer samotnym kobietom. Czasami, kiedy Coyle był w szczególnie buntowniczym nastroju, zostawiał odchody Lucy w parku, zamiast zabierać je do domu. Coyle dokonywał również innych aktów buntu, które ukrywał przed Norą i swoimi kolegami z Langley.

Jedną z jego tajemnic była Renate. Poznali się przed rokiem w barze brukselskiego hotelu. Coyle został wysłany przez Langley na zebranie wysokich urzędników z zachodnich agencji antyterrorystycznych; Renate, fotografka, przyjechała z Hamburga zrobić zdjęcia uczestnikowi kampanii na rzecz praw człowieka do swojego pisma. Te dwie noce, które spędzili razem, były najbardziej namiętne w całym życiu Ellisa Coyle'a. Spotkali się znowu trzy miesiące później, kiedy Coyle znalazł wymówkę, by pojechać do Berlina na koszt podatników, a potem znów po miesiącu, kiedy Renate przyjechała do Waszyngtonu fotografować zgromadzenie Banku Światowego. Ich wzajemne uczucia, jak również miłość fizyczna, osiągnęły nowy poziom. Renate, która była niezamężna, błagała go, żeby zostawił żonę. Coyle, z twarzą zalaną łzami, zapewniał, że niczego bardziej nie pragnie. Prosił tylko o jedno. Żeby dała mu trochę czasu, ale poza tym to nie będzie trudne. Coyle miał dostęp do tajemnic, które będzie mógł przemienić w złoto. Jego dni w Langley były policzone. Podobnie jak noce, kiedy będzie wracać do Nory i ich małego domku w Palisades.

Wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Norah miała na sobie niemodną plisowaną spódnicę, grube pończochy i okulary w kształcie półksiężyców, które Coyle uważał za wyjątkowo nietwarzowe. Przyjął jej bezpłciowy pocałunek i odparł:

- Oczywiście, kochanie - kiedy przypomniała mu, że trzeba wyprowadzić Lucy.
- Ale wracaj zaraz, Ellis - dodała, marszcząc brwi na widok rachunku za elektryczność.
- Wiesz, jaka czuję się samotna, kiedy ciebie nie ma.

Coyle wykorzystywał techniki, jakich nauczone go w Langley, żeby stłumić poczucie winy. Kiedy wyszedł z domu, zobaczył, jak Blankman wprowadza swojego ogromnego mercedesa na drugie stanowisko w garażu na trzy samochody. Lucy zawarczała cicho, zanim

pociągnęła Coyle'a w stronę MacArthur Boulevard. Po drugiej stronie szerokiej ulicy znajdowało się wejście do parku. Brązowy drewniany znak ostrzegał, że w parku nie wolno jeździć na rowerach, a psy należy bezwzględnie prowadzić na smyczy. Przy podstawie znaku, częściowo zasłonięty przez kępę zielska, widniał ślad kredy. Coyle odpiął Lucy smycz i patrzył, jak pędzi w podskokach do parku. Następnie czubkiem buta starł kredę i ruszył za suką.

Część druga

Inwestycja

21.

NOWY JORK

Następnego ranka w „New York Timesie” ukazała się niezwykle dokładna relacja dotycząca niepokojących pogroźek terrorystycznych. Gabriel z prawdziwym zainteresowaniem przeczytał artykuł w ekspresie Amtrak Acela z Waszyngtonu do Nowego Jorku. Siedząca obok niego waszyngtońska konsultantka polityczna przez całą podróż krzyczała w swój telefon komórkowy. Co dwadzieścia minut wagon przemierzał policjant w paramilitarnym stroju wraz z psem szkolonym w odnajdywaniu materiałów wybuchowych. Wyglądało na to, że Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego wreszcie zrozumiał, że pociągi Amtrak to rozpędzone katastrofy terrorystyczne, które tylko czekają, żeby się zdarzyć.

Kiedy Gabriel wyłonił się z Penn Station, powitał go siekący deszcz. Pomimo to przez następną godzinę wędrował ulicami środkowego Manhattanu. Na rogu Lexington Avenue i Sześćdziesiątej Trzeciej Wschodniej ujrzał Chiare oglądającą z zainteresowaniem wystawę sklepu z butami, do prawego ucha przyciskała telefon komórkowy. Gdyby trzymała go przy lewym uchu, znaczyłoby to, że Gabriel jest obserwowany. Prawe ucho oznaczało, że droga wolna i może bezpiecznie podążać do celu.

Szedł przez miasto w stronę Piątej Alei. Dina przysiadła na kamiennym murku okalającym Central Park, na szyi miała czarno-białą arafatkę. Kilka metrów na południe Eli Lawon kupował napój owocowy od ulicznego sprzedawcy. Gabriel minął go bez słowa i skierował się ku straganom z używanymi książkami na rogu Sześćdziesiątej Wschodniej. Przy jednym z ustawionych na kozłach stołów stała samotnie atrakcyjna kobieta, jakby chciała czymś wypełnić kilka minut przed umówionym spotkaniem. Przez parę sekund po przybyciu Gabriela głowę wciąż miała spuszczoną, ale potem ją podniosła i przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Miała ciemne włosy, oliwkową cerę i wielkie brązowe oczy. Błady uśmiech ożywiał jej twarz. Nie po raz pierwszy Gabriel odnosił niepokojące wrażenie, że przygląda mu się postać z obrazu.

- Czy naprawdę było konieczne, żebym jechała tym cholernym metrem? - spytała z urazą Zoe Reed z tym swoim akcentem z londyńskich wyższych sfer.

- Musieliśmy mieć pewność, że nikt cię nie śledzi.

- Z twojej obecności wnioskuję, że nikt.

- Jesteś czysta.

- Co za ulga - odparła figlarnie. - W takim razie możesz mnie zabrać do hotelu Pierre

na drinka. Byłam na antenie od szóstej rano.

- Obawiam się, że twoja twarz jest zdecydowanie zbyt znana, byśmy mogli tam pójść. Odkąd przyjechałaś do Ameryki, stałaś się prawdziwą gwiazdą.

- Zawsze byłam gwiazdą - odrzekła żartobliwie. - Tyle że to się nie liczy, dopóki nie znajdziesz się w telewizji.

- Słyszałem, że będziesz miała własny program.

- I to w czasie najwyższej oglądalności. To mają być błyskotliwe aktualności z naciskiem na sprawy ogólnoswiatowe i biznes. Może chciałbyś wystąpić w pierwszym odcinku? - Zniżyła głos i dodała konspiracyjnie: - Moglibyśmy wreszcie powiedzieć światu, jak razem unicestwiliśmy irański program nuklearny. Ta historia ma wszystkie elementy kasowego hitu. Chłopak spotyka dziewczynę. Chłopak uwodzi dziewczynę. Dziewczyna wykrada chłopakowi tajemnice i przekazuje je tajnym służbom izraelskim.

- Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek w to uwierzył.

- Ale na tym właśnie polega urok wiadomości amerykańskiej kablówki, skarbie. Nie muszą być wiarygodne. Wystarczy, że będą rozrywkowe. - Otarła kroplę deszczu z policzka, po czym spytała: - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Mam nadzieję, że nie chodzi o kolejną kontrolę bezpieczeństwa.

- Nie zajmuję się kontrolami bezpieczeństwa.

- Nie, pewnie nie. - Podniosła ze stołu jakąś powieść i pokazała okładkę Gabrielowi. - Czytałeś to? Bohater jest trochę podobny do ciebie: humorzasty, egotyczny, ale jednocześnie obdarzony wrażliwością, której kobiety nie potrafią się oprzeć.

- Ta jest bardziej w moim guście - powiedział, wskazując podniszczoną monografię Rembrandta.

Zoe roześmiała się.

- Pozwól, że ci ją kupię.

- Nie zmieści mi się do torby. Zresztą mam już egzemplarz.

- No jasne. - Odłożyła powieść na miejsce i jakby od niechcienia zerknęła w górę Piątej Alei. - Widzę, że wzięłeś ze sobą dwoje pomocników. Zdaje mi się, że nazywałeś ich Max i Sally, kiedy byliśmy w tamtej kryjówce w Highgate. Nie powiem, żeby to były zbyt realistyczne ksywy. Lepiej by pasowały do piesków rasy welsh corgi niż do profesjonalnych szpiegów.

- Nie ma żadnej kryjówki w Highgate, Zoe.

- Ach, tak, pamiętam. To był tylko zły sen. - Zdobyła się na przelotny uśmiech. - Właściwie nie był taki c a ł k i e m zły, co, Gabrielu? Prawdę powiedziawszy, wszystko

szło dosyć gładko aż do końca. Ale tak to już jest ze sprawami sercowymi. Zawsze kończą się katastrofą i zawsze ktoś cierpi. Zazwyczaj dziewczyna.

Podniosła monografię Rembrandta i kartkowała ją, aż doszła do obrazu zatytułowanego *Portret młodej kobiety*.

- Jak sądzisz, o czym ona myśli? - spytała.

- Zastanawia się - odparł Gabriel.

- Nad czym?

- Dlaczego mężczyzna z jej niedawnej przeszłości znów się pojawił bez uprzedzenia.

- No więc dlaczego?

- Chce ją prosić o przysługę.

- Kiedy ostatnim razem prosił ją o przysługę, omal przez to nie zginęła.

- Nie chodzi o przysługę tego rodzaju.

- A o jaką?

- To pomysł do jej nowego programu informacyjnego w telewizji kablowej w czasie największej oglądalności.

Zoe zamknęła książkę i odłożyła ją na stół.

- Ona słucha. Ale nie próbuj jej zwodzić. Pamiętaj, Gabrielu, ona jest jedyną osobą na świecie, która wie, kiedy kłamiesz.

*

Deszcz ustał, gdy weszli do parku. Powoli minęli zegar Delacorte, następnie skierowali się w stronę Literary Walk. Zoe głównie słuchała w skupieniu, przerywając jedynie, by zakwestionować słowa Gabriela albo coś wyjaśnić. Pytania, jakie zadawała, świadczyły o inteligencji i przenikliwości, dzięki którym należała do najbardziej szanowanych i siejących postrach dziennikarzy śledczych na świecie. W swojej błyskotliwej karierze Zoe Reed popełniła tylko jeden błąd - zakochała się w czarującym szwajcarskim biznesmenie, który, bez jej wiedzy, sprzedawał zakazane materiały nuklearne Islamskiej Republice Iranu. Zoe odpokutowała za swoje grzechy, gdy zgodziła się połączyć siły z Gabrielem i jego sojusznikami z brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu. Rezultatem tej operacji był zrujnowany irański program nuklearny.

- Czyli wstrzykujecie forszę do siatki terrorystycznej - powiedziała - i ta forsa przy odrobinie szczęścia będzie wędrować krwiobiegem, aż dotrze do głowy.

- Sam nie ująłbym tego lepiej.

- No a co potem?

- Odcinamy głowę.

- Co to znaczy?

- Sądzę, że to zależy wyłącznie od okoliczności.

- Nie wciskaj mi kitu, Gabrielu.

- To może oznaczać aresztowanie ważnych członków siatki, Zoe. Albo też coś bardziej ostatecznego.

- Ostatecznego? Cóż za elegancki eufemizm.

Gabriel zatrzymał się przed posągiem Szekspira, ale nic nie powiedział.

- Nie wezmę udziału w zabijaniu, Gabrielu.

- Wolisz wziąć udział w kolejnej masakrze, jak ta w Covent Garden?

- To poniżej nawet twojej godności, skarbie.

Gabriel skłonił głowę, przyznając jej rację. Następnie ujął Zoe za łokieć i poprowadził ją ścieżką.

- Zapominasz o jednej ważnej rzeczy - powiedziała. - Zgodziłam się współpracować z tobą i twoimi przyjaciółmi przy sprawie Iranu, ale to nie znaczy, że porzuciłam moje wartości. W głębi ducha pozostałam dość ortodoksyjną lewicową dziennikarką. I będąc nią, sądzę, że istotne jest, byśmy walczyli z globalnym terroryzmem w taki sposób, żeby nie sprzeniewierzać się naszym podstawowym zasadom.

- Tego typu dosadne uwagi brzmią wspaniale z zacisza studia telewizyjnego, ale obawiam się, że w realnym świecie to tak nie działa. - Gabriel umilkł, po czym dodał: - Pamiętasz jeszcze realny świat, Zoe?

- Nadal mi nie wyjaśniłeś, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

- Chcielibyśmy, żebyś nas komuś przedstawiła. Jedyne, co będziesz musiała zrobić, to zacząć rozmowę. A potem wycofasz się po cichu na drugi plan i już cię więcej nie zobaczymy.

- Mam nadzieję, że wciąż będę miała głowę na karku. - Żartowała, ale tylko trochę. - Czy to ktoś, kogo znam?

Gabriel odczekał, aż minie ich zakochana para, zanim wymówił to nazwisko. Zoe przystanęła i uniosła brew.

- Mówisz poważnie?

- Wiesz dobrze, że to pytanie nie na miejscu, Zoe.

- To jedna z najbogatszych kobiet na świecie.

- Właśnie o to chodzi.

- Tak się również składa, że jak ognia unika kontaktów z mediami.

- Ma po temu dobry powód.

Zoe znów ruszyła przed siebie.

- Pamiętam wieczór, kiedy jej ojciec został zabity w Cannes - powiedziała. - Według doniesień prasowych była u jego boku, kiedy padły strzały. Świadkowie twierdzą, że umarł w jej objęciach. To musiało być traumatyczne przeżycie.

- Słyszałem. - Gabriel obejrzał się przez ramię i zobaczył Eliego Lawona idącego kilka metrów za nimi, pod prawą pachą trzymał notatnik w płóciennym oprawie i wyglądał jak poeta szukający inspiracji. - Przyglądałaś się kiedyś bliżej tej sprawie?

- Cannes? - Zoe zmrużyła oczy. - Trochę wokół tego szperałam.

- I?

- Nigdy nie udało mi się znaleźć nic wystarczająco pewnego, by to opublikować. W londyńskich kręgach finansowych popularna była teoria, że został zabity w wyniku jakichś wewnętrznych saudyjskich porachunków. Podobno był w to zamieszany pewien książę, pomniejszy członek rodziny królewskiej, który miał kilka starć z europejską policją i obsługą hotelową. - Popatrzyła na Gabriela. - Pewnie mi powiesz, że za tą historią kryje się coś więcej.

- Są rzeczy, które mogę ci powiedzieć, Zoe, i są takie, których nie mogę. To dla twojego własnego bezpieczeństwa.

- Jak ostatnim razem?

Gabriel przytaknął.

- Właśnie tak.

Kilka metrów przed nimi Chiara siedziała samotnie na ławce. Zoe udało się nie spojrzeć na nią, kiedy przechodzili obok. Poszli jeszcze kawałek dalej, do pergoli z wisterią, i przysiedli tam. Znów zaczął padać deszcz, a Gabriel wyjaśnił Zoe, czego dokładnie od niej oczekuje.

- A co będzie, jeśli ona się wkurzy i postanowi powiedzieć moim szefom, że pracuję dla izraelskiego wywiadu?

- Ona ma zbyt wiele do stracenia, żeby wykręcić taki numer. Poza tym kto by uwierzył w tak szalone oskarżenie? Zoe Reed jest jedną z najbardziej szanowanych dziennikarek na świecie.

- Znam pewnego szwajcarskiego biznesmena, który mógłby się nie zgodzić z tym stwierdzeniem.

- To akurat najmniejsze z naszych zmartwień.

Zoe milczała, z zamyślenia wyrwało ją dzwonienie jej BlackBerry. Wydobyła telefon z torebki i wyraźnie wzburzona w milczeniu wpatrywała się w ekran. Kilka sekund później

komórka Gabriela zaczęła wibrować w kieszeni kurtki. Zdołał zachować obojętny wyraz twarzy, gdy czytał wiadomość.

- Wygląda na to, że nie były to jednak niewinne pogłoski - powiedział. - Nadal uważasz, że powinniśmy walczyć z tymi potworami tak, by nie sprzeniewierzać się swoim zasadniczym wartościom? Czy też może zechciałabyś wrócić na chwilę do realnego świata i pomóc nam ocalić życie niewinnych ludzi?

- Nie mamy gwarancji, że ona w ogóle będzie chciała ze mną rozmawiać, nawet jeśli się do niej dodzwonię.

- Będzie chciała - zapewnił ją Gabriel. - Tobie nikt nie odmówi.

Poprosił Zoe o jej komórkę. Dwie minuty później, kiedy już ściągnął plik ze strony oferującej jakoby podróż do Ziemi Świętej w okazjijnej cenie, zwrócił jej telefon.

- Wszystkie negocjacje prowadź za pośrednictwem tego urządzenia. Jeśli będziesz chciała przekazać nam coś bezpośrednio, po prostu powiedz to w pobliżu telefonu. Będziemy słuchać cały czas.

- Jak ostatnim razem?

Gabriel przytaknął.

- Dokładnie tak samo.

Zoe wsunęła telefon do torebki i wstała. Gabriel patrzył, jak się oddala, a w ślad za nią Lawon i Chiara. Przez kilka minut siedział samotnie, czytając pierwsze serwisy informacyjne. Wyglądało na to, że Raszid i Malik właśnie zrobili kolejny krok przybliżający ich do Ameryki.

Gorzej już być nie może.

22.

MADRYT - PARYŻ

W Madrycie zapanowało dawne samozadowolenie, ale to było do przewidzenia. Minęło siedem lat od śmiertelnych zamachów bombowych w pociągach i wspomnienia tamtego straszego poranka dawno już przyblakły. W odpowiedzi na masakrę swych obywateli Hiszpania wycofała oddziały z Iraku i wprowadziła „przymierze cywilizacji”, jak to określała, ze światem islamu. Działania te, jak twierdzili komentatorzy polityczni, spowodowały przeniesienie muzułmańskiej wściekłości z Hiszpanii do Ameryki, gdzie było jej miejsce. Poddanie się życzeniom Al-Kaidy miało uchronić Hiszpanię przed kolejnym atakiem. Takie w każdym razie było założenie.

Bomba wybuchła o 21:12 na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic w pobliżu Puerta del Sol. Została zmontowana w wynajętym garażu w dzielnicy przemysłowej po południowej stronie miasta i ukryta w dostawczym peugeocie. Dzięki przemyślnej konstrukcji początkowa siła uderzenia została skierowana w lewo, do restauracji popularnej wśród hiszpańskich elit rządowych. Relacja z pierwszej ręki była niemożliwa do uzyskania, gdyż nie przeżył nikt, kto mógłby opowiedzieć, co dokładnie stało się w środku. Gdyby ktoś ocalał, opisałby krótki, acz potworny moment, kiedy to ciała unosiły się w powietrzu w śmiercionośnej chmurze szkła, sztućców, porcelany i krwi. Potem zawalił się cały budynek, grzebiąc razem zmarłych i umierających pod górą gruzów.

Straty przerosły nawet oczekiwania terrorysty. Fasady sąsiednich domów zostały zdmuchnięte na całym odcinku między dwiema przecznicami, wystawiając na widok publiczny życie, które jeszcze kilka sekund wcześniej toczyło się spokojnie. Kilka pobliskich sklepów i kawiarni doznało strat zarówno materialnych, jak i w ludziach, a niewielkie drzewka, którymi obsadzona była ulica, zostały odarte z liści albo wręcz wyrwane z korzeniami. Nigdzie nie było widać pozostałości peugeota, jedynie wielki krater w jezdni, w miejscu, gdzie przedtem stał. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin śledztwa hiszpańska policja była przekonana, że bombę detonowano zdalnie. Później odkryli rozpryskane wśród ruin DNA shahida. Był nim zaledwie dwudziestoletni bezrobotny marokański stolarz z madryckiej dzielnicy Lavapiés. W pożegnalnym filmie, który nagrał przed śmiercią, wyrażał się ciepło o Jakubie al-Mansurze, dwunastowiecznym kalifie z dynastii Almohadów, znanym z krwawych najazdów na kraje chrześcijańskie.

W takich właśnie potwornych okolicznościach Zoe Reed z amerykańskiej sieci

telewizyjnej z wiadomościami gospodarczymi CNBC po raz pierwszy zadzwoniła do działu reklamy firmy AAB Holdings, dawniej z Rijadu i Genewy, ostatnio mieszczącej się przy bulwarze Haussmanna, w dziewiątej dzielnicy Paryża. Było dziesięć po czwartej po południu, pogoda w Paryżu pochmurna zgodnie z przewidywaniami. Pytanie dziennikarki nie doczekało się natychmiastowej odpowiedzi, zgodnie z obowiązującym protokołem AAB.

Corocznie wymieniana przez magazyn „Forbes” jako jedna z najlepiej prosperujących i najbardziej nowatorskich firm inwestycyjnych na świecie, AAB Holdings została założona w roku 1979 przez Abdula Aziza al-Bakariego. Znany wśród przyjaciół i krytyków jako Zizi, al-Bakari był dziewiętnastym synem znanego saudyjskiego kupca, który pełnił rolę osobistego bankiera i doradcy finansowego Ibn Sauda, założyciela Królestwa i pierwszego monarchy absolutnego. AAB Holdings było równie ekstensywne, co lukratywne. AAB zajmowało się transportem morskim i górnictwem. AAB zajmowało się chemikaliami i lekami. AAB posiadało znaczące udziały w amerykańskich i europejskich bankach. Dział nieruchomości i hotelarstwa AAB należał do największych na kuli ziemskiej. Zizi podróżował po świecie pozłacanym 747, był właścicielem szeregu pałaców ciągnących się od Rijadu po Riwierę Francuską oraz Aspen i żeglował po morzach jachtem „Alexandra” o wielkości liniowca. Jego zbiory impresjonistów i sztuki współczesnej uchodziły za jedną z największych prywatnych kolekcji. Przez krótki czas obejmowała również *Marguerite Gachet przy toaletce* Vincenta van Gogha, obraz zakupiony w galerii Isherwood Fine Arts, mieszczącej się przy Mason's Yard 7-8 w St James's w Londynie. W sprzedaży pośredniczyła młoda Amerykanka o nazwisku Sara Bancroft, która przez pewien czas była głównym doradcą artystycznym Ziziego.

Zizi był przedmiotem wielu plotek, dotyczących zwłaszcza źródła jego ogromnego majątku. Efektowna broszura informacyjna AAB podawała, że firma została zbudowana w całości na bazie skromnego spadku, jaki Zizi odziedziczył po ojcu, fakt ten jednak - po starannym zbadaniu problemu - podało w wątpliwość wiarygodne amerykańskie czasopismo branżowe. Nadzwyczajną płynność finansową AAB, stwierdzono tam, może tłumaczyć tylko jedno: firma stanowi przykrywkę dla cichego reinwestowania przez dynastię Saudów petrodolarów na całym świecie. Oburzony artykułem Zizi groził, że wytoczy pismu proces. Później, za radą swoich prawników, zmienił jednak zdanie. „Najlepszą zemstą jest mieć udane życie” - powiedział dziennikarzowi „Wall Street Journal”. - „A o to akurat potrafię zadbać”.

Być może, choć kilku zachodnich przyjaciół, którzy zostali dopuszczeni do ścisłego grona zaufanych osób, zawsze wyczuwało w nim pewien niepokój. Zizi wydawał wystawne

przyjęcia, ale sam jakoś nie potrafił czerpać z nich przyjemności. Nie palił ani nie pił alkoholu i nie uznawał psów ani wieprzowiny. Modlił się pięć razy dziennie; każdej zimy, kiedy pod wpływem deszczów saudyjska pustynia rozkwitała, zaszywał się w odosobnionym obozie w Nadżdzie, gdzie medytował i polował z sokołami. Twierdził, że jest potomkiem Muhammada Abdula Wahhaba, osiemnastowiecznego kaznodziei, którego surowa, purytańska wersja islamu stała się oficjalnym credo Arabii Saudyjskiej. Budował meczety na całym świecie, w tym kilka w Ameryce i Europie Zachodniej, i hojnie wspomagał Palestyńczyków. Firmy, które chciały robić interesy z AAB, wiedziały, że na spotkanie z Zizim nie należy wysyłać Żyda. Jeśli wierzyć plotkom, Zizi nie lubił Żydów znacznie bardziej niż strat w swoich inwestycjach.

Jak się okazało, dobroczynna działalność Ziziego sięgała znacznie dalej, niż było powszechnie wiadomo. Równie hojnie wspomagał organizacje związane z islamskim ekstremizmem, a nawet bezpośrednio samą Al-Kaidę. Ostatecznie przekroczył cienką, acz wyraźną granicę dzielącą tych, którzy finansowali i umożliwiali terroryzm, od samych terrorystów. Rezultatem tego był atak na Watykan, który pozbawił życia ponad siedemset osób i zrujnował kopułę Bazyliki św. Piotra. Przy pomocy Sary Bancroft Gabriel dopadł człowieka, który zaplanował atak - zbuntowanego oficera saudyjskiego wywiadu, nazwiskiem Ahmed bin Szafik - i zabił go w hotelowym pokoju w Stambule. Tydzień później na Quai Saint-Pierre w Cannes zabił również Ziziego.

Pomimo swego przywiązania do saudyjskich tradycji Zizi miał tylko dwie żony, z obiema się rozwiódł, i jedno dziecko - piękną córkę imieniem Nadia. Pochowała ojca zgodnie z tradycją wahhabicką, w nieoznakowanym grobie na pustyni, i natychmiast przejęła kontrolę nad jego majątkiem. Przeniosła główną europejską siedzibę AAB z Genewy, która ją nudziła, do Paryża, gdzie czuła się swobodniej. Kilku bardziej pobożnych pracowników odmówiło poddania się władzy kobiety - zwłaszcza takiej, która unikała zasłaniania twarzy i spożywała alkohol - ale większość została. Pod przewodnictwem Nadii firma wkroczyła na nieznane dotychczas obszary. Nadia nabyła słynny francuski dom mody, firmę włoskiego producenta luksusowych wyrobów ze skóry, znaczną część amerykańskiego banku inwestycyjnego oraz niemiecką wytwórnię filmową. Wprowadziła także istotne zmiany w swoich osobistych aktywach. Ogromna liczba domów i posiadłości ojca została po cichu wystawiona na sprzedaż, podobnie jak „Alexandra” i jego boeing 747. Nadia podróżowała teraz skromniejszym boeingiem business jetem i miała tylko dwa domy - elegancką rezydencję przy Avenue Foch w Paryżu i wystawny pałac w Rijadzie, gdzie rzadko bywała. Pomimo braku formalnego przygotowania do zarządzania firmą okazała się zręcznym i wprawnym

menedżerem. Całkowita wartość aktywów znajdujących się obecnie pod rządami AAB była wyższa niż kiedykolwiek w historii firmy, a Nadia al-Bakari, w wieku zaledwie trzydziestu trzech lat, uchodziła za jedną z najbogatszych kobiet na świecie.

Relacje AAB z mediami, o ile w ogóle istniały, wchodziły w zakres obowiązków asystentki Nadii, dobrze się trzymającej pięćdziesięcioletniej Francuzki, nazwiskiem Yvette Dubois. Madame Dubois rzadko raczyła reagować na prośby dziennikarzy, zwłaszcza tych zatrudnionych przez amerykańskie firmy. Ale kiedy odebrała drugi telefon od słynnej Zoe Reed, uznała, że wymaga on jednak jakiejś odpowiedzi. Pozwoliła, by upłynął kolejny dzień, po czym, na dokładkę, zadzwoniła w środku nocy, według nowojorskiego czasu, kiedy to, jak sądziła, panna Reed będzie spała. Z powodów nieznanych madame Dubois jej przypuszczenia okazały się jednak mylące. Rozmowa, którą odbyły, była serdeczna, ale niezbyt obiecująca. Madame Dubois wyjaśniła, że propozycja godzinnego wydania specjalnego w czasie najwyższej oglądalności, choć pochlebna, absolutnie nie wchodzi w rachubę. Panna al-Bakari ciągle podróżuje, a w najbliższym czasie czeka ją finalizacja kilku dużych transakcji. Przed wszystkim jednak panna al-Bakari nie udziela takich wywiadów, jakie panna Reed ma na myśli.

- Czy przekaże jej pani chociaż moją prośbę?
- Przekażę - odparła Francuzka - ale szanse są marne.
- Ale nie zerowe? - drążyła Zoe.
- Nie bawmy się w gierki słowne, panno Reed. To poniżej naszej godności.

*

Ostatnia uwaga madame Dubois spowodowała wybuch jakże potrzebnego śmiechu w Château Treville, osiemnastowiecznej rezydencji znajdującej się na północ od Paryża, tuż za miasteczkiem Seraincourt. Zasłonięta przed wścibskimi oczami trzyipółmetrowym murem posiadłość obejmowała podgrzewany basen, dwa ceglaste korty tenisowe, trzydzieści dwa akry wypielęgnowanych terenów zielonych i czternaście ozdobnych sypialni. Gabriel wynajął ją w imieniu niemieckiej firmy specjalizującej się w zaawansowanych technologiach, która istniała wyłącznie w wyobraźni radcy prawnego Biura, i natychmiast przesłał rachunek Ariemu Szamronowi na Bulwar Króla Saula. W normalnych okolicznościach Szamron narzekałby na wygórowane koszty. Teraz natomiast nie bez przyjemności przekazał rachunek do Langley, które wzięło na siebie odpowiedzialność za wszystkie wydatki operacyjne.

Przez następnych kilka dni Gabriel i jego zespół większość czasu spędzali na monitorowaniu BlackBerry Zoe, służącemu teraz jako niestrudzony mały elektroniczny szpieg w jej kieszeni. Znali dokładne współrzędne geograficzne miejsca jej pobytu, a kiedy

była w ruchu, znali prędkość, z jaką się przemieszczała. Wiedzieli, kiedy kupuje poranną kawę w Starbucks, kiedy tkwi w nowojorskim korku i kiedy się wścieka na swoich producentów, co zdarzało się często. Śledząc jej poczynania w internecie, wiedzieli, że planuje remont swego mieszkania w Upper West Side. Czytając jej e-maile, wiedzieli, że ma licznych wielbicieli, w tym giełdjarza milionera, który mimo ciężkich strat znajdował jakoś czas, by wysłać jej co najmniej dwie wiadomości dziennie. Czuli, że pomimo swych sukcesów Zoe nie jest w Ameryce całkiem szczęśliwa. Często szeptała im zaszyfrowane pozdrowienia. W nocy spała niespokojnie z powodu sennych koszmarów.

Całej reszcie świata jednakże pokazywała opanowane, nieugięte oblicze. A garstce wybranych, którzy mieli ten zaszczyt, że byli świadkami jej uwodzenia rzeczniczki prasowej AAB, dostarczyła kolejny dowód na to, że jest największym urodzonym szpiegiem, jakiego ktokolwiek z nich kiedykolwiek spotkał. Posługiwała się podręcznikowym zestawem sprawdzonych technik połączonym z nieustępliwą wytrwałością. Zoe schlebiała, Zoe nalegała, a pod koniec jednej szczególnie napiętej rozmowy telefonicznej Zoe zdołała nawet uронić kilka łez. Mimo to madame Dubois okazała się więcej niż godną przeciwniczką. Po tygodniu oznajmiła, że negocjacje utknęły w martwym punkcie, by dwa dni później zmienić front i nieoczekiwanie wysłać Zoe szczegółowy kwestionariusz. Zoe wypełniła dokument, posługując się perfekcyjną francuszczyzną, i odesłała go nazajutrz rano, na co madame Dubois odpowiedziała ciszą radiową. W Château Treville zespół Gabriela popadł w nietypowe dla siebie zwątpienie, gdy kolejnych kilka cennych dni upłynęło bez dalszego kontaktu z jej strony. Jedynie Zoe zachowywała optymizm. W przeszłości wielokrotnie prowadziła podobne negocjacje i wiedziała, że przynęta w końcu zadziała.

- Mam ją, skarbie - wyszeptała do Gabriela którejś nocy, gdy BlackBerry łądował się na jej stoliku nocnym. - To tylko kwestia czasu, kiedy skapitułuje.

Przewidywania Zoe okazały się słuszne, chociaż Francuzka pozwoliła, by upłynęły dodatkowe dwadzieścia cztery godziny, zanim ogłosiła warunkową kapitulację. Uczyniła to w formie niechętnego zaproszenia. Wyglądało na to, że z powodu niespodziewanej zmiany planów panna al-Bakari miała czas, by za dwa dni zjeść z panną Reed lunch. Czy panna Reed byłaby skłonna przylecieć do Paryża w tak krótkim terminie? Zoe, absolutna profesjonalistka, odczekała dziewięćdziesiąt irytujących minut, zanim oddzwoniła i przyjęła zaproszenie.

- Postawmy sprawę jasno - powiedziała madame Dubois. - To nie jest wywiad. Ten lunch będzie całkowicie nieoficjalny. Jeśli panna al-Bakari czuje się w pani obecności swobodnie, rozważy poczynienie kolejnego kroku.

- Gdzie mamy się spotkać?

- Jak się pani zapewne domyśla, pannie al-Bakari trudno byłoby prowadzić interesy w restauracjach. Pozwoliłyśmy sobie zarezerwować apartament Ludwik XV w hotelu de Crillon. Panna al-Bakari oczekuje tam pani o wpół do drugiej. Panna al-Bakari nalega, że to ona zapłaci. To jedna z jej zasad.

- Czy ma jeszcze jakieś, o których powinnam wiedzieć?

- Panna al-Bakari jest czuła na punkcie pytań dotyczących śmierci jej ojca - powiedziała madame Dubois. - I nie rozwodziłabym się też zbytnio na temat islamu i terroryzmu. Panna al-Bakari uważa te tematy za okropnie nudne. *À tout à l'heure*, panno Reed.

23.

PARYŻ

Już po wszystkim zespół będzie wspominać okres przygotowań, który teraz nastąpił, jako jeden z najnieprzyjemniejszych, jakie kiedykolwiek przyszło im znosić. A przyczyną tego był nie kto inny, tylko Gabriel, którego zmienne nastroje rzucały cię na pomieszczenia Château Treville. Miał nieustające zastrzeżenia do rozmieszczenia punktów obserwacyjnych, krytykował plany awaryjne, a nawet rozważał przelotnie, czyby nie wystąpić o zmianę lokalizacji ich francuskiej bazy. W normalnych okolicznościach zespół nie wahałby się protestować, czuli jednak, że coś w tej operacji niepokoi Gabriela. Dina sądziła, że to Covent Garden i straszliwe wspomnienia nieoddanego strzału, ale Eli Lawon odrzucił tę teorię. To nie Londyn tak dręczył Gabriela, wyjaśnił Lawon, tylko Cannes. Tamtego wieczoru Gabriel złamał swoje osobiste zasady: zabił Ziziego na oczach jego córki. Zizi al-Bakari, finansujący masowe morderstwa, zasłużył na śmierć. Ale Nadia, jego jedyne dziecko, nie musiała patrzeć, jak on umiera.

Jedynie Zoe Reed była chroniona przed humorami Gabriela. Spędziła niespieszny ostatni dzień w Nowym Jorku, po czym o wpół do szóstej po południu weszła na pokład samolotu Air France lot numer 17 lecącego do Paryża. Mając doświadczenie w podróżach, zabrała jedynie niewielką torbę z ubraniami na zmianę i walizeczkę mieszczącą laptop i ważne papiery, w tym również teczkę ze ściśle tajnymi materiałami oraz szczegółowy instruktaż dotyczący strategii spotkania na lunchu. Te ostatnie dokumenty zostały jej wręczone krótko po starcie przez siedzącego obok niej agenta z nowojorskiej placówki Biura i odebrane krótko przed lądowaniem.

Będąc wciąż w posiadaniu brytyjskiego paszportu, Zoe - jako obywatelka Unii Europejskiej - błyskawicznie przeszła kontrolę graniczną i pojechała do miasta wynajętą limuzyną. Dochodziła dziewiąta, kiedy dotarła do hotelu Crillon; zameldowała się, w swoim pokoju przebrała w dres i poszła pobiegać po ścieżkach Ogrodów Tuileries. O wpół do dwunastej pojawiła się w ekskluzywnym hotelowym salonie fryzjerskim, żeby umyć i wysuszyć włosy, po czym wróciła do pokoju, żeby przebrać się na lunch. Wyszła z pokoju przed czasem i czekała w eleganckim holu, splótnszy dłonie, by ukryć zdenerwowanie, kiedy majestatyczny zegar stojący wybił kwadrans po dwunastej.

W hotelu Crillon to był spokojny okres, coroczne zawieszenie broni pomiędzy nieprzerwaną walką letniego sezonu i najeżoną celebrytami zasadzką ferii zimowych.

Monsieur Didier, szef recepcji, stał za swoją barykadą, złote okulary do czytania, w kształcie półksiężyców, zsunął na czubek królewskiego nosa i wyglądał na ostatniego człowieka na ziemi, którego ktokolwiek mógłby prosić o jakąkolwiek pomoc. Herr Schmidt, importowany z Niemiec kierownik dziennej zmiany, stał parę metrów dalej, trzymając telefon przy uchu, podczas gdy Isabelle, koordynatorka specjalnych imprez, poprawiała orchidee w lśniącym czystością holu wejściowym. Jej starania pozostawały praktycznie niezauważone przez wyraźnie znudzonego arabskiego biznesmena siedzącego przy windach i przez zakochaną parę przytuloną do siebie nad filiżankami café crèmes w chłodnym cieniu wewnętrznego patio. Biznesmen był w rzeczywistości jednym z licznych pracowników działu ochrony AAB. Zakochanymi byli Jakow i Chiara. Pracownicy hotelu uważali ich za sympatyczną parę z Montrealu, która pod wpływem chwili postanowiła wpaść do Paryża, by pocieszyć przyjaciela będącego w trakcie przykrew sprawy rozwodowej.

Gdy zegar wybił wpół do pierwszej, Isabelle podeszła do drzwi i spojrzała wyczekująco na ponurą paryską ulicę pod ołowianym niebem. Zoe zerknęła w stronę dziedzińca i zobaczyła, że Jakow postukuje pudełkiem zapalek o blat stolika. To był umówiony sygnał oznaczający, że kawalkada samochodów - dwa mercedesy sedany klasy S dla służby i maybach 62 dla Jej Wysokości - wyruszyła spod gmachu AAB przy bulwarze Haussmanna i zmierzała w kierunku hotelu. W tej chwili samochody tkwiły akurat w korku na wąskiej rue de Miromesnil. Kiedy już pokonały te utrudnienia, zaledwie pięć minut zajęło im dotarcie pod wejście do hotelu Crillon, gdzie stała teraz Isabelle, otoczona z obu stron przez atrakcyjniejszą połowę hotelowej obsługi. Tajny ochroniarz z AAB przestał już udawać znudzenie. Sterczał teraz tuż nad Zoe, nie starając się nawet ukryć, że jest uzbrojony.

Na zewnątrz sześć par samochodowych drzwiczek otworzyło się równocześnie i wyłoniło się z nich sześciu mężczyzn, sami byli członkowie elitarniej Saudyjskiej Gwardii Narodowej. Jednego z nich Gabriel i reszta zespołu znali: Rafiq al-Kamal, niegdyś krzepki szef osobistej ochrony Ziziego al-Bakariego, pełniący obecnie tę samą funkcję wobec jego córki. To właśnie al-Kamal dokonał wcześniejszego sprawdzenia hotelu tego ranka. I to al-Kamal szedł teraz krok za Nadią, gdy ta z gracją sunęła ze swego maybacha do holu, w którym stała Zoe z porcelanowym uśmiechem przyklejonym do twarzy i z sercem walącym w piersi.

W archiwach Bulwaru Króla Saula znajduje się wiele zdjęć młodszej wersji Nadii, czy też, jak mawiał z upodobaniem Eli Lawon, Nadii sprzed upadku. Zoe udostępniono część co bardziej reprezentatywnych ujęć podczas lotu z Nowego Jorku. Ukazywały rozkapryszoną dwudziestokilkulatkę o mrocznej urodzie, zepsutą i wyniosłą. To była dziewczyna, która za

plecami ojca paliła papierosy i piła alkohol, a także, wbrew naukom Mahometa, odsłaniała ciało na niektórych z najwspanialszych plaż świata. Śmierć ojca wyprostowała postawę Nadii i przydała powagi jej spojrzeniu, ale bynajmniej nie umniejszyła jej urody. Miała na sobie przepiękną sukienkę w kolorze złamanej bieli, a jej proste ciemne włosy opadały na plecy niczym atlasowa peleryna. Nos miała długi i prosty. Oczy wielkie i niemal czarne. Karmelową skórę szyi zdobiły perły. Na szczupłym nadgarstku połyskiwała gruba złota bransoleta. Roztaczała wokół odurzający zapach jaśminu, lawendy i słońca. Jej dłoń, gdy witała się z Zoe, była chłodna niczym marmur.

- Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać - oznajmiła Nadia z akcentem, który nie zdradzał jej pochodzenia, a jedynie niezgłębione bogactwo. - Tyle słyszałam o pani pracy.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, z jakimś wysiłkiem, tak że ten ostrożny uśmiech nie objął w pełni oczu. Zoe miała lekko klaustrofobiczne odczucia w otoczeniu tyłu ochroniarzy, ale Nadia zachowywała się tak, jakby w ogóle nie zauważała ich obecności.

- Przepraszam, że ściągnęłam panią do Paryża w tak krótkim terminie.

- Ależ nie ma za co, panno al-Bakari.

- Nadia - powiedziała panna al-Bakari, uśmiechając się teraz szczerze. - Nalegam, byśmy mówiły sobie po imieniu.

Al-Kamal wyraźnie zaniepokojony pragnął, podobnie jak madame Dubois, która kołysała się nieznacznie, przestępując z pięt na palce, przenieść spotkanie z holu w głąb hotelu. Zoe poczuła nagle, że niewidoczna ręka ujmuje ją za łokieć i kieruje w stronę wind. Wcisnęła się do jednej z nich obok Nadii i jej ochroniarzy i musiała nieco się skulić, by drzwi się zamknęły. W tej ciasnej przestrzeni zapach jaśminu i lawendy był lekko halucynogeny. W oddechu Nadii czuła także nikłą woń ostatniego wypalonego przez nią papierosa.

- Często bywasz w Paryżu, Zoe?

- Nie tak często jak kiedyś - odparła.

- Zatrzymywałaś się już w Crillonie?

- Nie, jestem tu po raz pierwszy.

- Naprawdę musisz pozwolić, żebym zapłaciła za twój pobyt.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odrzekła Zoe z uprzejmym uśmiechem.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Poza tym to by było nieetyczne.

- Jak to?

- Mogłoby stwarzać wrażenie, że przyjmę coś wartościowego w zamian za korzystne

ukazanie twojej osoby. Moja firma nie pozwala na to. Jak zresztą większość przedsiębiorstw dziennikarskich, a w każdym razie te szanowane.

- Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

- Szanowane przedsiębiorstwo dziennikarskie? - Zoe uśmiechnęła się poufale. - Jest jedno czy dwa.

- Wliczając twoje?

- Wliczając moje - potwierdziła Zoe. - Właściwie czułabym się swobodniej, gdybym to ja mogła zapłacić za lunch.

- Nie bądź niemądra. Zresztą - dodała Nadia - jestem pewna, że słynna Zoe Reed nigdy nie pozwoliłaby, by miły lunch w paryskim hotelu w jakikolwiek sposób wpłynął na jej bezstronność.

Resztę jazdy odbyły w milczeniu. Kiedy drzwi windy wreszcie otwarły się z turkotem, al-Kamal dokonał oględzin korytarza, zanim szybkim krokiem poprowadził Zoe i Nadię do apartamentu Ludwik XV. Klasyczne francuskie salonowe meble zostały przestawione w taki sposób, by sprawiały wrażenie eleganckiej prywatnej jadalni. Przy wysokich oknach wychodzących na Place de la Concorde stał okrągły stół nakryty dla dwóch osób. Nadia z aprobatą rozejrzała się po pokoju, po czym zgasila świeczkę palącą się pośród kryształów i sreber. Następnie sugestywnym spojrzeniem swych ciemnych oczu zaprosiła Zoe, by usiadła.

Tu nastąpiło kilka komediowych chwil rozpościerania serwetek, zamykania drzwi, ukradkowych spojrzeń i cichej wymiany zdań - niektórych po francusku, niektórych po arabsku. Wreszcie, wobec nalegań Nadii, ochroniarze wycofali się na korytarz, wraz z madame Dubois, w której perspektywa pozostawienia szefowej sam na sam ze sławną dziennikarką wyraźnie wywoływała zaniepokojenie. Sommelier nalał kilka kropli Montrachet do kieliszka Nadii. Nadia wyraziła swoją aprobatę dla wina, po czym spojrzała na BlackBerry Zoe, który spoczywał na stole niczym nieproszony gość.

- Mogłabyś go wyłączyć? - spytała lekkim na pozór tonem.

- W dzisiejszych czasach człowiek nie może być nazbyt ostrożny, jeśli chodzi o urządzenia elektroniczne. Nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.

- Doskonale rozumiem twoje obiekcje - odparła Zoe.

Nadia odstawiła kieliszek na stół i powiedziała:

- Cieszę się.

*

Gdyby nie miniaturowy nadajnik starannie ukryty w hotelowym apartamencie, te dwa słowa, jednocześnie niewinne i złowrogie, mogłyby być ostatnimi, jakie usłyszał mężczyzna

średniego wzrostu i budowy przemierzający pokoje zamku na północ od Paryża. A tak kilkoma uderzeniami w klawiaturę swego laptopa mógł wznowić podsłuch jedynie po krótkiej przerwie. Tymczasem para z Montrealu opuściła dziedziniec Crillona, a na ich miejscu pojawiły się dwie kobiety po trzydziestce. Jedna miała włosy w kolorze piaskowca i szerokie biodra; druga była ciemnowłosa i lekko utykała. Udawała, że czyta paryski magazyn mody. Pomagało jej to wyciszyć zegar tykający bezustannie w jej głowie.

Rekrutacja nowych agentów czasem przypomina uwodzenie, czasem graniczy z szantażem, a czasem jest niczym balet ciężko rannych. Ale nawet Ari Szamron, który przebywał w świecie tajnych służb dłużej niż ktokolwiek inny, przyznał po wszystkim, że jeszcze nigdy nie był świadkiem takiego wyczynu jak werbunek Nadii al-Bakari. Wysłuchawszy pierwszego aktu przez bezpieczne łącze na Bulwarze Króla Saula, oświadczył, że była to jedna z najbardziej mistrzowskich rozgrywek, z jakimi kiedykolwiek miał do czynienia. Jego pochwała była tym bardziej wartościowa, że dotyczyła osoby reprezentującej profesję, dla której Szamron żywił wyłącznie pogardę.

Gabriel polecił swojej werbującej, żeby działała powoli, i tak też zrobiła. Przez pierwszą godzinę spotkania, gdy kelnerzy bezszelestnie wchodzili i wychodzili z apartamentu, Zoe z szacunkiem pytała Nadię o liczne zmiany wprowadzone do profilu inwestycyjnego AAB, a także o wyzwania, które stawiała przed nią niekończąca się globalna recesja. Ku zaskoczeniu Gabriela niedostępna saudyjska dziedziczka okazała się ciekawą i bezpośrednią rozmówczynią, której mądrość przerastała jej trzydzieści trzy lata. Nie wyczuwało się w niej też nawet śladu napięcia, dopóki Zoe nie zapytała nonszalancko, jak często Nadia wyjeżdża do Arabii Saudyjskiej. To pytanie wywołało pierwszą niezręczną chwilę ciszy podczas ich spotkania, tak jak się Gabriel zresztą spodziewał. Nadia przyglądała się Zoe przez chwilę swymi niezgłębionymi ciemnymi oczami, po czym odpowiedziała Pytaniem na pytanie.

- Byłaś kiedyś w Arabii Saudyjskiej?

- Raz - odparła Zoe.

- Służbowo?

- A jaki inny powód może mieć człowiek z Zachodu, by się wyprawiać do Arabii Saudyjskiej?

- No tak. - Spojrzenie Nadii złagodniało. - Gdzie dokładnie byłaś?

- Spędziłam dwa dni w Rijadzie. A potem wybrałam się do Pustego Kwartалу, żeby zwiedzić nowy projekt wydobywania ropy naftowej koncernu Saudi Aramco w Shaybah. Zrobił na mnie ogromne wrażenie.

- Nazwałaś go dokładnie: „technologicznym cudem, który zapewni Arabii Saudyjskiej dominację na światowym rynku ropy naftowej przez co najmniej jedno pokolenie”. - Nadia

uśmiechnęła się przelotnie. - Naprawdę sądziłaś, że zgodziłabym się na spotkanie, nie zapoznawszy się przedtem z twoją twórczością? W końcu najbardziej jesteś przecież znana z jednego.

- To znaczy z czego?

- Z bezwzględności - odparła Nadia bez wahania. - Mówi się, że masz w sobie coś purytańskiego. Mówi się także, że lubisz niszczyć firmy i ich szefów, którzy łamią reguły gry.

- Już się nie zajmuję takimi rzeczami. Pracuję teraz w telewizji. A tam nie prowadzimy śledztw, tylko rozmowy.

- Nie tęsknisz za p r a d z i w y m dziennikarstwem?

- Masz na myśli dziennikarstwo prasowe?

- Tak.

- Czasami - przyznała Zoe - ale potem sprawdzam moje konto bankowe i to mi od razu poprawia nastrój.

- Dlatego właśnie wyjechałaś z Londynu? Ze względu na pieniądze?

- Były jeszcze inne powody.

- Jakie?

- Takie, jakich na ogół nie omawiam na służbowych spotkaniach.

- Czuję, że kryje się za tym jakiś mężczyzna - powiedziała Nadia pojednawczym tonem.

- Jesteś bardzo przenikliwa.

- To prawda. - Nadia chciała sięgnąć po kieliszek, ale zatrzymała rękę w pół gestu. - Nie jeżdżę do Arabii Saudyjskiej często - powiedziała nagle - raz na trzy, cztery miesiące, nie więcej. A kiedy już tam jadę, nie zostaję na długo.

- Dlaczego?

- Możesz się chyba domyślić. - Nadia zdawała się bardzo starannie dobierać następne słowa. - Prawa i zwyczaje islamu i Arabii Saudyjskiej są stare i bardzo ważne dla naszego społeczeństwa. Nauczyłam się tak poruszać w tym systemie, by móc prowadzić firmę jedynie z minimalnymi zakłóceniami.

- A co z twoimi rodaczkami?

- W jakim sensie?

- Większość z nich nie ma tyle szczęścia co ty. Kobiety w Arabii Saudyjskiej są traktowane jak rzeczy, a nie jak ludzie. Większość z nich spędza całe życie w zamknięciu. Nie mogą prowadzić samochodu. Nie mogą wychodzić z domu bez męskiej asysty i bez zasłonięcia się abają i nikabem. Nie wolno im podróżować, nawet w obrębie kraju, jeśli nie

uzyskają pozwolenia od swoich ojców czy starszych braci. Dopuszczalne są honorowe zabójstwa, jeśli kobieta przyniesie rodzinie wstyd lub pozwoli sobie na antyislamskie zachowanie, a cudzołóstwo jest zbrodnią, za którą karze się kobiety ukamienowaniem. W kolebce islamu kobiety nie mogą nawet wejść do meczetu, nie licząc Mekki i Medyny, co jest dziwne, jako że prorok Mahomet był poniekąd feministą. „Traktujcie wasze kobiety dobrze i bądźcie dla nich serdeczni - powiedział - bo one są waszymi partnerkami i wspierają was z oddaniem”.

Nadia wygładziła niewidzialne zagniecenie obrusa.

- Podziwiam twoją szczerość, Zoe. Większość dziennikarzy starających się o ważny wywiad uciekałaby się do frazesów i pochlebstw.

- Też to potrafię, jeśli wolisz.

- Prawdę mówiąc, wolę szczerość. W Arabii Saudyjskiej nie mamy jej wystarczająco dużo. Właściwie unikamy jej za wszelką cenę.

- Nadia skierowała wzrok ku oknom. Na zewnątrz było na tyle ciemno, że jej twarz odbijała się w szybie. - Nie zdawałam sobie sprawy, że tak cię interesuje sytuacja muzułmańskich kobiet - powiedziała cicho. - W twoich wcześniejszych artykułach nie ma o tym mowy.

- Ile ich czytałaś?

- Wszystkie - odparła Nadia. - Było tam sporo o skorumpowanych biznesmenach, ale zupełnie nic o niedolach muzułmańskich kobiet.

- Interesują mnie prawa w s z y t k i c h kobiet, bez względu na ich wiarę. - Zoe umilkła, po czym dodała prowokacyjnie: - Można by pomyśleć, że osoba z twoją pozycją też jest nimi zainteresowana.

- A to dlaczego?

- Ponieważ masz wszelkie możliwości, by stanowić ważny wzór do naśladowania.

- Kieruję dużą firmą, Zoe. Nie mam czasu ani ochoty wdawać się w politykę.

- Ale przecież masz jakieś poglądy?

- Jestem obywatelką Arabii Saudyjskiej - powiedziała Nadia. - Mamy tam króla, nie poglądy. Zresztą na Bliskim Wschodzie posiadanie poglądów może być bardzo niebezpieczne.

- Czy twój ojciec został zabity z powodu swoich poglądów? - zapytała Zoe ostrożnie.

Nadia odwróciła się i spojrzała na Zoe.

- Nie wiem, dlaczego mój ojciec został zabity. Nie jestem pewna, czy ktokolwiek to wie, poza jego mordercami oczywiście.

Zapadła między nimi ciężka cisza. Przerwał ją kilka minut później odgłos otwieranych drzwi. Weszło dwóch kelnerów niosących tace z kawą i ciastkami. A zaraz za nimi Rafiq al-Kamal, szef ochrony, i madame Dubois, która postukiwała w tarczę swojego zegarka od Cartiera, jakby chciała powiedzieć, że spotkanie trwało już wystarczająco długo. Zoe bała się, że Nadia może wykorzystać ten sygnał jako pretekst do wyjścia. Ona jednak odprawiła intruzów władcym ruchem dłoni. Podobnie potraktowała kelnera trzymającego tacę z ciastkami, przyjęła natomiast kawę. Piła czarną z ogromną ilością cukru.

- Czy takie właśnie pytania zamierzasz zadawać mi przed kamerą? Pytania dotyczące praw kobiet w Arabii Saudyjskiej? I śmierci mojego ojca?

- Nie mamy zwyczaju zdradzać pytań przed wywiadem.

- Daj spokój, Zoe. Obie wiemy, jak to się odbywa.

Zoe udawała przez chwilę, że się zastanawia.

- Gdybym nie zapytała cię o ojca, oskarżono by mnie o dziennikarskie zaniedbanie. Jego śmierć czyni cię szalenie fascynującą postacią.

- Jego śmierć czyni mnie kobietą bez ojca. - Nadia wyjęła z torebki paczkę papierosów Virginia Slim i zapaliła jednego dosyć zwyczajnie wyglądającą złotą zapalniczką.

- Byłaś tam z nim tego wieczoru w Cannes?

- Byłam - odparła Nadia. - W jednej chwili cieszyliśmy się wspaniałym wieczorem w naszej ulubionej restauracji. A w następnej podtrzymywałam ojca konającego na ulicy.

- Widziałaś jego zabójców?

- Było ich dwóch. - Nadia skinęła głową. - Jechali na motocyklach, bardzo szybko i bardzo umiejętnie. Z początku myślałam, że to po prostu francuscy chłopcy, którzy chcą trochę zaszaleć w ciepły letni wieczór. A potem zobaczyłam broń. To byli niewątpliwie zawodowcy. - Zaciągnęła się papierosem, po czym wydmuchała cienką smużkę dymu w kierunku sufitu. - To, co stało się potem, pamiętam jak przez mgłę.

- Świadkowie słyszeli ponoć, że poprzysięgasz zemstę.

- Obawiam się, że zemsta leży w tradycji Beduinów - powiedziała Nadia ze smutkiem. - Mam to chyba we krwi.

- Podziwiałaś ojca - naciskała Zoe.

- Owszem - przyznała Nadia.

- Był kolekcjonerem sztuki.

- I to zapalonym.

- Rozumiem, że podzielasz tę pasję ojca.

- Moja kolekcja sztuki jest sprawą prywatną - powiedziała Nadia, sięgając po swoją

kawę.

- Nie tak prywatną, jak sądzisz.

Nadia gwałtownie podniosła wzrok, ale nic nie powiedziała.

- Moje źródła podają, że w tym miesiącu dokonałaś ważnego zakupu. Donoszą, że to ty zapłaciłaś rekordową sumę za Rothkę na aukcji w Christie's w Nowym Jorku.

- Twoje źródła się mylą, Zoe.

- Moje źródła n i g d y się nie mylą. Dostarczyły mi również innych informacji o tobie. Wygląda na to, że wcale nie jesteś taka obojętna wobec praw kobiet w islamskim świecie, jak udajesz. Przekazujesz po cichu miliony dolarów na walkę z przemocą wobec kobiet i kolejne miliony na wspieranie kobiecej przedsiębiorczości, co może sprawić, zgodnie z twoją intencją, że muzułmańskie kobiety przejmą kontrolę nad własnym życiem jak nigdy przedtem. Ale twoja działalność charytatywna na tym się nie kończy. Dowiedziałam się, że wykorzystujesz swój majątek, by wspierać wolne i niezależne media w arabskim świecie. Próbujesz także przeciwdziałać rozprzestrzenianiu się niebezpiecznej ideologii wahhabickiej, przekazując pieniądze organizacjom, które promują bardziej tolerancyjną wersję islamu. - Zoe przerwała. - Tak więc cała twoja działalność razem wzięta współtworzy portret odważnej kobiety, która w pojedynkę usiłuje zmienić oblicze współczesnego Bliskiego Wschodu.

Nadia zdobyła się na lekceważący uśmiech.

- Intrygująca historia - powiedziała po chwili. - Szkoda, że zupełnie nieprawdziwa.

- To faktycznie wielka szkoda - odrzekła Zoe - ponieważ istnieją ludzie, którzy chcieliby ci pomóc.

- Co to za ludzie?

- Tacy, którzy cenią sobie dyskrecję.

- Na Bliskim Wschodzie ludzie, którzy cenią sobie dyskrecję, to albo szpiegzy, albo terroryści.

- Mogę cię zapewnić, że nie są terrorystami.

- W takim razie muszą być szpiegami.

- Nie znam ich wszystkich powiązań.

Nadia rzuciła jej sceptyczne spojrzenie. Zoe wyciągnęła wizytówkę. Nie widniało na niej żadne nazwisko, tylko numer jej komórki.

- To mój prywatny numer. Ważne, żebyś działała ostrożnie. Jak wiesz, w twoim otoczeniu są osoby, które nie podzielają twojej wizji zmiany na lepsze islamskiego świata, w tym twoi osobiści ochroniarze.

- Jaki ty masz w tym wszystkim interes, Zoe?

- Żaden, poza uzyskaniem wywiadu z kobietą, którą szczerze podziwiam.

Nadia zawahała się. Następnie przyjęła wizytówkę i schowała ją do torebki. W tym momencie drzwi do apartamentu znów się otworzyły i weszła madame Dubois z Rafiqiem al-Kamalem u boku. Znów stuknęła w swój zegarek. Tym razem Nadia wstała. Kiedy wyciągnęła rękę do Zoe, wydała jej się nagle zmęczona.

- Nie wiem, czy jestem już gotowa tak się odsłonić - powiedziała - ale chciałabym prosić o trochę czasu, by rozważyć twoją propozycję. Czy mogłabyś pozostać w Paryżu kilka dni?

- To będzie straszna męka - zażartowała Zoe - ale spróbuję.

Nadia puściła dłoń Zoe i wyszła za swoim szefem ochrony na korytarz. Zoe odczekała chwilę, po czym wróciła do swojego pokoju trzy piętra niżej. Tam włączyła telefon i zadzwoniła do producenta w Nowym Jorku, żeby wyjaśnić, że zatrzyma się w Paryżu, by kontynuować negocjacje. Następnie położyła telefon na nocnym stoliku i długi czas siedziała na brzegu łóżka. Czowała jaśmin i lawendę, zapach perfum Nadii, i rozpamiętywała chwilę ich rozstania. Dłoń Nadii była dziwnie chłodna w dotyku. To była dłoń strachu, myślała Zoe. Dłoń śmierci.

25.

SERAINCOURT, FRANCJA

Telefon Zoe do Nowego Jorku zabrzmiał w wysokich pokojach Château Treville niczym grana na trąbkach fanfara. Gabriel natychmiast wysłał bezpieczną depezę do Adriana Cartera i odtąd AAB Holdings oraz właścicielka firmy Nadia al-Bakari znajdowały się pod obserwacją Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Oznaczało to, że teraz Carter znał nazwisko dobrze sytuowanej muzułmanki o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach, którą Gabriel chciał skłonić do finansowania siatki Raszida. Oznaczało to również, że w dowolnym momencie miało je poznać kilkudziesięciu innych członków ogromnej społeczności amerykańskiego wywiadu. Gabriel nie miał innego wyboru, jak tylko podjąć to ryzyko. Izraelski wywiad sygnałowy budził szacunek, ale jego możliwości bladły w porównaniu z możliwościami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Amerykańska biegłość w świecie cyfrowych technologii nie miała sobie równych. To czynnik ludzki - umiejętność rekrutowania szpiegów i przeniknięcia na teren wroga - wymykał się Amerykanom i dlatego właśnie zwrócili się o pomoc do Biura.

Na prośbę Gabriela Carter dołożył wszelkich starań, by ukryć nazwisko Nadii przed resztą waszyngtońskich oficjeli. Pomimo oczywistych potencjalnych konsekwencji dla relacji amerykańsko-saudyjskich nie wspomniał o planie Gabriela ani prezydentowi, ani Jamesowi McKennie podczas cotygodniowego spotkania dotyczącego strategii antyterrorystycznych w Białym Domu. Zadbał również o to, by chronić tożsamość członków ekipy, która miała przeglądać przechwycone przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego informacje. Najpierw stawili się bezpośrednio przed Carterem w Langley, a następnie zostali wysłani do paryskiej centrali CIA. Zastępca dyrektora, człowiek, który zawdzięczał swoją karierę Carterowi, osobiście zawiózł ich do ogromnej rezydencji w Seraincourt, gdzie przydzielono ich Sarze Bancroft. Gabriela i jego zespół interesował szczególnie telefon oraz poczta elektroniczna Rafiqa al-Kamala, szefa ochrony Nadii. Pomimo licznych rozmów telefonicznych z przedstawicielami saudyjskiego wywiadu i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych al-Kamal ani razu nie wymienił nazwiska Zoe Reed. Nie można tego było natomiast powiedzieć o madame Dubois, która przez większość najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin wisiła na telefonie, na linii Paryż-Londyn, w poszukiwaniu jakichkolwiek brudów z zawodowej przeszłości Zoe. Gabriel uznał to za dobry znak. Oznaczało to bowiem, że jeśli chodzi o AAB, dziennikarka śledcza z CNBC stanowiła problem natury public relations, a nie

potencjalne zagrożenie.

Zoe pozostawała w błogiej nieświadomości całej wirującej wokół niej intrygi. Zgodnie z precyzyjnymi wskazówkami przygotowanymi zawczasu przez Gabriela powstrzymywała się od dalszych kontaktów z AAB i pracownikami firmy. Żeby wypełnić sobie czymś czas, zwiedzała muzea i robiła długie spacery nad Sekwaną, co pozwalało Eliemu Lawonowi i reszcie agentów terenowych ustalić, że nikt jej nie śledzi. Gdy kolejne dwa dni minęły bez żadnych wiadomości od Nadii, nowojorski producent Zoe zaczął się niecierpliwić. „Najpóźniej w poniedziałek chcę cię widzieć z powrotem w Stanach - powiedział jej przez telefon - z wywiadem lub bez. To wyłącznie kwestia pieniędzy. Nadia siedzi na forsie. My musimy liczyć każdy grosz”.

Ten telefon popsuł humor ekipie w Seraincourt, podobnie jak przemówienie, które tego popołudnia wygłosił prezydent Francji podczas nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Narodowego. „Pytanie nie brzmi, czy Francja znów zostanie zaatakowana przez terrorystów - ostrzegł prezydent - tylko: kiedy i gdzie. Smutkiem napawa myśl, że kolejne osoby stracą życie od ognia ekstremizmu. Niestety, to właśnie oznacza bycie obywatelem Europy w dwudziestym pierwszym wieku”.

Kilka minut po zakończeniu przemówienia przysła wiadomość z działu operacyjnego przy Bulwarze Króla Saula. Liczyła jedynie cztery znaki - dwie litery i dwie cyfry - ale była jednoznaczna. Bóg czekał w mieszkanku na Montmartrze. I Bóg chciał się rozmówić z Gabrielem na osobności.

26.

MONTMARTRE, PARYŻ

Kamienica znajdowała się przy rue Lepic, niedaleko cmentarza. Miała szarą elewację i siedem pięter, balustrady z kutego żelaza i mansardy na samej górze. Na wewnętrznym dziedzińcu rosło jedno jedyne bezlistne drzewo, a ze schludnego holu spiralnie w górę wiodły schody, wyłożone wytartym chodniczkiem, który tłumiał kroki Gabriela, gdy ten wchodził szybko na trzecie piętro. Drzwi do mieszkania 3A były lekko uchylone, w salonie czekał starszy pan ubrany w spodnie z kantem w kolorze khaki, białą koszulę z grubej bawełny i skórzaną kurtkę pilota bombowca z nienaprawionym rozdarciem na lewym ramieniu. Usadowił się na brzegu tapicerowanego fotela, nogi miał nieco rozstawione, a duże dłonie zaciśnięte na zgięciu laski z oliwnego drewna, niczym podróżny na dworcowym peronie, pogodzony z koniecznością długiego czekania. Pomiędzy dwoma poźółkłymi palcami tlił się niedopałek papierosa bez filtra. Gryzący dym wirował mu nad głową niczym osobista chmura burzowa.

- Dobrze wyglądasz - odezwał się Ari Szamron. - Powrót do pracy w terenie wyraźnie ci służy.

- Niezupełnie tak planowałem spędzić zimę.

- No to może nie trzeba było iść za zamachowcem do Covent Garden.

Szamron uśmiechnął się ponuro, po czym zdusił papierosa w popielniczce stojącej na stoliku do kawy. Było tam już sześć innych niedopałków, ułożonych w równym rzędku, niby naboje czekające, by naładować nimi broń. Szamron dodał do nich siódmy i przez kłęby dymu popatrzył z namysłem na Gabriela.

- Dobrze cię widzieć, mój synu. Sądziłem, że nasze spotkanie w Kornwalii zeszłego lata będzie już ostatnie.

- Prawdę powiedziawszy, miałem taką nadzieję.

- Możesz przynajmniej u d a w a ć, że liczysz się z moimi uczuciami?

- Nie.

Szamron zapalił kolejnego papierosa swoją starą zapalniczką Zippo i celowo wydmuchał dym w stronę Gabriela.

- Bardzo wymowne - skomentował Gabriel.

- Słowa czasem mnie zawodzą. Na szczęście moi wrogowie rzadko. I teraz znów udało im się przywrócić cię na łono Bulwaru Króla Saula, gdzie jest twoje miejsce.

- Chwilowo.

- Och, tak - zgodził się Szamron z nieszczerym pośpiechem. - Ten układ z całą pewnością jest jedynie chwilowy.

Gabriel podszedł do balkonowych drzwi wychodzących na rue Lepic i otworzył jedną z nich. Do pokoju wpadł chłodny podmuch, przynosząc odgłosy wieczornego ruchu ulicznego.

- Naprawdę musisz? - spytał Szamron, marszcząc brwi. - Mój lekarz twierdzi, że powinienem unikać przeciągów.

- A mój każe mi unikać biernego palenia. Dzięki tobie mam płuca człowieka, który wypala czterdzieści papierosów dziennie.

- W pewnym momencie będziesz musiał przestać mnie obwiniać za wszystko, co poszło nie tak w twoim życiu.

- Dlaczego?

- Bo to jałowe.

- Ale tak się składa, że również prawdziwe.

- Zawsze uważałem, że najlepiej unikać prawdy. Nieodmiennie prowadzi do niepotrzebnych komplikacji.

Gabriel zamknął drzwi, tłumiąc uliczne odgłosy, i zapytał Szamrona, po co przyjechał do Paryża.

- Uzi doszedł do wniosku, że przyda ci się dodatkowa pomoc na miejscu.

- Dlaczego nie powiadomił mnie o twoim przyjeździe?

- Musiało mu to umknąć.

- Czy on w ogóle wie, że tu jesteś?

- Nie.

Gabriel nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Spróbujmy jeszcze raz, Ari. Dlaczego jesteś w Paryżu?

- Martwiłem się.

- O operację?

- O ciebie - odparł Szamron. - Na tym właśnie polega ojcostwo. Martwimy się o nasze dzieci do dnia, w którym umrzemy.

- Obawiam się, że nie mogę nic wiedzieć na ten temat.

- Wybacz, synu - odezwał się Szamron po chwili. - Nie powinienem był tego mówić.

W końcu to również moja wina.

Dźwignął się na nogi, opierając się ciężko na swojej lasce, i podreptał do kuchni. Na

blacie leżały rozrzucone elementy tłokowego ekspresu do kawy, wraz z pustym czajnikiem i otwartą torebką Carte Noir. Szamron bez przekonania spróbował zapalić gaz, po czym uniósł ręce w geście poddania. Gabriel popchnął go w stronę małego stolika w kawiarnianym stylu i ostrożnie powąchał kawę w torebce. Pachniała kurzem.

- O ile się nie mylę - powiedział Szamron, opadając na krzesło - to ta sama kawa, którą piliśmy tutaj ostatnim razem.

- Tuż obok jest sklep. Myślisz, że wytrzymasz tu sam do mojego powrotu?

Lekceważącym machnięciem dłoni Szamron dał do zrozumienia, że ta kawa jest wystarczająco dobra. Gabriel napełnił czajnik wodą i postawił go na kuchence.

- Jednego wciąż nie rozumiem - oświadczył Szamron, przyglądając mu się uważnie.

- To naprawdę nie jest aż takie skomplikowane, Ari. Najpierw wysypujesz kawę, potem dolewasz wody, a na koniec wciskasz ten mały tłoczek.

- Miałem na myśli Covent Garden. Dlaczego go śledziłeś? Dlaczego nie zawiadomiłeś po prostu Grahama Seymoura i nie wróciłeś do twojego domku nad morzem?

Gabriel nie odpowiedział.

- Pozwolisz, że przedstawię możliwe wyjaśnienie?

- Skoro nalegasz.

- Poszedłeś za nim, ponieważ dobrze wiedziałeś, że Brytyjczykom nie starczy ani odwagi, ani zdecydowania, by samodzielnie go powstrzymać. Nasi europejscy przyjaciele są w samym środku zaawansowanego egzystencjalnego kryzysu. Jestem przekonany, że to jedna z przyczyn ich pogardy względem nas. My mamy cel. Wierzymy w słuszność naszej sprawy. A oni nie wierzą w nic poza swoim trzydziestopięciodzinnym tygodniem pracy, swoim globalnym ociepleniem i corocznymi sześciotygodniowymi wakacjami na południu. Trudno mi natomiast pojąć, dlaczego zdecydowałeś się żyć wśród nich.

- Bo dawno, dawno temu oni naprawdę wierzyli w Boga i ta wiara inspirowała ich, by malować jak anioły.

- To prawda - przyznał Szamron. - Ale obecnie wiara w Boga cechuje niemal wyłącznie dżihadystów. Niestety, jest to wiara zrodzona z wahhabickiej nietolerancji i napędzana saudyjskimi pieniędzmi. Po jedenastym września Saudyjczycy obiecali położyć kres podburzaniu, które przyniosło światu Bin Ladena i Al-Kaidę. Ale teraz, zaledwie dziesięć lat później, saudyjskie pieniądze znów podsycają nienawiść, właściwie bez słowa protestu ze strony Amerykanów.

- Udało im się przekonać samych siebie, że Saudyjczycy są ich ważnym sprzymierzeńcem w walce z terroryzmem.

- Żyją złudzeniami - powiedział Szamron. - Ale to nie do końca ich wina. Z Arabii Saudyjskiej płynie na Zachód nie tylko ropa, ale także sporo różnych informacji. Saudyjski wywiad ciągle przekazuje CIA i służbom europejskim poufne informacje o potencjalnych spiskach i podejrzanych osobnikach. Czasami te informacje mają w sobie ziarnko prawdy, ale większość to kompletny kit.

- Chyba nie sugerujesz naprawdę - powiedział Gabriel sardonicznie - że saudyjski wywiad bawi się w starą dobrą podwójną grę, która polega na walce z dżihadystami przy równoczesnym ich wspieraniu?

- Dokładnie to właśnie sugeruję. A Amerykanie są w tym momencie tak słabi ekonomicznie, że nie mogą nic z tym zrobić.

Czajnik zaczął syczeć. Gabriel nalał wrzątku do ekspresu i stał nad nim, czekając, aż kawa się zaparzy. Zerknął na Szamrona. Jego ponura mina jasno dawała do zrozumienia, że wciąż myśli o Amerykanach.

- Każda amerykańska administracja ma swoje modne słówka. Ta lubi posługiwać się kategorią s ł u s z n o ś c i. Wciąż nam przypominają o zasadzie s ł u s z n o ś c i, którą wprowadzili na Bliskim Wschodzie. Mają słuszość w Iraku, słuszość w Afganistanie i słuszość w utrzymywaniu stałej ceny ropy. W tej chwili nie liczymy się zbyt w amerykańskim zestawieniu bilansowym. Ale jeśli zdołamy zneutralizować siatkę Raszida...

- To może przydać nam nieco jakże potrzebnej słuszości.

Szamron przytaknął posępnie.

- To nie oznacza jednakże, że musimy się zachowywać jak całkowicie podległa filia CIA. Prawdę powiedziawszy, premier stanowczo obstaje przy tym, byśmy wykorzystali tę okazję i załatwili pewną niedokończoną sprawę.

- Jak Malik al-Zubair?

Szamron skinął głową.

- Coś mi mówi, że od początku wiedziałeś, że Malik jest w to zamieszany.

- Powiedzmy, że miałem co do tego uzasadnione podejrzenia.

- Więc kiedy Adrian Carter poprosił, żebym przyjechał do Waszyngtonu...

- Odłożyłem na bok moje zwykłe wątpliwości i zgodziłem się bez wahania.

- Cóż za wspaniałomyślność - skwitował Gabriel. - Więc dlaczego teraz się martwisz?

- Nadia.

- To był twój pomysł.

- Może się myliłem. Może przez wszystkie te lata nas nabierała. Może jest bardziej podobna do ojca, niż sądzimy. - Przerwał, po czym dodał: - Może powinniśmy dać sobie z nią

spokój i znaleźć kogoś innego.

- Ten ktoś nie istnieje.

- To go wymyśl - powiedział Szamron. - Słyszałem, że jesteś w tym całkiem dobry.

- Wiesz, że to niemożliwe.

Gabriel zaniósł kawę do stołu i nalał do dwóch filiżanek. Szamron posłodził swoją i przez chwilę mieszał ją w zamyśleniu.

- Nawet jeśli Nadia al-Bakari zgodzi się z tobą współpracować - powiedział - nie będziesz miał żadnego sposobu, by utrzymać ją w ryzach. Mamy nasze tradycyjne metody. *Kesef, kavod, kussit* - pieniądze, szacunek, seks. Nadia al-Bakari nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy. A wobec tego nie można jej kontrolować.

- W takim razie chyba po prostu będziemy musieli sobie zaufać.

- Zaufać? - zachnął się Szamron. - Wybacz, Gabrielu, ale nie znam takiego słowa. - Wypił łyk swojej kawy i skrzywił się. - Jest takie stare przysłowie, które szczególnie lubię. Mówi ono, że zasłona, która skrywa przed nami przyszłość, została utkana przez anioła miłosierdzia. Niestety, nie ma takiej zasłony, która by nas osłaniała przed przeszłością. A ta jest pełna duchów. Duchów tych, których kochaliśmy. Duchów naszych wrogów. One są zawsze przy nas. Są z nami tu i teraz. - Przez chwilę wodził załzawionymi oczami po maleńkiej kuchni, po czym znów wbił wzrok w Gabriela. - Może lepiej nie rozgrzebywać przeszłości. Lepiej dla Nadii. Lepiej dla ciebie.

Gabriel przyjrzał się uważnie Szamronowi.

- Ari, czyżbyś miał poczucie winy, że znów mnie wciągnąłeś do gry?

- Ubiegłego lata w Kornwalii jasno przedstawiłeś swoje życzenia. Powinienem być je uszanować.

- Nigdy przedtem się z nimi nie liczyłeś. Skąd ta nagła zmiana?

- Bo na to zasłużyłeś. A na tym etapie życia ostatnie, czego ci trzeba, to konfrontacja z dzieckiem człowieka, którego zabiłeś z zimną krwią.

- Nie zamierzam wyznawać moich grzechów.

- Możesz nie mieć wyboru - odparł Szamron. - Ale obiecaj mi jedno, Gabrielu. Skoro już się upierasz, by jej użyć, pamiętaj, żebyś nie popełnił tego samego błędu co Amerykanie z Raszidem. Przyjmij, że ona jest twoim śmiertelnym wrogiem, i traktuj ją stosownie do tego.

- Dlaczego się do nas nie przyłączysz? W naszej bazie mamy mnóstwo miejsca dla jeszcze jednej osoby.

- Jestem starym człowiekiem - odrzekł Szamron posępnie. - Tylko bym wam przeszkadzał.

- To co zamierzasz?

- Będę tu siedział samotnie i się zamartwiać. Ostatnimi czasy taki już, zdaje się, jest mój los.

- Jeszcze nie zaczynaj się zamartwiać, Ari. Możliwe, że Nadia wcale nie przyjedzie.

- Przyjedzie - zapewnił Szamron.

- Skąd ta pewność?

- Bo ona w głębi serca wie, że to ty szepczesz jej do ucha. I nie zdoła się oprzeć pokusie, by spojrzeć ci prosto w twarz.

*

Doktryna operacyjna nakazywała, by Gabriel natychmiast powrócił do Château Treville, ale gniew zmusił go do odbycia pielgrzymki na Champs-Élysées. Dotarł tam krótko po północy i stwierdził, że wszelkie ślady zamachu zostały starannie usunięte. Sklepy i restauracje zostały odremontowane. W witryny wstawiono nowe szyby, a elewacje pokryto świeżą warstwą farby. Z bruku zmyto krew. Nie było żadnego wyrazu oburzenia, żadnego pomnika ku czci zabitych, żadnego wezwania do rozsądku w tym szalonym świecie. Właściwie gdyby nie dwóch żandarmów stojących na straży na rogu, można by sądzić, że w ogóle nie wydarzyło się tu nic nadzwyczajnego. Przez chwilę Gabriel żałował, że tu przyszedł, ale w momencie gdy zbierał się do odejścia, bezpieczny e-mail od zespołu z Seraincourt nieoczekiwanie podniósł go na duchu. Napisano w nim, że właśnie podsłuchali, jak Nadia al-Bakari, córka człowieka, którego Gabriel zabił w starym porcie w Cannes, odwołuje wyjazd do Sankt Petersburga. Gabriel wsunął BlackBerry z powrotem do kieszeni kurtki i ruszył dalej w świetle latarni. Zasłona, która skrywała jego przyszłość, rozdarła się na dwoje. Ujrzał piękną kobietę o kruczoczarnych włosach przemierzającą dziedziniec pałacu położonego na północ od Paryża. I starca siedzącego samotnie w mieszkanku na Montmartrze i zamartwiającego się na śmierć.

Nadia al-Bakari osobiście zadzwoniła do Zoe Reed następnego ranka o 10:22, by ją zaprosić na podwieczorek do swojej rezydencji przy Avenue Foch. Zoe uprzejmie odmówiła. Wyglądało na to, że ma już inne plany.

- Spędzam popołudnie z dawnym znajomym z Londynu. Zarobił kupę forsy na dochodach z akcji giełdowych i kupił sobie pałac w Val-d'Oise. Obawiam się, że wydaje małe przyjęcie na moją cześć.

- Przyjęcie urodzinowe?

- Skąd wiesz?

- Moi pracownicy ochrony sprawdzili cię dyskretnie przed naszym lunchem w Crillonie. Dzisiaj kończysz trzydzieści...

- Proszę, nie mów tego głośno. Próbuję udawać, że to tylko zły sen.

Nadia zdołała się roześmiać. Następnie spytała o nazwisko znajomego Zoe z Londynu.

- Fowler. Thomas Fowler.

- Jaką firmą zarządza?

- Thomas nie bawi się w firmy. Thomas jest z zasady niezależny. Podobno poznaliście się kilka lat temu na Karaibach. Na jednej z francuskich wysp. Nie pamiętam na której. Chyba St. Barts. A może to była Antigua.

- W życiu nie byłam na Antigui.

- W takim razie to musiało być St. Barts.

Odpowiedziała jej cisza.

- Halo? Rozłączyłaś się? - spytała Zoe.

- Nie, jestem, jestem.

- Czy coś się stało?

- Gdzie go spotkałam?

- Mówił, że w jakimś barze przy plaży.

- Co to za bar?

- Nie jestem pewna.

- Przy jakiej plaży?

- Nie wydaje mi się, żeby Thomas wymieniał jej nazwę.

- Czy Thomas był sam?

- Nie, z żoną. Urocza dziewczyna. Trochę wyzywająca, ale pewnie to wchodzi w zakres jej obowiązków.

- Cóż to za obowiązki?

- Bycie żoną takiego miliardera jak Thomas.

Znów cisza, tym razem jeszcze dłuższa.

- Obawiam się, że go nie pamiętam.

- On ciebie z całą pewnością pamięta.

- Opisz go, proszę.

- Drażał o budowie słupa latarni ulicznej. Trochę bardziej interesujący, jak się go pozna bliżej. Zdaje mi się, że kilka lat temu ubił interes z którymś ze wspólników twojego ojca.

- Pamiętasz może nazwisko tego wspólnika?

- Czemu sama nie zapytasz o to Thomasa?

- Co chcesz przez to powiedzieć, Zoe?

*

Na pierwszym piętrze Château Treville mieścił się ponury pokój muzyczny o ścianach obitych czerwonym jedwabiem i przystrojonych z przepychem oknach. Z jednej strony stał klawesyn ze złożonymi zdobieniami i z sielskim obrazem olejnym na pokrywie. Z drugiej stylowy stół z okresu francuskiego renesansu z orzechowymi intarsjami, przy którym Gabriel i Eli Lawon wpatrywali się w ekrany dwóch komputerów. Na jednym mrugające światełko wskazywało aktualne miejsce pobytu Zoe Reed wraz ze współrzędnymi geograficznymi. Na drugim zarejestrowana była rozmowa, którą Zoe odbyła o 10:22 z Nadią al-Bakari. Gabriel i Lawon wysłuchali jej już dziesięciokrotnie. I ani razu nie mogli znaleźć żadnego powodu, by wstrzymać akcję. Teraz była 11:55. Lawon zmarszczył czoło, gdy Gabriel raz jeszcze kliknął ikonkę odtwarzania.

- *Pamiętasz może nazwisko tego wspólnika?*

- *Czemu sama nie zapytasz o to Thomasa?*

- *Co chcesz przez to powiedzieć, Zoe?*

- *Chcę powiedzieć, że powinnaś przyjechać na to przyjęcie. Wiem, że Thomas byłby wprost zachwycony, a my miałybyśmy okazję, by spędzić ze sobą trochę więcej czasu.*

- *Obawiam się, że to nie byłoby stosowne.*

- *A to dlaczego?*

- *Ponieważ twój znajomy... wybacz, Zoe, ale czy mogłabyś mi raz jeszcze przypomnieć jego nazwisko?*

- *Thomas Fowler. Jak bohater powieści Grahama Greene'a.*

- *Kto?*

- *Nieważne. Ważne, żebyś przyjechała.*

- *Nie chciałabym nadużyć jego gościnności.*

- *Na litość boską, co za pomysł! Poza tym to moje urodziny, a ja nalegam.*

- *Gdzie dokładnie znajduje się dom twojego znajomego?*

- *Kawałek na północ od Paryża. W hotelu zamówili mi samochód.*

- *Każ im to odwołać. Pojedziemy moim samochodem. Będziemy miały okazję porozmawiać.*

- *Wspaniale. Thomas mówi, że obowiązują stroje chateau casual. Ale nie przesadzajmy z ochroną, dobrze? Thomas to trochę lowelas, ale poza tym jest całkowicie nieszkodliwy.*

- *Do zobaczenia o dwunastej, Zoe.*

Połączenie zostało przerwane. Gabriel kliknął ikonkę zatrzymaj, po czym podniósł wzrok i zobaczył Jossiego opierającego się o framugę drzwi i w każdym calu wyglądającego na nadzianego magnata giełdowego, który spędza weekend w swojej francuskiej wiejskiej posiadłości.

- Tak dla porządku - oznajmił z oksfordzkim akcentem, przeciągając leniwie samogłoski - nie jestem zachwycony tym kawałkiem o drągalu o budowie słupa latarni ulicznej.

- Jestem pewien, że mówiła to z czułością.

- A jak ty byś się czuł, gdyby ktoś porównał cię do słupa latarni?

- Byłbym rozczulony.

Jossi wygładził kłapy swojej kaszmirowej marynarki z Bond Street.

- Czy uzyskaliśmy styl *chateau casual*?

- Myślę, że tak.

- Z apaszką czy bez?

- Bez.

- Z apaszką - włączył się Lawon. - Bezwzględnie z apaszką.

Jossi wyszedł. Gabriel znów sięgnął po myszkę komputera, ale Lawon zatrzymał jego dłoń.

- Ona wie, że to my, a mimo to przyjeżdża. Zresztą - dodał - już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Gabriel spojrział na ekran drugiego komputera. Odczyt wysokości na ikonce wskazywał, że Zoe zjeżdżała powoli do hotelowego holu. Kilka sekund później potwierdziło

się to, gdy Gabriel usłyszał dźwięk otwieranych drzwi windy i stukot obcasów Zoe w holu. Życzyła Herr Schmidtowi miłego dnia, podziękowała Isabelle za gratisowy koszyk z owocami, który zostawiono w jej pokoju ubiegłego wieczoru, przesłała całusa monsieur Didierowi, który w tym właśnie momencie usiłował zrobić rezerwację w restauracji Jules Verne dla Chiary i Jakowa - rezerwację, którą niestety będą potem musieli odwołać. Następnie dał się słyszeć szum ulicznego ruchu, gdy Zoe wyszła na zewnątrz, po czym z kolei głuchy łoskot zamykania drzwi limuzyny. Cisza, która nastąpiła teraz, była zupełnie grobowa. Przerwał ją miły głos kobiety o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach.

- Cudownie znów cię widzieć, Zoe - powiedziała Nadia al-Bakari.

- Wiozę butelkę latour jako prezent dla twojego znajomego. Mam nadzieję, że lubi czerwone wino.

- Nie powinnaś była.

- Nie bądź niemądra.

I po tych słowach ikonka znów zaczęła się przemieszczać, a za nią trzy inne migające światełka oznaczające ekipy obserwacyjne. Chwilę później wszystkie zmierzały na zachód po Champs-Élysées z prędkością trzydziestu trzech mil na godzinę. Gdy zbliżały się do Łuku Triumfalnego, Zoe zaproponowała, że wyłączy BlackBerry.

- Nie trzeba - powiedziała Nadia cicho. - Ufam ci, Zoe. Bez względu na to, co się zdarzy, zawsze będę cię uważać za przyjaciółkę.

Banlieues na północny wschód od Paryża zdawały się ciągnąć w nieskończoność, stopniowo jednak wulgarne bloki mieszkalne zostały w tyle i pojawiły się pierwsze plamy zieleni. Nawet zimą, przy niskim, zasnutym chmurami niebie, francuskie tereny wiejskie wyglądały tak, jakby miały pozować do rodzinnego portretu. Pędzili poprzez nie w czarnym maybachu sedanie bez eskorty, w każdym razie Zoe nie zauważyła towarzyszących limuzynie pojazdów. Rafiq al-Kamal, dziobaty szef ochrony, siedział z krzywą miną obok kierowcy. Miał na sobie swój zwykły ciemny garnitur, ale - przez wzgląd na nieoficjalny charakter okazji - był bez krawata. Nadia ubrała się w kremowy kaszmirowy sweter, obcisłe jasnobrązowe zamszowe spodnie i kozaki na płaskim obcasie do chodzenia po zalesionych wiejskich drogach. By ukryć zdenerwowanie, bez ustanku mówiła. O Francuzach. O fatalnych fasonach tej zimy. O artykule, który czytała tego ranka w „Financial Journal”, dotyczącym dramatycznych kłopotów finansowych gospodarki strefy euro. Temperatura w samochodzie była tropikalna. Zoe pocila się w ciepłym ubraniu, ale Nadia wydawała się lekko zmarznięta. Dłonie miała dziwnie blade. Widząc zaciekawienie Zoe, złożyła to na karb wilgotnej paryskiej pogody, o której mówiła bez przerwy do chwili, gdy znak drogowy uprzedził, że zbliżają się do miasteczka Seraincourt.

W tym momencie wyprzedził ich motocykl. To był japoński model o dużej mocy, taki, który zmuszał kierowcę do pochylania się do przodu pod niewygodnym na oko kątem. Motocyklista zajrzał w okno Zoe, gdy je mijał, jakby był ciekawy, kto to jedzie tak luksusową bryką, po czym wykonał obsceniczny gest pod adresem kierowcy i zniknął w tumanach dymu. *Cześć, Michaił*, powiedziała Zoe w myślach. *Miło znów cię wiedzieć*.

Wyciągnęła z torebki BlackBerry i wybrała numer. Głos osoby, która odebrała, brzmiał dziwnie znajomo. Oczywiście, przypomniała sobie szybko. Należał do jej starego przyjaciela, Thomasa Fowlera z Londynu. Thomasa, który zarobił kupę forsy, inwestując Bóg wie w co. Thomasa, który poznał Nadię przed kilku laty w barze przy plaży w St. Barts. Thomasa, który teraz udzielał Zoe wskazówek, jak trafić do jego wspaniałego nowego château - w prawo w rue de Vexin, w lewo w rue des Vallées, w prawo w route des Hèdes. Brama znajdowała się po lewej stronie drogi, powiedział, tuż za starą winnicą. I nie należało zważać na tabliczkę ostrzegającą przed psami. To był tylko blef ze względu na bezpieczeństwo. Thomas przejmował się bezpieczeństwem. Miał po temu wszelkie powody.

Zoe rozłączyła się i schowała telefon z powrotem do torebki. Podnosząc wzrok, zobaczyła, że Rafiq al-Kamal przygląda jej się nieufnie w lusterku. Nadia patrzyła ponuro przez okno na mijany wiejski pejzaż. *Uśmiechnij się*, myślała Zoe. *W końcu jedziemy na przyjęcie. Ważne, żebyś spróbowała się uśmiechnąć.*

*

Nie istniał oficjalny precedens tego, czego usiłowali dokonać, żadna ustalona doktryna, żadna tradycja Biura, z której mogliby czerpać. Podczas niekończących się prób Gabriel porównał ich plan do odsłonięcia obrazu; Nadia będzie potencjalnym kupcem, a sam Gabriel dziełem malarskim ustawionym na postumencie. Odsłonięcie poprzedzi krótka podróż - podróż, wyjaśnił, która przeniesie Nadię i zespół z teraźniejszości w niezbyt odległą przeszłość. Charakter tej wyprawy należało starannie zaplanować. Powinna być na tyle przyjemna, by nie odstraszyć Nadii, a przy tym wystarczająco sugestywna, żeby nie mogła już się wycofać. Nawet Gabriel, który obmyślił całą strategię, szacował ich szanse na powodzenie nie wyżej niż jeden do trzech. Eli Lawon zapatrywał się na sprawę jeszcze bardziej pesymistycznie. Ale też Lawon, badacz biblijnych klęsk, był czarnowidzem z natury.

Teraz jednak perspektywa porażki była ostatnią rzeczą, o jakiej myślał Lawon. Opatulony w kilka warstw wełny, pozostałości z minionych operacji, szedł, powłócząc nogami, po trawiastym poboczu rue des Vallées, wsparty na lasce i na pozór z głową w chmurach. Przystanął na chwilę, by popatrzeć na przejeżdżającą limuzynę marki Maybach - byłoby dziwne, gdyby tego nie zrobił - ale nie zwrócił już najmniejszej uwagi na małego hatchbacka renault, który jechał w ślad za wielkim sedanem niczym ubogi krewny. Za renault droga była pusta, na co Lawon właśnie liczył. Uniósł dłoń od ust i pozorując kasznięcie, powiadomił Gabriela, że cel zbliża się zgodnie z planem, nieśledzony przez nikogo poza członkami ich zespołu.

W tym czasie maybach skręcił już w route des Hèdes i mijał starą winnicę z zawrotną prędkością. Dał nura w imponującą bramę château, a następnie sunął długim prostym żwirowanym podjazdem, na którego końcu stał Jossi w leniwej pozie, którą gwarantują tylko pieniądze. Poczekał, aż samochód się zatrzyma, po czym ruszył powoli w jego stronę, zamarł jednak, kiedy al-Kamal wyłonił się nagle jako czarna mgławica. Saudyjski ochroniarz przez kilka sekund stał przy samochodzie, wodząc wzrokiem po fasadzie wielkiej rezydencji, zanim wreszcie otworzył tylne drzwiczki precyzyjnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nadia wyłaniała się powoli i etapami - kosztowny but na żwirze, zdobiona klejnotami dłoń na górnej krawędzi drzwiczek, błysk jedwabistych włosów, które zdawały się skupiać resztki południowego światła.

Z powodów, których nie wyjawiał pozostałym, Gabriel postanowił uwiecznić tę chwilę na zdjęciu, które do dziś dnia spoczywa w archiwach Bulwaru Króla Saula. Zrobione przez Chiarę z okna na pierwszym piętrze ukazuje Nadię, która - z Zoe u boku - stawia pierwszy krok na dziedzińcu przed pałacem, jedną rękę wyciąga niepewnie do Thomasa Fowlera, w drugiej trzyma za szyjkę butelkę latour. Czoło ma nieznacznie zmarszczone, a w oczach widać nikły błysk rozpoznania. Naprawdę widziała raz tego mężczyznę na wyspie St. Barts, w uroczym małym barze z patiem wychodzącym na słone błota Saline. Nadia piła tamtego dnia daiquiri; ten mężczyzna sączył piwo kilka stolików dalej. Towarzyszyła mu skąpo ubrana kobieta, która teraz wychodziła przez frontowe drzwi rezydencji w stroju odpowiadającym kosztem i stylem garderobie Nadii. Kobieta, która teraz ścisnęła dłoń Nadii, jakby już nigdy nie zamierzała jej puścić.

- Jestem Jenny Fowler - powiedziała Rimona Stern. - Tak się cieszę, że przyłączy się pani do nas. Proszę wejść do środka, zanim wszyscy zamarzniemy tu na śmierć.

Pierwszy etap podróży Nadii dobiegł końca, wszyscy odwrócili się równocześnie i ruszyli do głównego wejścia. Ochroniarz próbował przez chwilę podążać za nimi, ale Nadia, w swoim pierwszym konspiracyjnym działaniu, powstrzymała go gestem dłoni i kilkoma uspokajającymi słowami wyszeptanymi po arabsku. Jeśli sądziła, że gospodarze nie rozumieją, myliła się; oboje Fowlerowie mówili płynnie po arabsku, podobnie jak drobna ciemnowłosa kobieta, która czekała pod kandelabrem w wielkim głównym holu. I znów na twarzy Nadii odmalowało się odległe wspomnienie.

- Jestem Emma - oznajmiła Dina Sarid. - Stara przyjaciółka Fowlerów. Miło mi panią poznać.

Nadia ujęła wyciągniętą do niej dłoń, zamykając tym kolejny etap podróży, i pozwoliła Dinie wprowadzić się do ogromnego pokoju o wysokim sklepieniu. Przy szeregu oszklonych drzwi, wpatrzona w kunsztowny tarasowy ogród, stała kobieta o jasnych włosach i alabastrowej skórze. Na dźwięk kroków odwróciła się powoli i długą chwilę patrzyła na Nadię pozbawionymi wyrazu niebieskimi oczami. Nie zadała sobie trudu, by podać fałszywe nazwisko. To nie byłoby właściwe.

- Witaj, Nadio - powiedziała wreszcie Sara Bancroft. - Miło znów cię widzieć.

Nadia wzdrygnęła się nieznacznie i po raz pierwszy zdawała się przestraszona.

- Mój Boże - powiedziała po chwili wahania. - To naprawdę ty? Bałam się, że jesteś...

- Martwa?

Nadia nie odpowiedziała. Wodziła z wolna wzrokiem po twarzach obecnych, aż w końcu zatrzymała spojrzenie na twarzy Zoe.

- Wiesz, kim są ci ludzie?

- Oczywiście.

- Pracujesz dla nich?

- Pracuję dla CNBC w Nowym Jorku.

- To dlaczego tu jesteś?

- Chcieli z tobą porozmawiać. Nie było innego sposobu.

Wyglądało na to, że Nadia przyjęła to wyjaśnienie, przynajmniej na razie. Znow wodziła wzrokiem po pokoju. Tym razem zatrzymała go na Sarze.

- O co tu chodzi?

- O ciebie, Nadio.

- Jak to o mnie?

- Próbujesz zmienić islamski świat. Chcemy ci pomóc.

- Kim ty jesteś?

- Jestem Sara Bancroft, amerykańska dziewczyna, która sprzedała twojemu ojcu obraz van Gogha. Po tamtej transakcji zaproponował mi posadę osobistej konsultantki artystycznej. Popłynęłam z wami na wasz coroczny zimowy rejs po Karaibach. Potem odeszłam.

- Jesteś szpiegiem? - spytała Nadia, ale Sara nie odpowiedziała, wyciągnęła tylko dłoń. Podróż Nadii dobiegła już niemal końca. Został jej jeszcze tylko ostatni krok. Musiała poznać jeszcze jedną osobę.

Oddzielony od wielkiego salonu majestatycznymi podwójnymi drzwiami znajdował się mniejszy, mniej oficjalny salonik ze ścianami pełnymi książek i tapicerowanymi meblami ustawionymi przy dużym kamiennym kominku. Było w nim zarówno coś krzepiącego, jak i konspiracyjnego, tutaj z pewnością wymieniano ukradkowe pocałunki, wyznawano grzechy i zawierano tajne alianse. Wprowadzona do tego pokoju przez Sarę Nadia obeszła go w roztargnieniu naokoło, zanim usadowiła się na brzegu długiej kanapy. Zoe usiadła na jej drugim krańcu, jakby dla równowagi, a Sara naprzeciwko, złożony skromnie dłonie na podolku i odwróciwszy nieznacznie wzrok. Pozostali członkowie zespołu byli rozproszeni po pokoju w różnych swobodnych pozach, jakby powrócili na swoje miejsca na przyjęciu przerwanych przez przybycie Nadii. Jedyne wyjątek stanowił Gabriel, który stał przy zgaszonym kominku, z podbródkiem wspartym na dłoni i głową przechyloną nieco w bok. W tym momencie zastanawiał się, jak najlepiej odpowiedzieć na proste pytanie, które zadała mu Nadia kilka sekund po tym, jak wślizgnął się do pokoju. Sfrustrowana jego milczeniem, ponownie zadała swoje pytanie, tym razem dobitniej.

- Kim wy jesteście?

Gabriel odjął dłoń od podbródka i gestykułował nią, dokonując prezentacji.

- To są Fowlerowie, Thomas i Jenny. Thomas zarabia pieniądze. Jenny je wydaje. Ta dość melancholijna dziewczyna w kącie to Emma. Są z Thomasem starymi przyjaciółmi. Właściwie byli kiedyś kochankami, a w przypływach chandry Jenny podejrzewa, że nadal są.

- Przerwał na chwilę, by położyć dłoń na ramieniu Sary. - Tę kobietę oczywiście pani pamięta. To Sara, nasza gwiazda. Sara posiada więcej stopni naukowych niż cała reszta nas razem wzięta. Pomimo kosztownego wykształcenia, opłaconego w całości przez jej dręczonego poczuciem winy ojca, kilka lat temu pracowała w podupadłej galerii w Londynie, kiedy pani ojciec zjawił się tam w poszukiwaniu van Gogha, jedyne go artysty, którego brakowało mu w jego kolekcji. Sara zrobiła na nim takie wrażenie, że zwolnił swego wieloletniego konsultanta artystycznego i zaproponował jej pracę za wielokrotność jej ówczesnej pensji. Świadczenia dodatkowe obejmowały zaproszenie na rejs po Karaibach na pokładzie „Alexandry”. O ile pamiętam, z początku była pani dość nieprzystępna. Ale kiedy dopłynęliście do zaczarowanej wyspy St. Barts, stałyście się z Sarą dobrymi przyjaciółkami. Powiernicami, powiedziałbym.

Sara zachowywała się tak, jakby w ogóle nie słyszała, co mówił. Nadia przyglądała jej się przez chwilę, zanim odwróciła się z powrotem do Gabriela.

- To nie był przypadek, że tych czworo wylądowało na St. Barts w tym samym czasie. Widzi pani, Nadio, oni są profesjonalnymi oficerami wywiadu. Thomas, Jenny i Emma są zatrudnieni w służbach zagranicznego wywiadu Izraela, podobnie jak ja. Sara pracuje dla CIA. Jej znajomość sztuki jest jak najbardziej prawdziwa, co wyjaśnia, dlaczego została wybrana do operacji przeciwko AAB Holdings. Pani ojciec był sekretnym filantropem, podobnie jak pani, Nadio. Niestety, jego dobroczynność była skierowana na przeciwległy kraniec islamskiego spektrum. Wspierał podżegaczy, werbujących do siatek terrorystycznych i bezpośrednio samych terrorystów. Kiedy odkrył prawdę o Sarze, wydał ją na tortury i śmierć. Ale pani już to wiedziała, prawda, Nadio? Dlatego tak się pani zdziwiła, widząc, że pani przyjaciółka Sara wciąż pozostaje wśród żywych i ma się całkiem dobrze.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, jak pan się nazywa.

- W tej chwili moje nazwisko nie jest istotne. Wolę myśleć o sobie jako o zbieraczu iskier. - Przerwał, po czym dodał: - Tak jak pani, Nadio.

- Słucham?

- Część naszych pradawnych rabinów wierzyła, że kiedy Bóg stwarzał świat, umieścił swoje boskie światło w specjalnych niebiańskich pojemnikach. Okazało się jednak, że stworzenie świata nie poszło całkiem zgodnie z boskim planem i zdarzył się wypadek. Naczynia się potłukły i na świat posypały się iskry boskiego światła i odłamki potłuczonych naczyń. Rabini wierzyli, że stworzenie świata nie będzie ukończone, dopóki te iskry nie zostaną zebrane. Nazywamy to Tikkun Olam albo Naprawą Świata. Osoby zgromadzone w tym pokoju próbują naprawić świat, Nadio, i sądzimy, że pani także. Próbuje pani pozbierać odłamki nienawiści rozpowszechniane przez wahhabickich kaznodziejów. Próbuje pani naprawić szkody spowodowane przez poparcie pani ojca dla terroryzmu. Podziwiamy pani starania. I chcemy pomóc.

- Skąd wiecie o mnie to wszystko?

- Obserwujemy panią od dawna.

- Dlaczego?

- Przez rozwałkę - odparł Gabriel. - Kiedy pani ojciec został zabity w Cannes, obawialiśmy się, że będzie pani próbowała dopełnić swojej przysięgi, by pomścić jego śmierć. A ostatnie, czego potrzebował świat, to kolejny bogaty Saudyjczyk, czy też Saudyjka, napelniający pieniędzmi kieszenie terrorystów. Nasze obawy wzmożły się znacznie, kiedy zatrudniła pani po cichu byłego oficera saudyjskiego wywiadu, nazwiskiem Faisal Qahtani,

by zbadał okoliczności śmierci pani ojca. Pan Qahtani doniósł pani, że pani ojciec został zabity przez izraelskie tajne służby, za przyzwoleniem CIA i amerykańskiego prezydenta. Następnie przekazał pani dowody dotyczące długiej historii wspierania przez pani ojca globalnego ruchu dżihadystycznego. - Gabriel przerwał. - Zawsze się zastanawiałem, który aspekt życia pani ojca sprawił pani więcej bólu, Nadio; czy to, że pani ojciec był zbrodniarzem, czy to, że panią okłamywał. Dowiedzieć się, że zostało się oszukany przez rodzica, może być bardzo traumatycznym doświadczeniem.

Nadia nie odpowiedziała. Gabriel kontynuował:

- Wiemy, co pan Qahtani pani powiedział, ponieważ te same materiały przekazał nam za bardzo rozsądną cenę stu tysięcy amerykańskich dolarów, przelanych na konto w szwajcarskim banku. - Gabriel pozwolił sobie na przelotny uśmiech. - Pan Qahtani to człowiek, którego źródła są nienaganne, ale nie można tego samego powiedzieć o jego lojalności. Gustuje ponadto w pięknych kobietach wątpliwej profesji.

- Czy te informacje były dokładne?

- Które konkretnie?

- Te dotyczące zamordowania mojego ojca przez tajne służby izraelskie, za przyzwoleniem CIA i amerykańskiego prezydenta.

Gabriel zerknął na Zoe, która w podziw godny sposób zdołała ukryć swoją ciekawość. Teraz gdy wykonała swoje zadanie, powinna zostać grzecznie wyproszona. Ale Gabriel postanowił pozwolić jej na razie zostać w pokoju. Jego pobudki były czysto egoistyczne. Miał pełną świadomość więzi, jaka wytworzyła się pomiędzy Nadią a Zoe. Wiedział także, że Zoe mogła być bardzo pomocna w ostatecznym zawarciu porozumienia. Samą swoją obecnością Zoe potwierdzała słuszność jego sprawy i szlachetność jego intencji.

- Morderstwo to nie najlepsze słowo na określenie tego, co spotkało pani ojca - powiedział. - Ale jeśli pani pozwoli, wolałbym pozostać jeszcze przez chwilę przy temacie naszego wspólnego znajomego, dwulicowego pana Qahtani. Dokonał nie tylko zwykłej analizy przyczyn śmierci pani ojca. Dostarczył także wiadomość od samego saudyjskiego monarchy. Wiadomość ta jasno dawała do zrozumienia, że pewne osoby z dynastii Saudów wiedziały o działalności pani ojca i milcząco ją pochwalały. Równie jasno stawiała sprawę, że w żadnym wypadku nie powinna pani podejmować akcji odwetowych przeciwko izraelskim czy amerykańskim celom. Dynastia Saudów była wówczas pod ogromną presją ze strony Waszyngtonu, by zakończyć poparcie Królestwa dla ekstremistycznego islamu i terroryzmu. Król nie chciał, by spowodowała pani dodatkowe komplikacje w relacjach między Rijadem a Waszyngtonem.

- Tego także dowiedział się pan od pana Qahtani?
- Było to zawarte w pierwotnym pakiecie, bez dodatkowych opłat.
- Czy pan Qahtani opisał moją reakcję?

- Owszem - potwierdził Gabriel. - Powiedział, że ostrzeżenie ze strony dynastii saudyjskiej było prawdopodobnie niepotrzebne, gdyż, zdaniem pana Qahtani, nie zamierzała pani spełniać przysięgi, że pomści pani śmierć ojca. Pan Qahtani nie zdawał sobie natomiast sprawy, że była pani wstrząśnięta tym, czego dowiedziała się pani o ojcu; do tego stopnia wstrząśnięta, że sama stała się pani swego rodzaju ekstremistką. Po przejęciu AAB Holdings postanowiła pani wykorzystać majątek ojca, by naprawić wyrządzone przez niego krzywdy. Stała się pani naprawiaczem świata, zbieraczem iskier.

Nadia uśmiechnęła się lekceważąco.

- Jak już mówiłam niedawno podczas lunchu pańskiej przyjaciółce Zoe, to ciekawa historia, ale niestety nieprawdziwa.

Gabriel czuł jednak, że zaprzecza bez przekonania. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli całkowicie zignoruje jej słowa.

- Jest pani wśród przyjaciół, Nadio - powiedział łagodnie. - Admiratorów, można wręcz powiedzieć. Nie tylko podziwiamy odwagę pani pracy, ale jesteśmy także pełni szacunku dla zręczności, z jaką ją pani ukrywa. Prawdę mówiąc, sporo czasu zajęło nam odkrycie, że wykorzystuje pani sprytnie skonstruowane transakcje na rynku sztuki, by prac brudne pieniądze i przekazywać je w ręce ludzi, którym próbuje pani pomóc. Jako profesjonaliści oddajemy hołd pani przebiegłości. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, sami nie zrobilibyśmy tego lepiej.

Nadia podniosła gwałtownie głowę, ale tym razem nie zaprzeczyła. Gabriel poszedł za ciosem.

- W wyniku umiejętnych działań udało się pani zachować swoją pracę w tajemnicy przed saudyjskim wywiadem i Saudami. To niezwykle osiągnięcie, zważywszy, że jest pani w dzień i w nocy otoczona przez dawnych pracowników i ochroniarzy pani ojca. Z początku dziwiła nas pani decyzja, by nadal korzystać z ich usług. Ale z perspektywy czasu powody takiego postępowania są dla nas całkiem oczywiste.

- Czyżby?

- Nie miała pani innego wyboru. Pani ojciec był przebiegłym biznesmenem, ale nie można powiedzieć, że doszedł do majątku uczciwie. Firma Ziziego została kupiona i opłacana przez dynastię saudyjską, co oznacza, że Saudowie mogą panią zniszczyć jednym pstryknięciem swych królewskich palców.

Gabriel spojrział na Nadię, by zobaczyć jej reakcję. Jej twarz pozostała spokojna.

- To oznacza, że prowadzi pani niebezpieczną grę - ciągnął Gabriel. - Wykorzystuje pani pieniądze monarchy, by rozpowszechniać idee, które mogą ostatecznie zagrozić jego pozycji na tronie. A to czyni panią wywrotowcem. Heretyczką. A oboje wiemy, co spotyka wywrotowców i heretyków, którzy zagrażają dynastii saudyjskiej. W taki czy inny sposób są eliminowani z gry.

- Wcale nie wygląda na to, że chcecie mi pomóc. Raczej na to, że zamierzacie szantażem zmusić mnie do ugięcia się przed waszą wolą.

- Pragniemy jedynie, by kontynuowała pani swoją działalność. Chcielibyśmy natomiast udzielić pani pewnej rady.

- Co to za rada?

- Inwestycyjna - powiedział Gabriel. - Uważamy, że to może być dobry moment, by dokonała pani pewnych zmian w swoim portfolio, zmian, które byłyby bardziej zgodne z pani dziedzictwem jako jedynej córki zmarłego Ziziego al-Bakari.

- Mój ojciec finansował terroryzm.

- Tak, Nadio, i w tej działalności nie miał sobie równych. Był uosobieniem dżihadu.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Nadia - ale nie rozumiem, czego ode mnie oczekujecie.

- To proste. Chcemy, żeby poszła pani w ślady ojca. Chcemy, żeby podniosła pani sztandar dżihadu, który wypadł z jego dłoni tamtego strasznego wieczoru w Cannes. Chcemy, żeby pomściła pani jego śmierć.

- Chcecie, żebym ja stała się terrorystką?

- Właśnie.

- I jak miałabym to zrobić?

- Finansując własną grupę terrorystyczną. Ale proszę się nie martwić, Nadio. Nie będzie pani musiała robić tego sama. Thomas i ja pani w tym pomożemy.

30.

SERAINCOURT, FRANCJA

Dotarli do dobrego miejsca na odpoczynek - do oazy, myślał Gabriel, którego nagle ogarnęła nostalgia za pustynią. Powód wezwania Nadii został pomyślnie poruszony. Teraz przyszła pora na chwilę przerwy i refleksji nad dotychczasową podróżą. A także na zajęcie się trochę nieprzyjemną sprawą. Gabriel miał kilka pytań, które wymagały odpowiedzi, zanim będą mogli przejść dalej - pytań dotyczących powikłanej polityki i zadawnionych nienawiści na Bliskim Wschodzie. Zadał pierwsze, przykucnąwszy przy kominku z niezapaloną zapalką w dłoni.

- Jaki jest pani stosunek do nas? - zapytał, pocierając zapalkę o kamienną obudowę kominka.

- Do Izraelitów?

- Do Żydów - odparł Gabriel, przykładając zapalkę do kawałka papieru na podpałkę. - Czy pani zdaniem jesteśmy diabelskim pomiotem? Uważa pani, że kontrolujemy światowe finanse i media? Że sami sprowadziliśmy na siebie Holokaust? Czy uważa pani, że Holokaust w ogóle miał miejsce? Czy uważa pani, że dodajemy krew nieżydowskich dzieci do naszego prząsnego chleba? Czy pani zdaniem jesteśmy małpami i psami, tak jak lubią nas przedstawiać wahhabiccy duchowni i saudyjskie podręczniki?

- Nie chodziłam do szkoły w Arabii Saudyjskiej - powiedziała Nadia neutralnym tonem.

- Nie - podchwycił Gabriel - chodziła pani do najbardziej prestiżowych szkół w Europie, podobnie jak nasza przyjaciółka Sara. Ale Sara dobrze pamięta pewien incydent na plaży w St. Barts, kiedy to powiedziała pani coś dosyć nieprzyjemnego o człowieku, którego uważała pani za Żyda. Sara pamięta także, jak ubliżano Żydom, ilekroć w otoczeniu pani ojca zaczynano rozmawiać o polityce.

Nadia patrzyła na Sarę z niejakim smutkiem, jakby ta zawiodła jej zaufanie.

- Poglądy mego ojca dotyczące Żydów były dobrze znane - powiedziała po chwili. - Niestety, nasiąkałam nimi od dziecka i na pewien czas poglądy mego ojca stały się moimi. - Umilkła i spojrzała na Gabriela. - Czy pan nigdy nie powiedział czegoś, co chciałby pan cofnąć? Czy nigdy nie zrobił pan czegoś, czego się pan ogromnie wstydzi?

Gabriel dmuchnął delikatnie na ogień, ale nie odpowiedział.

- Zarządzam majątkiem wartym miliardy dolarów - podjęła Nadia. - Więc pewnie

pana nie zdziwi, że nie uważam, by Żydzi kontrolowali światowy system finansowy. Podobnie nie sądzę, by kontrolowali media. Wiem, że Holocaust miał miejsce, że zginęło sześć milionów ludzi i zaprzeczanie tej prawdzie stanowi propagandę nienawiści. Uważam także, że te odwieczne potwarze to są właśnie potwarze, i wzdragam się za każdym razem, gdy słyszę, jak któryś z saudyjskich tak zwanych religijnych mężczyzn nazywa Żydów i chrześcijan małpami i świniami. - Przerwała. - Czy coś pominęłam?

- Diabła - podpowiedział Gabriel.

- Nie wierzę w diabła.

- A co z Izraelem, Nadio? Czy uznaje pani nasze prawo do spokojnego życia? Prawo do odprowadzania naszych dzieci do szkoły czy chodzenia na zakupy bez lęku, że zostaniemy rozerwani na strzępy przez jednego z żołnierzy Allaha?

- Uważam, że państwo Izrael ma prawo istnieć. Podobnie jak ma prawo bronić się przed tymi, którzy chcą je zniszczyć czy mordować jego obywateli.

- A jak pani myśli, co by się stało, gdybyśmy jutro wycofali się z Zachodniego Brzegu i Gazy i oddali władzę nad nimi Palestyńczykom? Czy sądzi pani, że świat islamski by nas wreszcie zaakceptował, czy też już zawsze będzie w nas widział obcy byt, zarazę, którą trzeba wypłenić?

- Obawiam się, że to drugie - odparła Nadia - chociaż staram się wam pomóc. Byłoby miło, gdybyście, chociaż czasami, nie utrudniali mi tego na każdym kroku. Każdego dnia na wiele sposobów upokarzacie Palestyńczyków i ich popleczników w całym islamskim świecie. A kiedy połączyć upokorzenie z ideologią wahhabicką...

- Na ulicach Europy wybuchają bomby - podchwycił Gabriel. - Ale to nie tylko upokorzenie i ideologia tworzą globalny terrorizm. Do tego potrzeba również pieniędzy. Terrorystyczne mózgi potrzebują pieniędzy, by inspirować, potrzebują pieniędzy, by rekrutować i szkolić, potrzebują wreszcie pieniędzy, by działać. Mając pieniądze, mogą uderzać, jak chcą. Bez pieniędzy są niczym. Pani ojciec rozumiał potęgę pieniądza. Podobnie jak pani. Dlatego właśnie zadaliśmy sobie tyle trudu, by skontaktować się z panią, Nadio. Dlatego właśnie jest pani tutaj.

Eli Lawon wślizgnął się po cichu do pokoju i przysiadłszy pod jednym z okien, beznamytnie przysłuchiwał się rozmowie. Nadia przyglądała mu się uważnie przez chwilę, jakby usiłowała odnaleźć go w przepelnionych szufladach swojej pamięci.

- Czy to on tu dowodzi? - spytała.

- Max? - Gabriel powoli pokręcił głową. - Nie, Max tu nie dowodzi. To na mnie spoczywa ten nieprzyjemny obowiązek. Max jest tylko moim sumieniem. Moją udręczoną

duszą.

- Nie wydaje mi się udręczony.

- To dlatego, że Max jest profesjonalistą. I jak wszyscy profesjonalści Max jest bardzo dobry w ukrywaniu swoich emocji.

- Jak pan.

- Tak, jak ja.

Zerknęła na Lawona i spytała:

- Co go tak trapi?

- Max sądzi, że zbłądziłem. Max usiłuje mnie uchronić przed popełnieniem największego, jak sądzi, błędu w mojej poza tym nieskalanej karierze.

- Co to za błąd?

- Pani - odparł Gabriel. - Ja jestem przekonany, że jest pani spełnieniem moich modlitw, że możemy razem pracować nad usunięciem poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa Zachodu i Bliskiego Wschodu. Ale, jak pani widzi, Max jest ode mnie sporo starszy i ma w związku z tym bardzo sztywne poglądy. Uważa pomysł naszej współpracy za śmiechu warty i naiwny. Sądzi, że jako muzułmanka z Arabii Saudyjskiej wysłała pani nienawiść do Żydów z mlekiem matki. Max żywi także przekonanie, że przede wszystkim jest pani córką swego ojca. I uważa, że tak jak pani ojciec ma pani dwie twarze: jedną, którą pokazuje pani Zachodowi, a drugą, którą odsłania pani w domu.

Nadia po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Może powinien pan przypomnieć Maxowi, że w domu w ogóle nie wolno mi odsłaniać twarzy, w każdym razie nie publicznie. I może powinien pan mu także przypomnieć, że każdego dnia ryzykuję życie, by to zmienić.

- Max ma poważne wątpliwości co do pani działalności filantropijnej i pobudek, które się za nią kryją. Max sądzi, że stanowi ona przykrywkę dla pani prawdziwych planów, bardziej zgodnych z poczynaniami pani zmarłego ojca. Max sądzi, że jest pani dżihadystką. Najprościej rzecz ujmując, Max sądzi, że pani kłamie.

- A może to p a n kłamie.

- Jestem oficerem wywiadu, Nadio, a to oznacza, że kłamstwo to mój zawód.

- Czy teraz też mnie pan okłamuje?

- Tylko troszeczkę - przyznał Gabriel ze skruchą. - Obawiam się, że ta znękana duszyczka pod oknem naprawdę nie ma na imię Max.

- Ale nadal uważa, że kłamie?

- Ma nadzieję, że nie. Ale musi wiedzieć, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie,

zanim będziemy mogli kontynuować rozmowę.

- Czyli po jakiej stronie?

- Po stronie aniołów, rzecz jasna.

- Tych samych aniołów, które z zimną krwią zamordowały mojego ojca.

- Znów to słowo, Nadia. Pani ojciec nie został zamordowany. Został zabity przez wrogie siły na polu walki, które sam wybrał. Umarł męczeńską śmiercią w służbie wielkiego dżihadu. Niestety, ideologia przemocy, którą pomagał szerzyć, nie umarła wraz z nim. Żyje w półksiężycu świętego gniewu rozciągającym się od plemiennych obszarów Pakistanu aż po ulice Londynu. I żyje w śmiertelności nowej siatki terrorystycznej powstałej w górach Jemenu. Ta siatka ma charyzmatycznego przywódcę, wprawny mózg operacyjny, i kadrę gotowych na wszystko shahidów. Brakuje jej tylko jednego i to właśnie pani może im dostarczyć.

- Pieniądzy - odpowiedziała Nadia.

- Pieniądzy - powtórzył Gabriel. - Pytanie tylko, czy naprawdę jest pani kobietą, która w pojedynkę usiłuje zmienić oblicze współczesnego Bliskiego Wschodu, czy też faktycznie jest pani córką swego ojca?

Nadia milczała przez chwilę.

- Obawiam się, że będziecie musieli to rozstrzygnąć bez mojej pomocy - powiedziała wreszcie - ponieważ w tej właśnie chwili to małe przesłuchanie oficjalnie dobiegło końca. Jeśli czegoś ode mnie chcecie, proponuję, żebyście powiedzieli to otwarcie. I nie zwlekałabym z tym zbyt długo. Możecie mieć wątpliwości co do mojego stanowiska, ale nie powinniście mieć żadnych co do postawy szefa mojej jednostki ochrony. Rafiq al-Kamal jest lojalnym pracownikiem mego ojca, wiernym ideologii wahhabickiej. I gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zaczyna mieć pewne podejrzenia względem tego, co się tutaj dzieje.

31.

SERAINCOURT, FRANCJA

Członkowie zespołu jeden po drugim powoli opuścili pokój - wszyscy poza Elim Lawonem, który pozostał na swoim stanowisku pod oknem, i Gabrielem, który usiadł na miejscu zwolnionym przez Sarę. Patrzył chwilę na Nadię w pełnym szacunku milczeniu. Potem, ponurym głosem zapożyczonym od Szamrona, zaczął opowiadać jej pewną historię. Była to historia charyzmatycznego islamskiego duchownego nazwiskiem Raszid al-Husseini, o podyktowanej najlepszymi intencjami operacji CIA, która skończyła się bardzo źle, i o śmiertelnej siatce terrorystycznej, której brakowało kapitału operacyjnego koniecznego, by mogła realizować swoje cele. Sprawozdanie było nadzwyczaj pełne - kiedy Gabriel wreszcie skończył, blade jesienne słońce zaszło i pokój pograżył się w półmroku. Lawon stał się ledwie dostrzegalną sylwetką, jeśli nie liczyć rozczochranych włosów otaczających jego głowę niczym aureola. Nadia siedziała bez ruchu na krańcu długiej kanapy, nogi podwinęła pod siebie, ręce skrzyżowała na piersi. Patrzyła na Gabriela ciemnymi oczami, nie mrugając, jakby pozowała do portretu. Był to portret kobiety z odkrytą twarzą, myślał Gabriel, olej na płótnie, artysta nieznany.

Z pokoju obok dobiegł ich wybuch śmiechu. Kiedy umilkł, rozległy się dźwięki muzyki. Nadia zamknęła oczy i słuchała.

- Czy to Miles Davis? - spytała.

- *Dobry stary Sztokholm* - powiedział Gabriel, skinąwszy głową.

- Zawsze bardzo lubiłam Milesa Davisa, pomimo że mój ojciec jako pobożny muzułmanin wahhabita przez pewien czas usiłował zabraniać mi słuchania jakiegokolwiek muzyki. - Umilkła na chwilę, nadal słuchając. - Lubię także Sztokholm. Miejmy nadzieję, że Raszid nie umieścił go na swojej liście celów zamachów.

- Pewien bardzo mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że nadzieja nie jest właściwą strategią, gdy chodzi o ludzkie życie.

- Może i nie - odparła Nadia - ale nadzieja jest teraz bardzo modna w Waszyngtonie.

Gabriel uśmiechnął się i rzekł:

- Nadal nie odpowiedziała pani na moje pytanie, Nadio.

- Co to za pytanie?

- Co było bardziej bolesne? Odkrycie, że pani ojciec był terrorystą, czy to, że panią oszukiwał?

Patrzyła na Gabriela z niepokojącym napięciem. Po chwili wyjęła z torebki paczkę papierosów Virginia Slims, zapaliła jednego, po czym podsunęła paczkę Gabrielowi. Odmówił bezceremonialnym machnięciem dłoni.

- Obawiam się, że pańskie pytanie świadczy o głębokiej nieznajomości saudyjskiej kultury - powiedziała wreszcie. - Mój ojciec sporo obracał się w świecie Zachodu, ale przede wszystkim był jednak saudyjskim mężczyzną, co oznaczało, że moje życie, całkiem dosłownie, było w jego rękach. Nawet po jego śmierci nie przestałam się go bać. Nawet po jego śmierci nigdy nie pozwoliłam sobie wobec niego na takie uczucia jak rozczarowanie.

- Ale nie można przecież powiedzieć, że była pani typowym saudyjskim dzieckiem.

- To prawda - przyznała. - Ojciec dawał mi sporo wolności, kiedy byliśmy na Zachodzie. Ale ta wolność nie rozciągała się na Arabię Saudyjską ani na nasze osobiste relacje. Ojciec był jak Saudowie. Był w naszej rodzinie władcą absolutnym. I dobrze wiedziałam, co by się stało, gdybym zrobiła coś niestosownego.

- Groził pani?

- Oczywiście, że nie. Ojciec nigdy nie podniósł na mnie głosu. Nie musiał. Kobiety w Arabii Saudyjskiej znają swoje miejsce. Z chwilą pierwszej menstruacji ukrywają się za czarną zasłoną. I niech Bóg ma je w swej opiece, jeśli kiedykolwiek okryją hańbą mężczyznę, który sprawuje nad nimi władzę.

Wyprostowała się teraz nieznacznie, jakby uważając na swoją postawę. Słabe światło ognia usunęło pierwsze oznaki starzenia z jej twarzy. W tej chwili wyglądała zupełnie jak ta bezczelna uderzająco piękna dziewczyna, którą ujrzeli po raz pierwszy przed kilku laty sunącą po bruku Mason's Yard. Nadia była wówczas denerwującym dodatkiem podczas operacji przeciwko jej ojcu. Nawet Gabrielowi trudno było uwierzyć, że zepsuta córka Ziziego al-Bakari przemieniła się w tę elegancką, mądrą kobietę siedzącą teraz przed nim.

- Dla arabskiego mężczyzny honor jest bardzo ważny - ciągnęła. - Honor jest wszystkim. Dostałam w tej kwestii dość bolesną naukę, kiedy miałam zaledwie osiemnaście lat. Jedną z moich najlepszych przyjaciółek była dziewczyna imieniem Rena. Pochodziła z dobrej rodziny, nie tak mającej jak nasza, ale ustosunkowanej. Rena miała swoją tajemnicę. Zakochała się w przystojnym egipskim młodzieńcu, którego poznała w centrum handlowym w Rijadzie. Spotykali się potajemnie w jego mieszkaniu. Ostrzegałam Renę, że prowadzi niebezpieczną grę, ale ona nie chciała przestać się spotykać z ukochanym. W końcu *mutaween*, religijna policja, przyłapała ją w towarzystwie Egipcjanina. Ojciec Reny był tak upokorzony, że zdecydował się na jedyne dostępne rozwiązanie, w każdym razie w jego pojęciu.

- Honorowe zabójstwo?

Nadia z wolną skinęła głową.

- Renę skrepowano ciężkimi łańcuchami. Następnie, na oczach reszty rodziny, została wrzucona do prywatnego basenu przy domu. Jej matka i siostry musiały na to patrzeć. Nic nie powiedziały. Nic nie zrobiły. Były bezsilne.

Nadia pogrążyła się w milczeniu.

- Kiedy dowiedziałam się, co się stało - powiedziała wreszcie - byłam zdruzgotana. Jak ojciec mógł być tak barbarzyński i prymitywny? Jak mógł zabić własne dziecko? Ale kiedy zadałam te pytania własnemu ojcu, powiedział mi, że taka była wola Allaha. Rena musiała zostać ukarana za swoją lekkomyślność. Tak musiało się stać i już. - Przerwała. - Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy ojca, gdy to mówił. Taką samą minę miał kilka lat później, kiedy patrzył, jak wałęsa się wieże World Trade Center. To straszliwa tragedia, powiedział, ale taka była wola Allaha. Tak musiało się stać i już.

- Czy podejrzewała pani kiedykolwiek, że ojciec był zamieszany w działalność terrorystyczną?

- Oczywiście, że nie. Sądziłam, że terroryzm to robota obłąkanych dżihadystów, jak Bin Laden i Zawahiri, a nie człowieka pokroju mego ojca. Zizi al-Bakari był biznesmenem i kolekcjonerem dzieł sztuki, nie zbrodniarzem. W każdym razie tak mi się zdawało.

Z jej papierosa został już tylko niedopałek. Zdusiła go i natychmiast zapaliła kolejnego papierosa.

- Ale teraz, po upływie odpowiednio długiego czasu, widzę pewien związek pomiędzy śmiercią Reny i zamordowaniem trzech tysięcy niewinnych ludzi jedenastego września. Obie te tragedie miały wspólne źródło - Muhammada Abdula Wahhaba. Dopóki jego ideologia nienawiści nie zostanie zneutralizowana, terroryzm będzie się rozwijać i będą ginąć kolejne kobiety takie jak Rena. Wszystko, co robię, robię dla niej. Ona jest moją przewodniczką, moim drogowskazem.

Nadia zerknęła w kąt pokoju, gdzie Lawon siedział samotnie, spowity cieniem.

- Czy Max wciąż ma wątpliwości?

- Nie - odparł Gabriel - Max nie ma już żadnych wątpliwości.

- Co teraz myśli Max?

- Max uważa, podobnie jak ja, że współpraca z panią, Nadio, to będzie dla nas zaszczyt.

Nadia przez chwilę patrzyła w milczeniu w ogień.

- Wysłuchałam pańskiej propozycji - odezwała się wreszcie - i odpowiedziałam już na

wystarczająco wiele pytań. Teraz pan musi odpowiedzieć na parę moich.

- Może mnie pani pytać, o co tylko pani zechce.

Na twarzy Nadii pojawił się cień uśmiechu.

- Może powinniśmy się napić trochę tego wina, które przywiozłam. Zawsze miałam wrażenie, że dobra butelka latour potrafi złagodzić nawet najbardziej nieprzyjemną rozmowę.

32.

SERAINCOURT, FRANCJA

Nadia śledziła uważnie dłonie Gabriela, gdy odkorkowywał wino. Nalał trochę do dwóch kieliszków, zatrzymując jeden dla siebie, a drugi podając jej.

- A dla Maxa nie?
- Max nie pije.
- Jest muzułmańskim fundamentalistą?
- Jest abstynentem.

Gabriel uniósł swój kieliszek o ułamek cala, markując toast. Nadia nie odwzajemniła tego gestu. Postawiła swój kieliszek na stole z przesadną, odniósł wrażenie Gabriel, starannością.

- Mam kilka pytań dotyczących śmierci mojego ojca, na które nie udało mi się dotąd znaleźć odpowiedzi - rzekła po dłuższym milczeniu. - Chcę, żeby teraz pan mi ich udzielił.

- Mam pewne ograniczenia względem tego, co mogę powiedzieć.
- Radziłabym, żeby przemyślał pan jeszcze swoje stanowisko. W przeciwnym razie...
- Co chciałyby pani wiedzieć, Nadio?
- Czy od początku planowano jego zabójstwo?
- Wręcz przeciwnie.
- Co to znaczy?

- To znaczy, że Amerykanie wystarczająco jasno dali do zrozumienia, że pani ojciec był zdecydowanie zbyt ważny, by go traktować jak zwyczajnego terrorystę. Nie był członkiem rodziny królewskiej, ale plasował się niewiele niżej jako potomek starego kupieckiego rodu z Nadzdu, który twierdził, że łączy go więzy krwi z samym Muhammadem Abdulem Wahhabem.

- I to czyniło go nietykalnym w oczach Amerykanów?
- Używali słowa „radioaktywny”.
- Więc co się stało?
- Sara.
- Zrobili jej krzywdę?
- Omal jej nie zabili.

Nadia chwilę milczała.

- Jak ją odbiliście?

- Walczymy na tajnym polu bitwy, ale uważamy się za żołnierzy i nigdy nie zostawiamy żadnego z naszych ludzi w rękach wroga.

- Cóż za szlachetność.

- Nie zawsze musi się pani zgadzać z naszymi celami i metodami, Nadio, ale staramy się działać zgodnie z określonym kodeksem. Zdarza się, że nasi wrogowie również go przestrzegają. Ale nie pani ojciec. Pani ojciec stosował się wyłącznie do własnych reguł. Do reguł Ziziego.

- I za to został zabity na zatłoczonej ulicy w Cannes.

- Wołałaby pani Londyn? Albo Genewę? Czy może Rijad?

- Wołałabym nie być zmuszona do patrzenia, jak mój ojciec ginie zastrzelony z zimną krwią.

- My też byśmy to woleli. Niestety, nie mieliśmy innego wyboru.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Nadia patrzyła Gabrielowi prosto w twarz. W jej oczach nie było gniewu, jedynie nieznaczny ślad smutku.

- Nadal nie wyjawiał mi pan swojego nazwiska - powiedziała wreszcie. - A to raczej nie jest fundament silnego opartego na zaufaniu partnerstwa.

- Myślę, że pani już zna moje nazwisko, Nadio.

- Znam - odparła po chwili. - A jeśli terroryści i ich poplecznicy na dworze króla kiedykolwiek dowiedzą się, że współpracuję z Gabrielem Allonem, tym samym człowiekiem, który zabił mojego ojca, ogłoszą mnie apostatką. A potem przy pierwszej okazji poderzną mi gardło. - Umilkła, po czym dodała: - Nie panu, panie Allon, mnie.

- Mamy pełną świadomość niebezpieczeństwa związanego z tym, o co panią prosimy, i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić pani bezpieczeństwo. Każdy pani krok będzie równie starannie zaplanowany i zrealizowany, jak to spotkanie.

- Ależ ja nie o to proszę, panie Allon. Muszę wiedzieć, czy p a n będzie mnie chronił.

- Ma pani moje słowo - odparł bez wahania.

- Słowo człowieka, który zabił mojego ojca.

- Obawiam się, że nie mogę nic zrobić, by zmienić przeszłość.

- Nie - odrzekła - tylko przyszłość.

Spojrzała na Eliego Lawona, który z godnym podziwu samozaparciem ukrywał swoją irytację wobec tego, co właśnie zostało powiedziane, po czym wyjrzała przez okno na tarasowy ogród.

- Mamy jeszcze kilka minut dnia - powiedziała wreszcie. - Może przejdziemy się

chwilkę, panie Allon? Muszę panu powiedzieć coś jeszcze.

*

Szli zwirowaną alejką pomiędzy kolumnami kołyszących się cyprysów. Nadia szła z prawej strony Gabriela. Z początku wydawała się speszona narzuconą przez spacer bliskością, ale gdy zanurzyli się głębiej w ogród, Lawon dostrzegł, że jej dłoń ujmuje dyskretnie łokieć Gabriela. Przystanęła raz, jakby zmusiła ją do tego waga wypowiedzianych słów, a potem drugi raz przy uśpionej fontannie pośrodku ogrodu. Tam przysiadła na kilka minut, jak dziecko przesuając dłonią po powierzchni wody, gdy na niebie zgasły resztki światła. Potem Lawon praktycznie stracił ich z oczu. Zobaczył jeszcze, jak Gabriel na moment kładzie dłoń na policzku Nadii, a potem już nic, dopóki nie wrócili tą samą alejką do domu, Nadia trzymając Gabriela pod rękę.

Po powrocie do salonu Gabriel wezwał resztę zespołu i przyjęcie trwało dalej. Na życzenie Gabriela rozmawiali o wszystkim poza ich wspólną przeszłością i niepewną przyszłością. Chwilowo nie było globalnej wojny z terroryzmem, nie było nowej siatki, którą należało zniszczyć, nie było w ogóle żadnego powodu do niepokoju. Było tylko dobre wino, dobre tematy do rozmów i grupa dobrych przyjaciół, którzy tak naprawdę wcale nie byli przyjaciółmi. Nadia, podobnie jak Gabriel, pozostawała głównie biernym obserwatorem tej udawanej wylewności. Nadal zdawała się pozować do portretu i wodziła tylko wzrokiem od twarzy do twarzy, jakby stanowiły one kawałki łamigłówki, którą usiłowała ułożyć w myślach. Co pewien czas zatrzymywała spojrzenie na dłoniach Gabriela. A on bynajmniej ich nie chował, bo nie miał już nic do ukrycia. Dla Lawona i reszty zespołu stało się jasne, że Gabriel nie ma już żadnych wątpliwości co do intencji Nadii. Niczym kochankowie - uświęcili łączącą ich więź wymianą tajemnic.

Minęła siódma, kiedy Gabriel dał sygnał, że przyjęcie dobiegło końca. Kiedy Nadia wstawała z miejsca, wyglądała nagle na oszołomioną. Życzyła im wszystkim dobrej nocy; następnie, z Zoe u boku, przeszła przez ciemny dziedziniec do swego samochodu, gdzie czekał na nią Rafiq al-Kamal, strażnik jej ojca. Podczas jazdy powrotnej do Paryża znowu mówiła bez przerwy, tym razem o swoich nowych znajomych, Thomasie i Jenny Fowlerach. Gabriel przysłuchiwał się rozmowie za pośrednictwem BlackBerry Zoe. Następnego ranka śledził mrugającą ikonkę, gdy ta przemieszczała się z Place de la Concorde na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Czekając na swój samolot, Zoe zadzwoniła do producenta w Nowym Jorku z informacją, że - przynajmniej na razie - wywiad z al-Bakari jest odwołany. Następnie seksownym szeptem zwróciła się do Gabriela: „Pora się pożegnać, kochanie. Nie wahaj się zadzwonić, gdybyś jeszcze czegoś potrzebował”. Gabriel poczekał, aż Zoe wsiądzie

bezpiecznie na pokład samolotu, po czym dezaktywował oprogramowanie jej telefonu. Światelko błysnęło jeszcze trzy razy. A potem Zoe zniknęła z ekranu.

Operacja rozpoczęła się na poważnie o 10:15 następnego ranka, kiedy Nadia al-Bakari, dziedziczka, aktywistka i agentka izraelskiego wywiadu, powiadomiła wyższych rangą pracowników, że zamierza wejść w spółkę z małą, acz świetnie prosperującą firmą *private equity* Thomas Fowler Associates z siedzibą w Londynie. Po południu, jedynie w towarzystwie ochrony, pojechała samochodem do prywatnego domu pana Fowlera na północ od Paryża na pierwszą rundę bezpośrednich negocjacji. Później opisze te rozmowy jako produktywne i intensywne, co akurat było prawdą.

Przyjechała również następnego dnia, i jeszcze następnego. Z powodów, z których nie zwierzał się pozostałym, Gabriel zrezygnował z większej części zwykłego szkolenia i skupił się głównie na operacyjnej historii Nadii. Nauczenie się jej nie było trudne, gdyż zasadniczo zgadzała się z rzeczywistością. „To p a n i historia - tłumaczył Gabriel - z niewielkimi jedynie zmianami w hierarchii najistotniejszych szczegółów. To historia morderstwa, zemsty i nienawiści starej jak Bliski Wschód. Odtąd Nadia al-Bakari przestaje być częścią rozwiązania. Nadia jest taka jak jej ojciec. Stanowi część problemu. Powód, dla którego Arabowie nigdy nie zdołają uciec przed własną historią”.

Jossi pomagał Nadii w pewnych powierzchownych aspektach całej akcji, głównie jednak polegała ona na wskazówkach Sary. Gabriel początkowo miał pewne obawy wobec odnowienia ich przyjaźni, ale Lawon uważał ich więź za atut dla operacji. Sara przypominała Nadii dobitnie, ile zła wyrządził Zizi. I w przeciwieństwie do Reny, zamordowanej przyjaciółki Nadii z dzieciństwa, Sara stawiała czoła potworowi i pokonała go. Była Reną, która zrzuciła łańcuchy, Reną zmartwychwstałą.

Nadia okazała się bystrą uczennicą, ale też Gabriel nie wątpił, że tak będzie. Jej przygotowanie okazało się tym łatwiejsze, że prowadząc podwójne życie od lat, miała obłudę we krwi. Pod dwoma względami miała także przewagę nad innymi agentami próbującymi przeniknąć globalny ruch dżihadystyczny: swoje nazwisko i ochroniarzy. Nazwisko dawało jej wiarygodność i z miejsca otwierało przed nią zamknięte dla innych drzwi, podczas gdy ochroniarze zapewniali jej ochronę, której większość agentów była pozbawiona. Jako jedyne żyjące dziecko zamordowanego saudyjskiego miliardera Nadia al-Bakari była jedną z najlepiej strzeżonych osób prywatnych na świecie. Bez względu na to, dokąd miałyby się udać, będzie otoczona swoją lojalną strażą pałacową, niezależnie od drugiego kręgu ochrony

Biura. Dotarcie do niej stanie się praktycznie niemożliwe.

Jednakże najcenniejszym atutem Nadii były jej pieniądze. Gabriel uważał, że nie będzie narzekać na brak konkurentów, kiedy już powróci do świata dżihadu i terroru. Wyzwaniem dla Gabriela i jego zespołu będzie przekazanie pieniędzy w ręce tego właściwego. To sama Nadia podsunęła nazwisko potencjalnego kandydata, gdy któregoś popołudnia spacerowali z Gabrielem i Sarą po pałacowym ogrodzie.

- Krótco po śmierci mojego ojca odszukał mnie i poprosił o wsparcie dla islamskiej organizacji charytatywnej. Przedstawił się jako sprzymierzeniec mego ojca. Pobratymiec.

- A ta organizacja?

- Nic innego jak tylko przykrywka dla Al-Kaidy. Samir Abbas to człowiek, którego szukacie. Nawet jeśli sam nie jest związany z tą nową siatką, będzie znał ludzi, którzy są.

- Czym on się zajmuje?

- Jest pracownikiem banku TransArabian w jego oddziale w Zurychu. Jak zapewne wiecie, TransArabian ma główną siedzibę w Dubaju i jest jedną z największych instytucji finansowych na Bliskim Wschodzie. Uchodzi także za ulubiony bank globalnego ruchu dżihadystycznego, którego Samir Abbas jest ważnym członkiem. Prowadzi konta dobrze sytuowanych bliskowschodnich klientów, co daje mu wyjątkową pozycję, by zabiegać o wsparcie dla tak zwanych organizacji dobroczynnych.

- Czy jakaś część pani prywatnego majątku znajduje się w banku TransArabian?

- W tej chwili nie.

- Może powinna pani rozważyć otwarcie tam konta. Nic nazbyt dużego. Tyle tylko, żeby zwrócić uwagę Samira.

- Ile mam mu dać?

- Może pani poświęcić sto milionów?

- Sto milionów? - Potrząsnęła głową. - Ojciec nigdy nie dałby im takich pieniędzy.

- No to ile?

- Niech będzie d w i e ś c i e milionów. - Uśmiechnęła się. - Wtedy będzie wiedział, że mamy naprawdę poważne zamiary.

W ciągu dwunastu godzin od tej rozmowy Gabriel wysłał swój zespół do Zurychu i Samir Abbas, specjalista od zarządzania majątkiem z banku TransArabian z Dubaju, znalazł się pod obserwacją Biura. Eli Lawon został w Château Treville, żeby dopilnować ostatnich szczegółów operacji, w tym delikatnej kwestii, w jaki sposób przebywająca w Paryżu saudyjska bizneswoman ma finansować działalność grupy terrorystycznej, nie wzbudzając podejrzeń francuskich i innych europejskich władz finansowych. Od pewnego czasu

finansując potajemnie arabski ruch reformatorski, Nadia wskazała im już drogę. Gabriel potrzebował teraz jedynie obrazu i współnika gotowego wziąć udział w tej ryzykownej grze. Co tłumaczyło, dlaczego w wigilię Bożego Narodzenia, podczas gdy reszta Francji szykowała się do kilku dni ucztowania i świętowania, on poprosił Lawona, by zawiózł go na Gare du Nord. Gabriel miał bilet na pociąg do Londynu o 15:15 i potworną migrenę z powodu braku snu. Lawon był bardziej podminowany niż zwykle na tym etapie operacji. Jako nieżonaty i bezdzietny w okresie świątecznym zawsze popadał w depresję.

- Jesteś pewien, że chcesz się w to łądować?

- W pociąg do Londynu w Wigilię? Prawdę mówiąc, wolałbym iść piechotą.

- Mówiłem o Nadii.

- Wiem, Eli.

Lawon patrzył przez samochodową szybę na tłumy ciągnące do wejścia na dworzec. Była to zwykła zbieranina - biznesmeni, studenci, turyści, afrykańscy imigranci i kieszonkowcy, wszyscy obserwowani przez solidnie uzbrojonych francuskich policjantów. Cały kraj czekał na wybuch kolejnej bomby. Podobnie jak reszta Europy.

- Zdradzisz mi kiedyś, co ona ci powiedziała tamtego wieczoru w ogrodzie?

- Nie.

Lawon spodziewał się takiej odpowiedzi. Mimo to nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Od jak dawna razem pracujemy?

- Od stu pięćdziesięciu lat - odparł Gabriel. - I jeszcze nigdy nie zataiłem przed tobą choćby strzępka ważnej informacji.

- Więc dlaczego teraz?

- Prosiła mnie o to.

- A żonie powiedziałeś?

- Żonie mówię wszystko, a ona mi nie mówi nic. Taki mamy układ.

- Szczęściarz z ciebie - powiedział Lawon. - Tym bardziej nie powinieneś składać obietnic, których nie możesz dotrzymać.

- Ja zawsze dotrzymuję obietnic, Eli.

- To mnie właśnie martwi. - Lawon spojrzał na Gabriela. - Jesteś jej pewien?

- Tak jak jestem pewien ciebie.

- Idź - powiedział Lawon po chwili. - Nie chciałbym, żebyś się spóźnił na pociąg. A jeśli natkniesz się w środku na zamachowca samobójcę, zrób to dla mnie i powiadom po prostu żandarma. Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to żebyś wysadził w powietrze kolejny francuski dworzec kolejowy.

Gabriel oddał Lawonowi swoją beretę 9 mm, po czym wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku hali dworcowej. Jakimś cudem pociąg odjechał punktualnie i o piątej tego popołudnia Gabriel znów szedł chodnikami St James's. Adrian Carter uzna później ten powrót Gabriela do Londynu za symboliczny, jako że tu właśnie zaczęła się jego podróż. W rzeczywistości jednak pobudki, które kierowały Gabrielem, bynajmniej nie były tak podniosłe. Jego plan zniszczenia siatki Raszida od środka wymagał pewnego oszustwa. A czyż mogło być lepsze miejsce, by tego dokonać, niż świat sztuki?

Wspólnik Gabriela nie był jeszcze świadom jego planów - i nic dziwnego, jako że był nim nie kto inny, jak tylko Julian Isherwood, właściciel galerii Isherwood Fine Arts, mieszczącej się przy Mason's Yard 7-8. Wśród setek obrazów należących do galerii Isherwooda znajdowała się *Madonna z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną*, wcześniej przypisywana weneckiemu mistrzowi Jacopowi Palmie Starszemu, obecnie natomiast uważana za dzieło samego wielkiego Tycjana. Na razie jednakże obraz pozostawał zamknięty na klucz w podziemnym magazynie Isherwooda, a wizerunek Madonny, Dzieciątka i Marii Magdaleny skrywała ochronna warstwa bibułki japońskiej. Isherwood zaczął nienawidzić obraz niemal tak bardzo jak mężczyznę, który tak go zbezczeszczył. Można wręcz powiedzieć, że w znękaney głowie Isherwooda to wspaniałe płótno stało się symbolem wszystkiego, co było nie tak w jego życiu.

Jeśli chodzi o Isherwooda, to była feralna jesień. Sprzedał tylko jeden obraz - pomniejsze dziełko o tematyce religijnej pomniejszemu kolekcjonerowi z Houston - dorobił się zaś jedynie chronicznego przypominającego szczekanie kaszlu, który sprawiał, że wszyscy, którzy przebywali z nim w jednym pokoju, opuszczali pomieszczenie szybciej, niż gdyby ogłoszono alarm bombowy. Po mieście chodziły słuchy, że Isherwood przeżywa kolejny kryzys późnego wieku, siódmy albo i ósmy, w zależności od tego, czy liczyć długotrwały Okres Błękitny, w jakim pogrążył się, kiedy rzuciła go dziewczyna obsługująca automat do kawy w Costa przy Piccadilly. Jeremy Crabbe, arystokratyczny dyrektor Działu Dawnych Mistrzów w Bonhams, sugerował, że przyjęcie niespodzianka mogłoby może podnieść Isherwooda na duchu, ale okrąglutki Oliver Dimbleby, nemezis Isherwooda z Bury Street, uznał ten pomysł za najgłupszy, jaki słyszał w ostatnim roku. „Biorąc pod uwagę wątłe zdrowie Juliana w tej chwili - zawyrokował Oliver - przyjęcie niespodzianka mogłoby go zabić”. Zaproponował zamiast tego spiknięcie Isherwooda z jakąś utalentowaną dziwką, ale też było to, zdaniem Olivera, najlepsze rozwiązanie każdego problemu, tak osobistego, jak i zawodowego.

Tego popołudnia, kiedy Gabriel wrócił do Londynu, Isherwood wcześniej zamknął galerię i - nie mając nic lepszego do roboty - w ulewnym deszczu skoczył na drinka do Green's przy Duke Street. Z pomocą Roddy'ego Hutchinsona, powszechnie uważanego za najbardziej pozbawionego skrupułów marszanda w całym St James's, Isherwood szybko

pochłonął butelkę białego burgunda, a zaraz potem wychylił dawkę brandy dla zdrowia. Krótco po szóstej chwiejnym krokiem wyszedł na ulicę, chcąc złapać taksówkę, ale kiedy jedna wreszcie się pojawiła, dopadł go tak potworny atak kaszlu, że nie był w stanie podnieść ręki. „Jasna cholera! - warknął Isherwood, kiedy rozpędzona taksówka ochlapała mu spodnie. - A niech to jasna cholera!”

Ten wybuch wywołał kolejny atak chrapliwego szczekania. Kiedy kaszel wreszcie ustąpił, Isherwood dostrzegł jakąś postać opierającą się o ceglany mur przy skřęćie do Mason's Yard. Postać ta miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy marki Barbour i czapkę z daszkiem zsuniętą nisko na czoło. Mężczyzna stał, założywszy prawą stopę na lewą, i wodził wzrokiem wzdłuż ulicy. Przez chwilę patrzył na Isherwooda z mieszaniną zakłopotania i współczucia w spojrzeniu. Następnie bez jednego słowa czy dźwięku odwrócił się i ruszył po kocich łbach w głąb starego dziedzińca. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Isherwood poszedł za nim, wykaszując płuca niczym suchotnik w drodze do sanatorium.

*

- Przekonajmy się, czy dobrze zrozumiałem - powiedział Isherwood. - Najpierw zakrywasz mojego Tycjana klejem z króliczych skór i bibułką. Potem zostawiasz go w moim magazynie i znikasz nie wiadomo gdzie. Teraz z kolei zjawiasz się bez uprzedzenia, wyglądając, jak zwykle, jak nieboskie stworzenie, i mówisz mi, że potrzebujesz wyżej wymienionego Tycjana do jednego z twoich małych ponadprogramowych projektów. Czy coś pominąłem?

- Żeby ten plan się powiódł, Julianie, będę cię prosił, żebyś oszukał świat sztuki i postępował w taki sposób, który część twoich kolegów mogłaby uznać za nieetyczny.

- W tej pracy to normalka, złociutki. - Isherwood wzruszył ramionami. - Ale co j a będę z tego miał?

- Jeśli plan się powiedzie, nie będzie więcej takich ataków jak ten w Covent Garden.

- Dopóki nie pojawi się kolejny dżihadystyczny świr. A wtedy znów wrócimy do punktu wyjścia, prawda? Bóg mi świadkiem, że nie jestem ekspertem, ale zdaje mi się, że ta rozgrywka z terroryzmem przypomina trochę rynek sztuki. Ma swoje wzloty i upadki, lepsze i gorsze sezony, ale nigdy się nie kończy.

W górnej sali wystawowej galerii Isherwooda lampy pod sufitem świeciły delikatnym blaskiem godnym wotywnych świec. Deszcz bębnił w świetlik i skapywał z przemoczonego płaszcza Isherwooda, którego ten nie zdążył jeszcze zdjąć. Isherwood skrzywił się na widok kałuży na parkiecie, po czym spojrział na okaleczony obraz wsparty na pokrytym suknem postumencie.

- Wiesz, ile on jest wart?

- Na uczciwej aukcji spokojnie dziesięć milionów. Ale na aukcji, którą mam na myśli...

- Niegrzeczny chłopiec - skomentował Isherwood. - Niegrzeczny, niegrzeczny chłopiec.

- Wspominałeś komuś o nim, Julianie?

- O obrazie? - Isherwood potrząsnął głową. - Ani mru-mru.

- Jesteś pewien? Nie zdarzyła ci się chwila niedyskrecji przy barze w Green's? Albo łózkowa rozmowa z tą śmiesznie młodą dziewczyną z Tate?

- Ma na imię Penelope - powiedział Isherwood.

- Czy ona wie o tym obrazie, Julianie?

- Oczywiście, że nie. To nie tak się odbywa, kiedy człowiekowi trafia się gratka. Człowiek nie przechwala się takimi rzeczami. Człowiek trzyma to dla siebie, dopóki nie przyjdzie właściwy moment. A wtedy z wielką pompą ogłasza światu nowinę. Człowiek spodziewa się także stosownego wynagrodzenia za swój spryt. Ale zgodnie z twoim scenariuszem oczekuje się ode mnie, że wręcz na tym stracę, dla dobra dzieci bożych, oczywiście.

- Twoja strata będzie jedynie chwilowa.

- Jak długo potrwa ta chwila?

- CIA pokrywa wszystkie wydatki operacyjne.

- Nie co dzień słyszy się taką kwestię w galerii sztuki.

- Tak czy inaczej, otrzymasz stosowne wynagrodzenie.

- Oczywiście - powiedział Isherwood z przekąsem. - To mi przypomina dzień, w którym Penelope powiedziała, że jej męża nie będzie w domu jeszcze przez godzinę. Jestem trochę za stary, żeby skakać przez płoty.

- Wciąż się z nią spotykasz?

- Z Penelope? Rzuciła mnie - wyznał Isherwood, kręcąc głową. - Wszystkie w końcu mnie rzucają. Ty jeden jesteś mi wiemy, złociutki. I ten cholerny kaszel. Zaczynam myśleć o nim jak o starym przyjacielu.

- Byłeś u lekarza?

- Nie udało mi się umówić na wizytę. Państwowa służba zdrowia jest ostatnio tak kiepska, że rozważam zostanie chrześcijańskim scjentyistą.

- Sądziłem, że jesteś hipochondrykiem.

- I to ortodoksyjnym. - Isherwood zaczął skubać bibułkę w prawym górnym rogu

obrazu.

- Każdą oderwaną przez ciebie odrobinę farby będę musiał nałożyć z powrotem.

- Przepraszam. - Isherwood włożył rękę do kieszeni płaszcza.

- Ta sprawa ma swój precedens, wiesz. Parę lat temu w Christie's sprzedano obraz przypisywany szkole Tycjana za marną sumkę ośmiu tysięcy funtów. Ale ten obraz nie pochodził ze szkoły Tycjana. To był o r y g i n a l n y Tycjan. Jak możesz sobie wyobrazić, właściciele nie byli specjalnie zachwyceni. Oskarżyli Christie's o błąd w sztuce. Sprawa trafiła do sądu. Pojawiły się nieprzyjemne artykuły w prasie. Urazy pozostały do dziś.

- Może powinniśmy dać Christie's szansę na to, żeby się zrehabilitowali.

- To by się mogło im nawet spodobać. Jest tylko jeden problem.

- Tylko jeden?

- Przegapiliśmy już duże aukcje dawnych mistrzów.

- To prawda - przyznał Gabriel - ale zapominasz o specjalnej aukcji szkoły weneckiej planowanej na pierwszy tydzień lutego. Nowo odkryty Tycjan może okazać się akurat odpowiedni, żeby podgrzać trochę atmosferę.

- Niegrzeczny chłopiec. Niegrzeczny, niegrzeczny chłopiec.

- Przyznaję się do winy.

- Biorąc pod uwagę moje wcześniejsze związki z pewnymi podejrzanymi elementami biorącymi udział w tej operacji, byłoby dobrze rozdzielić jakoś galerię i ostateczną sprzedaż. A to oznacza, że będziemy musieli wciągnąć do współpracy jeszcze jednego marszanda. Zważywszy na okoliczności, będzie to musiał być pazerny, podstępny, przebiegły skurwieli pierwszej wody.

- Wiem, o kim myślisz - powiedział Gabriel - ale czy jesteś pewien, że on sobie poradzi?

- Jest doskonały - zapewnił Isherwood. - Teraz potrzebujesz jedynie Tycjana, który faktycznie wygląda jak Tycjan.

- Myślę, że dam radę.

- Gdzie zamierzasz pracować?

Gabriel rozejrzał się po sali i powiedział:

- To się nada całkiem dobrze.

- Życzysz sobie jeszcze czegoś?

Gabriel podał mu listę. Isherwood włożył okulary do czytania i skrzywił się.

- Zwój włoskiego płótna, profesjonalnej jakości żelazko, okulary powiększające, litr acetonu, litr metoksypropanolu, litr spirytusu mineralnego, tuzin pędzli Winsor & Newton

seria siedem, dwie stojące halogenowe lampy warsztatowe, egzemplarz *Cyganerii* Giacomo Pucciniego... - Isherwood popatrzył na Gabriela znad okularów piorunującym wzrokiem. - Wiesz, ile mnie to będzie kosztowało?

Ale Gabriel zdawał się nie słyszeć. Stał przed obrazem, podbródek oparł na dłoni i przechylał głowę w zadumie.

Gabriel uważał, że sztuka restauracji dzieł sztuki jest trochę jak sztuka kochania. Najlepiej robić to powoli ze skrupulatną dbałością o szczegóły, z przerwami na odpoczynek i orzeźwienie co jakiś czas. Ale w ostateczności, kiedy rzemieślnik i przedmiot jego czułych starań są ze sobą wystarczająco zaznajomieni, można dokonać restauracji w ekspresowym tempie i osiągnąć mniej więcej ten sam rezultat.

Z następnych dziesięciu niemalże bezsennych dni Gabriel będzie później pamiętał bardzo niewiele, bo zleją mu się one w jedno mgliste wspomnienie płótna, rozpuszczalnika, rozcieńczalnika, barwników, muzyki Pucciniego i ostrego białego światła lamp halogenowych. Jego początkowe obawy dotyczące stanu płótna na szczęście okazały się przesadne. Tak naprawdę, kiedy już dokończył podklejenie obrazu nowym płótnem i usunął pozostałości werniks, stwierdził, że oryginalne dzieło Tycjana jest w przeważającej mierze nienaruszone, poza pasmem złuszczeń na ciele Marii Panny i czterema pozbawionymi farbami kreskami w miejscach, gdzie płótno ocierało się o stary blejtram. W przeszłości restaurował już dzieła Tycjana, był więc w stanie naprawić obraz niemalże równie szybko, jak sam mistrz go malował. Jego paleta była paletą Tycjana, podobnie rzecz się miała z pociągnięciami pędzla. Tylko warunki w pracowni były odmienne. Tycjan bez wątpienia pracował wraz z całym zespołem utalentowanych uczniów i rzemieślników, podczas gdy Gabriel miał za asystenta jedynie Juliana Isherwooda, co oznaczało, że musiał się obyć całkiem bez pomocy.

Nie nosił zegarka, tak że miał jedynie niejasne poczucie czasu, a kiedy już spał, co zdarzało się rzadko, korzystał z łóżka polowego stojącego w kącie sali pod świetlistym pejzażem Claude'a Lorraina. Pił całymi litrami kawę z Costa, a posilał się głównie maślanymi ciasteczkami i herbatnikami, które Isherwood przemycał do galerii z Fortnum & Mason. Nie chcąc tracić czasu na golenie, siłą rzeczy zapuścił brodę. Z konsternacją stwierdził, że jest nawet bardziej siwa niż ostatnio. Isherwood powiedział, że przez tę jego brodę ma wrażenie, jakby to sam Tycjan stał przy płótnie. Zważywszy na niesamowity talent malarski Gabriela, nie było to dalekie od prawdy.

Ostatniego wieczoru w Londynie Gabriel wstąpił do Thames House, głównej siedziby MI5 nad Tamizą, gdzie, zgodnie z obietnicą, powiadomił Grahama Seymoura, że operacja istotnie zahaczyła o Wyspy Brytyjskie. Seymour miał fatalny nastrój i myślami wyraźnie był

gdzie indziej. Syn przyszłego króla postanowił ożenić się późną wiosną, a Seymourowi i jego kolegom z londyńskiej policji przypadło w udziale dopilnowanie, by nic nie zakłóciło tego wydarzenia. Słuchając, jak Seymour użala się nad swoim losem, Gabriel siłą rzeczy pomyślał o słowach wypowiedzianych przez Sarę w ogródku kawiarni w Georgetown. Londyn to łatwy cel. Londyn można atakować do woli.

Jakby na dowód tych słów Gabriel wyszedł z Thames House, by odkryć, że stacja metra Jubilee Line została zamknięta w wieczornych godzinach szczytu ze względu na podejrzaną paczkę. Wrócił do Mason's Yard piechotą i na oczach zagląającego mu przez ramię Isherwooda nałożył warstwę werniksu na świeżo odrestaurowanego Tycjana. Następnego ranka polecił Nadii, by wpłaciła dwieście milionów dolarów do banku TransArabian. A potem wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na lotnisko Heathrow.

Niewiele krajów odegrało ważniejszą rolę w prywatnym i zawodowym życiu Gabriela niż Konfederacja Szwajcarska. Mówił płynnie trzema z jej czterech języków i znał jej góry i doliny tak jak wgłębienia i krągłości ciała własnej żony. W Szwajcarii zabijał, w Szwajcarii porywał i ujawniał jej najbardziej odrażające tajemnice. Przed rokiem w kawiarni u podnóża lodowca w Les Diablerets poprzysiął sobie uroczyście, że jego noga nigdy już nie postanie w tym kraju. Zabawne, jak to sprawy nigdy nie szły jednak według planu.

Za kierownicą wynajętego audi mijał ponure banki i wystawy sklepowe przy Bahnhofstrasse, następnie skręcił w ruchliwą drogę biegnącą wzdłuż zachodniego brzegu Jeziora Zuryskiego. Kryjówka zespołu znajdowała się dwie mile na południe od centrum miasta. Był to nowoczesny budynek, posiadający stanowczo za dużo okien, jak na wymagania Gabriela, a także mały pomost w kształcie litery T przyprószony przez niedawny śnieg. Wchodząc, usłyszał kobiecy głos śpiewający cicho po włosku. Uśmiechnął się. Chiara zawsze sobie podśpiewywała, kiedy była sama.

Postawił torbę w holu i poszedł za głosem do salonu, który został przerobiony na prowizoryczne polowe centrum dowodzenia. Chiara wpatrywała się w ekran komputera, obierając równocześnie pomarańczę. Jej usta, gdy Gabriel ją pocałował, były bardzo ciepłe, jakby miała gorączkę. Całował je długą chwilę.

- Jestem Chiara Allon - wyszeptała, gładząc porastającą mu policzki szorstką brodę. -
A pan kim jest?

- Sam już nie wiem.

- Podobno wraz z wiekiem mogą się pojawiać kłopoty z pamięcią - powiedziała, wciąż go całując. - Powinien pan spróbować tranu. Słyszałam, że to pomaga.

- Wolałbym kawałeczek tej pomarańczy.

- Nie wątpię. Minęło dużo czasu.

- Bardzo dużo.

Podzieliła owoc na części i jedną włożyła Gabrielowi do ust.

- Gdzie reszta zespołu? - spytał.

- Obserwują pracownika banku TransArabian, który ma też, tak się składa, pewne powiązania z globalnym ruchem dżihadystycznym.

- Więc jesteś sama?

- Już nie.

Gabriel rozpiął guziki bluzki Chiary. Pod jego dotykiem jej sutki natychmiast stwardniały. Dała mu jeszcze jedną cząstkę pomarańczy.

- Może nie powinniśmy tego robić przed komputerem - powiedziała. - Nigdy nie wiadomo, kto może patrzeć.

- Ile mamy czasu?

- Tyle, ile trzeba.

Wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach na górę.

- Powoli - powiedziała, kiedy położył ją na łóżku. - Powoli.

*

W pokoju panował półmrok, kiedy Gabriel wyczerpany oderwał się od ciała Chiary. Długą chwilę leżeli obok siebie w milczeniu, blisko, ale niezupełnie się dotykając. Zza okna dał się słyszeć odległy warkot przepływającej łódki, a chwilę później chłupot drobnych fal uderzających o pomost. Chiara podparła się na łokciu i powiodła palcem wzdłuż grzbietu nosa Gabriela.

- Jak długo zamierzasz go mieć?

- Jako że jest mi potrzebny do oddychania, chciałbym mieć go tak długo jak to tylko możliwe.

- Mówiłam o twoim zaroście, kochanie.

- Nienawidzę go, ale coś mi mówi, że może mi się jeszcze przydać, zanim ta operacja się skończy.

- Może powinieneś go zachować i potem. Moim zdaniem sprawia, że wyglądasz... - Zawiesiła głos.

- Nie mów tego, Chiaro.

- Chciałam powiedzieć: dystygowanie.

- To tak jakby nazwać kobietę elegancką.

- I co w tym złego?

- Zrozumiesz, jak ludzie zaczną mówić, że wyglądasz elegancko.

- To jeszcze nie takie straszne.

- Nigdy do tego nie dojdzie, Chiaro. Jesteś piękna i zawsze będziesz. A jeśli ja nie zgołę tej brody po operacji, ludzie zaczną cię brać za moją córkę.

- Teraz to jesteś niemądry.

- Biologicznie to j e s t możliwe.

- Co takiego?

- Że mogłabyś być moją córką.
- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam.
- I nie myśl.

Zaśmiała się cicho, ale milczała.

- O czym teraz myślisz? - zapytał Gabriel.

- O tym, co by było, gdybyś nie zauważył tego chłopaka z bombą pod kurtką, idącego Wellington Street. Zasiadalibyśmy do lunchu w momencie, gdy wybuchała. To byłaby oczywiście tragedia, ale normalnie żylibyśmy dalej, tak jak wszyscy inni.

- Może dla nas t o jest normalne, Chiaro.
- Normalne pary nie kochają się w tajnych agencyjnych kryjówkach.
- Prawdę mówiąc, zawsze lubiłem kochać się z tobą w tajnych kryjówkach.
- Zakochałam się w tobie w takiej kryjówce.
- W której?

- W Rzymie - odparła. - W tym małym mieszkanku przy Via Veneto, do którego cię zabrałam po tym, jak Polizia di Stato usiłowała cię zabić w tym okropnym *pensione* przy dworcu kolejowym.

- Abruzzi - przytaknął Gabriel posępnie. - Co za chlew.
- Ale to mieszkanko było urocze.
- Prawie mnie wtedy nie znałaś.
- A właśnie, że znałam cię bardzo dobrze.
- Zrobiłaś mi fettuccini z grzybami.
- Robię fettuccini z grzybami tylko dla osób, które kocham.
- Zrób mi trochę teraz.
- Najpierw musisz trochę popracować.

Chiara wcisnęła włącznik światła na ścianie nad łóżkiem. Małeńka halogenowa lampka do czytania zaświeciła Gabrielowi prosto w oko niczym laser.

- Musiałaś? - spytał, mrużąc oczy.
- Usiądź.

Wzięła teczkę z nocnego stolika i podała mu. Gabriel otworzył ją i po raz pierwszy ujrzał twarz Samira Abbasa. Kanciasta, w okularach, z lekkim zarostem, o zamyślonych oczach i z głębokimi zakolami. Zdjęcie zostało zrobione, gdy Abbas szedł ulicą w mieszkaniowej dzielnicy Zurychu. Miał na sobie szary garnitur, mundur szwajcarskiego bankiera, i srebrny krawat. Jego teczka wyglądała na kosztowną, podobnie jak buty. Płaszcz miał rozpięty, dłonie bez rękawiczek. Rozmawiał przez telefon komórkowy. Sądząc po

układzie ust, Gabriel odniósł wrażenie, że mówi po niemiecku.

- Oto człowiek, który pomoże ci kupić grupę terrorystyczną - powiedziała Chiara. - Samir Abbas, urodzony w Ammanie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, absolwent London School of Economics, zatrudniony w banku TransArabian od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego.

- Gdzie mieszka?

- W Hottingen, niedaleko uniwersytetu. Kiedy jest ładna pogoda, chodzi do pracy pieszo, bo dba o formę. Kiedy jest brzydko, jedzie do dzielnicy finansowej tramwajem z Röhrenhof.

- Którym?

- Ósemką, oczywiście. A jakim innym miałby jechać?

Chiara uśmiechnęła się. Podobnie jak Gabriel miała encyklopedyczną wiedzę na temat europejskich środków transportu publicznego.

- Gdzie mieszka?

- Przy Carmenstrasse cztery. To mały powojenny budynek z elewacją zdobioną sztukaterią, wszystkiego sześć mieszkań.

- Żona?

- Spójrz na następne zdjęcie.

Ukazywało kobietę idącą tą samą ulicą. Była ubrana na zachodnią modłę, nie licząc hidżabu okalającego jej dziecięcą twarzyczkę. Jej lewej dłoni trzymał się chłopczyk na oko czteroletni. Prawej dziewczynka, która mogła mieć osiem albo dziewięć lat.

- Ma na imię Johara, co po arabsku oznacza „klejnot”. Pracuje w niepełnym wymiarze godzin jako nauczycielka w miejscowym ośrodku kultury islamskiej po zachodniej stronie miasta. Dziewczynka uczęszcza tam na zajęcia. Chłopiec chodzi do przedszkola. Dzieci mówią płynnie szwajcarską odmianą niemieckiego, ale Johara znacznie swobodniej czuje się w arabskim.

- Czy Samir chodzi do meczetu?

- Modli się w mieszkaniu. Dzieci, ku rozpaczy ojca, lubią amerykańskie kreskówki. Ale nie mogą słuchać muzyki. Muzyka jest surowo zakazana.

- Czy ona wie o charytatywnej działalności Samira?

- Korzystają z tego samego komputera, więc trudno byłoby jej to przeoczyć.

- Gdzie jest ten komputer?

- W salonie. Zapluskwiliśmy go nazajutrz po przyjeździe. Daje nam całkiem przyzwoity zasięg dźwiękowy i wizualny. Czytamy też jego e-maile i monitorujemy

przeglądarkę. Twój przyjaciel Samir lubi swoje dżihadystyczne porno.

- A co z komórką?

- Było z tym trochę zachodu, ale to też załatwione. - Chiara wskazała zdjęcie Samira. - Nosi ją w prawej kieszeni płaszcza. Dobraliśmy się do niej w tramwaju, kiedy jechał do pracy.

- My?

- Jakow zrobił sztuczny tłok, Oded sięgnął Samirowi do kieszeni, a Mordechaj odwalił techniczną robotę. Zainstalował podsłuch, kiedy Samir czytał gazetę. Wszystko zajęło dwie minuty.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Nie chcieliśmy zawracać ci głowy.

- Czy jest jeszcze coś, czego mi nie powiedzieliście?

- Jeden drobiazg - powiedziała Chiara.

- Co takiego?- Jesteśmy śledzeni.

- Przez Szwajcarów?

- Nie, nie przez Szwajcarów.

- To przez kogo?

- Możesz zgadywać trzy razy. Pierwsze dwa strzały się nie liczą.

Gabriel chwycił swój bezpieczny BlackBerry i zaczął stukać w klawiaturę.

36.

JEZIORO ZURYSKIE

Dotarcie do Zurychu zajęło Adrianowi Carterowi większą część czterdziestu ośmiu godzin. Spotkał się z Gabrielem późnym popołudniem na dziobie promu płynącego na przedmieścia Rapperswil. Miał na sobie jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy, a pod pachą trzymał egzemplarz „Neue Zürcher Zeitung”. Gazeta była mokra od śniegu.

- Dziwię się, że nie przypiąłeś sobie jeszcze służbowej odznaki - powitał go Gabriel.
- Dotarłem tu z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.
- To znaczy?
- Leciałem klasą turystyczną plus - powiedział Carter z rozżaleniem.
- Powiadomiłeś Szwajcarów o swoim przyjeździe?
- Chyba żartujesz.
- Gdzie się zatrzymałeś?
- Nigdzie.

Gabriel spojrział przez ramię na panoramę Zurychu, ledwie widoczną za zasłoną niskich chmur i padającego śniegu. Wszystko było pozbawione koloru - szare miasto nad szarym jeziorem. Pasowało jak ulał do nastroju Gabriela.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, Adrianie?
- Co powiedzieć?

Gabriel podał Carterowi czystą kopertę formatu A4. W środku znajdowały się zrobione przez jego zespół zdjęcia ośmiu różnych agentów terenowych CIA.

- Ile czasu zajęło wam zauważenie ich? - zapytał Carter ponuro, przerzucając zdjęcia.
- Naprawdę chcesz, żebym ci odpowiedział na to pytanie?
- Pewnie nie. - Carter zamknął kopertę. - Mój najlepszy personel terenowy jest w tej chwili rozmieszczony gdzie indziej. Musiałem wykorzystać tych, którzy byli dostępni. Paru z nich jest świeżo po Farmie, jak to my mawiamy.

Farma była ośrodkiem szkoleniowym CIA w Camp Peary w stanie Wirginia.

- Wysłałeś nowicjuszy, żeby nas śledzili? Gdybym nie był taki wściekły, tobym się obraził.
- Postaraj się nie traktować tego osobiście.
- Ten twój mały numer mógł nas kompletnie załatwić. Szwajcarzy nie są głupi, Adrianie. Prawdę mówiąc, są całkiem dobrzy. Mają oczy i uszy. I bardzo ich wkurza, kiedy

szpiedzy panoszą się na ich ziemi, nie wpisawszy się po drodze do księgi gości. Nawet doświadczonym agentom terenowym zdarzało się tutaj wpadać w tarapaty, również naszym. A co tymczasem robi Langley? Wysłała ośmiu żółtodziobów, którzy nie byli w Europie od czasu wymiany studenckiej na trzecim roku. Czy ty wiesz, że parę dni temu jeden z nich dosłownie wpadł na Jakowa, bo wpatrywał się w turystyczny plan Zurychu? Wyobrażasz sobie, Adrianie?

- Przedstawiłeś mi swoje racje.

- Jeszcze nie - odparł Gabriel. - Masz ich stąd zabrać. Jeszcze dziś.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo wyższe władze poważnie się zainteresowały waszą operacją. I wyższe władze uznały, że ta operacja wymaga amerykańskiego komponentu.

- Przekaż wyższym władzom, że już mamy amerykański komponent. Nazywa się Sara Bancroft.

- Jedna analityczka z Centrum Antyterrorystycznego się nie liczy.

- Ta jedna analityczka mogłaby się bawić w kotka i myszkę z każdym z tych kretyńców, których wysłałeś, żeby nas śledzili.

Carter bez słowa patrzył na jezioro.

- Co się dzieje, Adrianie?

- Nie chodzi o to, co. Tylko o to, kto. - Carter oddał kopertę Gabrielowi. - Ile będzie mnie kosztowało skłonienie cię, żebyś spalił te cholerne zdjęcia?

- Zacznij mówić.

Na górnym pokładzie kabiny pasażerskiej znajdowała się mała kawiarenka. Carter pił mętną kawę. Gabriel herbatę. Zamówili też na spółkę gumiąstą kanapkę z jajkiem i paczkę zjełczałych chipsów. Carter zachował rachunek jako dokumentację wydatków do odliczenia kosztów.

- Prosiłem, żebyś trzymał jej nazwisko w tajemnicy - powiedział Gabriel.

- Próbowałem.

- To co się stało?

- Ktoś powiadomił Biały Dom. Zostałem wezwany do Gabinetu Owalnego na małe wzmocnione przesłuchanie. McKenna i prezydent razem wzięli mnie w obroty, zły gliniarz i zły gliniarz. Narażanie na stres, pozbawienie snu, jedzenia i picia; wszystkie te techniki, których teraz nie wolno nam stosować wobec wroga. Nie trzeba było wiele czasu, żeby mnie złamać. Wystarczy powiedzieć, że prezydent wie już, jak się nazywam. Zna też nazwisko muzułmanki o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach, która bierze udział w tej operacji.

- I?

- I nie jest z tego powodu zadowolony.

- Naprawdę?

- Boi się, że stosunki Stanów z Arabią Saudyjską poważnie ucierpią, jeśli operacja weźmie w łeb. W związku z czym nie chce już pozwolić na to, by Langley było jedynie pasażerem.

- Chce, żebyście to wy pilotowali samolot?

- Mało tego - powiedział Carter. - Chce, żebyśmy go konserwowali, tankowali, zaopatrywali kuchnię pokładową i ładowali bagaże do luków.

- Pełna kontrola? To chcesz powiedzieć?

- Właśnie.

- To bez sensu, Adrianie.

- Co konkretnie?

- Szczerze mówiąc, wszystko. Kiedy to my kierujemy operacją, prezydent może się wszystkiego wyprzeć wobec Saudyjczyków, jeśli coś pójdzie nie tak. Ale jeśli to Langley ma dowodzić, Biały Dom nie może już udawać, że o niczym nie wie. Po co prezydent na własne

zyczenie miałby nadstawić karku?

- Wiesz, Gabrielu, nigdy nie myślałem o tym w tych kategoriach. - Carter chwycił ostatniego chipsa. - Mogę?

- Smacznego.

Carter wrzucił chipsa do ust i dłuższą chwilę starannie wycierał sól z palców.

- Masz prawo być wściekły - powiedział wreszcie. - Na twoim miejscu też bym był.

- A to dlaczego?

- Bo usiłowałem ci wcisnąć tanią historyjkę, a ty zasługujesz na coś lepszego. Prawda jest taka, że prezydent i jego wierny, acz niedouczony sługa James McKenna nie boją się wcale, że operacja al-Bakari się nie powiedzie. Przeciwnie, oni się właśnie boją, że się uda.

- Spróbuj jeszcze raz, Adrianie. Mam za sobą kilka długich dni.

- Wygląda na to, że prezydent zakochał się po uszy.

- Kim jest ta szczęściara?

- To Nadia - wymamrotał Carter w swoją wymiętą chusteczkę.

- On oszalał na jej punkcie. Jest zachwycony jej historią. Jest zachwycony jej odwagą.

A co ważniejsze, jest zachwycony całą związaną z nią operacją. Dokładnie czegoś takiego szukał. Sprawa jest czysta. Wyrafinowana. Przyszłościowa. Zakrojona na szeroką skalę. Do tego wpasowuje się jak ulał w wizję świata prezydenta. Współpraca pomiędzy islamem a Zachodem mająca na celu pokonanie sił ekstremizmu. Szare komórki przeciwko przemocy. Chce mieć siatkę Raszida w garści, przewiazaną wstążką, przed następnymi wyborami, i nie chce z nikim dzielić tej zasługi.

- Więc chce załatwić to sam? Bez niczyjej pomocy?

- Niezupełnie - odparł Carter. - Chce, żebyśmy włączyli do akcji Francuzów, Brytyjczyków, Duńczyków i Hiszpanów, bo to oni zostali zaatakowani.

- A co z naszą kuropatwą na gruszy?

- Pracuje obecnie dla prywatnej agencji ochrony. I całkiem nieźle sobie radzi, z tego, co słyszałem.

- Muszę wiedzieć - powiedział Gabriel. - To nie jest slogan reklamowy, Adrianie. To święte credo. Dzięki niemu operacje nie biorą w łeb, a agenci nie tracą życia.

- Twoje obawy zostały należycie odnotowane.

- I zlekceważone.

Carter nie odpowiedział.

- A co ze mną i resztą mojego zespołu?

- Twój zespół wycofa się po cichu z placu boju i zostanie zastąpiony przez

pracowników Agencji. Zostaniecie w obiegu w charakterze doradców, dopóki przedstawienie nie zacznie się na dobre.

- A potem?

- Zostaniecie całkowicie usunięci z obsady.

- Mam dla ciebie nowinę, Adrianie. Przedstawienie już się zaczęło. Prawdę mówiąc, gwiazda tego przedstawienia zadebiutuje tutaj w Zurychu jutro po południu.

- Będziemy musieli z tym poczekać, dopóki nowy zespół nie zajmie waszego miejsca.

Gabriel dostrzegł światła Rapperswil jarzące się słabo na brzegu jeziora.

- Zapominasz o jednym - powiedział po chwili. - Gwiazda tego przedstawienia to primadonna. Jest bardzo wymagająca. I nie będzie pracować z byle kim.

- Chcesz powiedzieć, że będzie współpracować z tobą, człowiekiem, który zabił jej ojca, ale z nami nie?

- To właśnie chcę powiedzieć.

- Chciałbym sam się o tym przekonać.

- Proszę bardzo. Jeśli zyczysz sobie rozmawiać z Nadią, możesz zadzwonić do jej biura przy bulwarze Haussmanna, w dziewiątej dzielnicy Paryża.

- Szczerze mówiąc, mieliśmy nadzieję, że pomożesz nam przy tym przejściu.

- Nadzieja nie jest właściwą strategią, gdy chodzi o ludzkie życie.

- Gabriel uniósł do góry kopertę ze zdjęciami. - Poza tym, gdybym miał służyć Nadii radą, powiedziałbym jej, żeby trzymała się jak najdalej od was i waszych agentów terenowych świeżo po Farmie.

- Obaj jesteście dorośli. Przeżyliśmy razem niejedną wojnę. Ratowaliśmy życie innym. Odwalaliśmy brudną robotę, której inni nie chcieli wykonać albo nie mieli na to dość odwagi. Ale w tej chwili naprawdę diabli mnie przez ciebie biorą.

- Cieszę się, że nie jestem sam.

- Naprawdę myślisz, że ja c h c ę to zrobić? On jest prezydentem. Mogę albo stosować się do jego poleceń, albo odejść z pracy. A nie mam zamiaru odchodzić.

- To przekaz, proszę, prezydentowi, że życzę mu wszystkiego najlepszego - powiedział Gabriel. - Ale w pewnym momencie przypomnij mu, że Nadia stanowi jedynie pierwszy krok do zniszczenia siatki Raszida. I ostatecznie to bynajmniej nie będzie czysta, wyrafinowana ani przyszłościowa sprawa. Mam tylko nadzieję, że prezydent nie odkocha się nagle, kiedy przyjdzie pora na podjęcie trudnych decyzji.

Prom zadrżał, uderzając o nabrzeże. Gabriel wstał gwałtownie. Pozbierał puste filiżanki i opakowania i bokiem dłoni zmiótł okruchy na podłogę.

- Muszę znać twoje zamiary.

- Zamierzam wrócić do centrum dowodzenia i poinformować mój zespół, że jedziemy do domu.

- Czy to ostateczna decyzja?

- Nigdy nie uciekam się do grózb.

- To zrób coś dla mnie.

- Co takiego?

- Jedź powoli.

Zeszli z promu w odstępie kilku sekund i przeszli po śliskim moście na mały parking na skraju terminalu. Carter otworzył drzwi mercedesa, usiadł na miejscu obok kierowcy i samochód ruszył w stronę niemieckiej granicy; Gabriel wślizgnął się za kierownicę swojego audi i popędził przez Seedamm, kierując się na drugą stronę jeziora. Pomimo zalecenia Cartera jechał bardzo szybko. W rezultacie podjeżdżał już pod dom zespołu, kiedy Carter zadzwonił, by przedstawić mu w zarysie nowe porozumienie operacyjne. Jego parametry były proste i jednoznaczne. Gabriel i jego zespół będą mogli zachować pełną niezależność działań, dopóki operacja nie dotrze na świętą ziemię Arabii Saudyjskiej. W tej kwestii, oznajmił Carter, nie ma miejsca na dalsze negocjacje. Prezydent nie może pozwolić, żeby wywiad izraelski knuł intrygi w krainie Mekki i Medyny. Arabia Saudyjska była zbyt ważnym graczem. Arabia Saudyjska była nietykalna. Z chwilą gdy operacja przekroczy saudyjską granicę, oznajmił Carter, wszystkie dotychczasowe reguły przestają obowiązywać. Gabriel przerwał połączenie i siedział samotnie w ciemności, zastanawiając się, co zrobić. Po dziesięciu minutach oddzwonił do Cartera i niechętnie przyjął jego warunki. Następnie wszedł do domu i poinformował swój zespół, że ich czas jest policzony.

W swej wielopiętrowej rezydencji przy Avenue Foch Nadia al-Bakari uwiła sobie przytulne gniazdko. Składało się ono z gabinetu, salonu, sypialni i prywatnej galerii sztuki, w której powiesiła dwanaście ulubionych obrazów. Po apartamencie rozrzuconych było wiele fotografii jej ojca. Na żadnej z nich się nie uśmiechał, najwyraźniej wolał pokazywać tradycyjne „gniewne oblicze” arabskiego Beduina. Jedyny wyjątek stanowiło nieupozowane zdjęcie zrobione przez Nadię na pokładzie „Alexandry” w ostatnim dniu jego życia. Wyraz jego twarzy był tutaj nieco melancholijny, jakby miał niejasną świadomość losu, jaki czekał go tego wieczoru w Starym Porcie w Cannes.

Oprawiona w srebrną ramkę fotografia stała na nocnym stoliku Nadii. Tuż obok znajdował się zegar Thomasa Tompiona, kupiony na aukcji za sumę dwóch i pół miliona dolarów i подарowany Nadii z okazji jej dwudziestych piątych urodzin. Ostatnio spieszył się kilka minut, co Nadia uznała za niesamowite w swej stosowności. Popatrywała od czasu do czasu na jego majestatyczną bryłę, odkąd obudziła się gwałtownie o trzeciej nad ranem. Marzyła o kofeinie, czuła, że zaczyna się ostra migrena. Mimo to leżała nieruchomo w swoim wielkim łóżku. Podczas ostatniej sesji szkoleniowej Gabriel przypomniał jej raz jeszcze, żeby unikała zmian w planie dnia - planie, który znało na pamięć kilkudziesięciu mieszkających w rezydencji pracowników. Każdego ranka wstawiała niezmiennie o siódmej, ani chwili wcześniej czy później. Taca ze śniadaniem miała czekać na stoliku w jej gabinecie. Jeśli wyjątkowo nie prosiła o coś innego, śniadanie miało obejmować termos z café filtre, dzbanek gorącego mleka, szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i dwa kawałki przekrojonej bagietki oraz masło i dżem truskawkowy do posmarowania. Gazety miały być położone na biurku z prawej strony - na samej górze „Wall Street Journal”, a pod spodem „International Herald Tribune”, „Financial Journal” i „Le Monde” - wraz z oprawionym w skórę szczegółowym rozkładem zajęć na dany dzień. Telewizor miał być nastawiony na BBC, dźwięk wyciszony, pilot w zasięgu ręki.

W tej chwili było wpół do siódmej. Starając się nie myśleć o narastającym bólu głowy, zamknęła oczy i siłą woli zapadła w lekki półsen, z którego została wyrwana trzydzieści minut później przez delikatne pukanie jej długoletniej gosposi, Esmeraldy. Tak jak miała w zwyczaju, pozostała w łóżku, dopóki Esmeralda nie wyszła. Wtedy zarzuciła szlafrok i pod czujnym spojrzeniem ojca przeszła bosą do swego gabinetu.

Powitał ją zapach świeżo parzonej kawy. Nalała jej sobie do filiżanki, dodała mleka i trzy łyżeczki cukru i usiadła za biurkiem. Na ekranie telewizora migały obrazy ukazujące zamęt w Islamabadzie; w wyniku wybuchu kolejnej podłożonej w samochodzie bomby zginęło ponad sto osób, niemalże sami muzułmanie. Nadia zostawiła wyłączony dźwięk i wzięła do ręki skórzaną okładkę swego rozkładu dnia. Był wyjątkowo korzystny. Miała dwie godziny czasu dla siebie, po czym musiała opuścić rezydencję i polecieć do Zurychu. Tam, w sali konferencyjnej hotelu Dolder Grand, wraz z najbliższymi doradcami miała się spotkać z zarządem firmy optycznej z siedzibą w Zug, należącej w przeważającej części do AAB Holdings. Zaraz potem miała się udać na drugie spotkanie, tym razem bez doradców. Temat spotkania określono jako „poufne”, jak zawsze, gdy w grę wchodziły prywatne finanse Nadii.

Zamknęła skórzaną teczkę i - jak miała w zwyczaju - spędziła następną godzinę na czytaniu gazet przy kawie i kanapkach. Krótco po ósmej zalogowała się w swoim komputerze, żeby sprawdzić stan azjatyckich rynków, a potem kilka minut przeglądała różne kanały z wiadomościami. Na koniec zatrzymała się na Al-Dżazirze, która po masakrze w Islamabadzie relacjonowała wojskowy atak izraelski w Strefie Gazy, który doprowadził do zabicia dwóch czołowych terrorystów z Hamasu. Określając atak jako „zbrodnię przeciw ludzkości”, turecki premier wezwał ONZ do ukarania Izraela ekonomicznymi sankcjami - co w kolejnym ujęciu skrytykował ważny saudyjski duchowny. „Czas działań dyplomatycznych minął - oświadczył nadskakującemu mu dziennikarzowi Al-Dżaziry. - Teraz przyszła pora, by w s z y s c y muzułmanie włączyli się w zbrojną walkę z syjonistycznymi intruzami. I oby Bóg ukarał tych, którzy ośmielają się kolaborować z wrogami islamu”.

Nadia wyłączyła telewizor, wróciła do sypialni i przebrała się w strój do ćwiczeń. Nigdy nie przepadała za aktywnością fizyczną, a odkąd skończyła trzydziestkę, jeszcze mniej ją to bawiło. Sumiennie podnosiła sobie tętno i ćwiczyła mięśnie, ponieważ tego oczekiwano od współczesnej bizneswoman, żyjącej głównie na Zachodzie. Wciąż dokuczał jej lekki ból głowy, więc ograniczyła swoją i tak krótką poranną gimnastykę. Po spokojnym truchcie na bieżni rozciągała się przez kilka minut na gumowej macie do jogi. Potem leżała nieruchomo na plecach, ze złączonymi w kostkach nogami i rękami rozłożonymi szeroko na boki. Jak zwykle ta pozycja dawała jej poczucie nieważkości. Ale tego ranka przyniosła jej także szokująco wyraźną wizję przyszłości. Leżała tak przez kilka minut, nie zmieniając pozycji, i rozważała, czy nie odwołać wyjazdu do Zurychu. Wystarczyłby jeden telefon, myślała. Jeden telefon i wyrok zostałby uchylony. Ale nie mogła się zmusić, by ten telefon wykonać. Wierzyła, że nie bez powodu przyszła na świat w takim, a nie innym czasie i miejscu. Sądziła także, że to samo dotyczyło człowieka, który zabił jej ojca, i nie chciała go zawieść.

Nadia wstała i pokonując zawrót głowy, wróciła do sypialni. Kiedy już się wykąpała i wyperfumowała, weszła do garderoby i wybrała ubranie, rezygnując z jasnych kolorów, które wolała, na rzecz ciemniejszych odcieni szarości i czerni. Upięła włosy w skromną, świadczącą o pobożności fryzurę. Gdy trzydzieści minut później posuwistym krokiem mijała Rafiqą al-Kamala i wsiadała do swojej limuzyny, jej twarz przypominała gniewne oblicze beduińskiego juhaymana. Przemiana była niemalże całkowita. Była bogatą Saudyjką planującą pomścić śmierć swego ojca.

Samochód przez frontową bramę rezydencji wyjechał na ulicę. Jadąc wzdłuż Lasku Bulońskiego, Nadia dostrzegła mężczyznę, którego znała jako Maxa, idącego kilka kroków za kobietą, która mogła, choć nie musiała, być Sarą. W tym samym momencie tuż za szybą limuzyny mignął jej motocykl, na którym jechał szczupły mężczyzna w kasku i czarnej skórzanej kurtce. Coś w jego sylwetce przywołało znienacka bolesne wspomnienie, które poraziło Nadię na chwilę. To pewnie nic takiego, powiedziała sobie, gdy motor zniknął w bocznej uliczce. To tylko nerwy w ostatniej chwili. Pamięć płata mi figle.

*

Na życzenie Saudów Nadia zmuszona była zatrzymać nie tylko dawnych pracowników ochrony swego ojca. Zasadnicza struktura firmy pozostała ta sama, podobnie jak większość wyższych rangą pracowników. Daoud Hamza, kształcony na Uniwersytecie Stanforda Libańczyk, wciąż prowadził codzienne transakcje. Manfred Wehrli, tchnący kamiennym spokojem szwajcarski doradca finansowy, nadal zarządzał finansami firmy. A zespół prawników, znany jako Abdul & Abdul, wciąż dbał o to, by działania firmy mieściły się w granicach prawa. W towarzystwie dwudziestu dodatkowych pracowników, pomocników, posługaczy i wszelkiego rodzaju pieczeniarzy wszyscy siedzieli już w poczekalni dla VIP-ów lotniska Le Bourget, kiedy Nadia tam dotarła. Z wybiciem dziesiątej weszli kolejno na pokład należącego do firmy boeinga business jeta i o 10:15 wystartowali w kierunku Zurychu. Godzinę lotu spędzili, dokonując analiz numerycznych przy stole konferencyjnym, a po przybyciu na lotnisko Kloten porzysiadali się w konwoju mercedesów sedanów. Te ostatnie zawiozły ich ze znaczną prędkością przez zalesione zbocza Zürichsberg przed wejście do hotelu Dolder Grand, gdzie z honorami zaprowadzono ich do sali konferencyjnej o alpejsko brzmiącej nazwie oraz z widokiem na jezioro wartym horrendalnej ceny wynajmu. Delegacja ze szwajcarskiej firmy optycznej już się zjawiała i śmiało korzystała z wystawnego bufetu. Przedstawiciele AAB usiedli i zaczęli otwierać teczki i laptopy. Personel AAB nigdy nie jadł podczas spotkań w interesach. Reguły Ziziego.

Spotkanie przewidziano na dwie godziny. Trwało trzydzieści minut dłużej i

zakończyło się zobowiązaniem ze strony Nadii do zainwestowania dodatkowych dwudziestu milionów franków w szwajcarską firmę, by pomóc jej w unowocześnieniu fabryk i oferty produkcyjnej. Po krótkiej wymianie kurtuazyjnych uwag szwajcarska delegacja opuściła salę. Przemierzając elegancki hol, minęli chudego Araba po czterdziestce, o lekkim zarości, siedzącego samotnie z teczką u boku. Pięć minut później został telefonicznie wezwany do sali konferencyjnej, którą Szwajcarzy właśnie opuścili. Czekala tam na niego piękna kobieta o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach.

- Niech Bóg pana błogosławi - odezwała się po arabsku.

- I panią również - Samir Abbas odpowiedział w tym samym języku. - Mam nadzieję, że spotkanie ze Szwajcarami poszło dobrze.

- Ziemskie sprawy. - Nadia machnęła ręką lekceważąco.

- Bóg hojnie panią obdarzył - powiedział Abbas. - Przygotowałem dla pani parę propozycji korzystnych, jak sądzę, inwestycji pani pieniędzy.

- Nie potrzebuję porad inwestycyjnych z pana strony, panie Abbas. Sama radzę sobie całkiem dobrze.

- Czym zatem mogę pani służyć, panno al-Bakari?

- Może na początek zechce pan usiąść. A potem proszę wyłączyć BlackBerry. W dzisiejszych czasach nie można być zbyt ostrożnym, jeśli chodzi o urządzenia elektroniczne. Nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.

- Rozumiem doskonale.

Zdobyła się na uśmiech.

- Jestem tego pewna.

Siedzieli po przeciwnych stronach stołu konferencyjnego, bez żadnego poczęstunku poza butelkami szwajcarskiej wody mineralnej, której żadne z nich i tak nie tknęło. Pośród nich leżały dwa smartfony o ciemnych ekranach, z wyjętymi kartami SIM. Odwróciwszy wzrok od odsłoniętej twarzy Nadii, Samir Abbas zdawał się z uwagą oglądać żyrandol nad głową. Wśród światełek i kryształków ukryty był miniaturowy nadajnik o krótkim zasięgu, zainstalowany wcześniej rano przez Mordechaja i Odeda. Monitorowali teraz jego sygnał z pokoju na czwartym piętrze, a wszystkie koszty pokrywał w całości Dział Operacji Tajnych Centralnej Agencji Wywiadowczej. Gabriel przysłuchiwał się rozmowie z kryjówki po drugiej stronie jeziora przez bezpieczne łącze mikrofalowe. Poruszał nieznacznie ustami, jakby usiłował podpowiedzieć Nadii kolejną kwestię.

- Na początek chciałabym, żeby przyjął pan moje najszczerze przeprosiny - powiedziała.

Abbas przez chwilę wydawał się zakłopotany.

- Niedawno wpłaciła pani dwieście milionów dolarów do instytucji finansowej, w której pracuję, panno al-Bakari. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego miałyby mnie pani przeproszać.

- Ponieważ niedługo po śmierci mego ojca prosił mnie pan o darowiznę na rzecz jednej z islamskich organizacji charytatywnych, z którą jest pan związany. Odprawiłam pana; i to dosyć szorstko, o ile dobrze pamiętam.

- Nie powinienem był zwracać się do pani w tak trudnym dla pani momencie.

- Wiem, że chciał pan dla mnie jak najlepiej. *Zakat* jest ogromnie ważny dla naszej wiary. Właściwie mój ojciec uważał dawanie jałmużny za najważniejszy z pięciu filarów islamu.

- Ojciec pani był hojny aż do przesady. Zawsze mogłem na niego liczyć, gdy byliśmy w potrzebie.

- Zawsze wyrażał się o panu bardzo pochlebnie, panie Abbas.

- Podobnie jak o pani, panno al-Bakari. Ojciec bardzo panią kochał. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić bólu, jaki odczuwa pani po jego śmierci. Może pani jedynie czerpać spokój ze świadomości, że pani ojciec jest z Bogiem w raju.

- *Inszallah* - powiedziała rzewnie. - Obawiam się jednak, że od jego śmierci nie

zaznałam ani chwili spokoju. A mój ból wzmaga jeszcze fakt, że jego zabójcy nie zostali ukarani za swoją zbrodnię.

- Ma pani prawo do gniewu. Wszyscy mamy do tego prawo. Morderstwo pani ojca stanowi zniewagę dla wszystkich muzułmanów.

- Ale co zrobić z tym gniewem?

- Prosi mnie pani o radę, panno al-Bakari?

- Duchowego rodzaju - odparła. - Wiem, że jest pan człowiekiem wielkiej wiary.

- Jak pani ojciec - powiedział.

- Jak mój ojciec - powtórzyła cicho.

Abbas przelotnie spojrzał jej prosto w oczy, zanim znów odwrócił wzrok.

- Koran to coś więcej niż tylko przytoczenie słów Allaha - powiedział. - To także dokument prawny, który reguluje każdy aspekt naszego życia. I mówi całkiem wyraźnie, co należy zrobić w przypadku morderstwa. To się nazywa *al-quisas*. Najbliższa rodzina zamordowanego ma trzy możliwości. A więc może pani po prostu wybaczyć winowajcom z dobroci serca. Może pani przyjąć pieniądze wypłacane przez mordercę rodzinie ofiary. Albo może pani odplacić zabójcy tym samym, co on uczynił ofierze, nie zabijając nikogo poza samym winowajcą.

- Ludzie, którzy zabili mego ojca, byli zawodowymi zabójcami. Zostali przysłani przez innych.- Wobec tego to ludzie, którzy zlecili zabójstwo, w ostatecznym rozrachunku odpowiadają za śmierć pani ojca.

- A jeśli nie potrafię się zdobyć na to, żeby im wybaczyć?

- W takim razie, na mocy praw Allaha, może pani ich zabić. Nie zabijając nikogo innego - dodał pośpiesznie.

- Trudna sprawa, zgodzi się pan ze mną, panie Abbas?

Bankier nie odpowiedział, spojrzał tylko Nadii prosto w oczy po raz pierwszy bez śladu islamskiego poczucia przyzwoitości.

- Czy coś się stało? - spytała Nadia.

- Wiem, kto zabił pani ojca, panno al-Bakari. I wiem też, dlaczego został zabity.

- Wobec tego wie pan także, że nie mam możliwości ukarać ich zgodnie z prawami islamu. - Umilkła, po czym dodała: - Nie bez pomocy.

Abbas wziął do ręki wyłączony BlackBerry Nadii i przyglądał mu się w milczeniu.

- Nie ma pan powodu do obaw - powiedziała cicho.

- Czego miałbym się obawiać? Zarządzam kontami osobistymi o ogromnej wartości netto w banku TransArabian. W wolnym czasie zabiegam o fundusze na rzecz legalnych

organizacji charytatywnych usiłujących ulżyć cierpieniom muzułmanów na całym świecie.

- I dlatego właśnie poprosiłam o spotkanie z panem.

- Życzy sobie pani złożyć datek?

- I to spory.

- Komu chciałaby pani przekazać te pieniądze?

- Ludziom, którzy mogą wymierzyć sprawiedliwość, jaka mi się słusznie należy.

Abbas odłożył BlackBerry Nadii na stół, ale nic nie mówił. Nadia wytrzymała jego spojrzenie przez krępująco długą chwilę.

- Oboje, pan i ja, mieszkamy na Zachodzie, ale jesteśmy dziećmi pustyni. Moja rodzina pochodzi z Nadzdu, pańska z Hedżazu. Potrafimy powiedzieć bardzo wiele, używając niewielu słów.

- Mój ojciec miał zwyczaj mówić do mnie samymi oczami - powiedział Abbas tęsknym głosem.

- Mój także - odparła Nadia.

Abbas odkręcił zakrętkę ze swojej butelki wody mineralnej i powoli nalał trochę do szklanki, jakby to była ostatnia kropla wody na ziemi.

- Organizacje charytatywne, z którymi jestem związany, są całkowicie legalne - powiedział wreszcie. - Pieniądze wykorzystywane są na budowę dróg, szkół, szpitali i tym podobnych. Czasami część z nich trafia w ręce grupy stacjonującej w północno-zachodnich plemiennych rejonach Pakistanu. Jestem pewien, że grupa ta byłaby bardzo wdzięczna za każdą pomoc. Jak pani wie, stracili ostatnio swego głównego protektora.

- Nie jestem zainteresowana grupą stacjonującą w północno-zachodnich plemiennych rejonach Pakistanu - oświadczyła Nadia. - Przestali być skuteczni. Ich czas minął.

- Proszę to powiedzieć mieszkańcom Paryża, Kopenhagi, Londynu i Madrytu.

- O ile mi wiadomo, grupa stacjonująca w północno-zachodnich plemiennych rejonach Pakistanu nie miała nic wspólnego z tamtymi atakami.

Abbas gwałtownie podniósł wzrok.

- Kto pani to powiedział?

- Jeden z moich pracowników ochrony, który utrzymuje bliskie kontakty z saudyjskim wywiadem.

Nadia była zdziwiona, jak gładko to kłamstwo przeszło jej przez gardło. Abbas z powrotem zakręcił butelkę i wydawał się ostrożnie rozważać jej odpowiedź.

- Krążą słuchy o jemeńskim duchownym - powiedział wreszcie. - Tym, który posiada amerykański paszport i mówi również jak Amerykanin. Krążą także słuchy, że poszerza

swoją działalność. Swoją działalność charytatywną, ma się rozumieć - dodał Abbas.

- Wie pan, jak można się skontaktować z jego organizacją?

- Jeśli poważnie myśli pani o udzieleniu im wsparcia, sądzę, że mógłbym panią z nimi zapoznać.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedziała.

- To nie są ludzie, którzy lubią, gdy ktoś, a zwłaszcza kobieta, mówi im, co mają robić, panno al-Bakari.

- Nie jestem jakąś tam kobietą. Jestem córką Abdula Aziza al-Bakariego i czekałam już bardzo długo.

- Podobnie jak oni: setki lat, można powiedzieć. To ludzie wielkiej cierpliwości. Pani także musi być cierpliwa.

Spotkanie zakończyło się tak samo precyzyjnie, jak zostało zaplanowane i przeprowadzone. Abbas wrócił do biura, Nadia do samolotu, Oded i Mordehaj do kryjówki na zachodnim brzegu jeziora. Gabriel nie zareagował na ich przyjazd. Siedział pochylony nad komputerem w salonie, ze słuchawkami na twarzy i zrezygnowanym wyrazem twarzy. Kliknął „pause”, następnie „rewind” i „play”.

- To nie są ludzie, którzy lubią, gdy ktoś, a zwłaszcza kobieta, mówi im, co mają robić, panno al-Bakari.

- Nie jestem jakąś tam kobietą. Jestem córką Abdula Aziza al-Bakariego i czekałam już bardzo długo.

- Podobnie jak oni: setki lat, można powiedzieć. To ludzie wielkiej cierpliwości. Pani także musi być cierpliwa.

- Mam jedną prośbę, panie Abbas. Z powodu tego, co spotkało mego ojca, muszę wiedzieć, z kim mam się spotkać, i mieć pewność, że będę bezpieczna.

- Proszę się nie martwić, panno al-Bakari. Osoba, którą mam na myśli, bynajmniej nie zagraża pani bezpieczeństwu.

- Kto to jest?

- Nazywa się Marwan Bin Tayyib. Jest dziekanem wydziału teologii na uniwersytecie w Mekce i bardzo pobożnym człowiekiem.

Gabriel znów wcisnął „pause”. Po czym niechętnie przesłał to nazwisko Adrianowi Carterowi do Langley. Odpowiedź Cartera przyszła pięć minut później. Była to rezerwacja na poranny lot do Waszyngtonu. Klasa turystyczna plus, oczywiście. Zemsta Cartera.

40.

LANGLEY, STAN WIRGINIA

- Dobra robota - pochwalił Carter. - Brawurowy wyczyn. Dzieło sztuki. Naprawdę.

Stał przy windach na siódmym piętrze, gdzie mieścił się apartament dyrektorski, uśmiechając się z całą szczerością sztucznych roślin, które kwitły w wiecznym mroku jego gabinetu. To był taki pocieszający uśmiech, jaki pojawia się na twarzach dyrektorów, kiedy mają wylać kogoś z pracy, pomyślał Gabriel. Do kompletu brakowało jedynie złotego zegarka, skromnej odprawy i darmowego obiadu dla dwojga w Morton's Steakhouse.

- Chodź - powiedział Carter, klepiąc Gabriela po ramieniu, czego nigdy nie robił. - Muszę ci coś pokazać.

Kiedy zjechali do podziemnej części budynku, szli chyba z kilometr szaro-białymi korytarzami. Celem ich wędrówki okazała się zaopatrzona w okna platforma obserwacyjna wychodząca na ogromną otwartą przestrzeń o atmosferze giełdy na Wall Street. Na wszystkich czterech ścianach migotały monitory ekranowe wielkości billboardów. Pod nimi dwieście ekranów komputerów oświetlało dwieście twarzy. Czym dokładnie zajmowali się ci ludzie, Gabriel nie wiedział. Prawdę powiedziawszy, nie był już pewien, czy w ogóle nadal jest w Langley, czy w ogóle jeszcze w stanie Wirginia.

- Uznaliśmy, że nadszedł czas, by zebrać wszystkich pod jednym dachem - wyjaśnił Carter.

- Wszystkich? - zapytał Gabriel.

- To twoja operacja - powiedział Carter.

- To z powodu j e d n e j operacji?

- Jesteśmy Amerykanami - powiedział Carter jakby ze skruchą. - Wszystko robimy na dużą skalę.

- Czy to ma swój własny kod pocztowy?

- Szczerze mówiąc, na razie to nawet nie ma nazwy. Na razie nazywamy to na twoją cześć Raszydystanem. Pozwól, że cię oprowadzę. Szybka rundka za piąta.

- Uważam, że w tych okolicznościach zasługuję przynajmniej na porządną rundkę za dziesięć centów.

- Naprawdę musimy wdawać się w kolejną przepychankę?

- Tylko jeśli to się okaże absolutnie konieczne.

Carter poprowadził Gabriela wąskimi krętymi schodami na dół do centrum

operacyjnego. W pomieszczeniu było duszno, cuchnęło świeżo położoną wykładziną i przegrzаныmi obwodami elektrycznymi. Młoda kobieta o nastroszonych czarnych włosach bez słowa przeszła obok nich i usiadła przy jednym z wielu stołów pośrodku sali. Gabriel popatrzył na jeden z monitorów ekranowych i zobaczył kilku sławnych waszyngtońskich ekspertów rozmawiających w ciepłej poświacie studia telewizyjnego.

- Czy oni planują atak terrorystyczny?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To dlaczego ich obserwujemy? - spytał Gabriel, rozglądając się po sali ze zdumieniem połączonym z rozpaczą. - Kim w ogóle są ci ludzie?

Nawet Carter, nominalny szef całej operacji, zdawał się zastanawiać przez chwilę nad odpowiedzią.

- Większość to pracownicy Agencji - powiedział wreszcie - ale są tu też ludzie z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, FBI, Departamentu Sprawiedliwości i z Ministerstwa Skarbu oraz kilkudziesięciu prywatnych zleceniobiorców.

- Czy to zagrożony gatunek?

- Wręcz przeciwnie - odparł Carter. - Ci ludzie z zielonymi identyfikatorami, których tutaj widzisz, to wszystko prywatni zleceniobiorcy. Nawet ja nie jestem pewien, ilu ich pracuje obecnie w Langley. Wiem natomiast jedno. Większość z nich zarabia znacznie więcej ode mnie.

- Na czym?

- Część z nich to niegdysiejsi agenci antyterrorystyczni, którzy potroili swoje dochody, zatrudniając się w prywatnych firmach. W wielu przypadkach robią dokładnie to samo co przedtem i mają te same uprawnienia. Ale teraz płaci im nie Agencja, tylko ACME Security Solutions albo inna prywatna instytucja.

- A reszta?

- Eksploratorzy danych - powiedział Carter - a dzięki temu wczorajszemu spotkaniu w Zurychu trafili na żyłę złota. - Wskazał jeden ze stołów. - Ta grupka zajmuje się Samirem Abbasem, naszym przyjacielem z banku TransArabian. Rozbierają go na kawałki, e-mail po e-mailu, jedna rozmowa telefoniczna po drugiej, jedna transakcja finansowa po drugiej. Udało im się dotrzeć do danych poprzedzających jedenasty września. Jeśli o nas chodzi, już sam Samir wart jest ceny, jaką płacimy za udział w tej operacji. Zdumiewające, że zdołał ujść naszej uwagi przez te wszystkie lata. To gruba ryba. Podobnie jak jego przyjaciel z uniwersytetu w Mekce.

Dziewczyna o czarnych nastroszonych włosach podała Carterowi teczkę. Następnie

Carter zaprowadził Gabriela do dźwiękoszczelnej sali konferencyjnej. Jedyne okno wychodziło na salę centrum operacyjnego.

- Oto twój chłopak - powiedział Carter, podając Gabrielowi fotografię formatu osiem na dziesięć cali. - Ucieleśnienie saudyjskiego problemu.

Gabriel spojrział na fotografię i ujrzał szejka Marwana Bin Tayyiba patrzącego na niego bez uśmiechu. Saudyjski duchowny miał długą rozczochraną brodę salafijskiego muzułmanina i wyraz twarzy człowieka, który nie lubi być fotografowany. Czerwono-biała *ghutra* wisiała mu głowie, odsłaniając białą czapkę *taqiyah* pod spodem. W przeciwieństwie do większości saudyjskich mężczyzn nie przywiązywał nakrycia głowy czarnym okrągłym sznurem, znanym jako *agal*. Była to manifestacja pobożności, znak, że mało dbał o wygląd zewnętrzny.

- Co o nim wiadomo? - spytał Gabriel.

- Pochodzi z wahhabickiego centrum na północ od Rijadu. W jego rodzinnym mieście znajduje się wręcz gliniana chata, gdzie kiedyś podobno mieszkał sam Wahhab. Mężczyźni z tego miasta zawsze uważali się za strażników prawdziwej wiary, najczystszych z czystych. Nawet teraz obcy nie są tam mile widziani. Jeśli jakiś cudzoziemiec pojawi się w mieście, miejscowi zakrywają twarze i idą w przeciwną stronę.

- Czy Bin Tayyib ma powiązania z Al-Kaidą?

- Słabe - odparł Carter - ale niezaprzeczalne. Był kluczową postacią w przebudzeniu islamskiego żaru, który ogarnął Królestwo po przejściu Wielkiego Meczetu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. W swojej rozprawie doktorskiej dowodził, że sekularyzm to uknuty na Zachodzie spisek mający na celu zniszczenie islamu, a ostatecznie Arabii Saudyjskiej w ogóle. Lektura rozprawy zaczęła być wymagana wśród pewnych radykalnych członków królewskiego dworu, w tym przez naszego starego przyjaciela księcia Nabila, saudyjskiego ministra spraw wewnętrznych, który po dziś dzień nie chce przyznać, że dziesięć spośród porywaczy jedenastego września było obywatelami jego kraju. Nabil był pod takim wrażeniem rozprawy Bin Tayyiba, że osobiście polecił go na wpływowe stanowisko na uniwersytecie w Mekce.

Gabriel oddał fotografię Carterowi, który spojrział na nią z pogardą, zanim włożył ją z powrotem do teczki.

- Nazwisko Bin Tayyiba nie po raz pierwszy pojawia się w związku z siatką Raszida - powiedział. - Pomimo swej radykalnej przeszłości Bin Tayyib pełni funkcję doradcy w ramach wychwalanego saudyjskiego programu rehabilitacji terrorystów. Przynajmniej dwudziestu pięciu Saudyjczyków wróciło na pole bitwy po ukończeniu programu. Sądzi się,

że czterech z nich jest w Jemenie z Raszidem.

- Jeszcze jakieś powiązania?

- Zgadnij, kto był ostatnią osobą, jaką widziano w obecności Raszida tamtego wieczoru, kiedy przeszedł z powrotem na drugą stronę?

- Bin Tayyib?

Carter skinął głową.

- To Bin Tayyib zaprosił Raszida, by wygłosił wykład na uniwersytecie w Mekce. I to Bin Tayyib towarzyszył mu ostatniego wieczoru przed ucieczką.

- Podnosiliście kiedykolwiek tę kwestię z waszymi przyjaciółmi w Rijadzie?

- Próbowaliśmy.

- I?

- To do niczego nie prowadziło - przyznał Carter. - Jak wiesz, stosunki pomiędzy dworem saudyjskim a przedstawicielami duchowieństwa są co najmniej skomplikowane. Saudowie nie mogą rządzić bez poparcia ze strony ulemów. I jeśli mieliby na naszą prośbę wystąpić przeciwko wpływowemu teologowi pokroju Bin Tayyiba...

- Dżihadyści mogliby się obrazić.

Carter kiwnął głową i wyjął z tej samej teczki dwie kartki papieru - zapis podsluchanych przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego rozmów.

- Nasz przyjaciel z banku TransArabian odbył dziś rano w swoim gabinecie dwie interesujące rozmowy telefoniczne: najpierw zadzwonił do Rijadu, potem do Dżuddy. Podczas pierwszej rozmowy oznajmił, że robi interesy z Nadią al-Bakari. Podczas drugiej powiedział, że ktoś z jego znajomych chce podyskutować o sprawach duchowych z szejkiem Bin Tayyibem. Osobno te dwie rozmowy mogą się wydawać całkowicie niewinne. Natomiast razem...

- Nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że Nadia al-Bakari, kobieta o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach, chciałaby pomówić z szejkiem na osobności.

- Żeby podyskutować o sprawach duchowych, ma się rozumieć.

- Carter schował zapisy rozmów z powrotem do teczki. - Pytanie - ciągnął, zamykając teczkę - czy pozwolimy jej jechać?

- Dlaczego nie mielibyśmy pozwolić?

- Ponieważ to by oznaczało złamanie wszystkich naszych umów z rządem saudyjskim i jego służbami bezpieczeństwa. *Hadith* mówi jasno, że nie będzie dwóch religii w Arabii. A Saudowie jasno dali do zrozumienia, że nie będą też tolerować dwóch służb wywiadowczych.

- Kiedy do ciebie dotrze, że oni stanowią problem, a nie jego rozwiązanie?

- W dniu, w którym nie będziemy już dłużej potrzebować ich ropy do napędzania naszych samochodów i naszej gospodarki - odparł Carter. - Aresztowaliśmy i zabiliśmy setki obywateli saudyjskich po jedenastym września, ale nie w samej Arabii. W tym kraju niewiernych takich jak my obowiązuje zakaz wstępu. Jeśli Nadia zdecyduje się spotkać z szejkiem Bin Tayyibem, musi jechać sama, bez naszego wsparcia.

- Czy możemy sprowadzić górę do Mahometa?

- Jeśli pytasz o to, czy Bin Tayyib może spotkać się z Nadią poza granicami Arabii, odpowiedź brzmi: nie. Jest na zbyt wielu czarnych listach, by mógł to zrobić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wpuści go do żadnego europejskiego kraju. Jeśli Bin Tayyib chwyci przynętę, nie mamy innego wyboru, jak wysłać Nadię do góry całkiem samą. A jeśli Saudowie odkryją, że jest tam z naszego polecenia, pospadają głowy.

- Może powinienes o tym pomyśleć, zanim stworzyłeś całą odrębną agencję rządową do prowadzenia tej operacji - powiedział Gabriel, wskazując centrum za szybą. - Ale teraz to twój problem, Adrianie. Zgodnie z warunkami naszego najnowszego porozumienia operacyjnego ja w tym momencie oddaję ci kluczyki i wycofuję się na dalszy plan.

- Zastanawiam się, czy nie zechciałbyś przyjąć kilku poprawek do tej umowy - powiedział Carter ostrożnie.

- Słucham cię uważnie.

- Zanim zostałem szefem największej światowej jednostki antyterrorystycznej, rekrutowałem i przerzucałem szpiegów. I wiem, że szpieg nie znosi jednego: zmian. Ty znalazłeś Nadię. Ty ją zwerbowałeś. Byłoby zatem sensowne, gdybyś to ty dalej ją prowadził.

- Chcesz, żebym był jej oficerem prowadzącym?

- Chyba tak.

- Pod twoim nadzorem, oczywiście.

- Biały Dom stanowczo obstaje przy tym, żeby Agencja przejęła całkowitą kontrolę nad operacją. Obawiam się, że mam związane ręce.

- To do ciebie niepodobne, żeby się chować za wyższą władzą, Adrianie.

Carter nie odpowiedział. Gabriel sprawiał wrażenie, jakby poważnie się zastanawiał nad jego propozycją, w rzeczywistości jednak już powziął decyzję. Przechylił głowę w stronę dźwiękoszczelnej szyby i spytał:

- Znajdzie się tam dla mnie trochę miejsca?

Carter się uśmiechnął.

- Już przygotowałem dla ciebie identyfikator, żebyś mógł samodzielnie wchodzić do budynku - powiedział. - Oczywiście zielony.

- Zielony to kolor naszego wroga.
- Islam nie jest naszym wrogiem, Gabrielu.
- Ach, tak, zapomniałem.

Carter wstał i zaprowadził Gabriela do małego szarego boksu w odległym kącie centrum operacyjnego. Boks mieścił biurko, krzesło, telefon wewnętrzny, komputer, sejf na dokumenty, niszczarkę i kubek na kawę z emblematem CIA z boku. Dziewczyna z nastroszonymi czarnymi włosami przyniosła mu stertę akt i bez słowa wróciła na swoje stanowisko. Kiedy Gabriel otwierał pierwszą teczkę, podniósł wzrok i zobaczył Cartera podziwiającego widok Raszidystanu z platformy obserwacyjnej. Wyglądał na zadowolonego z siebie. I miał po temu wszelkie powody. To była teraz jego operacja. Gabriel był tylko jeszcze jednym prywatnym zleceniobiorcą, człowiekiem w szarym boksie, z zielonym identyfikatorem zawieszonym na szyi.

41.

RIJAD, ARABIA SAUDYJSKA

Boeing business jet należący do AAB Holdings i obsługiwany przez pracowników firmy wszedł w przestrzeń powietrzną Królestwa Arabii Saudyjskiej dokładnie o 17:18. Zgodnie z panującym zwyczajem brytyjski pilot natychmiast poinformował pasażerów i załogę o tym fakcie, żeby kobiety znajdujące się na pokładzie mogły zacząć zmieniać swoje zachodnie ubrania na stosowny islamski strój.

Dziesięć kobiet na pokładzie zrobiło to od razu. Jedenasta, Nadia al-Bakari, pozostała na swoim zwykłym miejscu, przeglądając grubą stertę papierów, aż pierwsze światła Rijadu pojawiły się niczym kawałki bursztynu rozrzucone na pustyni. Jeszcze przed wiekiem stolica Arabii Saudyjskiej była zaledwie pustynną osadą otoczoną murem z błota, zupełnie nieznaną w świecie Zachodu, punkikiem na mapie, pomiędzy zboczami gór Sarawat a brzegami Zatoki Perskiej. Ropa naftowa przemieniła Rijad w nowoczesną metropolię z pałacami, drapaczami chmur i centrami handlowymi. Jednak pod wieloma względami atrybuty petrobogactwa były mirażem. Saudowie, owszem, wydawali miliony na modernizację swego sennego pustynnego imperium, ale kolejne miliony trwonili na swoje jachty, nałożnice i letnie rezydencje w Marbelli. Co gorsza, uczynili bardzo niewiele, by przygotować kraj na dzień, w którym ostatni szyb zostanie wyczerpany. Dziesięć milionów cudzoziemców pracowało na polach naftowych i w pałacach, a tymczasem setki tysięcy młodych Saudyjczyków nie mogło znaleźć pracy. Poza ropą najpopularniejszymi towarami eksportowymi kraju były daktyle i księgi Koranu. I brodaci fanatycy, rozmyślała Nadia ponuro, patrząc, jak przybliżają się światła Rijadu. Jeśli chodziło o produkcję islamskich ekstremistów, Arabia Saudyjska była rynkowym liderem.

Nadia oderwała wzrok od okna i rozejrzała się po wnętrzu samolotu. Umieszczona z przodu przestrzeń z miejscami do siedzenia była urządzona w stylu *majlis*, z wygodnymi fotelami wzdłuż kadłuba samolotu i grubymi orientalnymi dywanami na podłodze. Fotele zajmowali sami mężczyźni, starsi rangą pracownicy AAB - Daoud Hamza, prawnicy z Abdul & Abdul i oczywiście Rafiq al-Kamal. Ten ostatni patrzył na Nadię z jawną dezaprobatą, jakby chciał przypomnieć jej bez słów, że pora, by się przebrała. Za chwilę mieli wylądować w krainie niewidzialnych kobiet, co oznaczało, że Rafiq stanie się kimś więcej niż tylko ochroniarzem Nadii. Będzie także pełnił rolę jej męskiego opiekuna i zgodnie z prawem będzie zobowiązany towarzyszyć jej w miejscach publicznych. Za kilka minut Nadia al-

Bakari, jedna z najbogatszych kobiet na świecie, będzie miała mniej więcej takie prawa jak wielbłąd. Raczej mniej niż więcej, myślała z rozżaleniem, bo nawet wielbłąd mógł pokazywać publicznie swoje oblicze.

Bez słowa podniosła się z fotela i skierowała się ku tyłowi samolotu do swych elegancko umeblowanych prywatnych pomieszczeń. Otworzyła szafę i ujrzała swój saudyjski uniform wiszący bezwładnie na wieszaku: prosta biała *thobe*, czarna haftowana peleryna abaja i czarna zasłona na twarz nikab. Chociaż raz, myślała, chciałaby iść ulicami swego kraju w luźnym białym stroju, a nie w tym ograniczającym swobodę ruchów czarnym kokonie. To oczywiście było niemożliwe; nawet bogactwo na skalę rodziny al-Bakari nie chroniło przed fanatyczną religijną policją *mutaween*. Poza tym to bynajmniej nie był moment, by poddawać próbie społeczne i religijne normy Arabii Saudyjskiej. Przyjechała do swego ojczystego kraju na prywatne spotkanie z szejkiem Marwanem Bin Tayyibem, dziekanem wydziału teologii uniwersytetu w Mekce. Niewątpliwie szanowany religijny uczyony uznałby to za osobliwe, gdyby w przeddzień owego spotkania Nadia została aresztowana przez brygadę brodaczy za odmowę włożenia stosownego islamskiego stroju.

Niechętnie zdjęła jasny kostium ze spodniami Oscara de la Renty i z rytualną powolnością przyodziała się na czarno. Gdy nikab skrywał już daną jej od Boga twarz, przejrzała się w lustrze. Widać było tylko jej oczy oraz kuszący ślad ciała w okolicach kostek. Wszelkie wzrokowe dowody jej istnienia zostały usunięte. Czyż zatem można się dziwić, że pracownicy firmy właściwie nawet nie zaszczycili spojrzeniem jej powrotu do przedniej kabiny pasażerskiej? Jedyne Daoud Hamza, Libańczyk z pochodzenia, w jakikolwiek sposób zareagował na jej obecność. Pozostali, sami Saudyjczycy, ostentacyjnie odwracali wzrok. To było jak nawrót choroby, myślała, choroby o nazwie Arabia Saudyjska. Fakt, że Nadia była ich pracodawczynią, nie miał znaczenia. Allah uczynił ją kobietą i z chwilą powrotu do kraju Proroka musiała zająć właściwe jej miejsce.

Ich lądowanie na międzynarodowym lotnisku Króla Khalida zbiegło się z wieczorną modlitwą. Nie mając prawa modlić się wraz z mężczyznami, Nadia zmuszona była cierpliwie czekać, podczas gdy oni wypełniali ten najważniejszy filar islamu. Następnie w otoczeniu kilku okrytych woalem kobiet zeszała niezdarnie po schodkach dla pasażerów, starając się nie potknąć o brzeg swojej abai. Zimny wiatr szalał na płycie lotniska, niosąc ze sobą gęstą brązową chmurę pyłu. Przechylona, żeby stawić opór wiatrowi i utrzymać równowagę, Nadia szła w ślad za współpracownikami w stronę głównego terminalu lotniczego. Tam rozdzielili się, gdyż w terminalu, podobnie jak we wszelkiej przestrzeni publicznej w Arabii Saudyjskiej, obowiązywała segregacja płciowa. Pomimo przywieszek z nazwą AAB ich bagaże zostały

starannie przeszukane pod kątem pornografii, alkoholu czy innych śladów zachodniej dekadencji.

Wychodząc z przeciwnej strony budynku, wsiadła do czekającej na nich limuzyny marki Mercedes wraz z Rafiqiem al-Kamalem, by przebyć liczącą dwadzieścia dwie mile drogę do Rijadu. Burza piaskowa ograniczała widoczność do kilku zaledwie metrów. Od czasu do czasu światła samochodu jadącego z przeciwka przybliżały się do nich kołyszącym ruchem niczym światła nawigacyjne małego statku, ale przez większą część podróży byli, jak się zdawało, zupełnie sami. Nadia rozpaczliwie pragnęła zdjąć swój nikab, ale wiedziała, że nie powinna tego robić. *Mutaween* zawsze wypatrywali kobiet jadących z odsłoniętymi twarzami w samochodach - zwłaszcza bogatych, żyjących na Zachodzie kobiet wracających do domu z Europy.

Po piętnastu minutach panorama Rijadu wreszcie przedarła się przez brązowo-czarny mrok. Minęli islamski uniwersytet Ibn Saud i pokonali szereg rond, aż dotarli do drogi Króla Fahda, głównej arterii komunikacyjnej al-Olaya, nowej, świetnie prosperującej dzielnicy przemysłowej Rijadu. Tuż przed nimi wznosił się srebrny wieżowiec Centrum Królestwa, który wyglądał zupełnie jak zgubiona nowoczesna aktówka, czekająca, aż zgłosi się po nią roztrzepany właściciel. W cieniu wieżowca skrzyło się nowe centrum handlowe Makkah, otwarte ponownie po wieczornej modlitwie i oblegane przez hordy podekscytowanych klientów. Wyposażeni w pałki policyjne *mutaween* chodzili parami pośród tłumów kupujących, wypatrując oznak niewłaściwego zachowania lub niestosownych relacji międzyludzkich. Nadia myślała o Renie i po raz pierwszy, odkąd stawiała się na wezwanie do pałacyku w Seraincourt, poczuła ukłucie prawdziwego strachu.

To uczucie minęło chwilę później, kiedy samochód skręcił w ulicę Musy Bin Nusiara i wjechał do al-Shumaysi, dzielnicy otoczonych wysokim murem pałaców zamieszkałych przez książąt z dynastii Saudów i innych przedstawicieli saudyjskiej elity. Posiadłość rodziny al-Bakari znajdowała się na zachodnim skraju dzielnicy, przy ulicy stale patrolowanej przez policję i oddziały wojska. Pałac stanowił ozdobne połączenie Wschodu i Zachodu, a otaczały go trzy akry stawów, fontann, trawników i gajów palmowych. Wysokie białe mury postawiono, by do środka nie przedostał się najbardziej nawet zdeterminowany wróg, jednak nie mogły się one mierzyć z pyłem, który kłębił się na dziedzińcu, gdy limuzyna minęła strzeżoną przez strażnika bramę.

W portyku na baczność stało dziesięcioro członków stałego pałacowego personelu, sami Azjaci. Wyłoniwszy się z mercedesa, Nadia miała ochotę powitać ich serdecznie. Zamiast tego, odgrywając rolę wyniosłej saudyjskiej dziedziczki, minęła ich bez słowa i

ruszyła na górę biegnącymi łagodnym łukiem głównymi schodami. Zanim dotarła na półpiętro, zdarła nikab z twarzy. Następnie w zaciszu własnych pokoi zdjęła ubranie i nago stanęła przed wysokim lustrem, aż nagły zawrót głowy rzucił ją na kolana. Kiedy atak minął, zmyła z włosów pył i położyła się na podłodze, z nogami złączonymi w kostkach i rękami rozpostartymi na boki, czekając, aż ogarnie ją znajome uczucie nieważkości. Już niedługo, myślała. Kilka miesięcy, może kilka tygodni. I będzie po wszystkim.

*

W Langley minęła dopiero jedenasta przed południem, ale w Raszidyście panowała atmosfera wiecznego wieczoru. Adrian Carter siedział przy dyrektorskim biurku, w jednej dłoni trzymał bezpieczny telefon, w drugiej pojedynczą kartkę papieru. Ta linia łączyła z Jamesem McKenną w Białym Domu. Kartka papieru stanowiła wydruk ostatniej depechy z centrali CIA w Rijadzie. Donosiła ona, że NAB, niezbyt trudny do rozszyfrowania kod Agencji dla Nadii al-Bakari, bezpiecznie dotarła do domu i wygląda na to, że nie jest obserwowana - ani przez dżihadystów, ani przez Saudyjczyków, ani też przez nic pośredniego. Carter przeczytał depechę z wyrazem głębokiej ulgi na twarzy, po czym podał ją nad biurkiem Gabrielowi, którego twarz pozostała bez wyrazu. Nic więcej nie mówili. Nie musieli. Mieli wspólne zmartwienie. Ich agentka przebywała na terytorium wroga i żaden z nich nie zdoła zaznać spokoju, dopóki znów nie wsiądzie do samolotu i nie opuści saudyjskiej przestrzeni powietrznej.

W południe czasu waszyngtońskiego Carter wrócił do swojego gabinetu na siódmym piętrze, a Gabriel udał się do domu przy N Street, żeby się wreszcie trochę przespać. Obudził się o północy, a o pierwszej był już z powrotem w Raszidyście, z zielonym identyfikatorem na szyi i Adrianem Carterem siedzącym w napięciu obok. Kolejna depecha z Rijadu przyszła piętnaście minut później. Donosiła, że NAB opuściła otoczoną murem posiadłość i zmierzała teraz do siedziby swojej firmy przy ulicy al-Olaya. Tam pozostała aż do pierwszej po południu, kiedy to zawieziono ją do hotelu Four Seasons na lunch z saudyjskimi inwestorami, którzy okazali się wyłącznie mężczyznami. Odjeżdżając spod hotelu, jej samochód skręcił w prawo w ulicę Króla Fahda - zastanawiający fakt, jako że do jej biura należało jechać w przeciwną stronę. Ostatnio widziano ją dziesięć minut później, gdy samochód kierował się na północ autostradą numer 65. Ekipa CIA nie próbowała jechać za nim. NAB była teraz zdana wyłącznie na siebie.

42.

NADŹD, ARABIA SAUDYJSKA

Wiatr ustał w południe i przed wieczorem Nadźd znów ogarnął spokój. Ten spokój był jedynie tymczasowy, jak zwykle na tym surowym płaskowyżu, bo daleko na zachodzie czarne burzowe chmury przepelzały już przez przełęcz gór Sarawat niczym najeźdźcy z Hidżazu. Minęły dwa tygodnie, odkąd zaczęły się deszcze, i pustynię rozświetlały pierwsze niepewne kiełki trawy i kwiatów. W ciągu kilku tygodni cała okolica będzie zielona niby łąka w hrabstwie Berkshire. A potem wielki piec zacznie grzać od nowa, a z nieba nie spadnie ani jedna kropla deszczu - aż do następnej zimy, kiedy to, jeśli Allah pozwoli, od gór Sarawat znów nadsięgną burze.

Dla mieszkańców Nadźdu deszcz był jedną z niewielu mile widzianych rzeczy przychodzących z zachodu. Niemal wszystko inne, łącznie z ich tak zwanymi rodakami z Hidżazu, traktowali z lekceważeniem i pogardą. To ich wiara powodowała tę wrogość wobec wpływów zewnętrznych, wiara, którą trzy stulecia wcześniej natchnął ich surowy reformatorski kaznodzieja imieniem Muhammad Abdul Wahhab. W roku 1744 zawarł on przymierze z nadźdyjskim plemieniem zwanym al-Saud, tworząc tym samym unię politycznej i religijnej władzy, co ostatecznie doprowadziło do powstania współczesnej Arabii Saudyjskiej. Był to burzliwy związek i od czasu do czasu Saudowie czuli się zmuszeni pokazać brodatym fanatykom z Nadźdu, gdzie ich miejsce, czasem z pomocą niewiernych. W roku 1930 Saudowie wykorzystali brytyjskie karabiny maszynowe, by rozgromić świętych wojowników Ikhwan w mieście Sabillah. A po jedenastym wrześniu Saudowie połączyli siły ze znienawidzonymi Amerykanami, żeby spacyfikować współczesną wersję Ikhwan, znaną jako Al-Kaida. Jednak przymierze pomiędzy zwolennikami Wahhaba i dynastią saudyjską przetrwało te wszystkie burze. Byli od siebie nawzajem zależni, żeby w ogóle przetrwać. A w surowym klimacie Nadźdu nie można było liczyć na wiele więcej.

Jednak pomimo ekstremalnych warunków klimatycznych nowo położona nawierzchnia drogi numer 65 była gładka i czarna, tak jak płynące pod nią rzeki ropy naftowej. Droga biegła w kierunku północno-zachodnim, śladem dawnego szlaku karawan łączącego Rijad z miasteczkiem-oazą Hail. Kilka mil na południe od Hail, niedaleko miasta Burayadah, Nadia poleciła kierowcy, by skręcił w mniejszą dwupasmową drogę biegnącą na zachód w głąb pustyni. Rafiq al-Kamal był teraz wyraźnie zaniepokojony. Nadia nic mu nie powiedziała o swoich planach podróży do Nadźdu, aż do chwili gdy opuszczali Four Seasons,

a nawet wtedy jej wyjaśnienia były niejasne. Powiedziała, że zje kolację w rodzinnym obozie szejka Marwana Bin Tayyiba, ważnego przedstawiciela ulemów. Po obiedzie - przy którym będzie oczywiście obowiązywać ścisła segregacja płciowa - spotka się na osobności z szejkiem, żeby pomówić o sprawach związanych z zakatem. Obecność męskiego opiekuna nie będzie konieczna podczas tego spotkania, jako że duchowny był dobrym i światłym człowiekiem, znanym ze swej ogromnej pobożności. Nie było też żadnych obaw względem jej bezpieczeństwa. Al-Kamal przyjął jej polecenia, ale wyraźnie mu się one nie podobały.

Było teraz kilka minut po piątej i światło powoli nikło z bezkresnego nieba. Pędzili przez gaje palm daktylowych, mijali drzewa cytrynowe i pomarańczowe, zwalniając tylko raz, by przepuścić starego pasterza przeprowadzającego przez szosę swoje kozy. Al-Kamal z każdą milą zdawał się bardziej odprężony. Urodził się w tych stronach i wskazywał teraz co ważniejsze punkty orientacyjne śmigające za oknem. A w Unajzie, mieście o wyjątkowo surowej religijności, znanym z czystości swej wiary, poprosił Nadję, by pojechali nieco okrężną drogą, tak by mógł zobaczyć skromną chatę, w której jako dziecko mieszkał wraz z jedną z czterech żon ojca.

- Nie wiedziałam, że stąd pochodzisz - powiedziała Nadia.

- I szejk Bin Tayyib też jest stąd - odparł, kiwając głową. - Znałem go jako chłopca. Chodziliśmy do jednej szkoły i modliliśmy się w tym samym meczecie. Marwan był wtedy niezłym podżegaczem. Wpadł w tarapaty po tym, jak rzucił kamieniem w okno sklepu z kasetami wideo. Uważał go za nieislamski.

- A ty?

- Mnie ten sklep nie przeszkadzał. W Unajzie nie było zbyt wiele do roboty poza oglądaniem filmów na wideo i chodzeniem do meczetu.

- O ile wiem, od tamtej pory poglądy szejka stały się bardziej umiarkowane.

- Muzułmanie z Unajzy nie wiedzą, co znaczy słowo „umiarkowanie” - odparł al-Kamal. - Jeśli Marwan w ogóle się zmienił w jakiś sposób, to jedynie na użytek publiczny. Jest islamistą na wskroś. I nie przepada za Saudami, pomimo faktu, że dobrze mu płacą. Lepiej mieć się przy nim na baczności.

- Będę o tym pamiętać.

- Może powinienem iść na to spotkanie z panią.

- Dam sobie radę, Rafiq.

Al-Kamal umilkł, gdy wyjeżdżali z Unajzy i znów zanurzali się w pustynny krajobraz. Tuż przed nimi, za morzem głazów i kamieni, wznosiła się naga skalista skarpa o brzegach wyrzeźbionych i pobrużdżonych przez wiatr i piasek działający miliony lat. Obóz szejka

znajdował się po północnej stronie tego wypiętrzenia na skraju głębokiego wadi. Nadia czuła, jak ciężkie kamienie łomczą o podwozie samochodu, gdy jechali wyboistą niebrukowaną drogą.

- Szkoda, że nie uprzedziła mnie pani, dokąd jedziemy - powiedział al-Kamal, przytrzymując się podłokietnika. - Moglibyśmy wziąć jeden z range roverów.

- Nie wiedziałam, że droga będzie aż tak zła.

- To obóz na pustyni. A pani myślała, że jak się tam dostaniemy?

Nadia roześmiała się wbrew sobie.

- Mam nadzieję, że mój ojciec nas teraz nie widzi.

- A ja mam nadzieję, że widzi. - Al-Kamal długą chwilę przyglądał jej się w milczeniu. - Nigdy nie odstępowałem pani ojca, Nadio, nawet gdy omawiał bardzo delikatne sprawy z ludźmi pokroju szejka Bin Tayyiba. Ufał mi bezgranicznie. Niestety, nie zdołałem go ochronić tamtego wieczoru w Cannes, ale chętnie zasłoniłbym go własną pierśią. I to samo zrobiłbym dla pani. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Myślę, że tak, Rafiq.

- To dobrze - odparł. - Jeśli Bóg zezwoli, dzisiejsze spotkanie zakończy się powodzeniem. Ale następnym razem proszę mnie uprzedzić, żebym mógł poczynić stosowne przygotowania. Tak będzie lepiej. Żadnych niespodzianek.

- Reguły Ziziego? - spytała.

- Reguły Ziziego - potwierdził, kiwając głową. - Reguły Ziziego są niczym nauki Proroka, niech spoczywa w spokoju. Jeśli człowiek stosuje się do nich uważnie, Bóg zapewni mu długie i szczęśliwe życie. Jeśli natomiast nie zważa na nie... - Wzruszył ramionami.

- Wtedy może się zdarzyć coś złego.

Natrafili na skupisko samochodów zaparkowanych bez ładu i składu na skraju wadi: range rovery, mercedesy, toyoty i kilka zdezelowanych pick-upów. Tuż obok tego parkingu stały, oświetlone od środka, dwa wielkie wspólnotowe namioty. Z tuzin mniejszych namiotów było rozrzuconych po pustyni wokół, każdy wyposażony w generator i antenę satelitarną. Nadia uśmiechnęła się pod osłoną swego nikabu. Saudyjczycy uwielbiali wracać na pustynię każdej zimy, żeby nie tracić kontaktu ze swym beduińskim dziedzictwem, ale ich wierność dawnemu stylowi życia miała swoje granice.

- Widzę, że szejkowi całkiem dobrze się powodzi.

- Powinna pani zobaczyć jego willę w Mekce - powiedział al-Kamal. - A wszystko zakupione i opłacane przez rząd. Jeśli chodzi o Saudów, jest to dobra inwestycja. Oni dbają o ulemów, a ulemowie o nich.

- Dlaczego właśnie tutaj? - spytała Nadia, rozglądając się wokół.

- Na długo przedtem, zanim powstał taki twór jak Arabia Saudyjska, członkowie klanu szejka przyprawiali tutaj swoje zwierzęta na zimę. Ród Bin Tayyibów obozował tutaj od stuleci.

- Zaraz mi powiesz, że przyjeżdżałeś tutaj jako chłopiec.

Al-Kamal uśmiechnął się, co nie zdarzało mu się często.

- Owszem, przyjeżdżałem.

Ochroniarz gestem polecił kierowcy zaparkować w miejscu odległym od pozostałych samochodów. Pomógł Nadii wysiąść, przytrzymując tylne drzwi, po czym przystanął, żeby popatrzeć na toyotę camry. Gdyby nie cienka warstewka drobnego pyłu, można by odnieść wrażenie, że właśnie wjechała do portu w Dhahranie.

- Samochód twoich marzeń? - spytała Nadia kąpiąco.

- Ten model dostają absolwenci programu resocjalizacji terrorystów. Dostają samochód, pierwszą ratę zapłaty za dom i miłą dziewczynę za żonę: wszystkie te przywileje normalnego życia, po to, by czuli się przywiązani raczej do tego świata, a nie do świata dżihadu. Rząd kupuje zarówno lojalność ulemów, jak i dżihadystów. Takie są obyczaje pustyni. Obyczaje Saudów.

Al-Kamal polecił kierowcy, by został przy samochodzie, a następnie poprowadził Nadię w stronę dwóch wspólnotowych namiotów. W ciągu kilku sekund wyszedł im na spotkanie młody mężczyzna. Ubrany był w *thobe* w stylu salafickim, a na głowie miał tylko czapkę *taqiyah*. Jego długa broda wydawała się rzadka, a oczy niezwykle łagodne jak na Saudyjczyka. Po tradycyjnym powitaniu z wyrazami pokoju przedstawił im się jako Ali i powiedział, że jest talibem, czyli uczniem szejka Bin Tayyiba. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat.

- Posiłek właśnie się rozpoczyna. Pani ochroniarz może do nas dołączyć, jeśli sobie życzy. Kobiety są tam - dodał, wskazując namiot z lewej strony. - Jest dziś z nami kilka osób z rodziny szejka. Jestem pewien, że przyjmą panią serdecznie.

Nadia wymieniła ostatnie spojrzenia z al-Kamalem, zanim ruszyła w stronę namiotu. Wyłoniły się z niego dwie zawołane kobiety i powitawszy ją ciepło w nadżdyskim arabskim, wprowadziły ją do środka. Było tam jeszcze dwadzieścia kobiet w takich samych strojach. Siedziały na grubych orientalnych dywanach, wokół kopiastych półmisków z jagnięciną, kurczakiem, bakłazanami, ryżem i płaskim chlebem. Niektóre miały na sobie nikaby jak Nadia, ale większość była całkowicie zasłonięta. W zamkniętej przestrzeni namiotu ich energiczne trajkotanie brzmiało niczym cykanie cykad. Umilkło na kilka sekund,

kiedy jedna z kobiet, które witały Nadię, przedstawiła ją pozostałym. Najwyraźniej czekały na przybycie Nadii z rozpoczęciem jedzenia, bo jedna z kobiet głośno wykrzyknęła: *Al-hamdu lillah* - Bogu niech będą dzięki! Następnie kobiety rzuciły się na półmiski, jakby nie jadły od wielu dni i miały nie zobaczyć jedzenia znów przez bardzo długo.

Wciąż stojąc, Nadia przyglądała się przez chwilę bezkształtnym zasłoniętym sylwetkom, zanim usiadła między dwiema kobietami po dwudziestce. Jedna miała na imię Adara, druga Safia. Adara pochodziła z Burajdy i była siostrzenicą szejka. Jej brat pojechał do Iraku walczyć z Amerykanami i zniknął bez śladu. Safia, jak się okazało, była żoną Alego, taliba. „Dano mi imię na cześć muzułmanki, która zabiła żydowskiego szpiega za czasów Proroka - powiedziała z dumą, zanim dodała obowiązkowe: - niech spoczywa w pokoju”. Rafiq al-Kamal miał rację co do toyoty camry; Ali dostał ją po ukończeniu programu resocjalizacji terrorystów. Dostał również Safię, wraz ze sporym posagiem. Za cztery miesiące miało się urodzić ich pierwsze dziecko. „*Inszallah*, to będzie chłopiec” - powiedziała.

- Jak Bóg da - powtórzyła Nadia z pogodą, która nie szła w parze z jej myślami.

Nadia nałożyła sobie małą porcję kurczaka i ryżu i popatrzyła na inne kobiety. Kilka zdjęło nikaby, ale większość usiłowała jeść z zakrytymi twarzami, w tym Adara i Safia. Nadia zrobiła tak samo, cały czas przysłuchując się nieustannemu gwarowi rozmów wokół. Były strasznie banalne: plotki rodzinne, najnowsze centrum handlowe w Rijadzie, osiągnięcia ich dzieci. Tylko synów, oczywiście, bo potomstwo płci żeńskiej było symbolem rozrodczej porażki. I tak właśnie spędzały życie, zamknięte w oddzielnych pokojach, w oddzielnych namiotach, w towarzystwie kobiet dokładnie takich samych jak one. Nie chodziły na spektakle teatralne, bo w całym kraju nie było ani jednego teatru. Nie chodziły na dyskoteki, bo muzyka i taniec były surowo *haram*. Nie czytały nic poza Koranem - który studiowały oddzielnie, nie razem z mężczyznami - i mocno ocenzurowanymi magazynami promującymi ubrania, których nie wolno im było nosić w miejscach publicznych. Od czasu do czasu sprawiały sobie nawzajem fizyczną przyjemność, mały nieprzyzwoity sekret Arabii Saudyjskiej, na ogół jednak wiodły życie, w którym panowała miażdżąca, przygnębiająca nuda. A kiedy już dobiegnie ono końca, zostaną pochowane zgodnie z wahhabicką tradycją, w nieoznaczonym grobie, pod gorącymi piaskami Nadzdu.

Pomimo tego wszystkiego Nadia czuła się dziwnie pokrzepiona, obcując z tak bliska ze swymi krajankami i swoją wiarą. To było właśnie to, czego ludzie Zachodu nigdy nie rozumieją, jeśli chodzi o islam: był wszechogarniający. Budził człowieka co rano wezwaniem do modlitwy i spowijał go niczym abaja przez resztę dnia. Był w każdym słowie,

każdej myśli, każdym uczynku pobożnego muzułmanina. I był również tutaj, w tym wspólnotowym zgromadzeniu zawołowanych kobiet, w sercu Nadżd.

Wtedy właśnie po raz pierwszy ogarnęło ją potworne poczucie winy. Pojawiło się z nagłością burzy piaskowej i bez ostrzeżenia. Wiążąc swój los z Izraelitami i Amerykanami, w gruncie rzeczy wyrzekła się swojej wiary jako muzułmanka. Była heretyczką, apostatką, a karą za apostazję była śmierć. Śmierć, którą te zakryte, znudzone kobiety skupione wokół niej bez wątpienia by zaakceptowały. Nie miały wyboru; gdyby ośmieliły się stanąć w jej obronie, spotkałby je ten sam los.

Poczucie winy szybko minęło i zastąpił je strach. By zebrać się w sobie, pomyślała o Renie, swojej przewodniczce, swoim drogowskaziu. Pomyślała także o tym, jakie to właściwe, że jej akt zdrady ma się zdarzyć właśnie tutaj, na świętej ziemi Nadżd, w krzepiącym otoczeniu zawołowanych kobiet. A jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości co do obranej drogi, i tak było już za późno. Bo przez drzwi namiotu widziała Alego, brodatego taliba, idącego przez pustynię w swej krótkiej salafickiej *thobe*. Nadeszła pora na chwilę rozmowy z szejkiem. A potem, jeśli Allah zechce, nadejdą deszcze i będzie po wszystkim.

43.

NADŹD, ARABIA SAUDYJSKA

Poszła za talibem na pustynię, wzdłuż krawędzi wadi. Nie było prawdziwej ścieżki, tylko pas wydeptanej ziemi, pozostałości dawnego szlaku wielbłądów, który został wryty w dnie pustyni, zanim jeszcze ktokolwiek w Nadździe słyszał o kaznodziei zwanym Wahhabem czy nawet o handlarzu z Mekki zwanym Mahometem. Talib nie miał latarki, bo też wcale nie była potrzebna. Drogę oświetlały im intensywnie białe gwiazdy świecące na bezkresnym niebie i księżyc *hilar* unoszący się nad odległym skalnym szczytem, niczym półksiężyc na szczycie najwyższego minaretu świata. Nadia niosła swoje buty na obcasach w jednej dłoni, a drugą unosiła rąbek czarnej abai. Zrobiło się przenikliwie zimno, ale ziemia pod jej stopami była ciepła. Talib szedł kilka kroków przed nią. W blasku księżyca jego *thobe* wydawała się świetlista. Recytował sobie cicho wersety Koranu, ale do Nadii nie odezwał się ani słowem.

Doszli do namiotu pozbawionego anteny satelitarnej i generatora. Przed wejściem kucalo dwóch mężczyzn, ich młode, brodate twarze oświetlał nikły blask małego ogniska. Talib pozdrowił ich, następnie podniósł klapę namiotu i gestem nakazał Nadii wejść do środka. Szejk Marwan Bin Tayyib, dziekan wydziału teologii uniwersytetu w Mekce, siedział po turecku na prostym orientalnym dywanie i czytał Koran w świetle gazowej lampy. Zamknął teraz księgę i długą chwilę przyglądał się Nadii przez swoje małe okrągłe okulary, zanim poprosił, by usiadła. Powoli zajęła miejsce na dywanie, tuż obok Koranu, uważając, by nie odsłonić ani kawałka ciała.

- Pięknie pani w tym stroju - powiedział z podziwem Bin Tayyib - ale może pani odsłonić twarz, jeśli pani chce.

- Wolę nie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest pani tak pobożna. Ma pani reputację kobiety wyzwolonej.

W ustach szejka to z pewnością nie był komplement. Chciał ją poddać próbie, ale tego właśnie się spodziewała. Podobnie jak Gabriel. *Niech Pani zatai tylko nas*, powiedział. *Proszę trzymać się prawdy, kiedy to tylko możliwe. Kłamać jedynie w ostateczności.* Takie były zasady Biura. Zasady zawodowego szpiega.

- Wyzwolonej z czego? - spytała Nadia, umyślnie go prowokując.

- Z szariatu - odparł szejka. - Mówiono mi, że na Zachodzie nigdy nie zasłania pani twarzy.

- Bo to niepraktyczne.

- O ile mi wiadomo, coraz więcej naszych kobiet decyduje się nosić tradycyjny strój również podczas podróży. Mówiono mi, że wiele kobiet zasłania twarz, kiedy piją herbatę w Harrodsie.

- One nie kierują wielkimi firmami inwestycyjnymi. A większość z nich pije nie tylko herbatę, kiedy są na Zachodzie.

- Słyszałem, że pani też do nich należy.

Proszę trzymać się prawdy, kiedy to możliwe...

- Przyznaję, że lubię wino.

- Wino jest *haran* - powiedział karcącym tonem.

- To wina mego ojca. Pozwalał mi pić, kiedy byłem na Zachodzie.

- Był wobec pani pobłażliwy?

- Nie - odparła, potrząsając głową - nie był. Psuł mnie okropnie. Ale wpoił mi także swoją głęboką wiarę.

- Wiarę w co?

- Wiarę w Allaha i jego proroka Mahometa, niech spoczywa w pokoju.

- O ile dobrze pamiętam, ojciec pani uważał się za potomka samego Wahhaba.

- W przeciwieństwie do rodziny al-Asheikh nie jesteśmy bezpośrednimi potomkami.

Wywodzimy się z bocznej linii rodu.

- Bocznej czy też nie, w pani żyłach płynie jego krew.

- Podobno.

- Ale postanowiła pani nie wychodzić za mąż i nie mieć dzieci. Czy to także ze względów praktycznych?

Nadia zawahała się.

Kłamać jedynie w ostateczności...

- Wkroczyłam w dorosłość po tym, jak mój ojciec został zamordowany - powiedziała.

- Żal po jego stracie uniemożliwia mi choćby nawet rozważanie idei zamążpójścia.

- A teraz ten żal sprowadził panią do nas.

- Nie żal - sprostowała Nadia. - Gniew.

- Tutaj w Nadżdzie czasem trudno rozróżnić te dwa uczucia. - Szejik po raz pierwszy uśmiechnął się do niej życzliwie. - Ale musi pani wiedzieć, że nie jest pani sama. Są setki Saudyjczyków w takiej samej sytuacji: dobrych muzułmanów, których bliscy zostali zabici przez Amerykanów albo po dziś dzień gniją gdzieś w klatkach zatoki Guantanamo. I wielu zwróciło się do braci, szukając zemsty.

- Nikt z nich nie musiał patrzeć, jak ich ojciec zostaje zamordowany z zimną krwią.
- Sądzi pani, że to czyni panią wyjątkową?
- Nie - odrzekła Nadia. - Sądzę, że to moje pieniądze czynią mnie wyjątkową.
- Bardzo wyjątkową - zgodził się szejk. - Od męczeńskiej śmierci pani ojca minęło pięć lat, prawda?

Nadia skinęła głową.

- To kawał czasu, panno al-Bakari.
- W Nadździe to zaledwie chwila.
- Spodziewaliśmy się pani wcześniej. Wysłaliśmy nawet naszego brata Samira, by nawiązał z panią kontakt. Ale odrzuciła pani jego prośby.

- Wtedy nie mogłam wam pomóc.

- Czemuż to?

- Byłam obserwowana.

- Przez kogo?

- Przez wszystkich - powiedziała - włączając Saudów.

- Przestrzegali panią przed czynieniem jakichkolwiek kroków, by pomścić śmierć pani ojca.

- I to dobitnie.

- Mówili, że będą konsekwencje finansowe?

- Nie wdawali się w szczegóły, zaznaczyli tylko, że konsekwencje będą poważne.

- I pani im uwierzyła?

- Dlaczego miałabym nie wierzyć?

- Bo to kłamcy. - Bin Tayyib pozwolił, by jego słowa unosiły się chwilę w powietrzu.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani szpiegiem przysłanym tu przez Saudów, by mnie złapać w pułapkę?

- A skąd ja mam wiedzieć, że to pan nie jest szpiegiem, szejku Bin Tayyib? W końcu to pan jest opłacany przez Saudów.

- Pani także, panno al-Bakari. W każdym razie takie krążą pogłoski.

Nadia rzuciła szejkowi piorunujące spojrzenie. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak on ją postrzega: dwoje czarnych jak węgle oczu pałających nad czarnym nikabem. Może zasłanianie twarzy miało jednak i swoje dobre strony.

- Proszę spróbować spojrzeć na to z naszego punktu widzenia, panno al-Bakari - kontynuował Bin Tayyib. - W ciągu pięciu lat od męczeńskiej śmierci pani ojca publicznie nie pani o nim nie powiedziała. Wydaje się, że stara się pani spędzać w Arabii Saudyjskiej jak

najmniej czasu. Pali pani, pije, chodzi z odkrytą twarzą, chyba że usiłuje pani akurat zrobić na mnie wrażenie swoją pobożnością, i wyrzuca pani setki milionów dolarów na sztukę niewiernych.

Najwyraźniej próba, na jaką wystawiał ją szejek, jeszcze nie dobiegła końca. Nadia przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie Gabriel wypowiedział do niej w Château Treville. *Jest pani córką Ziziego. Niech pani nie pozwoli, by kiedykolwiek o tym zapomnieli.*

- Może ma pan rację, szejku Bin Tayyib. Może powinnam okryć się burką i ogłosić mój zamiar pomszczenia śmierci ojca w telewizji. Z pewnością to byłoby mądrzejsze rozwiązanie.

Szejk uśmiechnął się pojednawczo.

- Słyszałem o pani przewrotnej mowie - powiedział.

- Odziedziczyłam ją po ojcu. A kiedy ostatni raz słyszałam jego głos, wykrwawiał się w moich objęciach.

- I teraz pragnie pani zemsty.

- Pragnę sprawiedliwości. Sprawiedliwości bożej.

- A co z Saudami?

- Wygląda na to, że przestali się mną interesować.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Bin Tayyib. - Nawet dynastia saudyjska nie może być pewna, czy przetrzyma chaos panujący w świecie arabskim. I potrzebuje przyjaciół wszędzie, gdzie tylko może ich znaleźć, nawet jeśli noszą oni krótkie *thobes* i rozczochrane salafickie brody.

Nadia nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Jeśli szejek mówił prawdę, władcy Arabii Saudyjskiej odnowili faustiańską umowę, pakt z diabłem, który doprowadził do jedenastego września i niezliczonych ofiar potem. Saudowie nie mieli wyboru, myślała. Byli niczym człowiek trzymający tygrysa za uszy. Jeśli utrzymają uścisk, może jeszcze trochę pożyją. Ale jeśli puszczą bestię, zostaną pożarci w jednej chwili.

- Czy Amerykanie o tym wiedzą? - spytała.

- Tak zwane wyjątkowe stosunki między Amerykanami i dynastią Saudów należą do przeszłości - powiedział Bin Tayyib. - Jak pani wie, panno al-Bakari, Arabia Saudyjska zawiera nowe przymierza i znajduje nowych nabywców na swoją ropę. Chińczycy nie dbają o takie rzeczy jak prawa człowieka czy demokracja. Płacą rachunki w terminie i nie wtykają nosa w nie swoje sprawy.

- Takie jak dżihad? - spytała.

Szejk skinął głową.

- Prorok Mahomet, niech spoczywa w pokoju, nauczył nas, że jest pięć filarów islamu. My uważamy, że jest jeszcze szósty. Dżihad nie stanowi wyboru. To obowiązek. Saudowie to rozumieją. Znow są gotowi przymknąć oko, pod warunkiem że bracia nie narobią zamieszania w samym Królestwie. To był największy błąd Bin Ladena.

- Bin Laden nie żyje - powiedziała Nadia - podobnie jak jego grupa. Interesuje mnie ten, który sprawia, że bomby wybuchają w europejskich miastach.

- W takim razie interesuje panią Jemeńczyk.

- Zna go pan?

- Poznaliśmy się.

- Ma pan możliwość skontaktować się z nim?

- To niebezpieczne pytanie. A nawet gdybym miał, na pewno nie będę mu zawracać głowy bogatą Saudyjką, która szuka zemsty. Trzeba wierzyć w to, co się robi.

- Jestem córką Abdula Aziza al-Bakari i potomkinią Muhammada Abdula Wahhaba. Z całą pewnością w i e r z ę w to, co robię. I chodzi mi o znacznie więcej niż tylko o zemstę.

- Czyli o co?

Nadia zawahała się. Kolejne słowa nie były jej własne. Zostały jej podyktowane przez człowieka, który zabił jej ojca.

- Pragnę jedynie wznowić działalność Abdula Aziza al-Bakariego - powiedziała poważnie. - Przekażę pieniądze Jemeńczykowi, by dysponował nimi, jak zechce. I może, jeśli Bóg da, bomby wybuchną pewnego dnia na ulicach Waszyngtonu i Tel Awiwu.

- Podejrzewam, że będzie ogromnie wdzięczny - stwierdził szejek ostrożnie. - Jestem natomiast pewien, że nie będzie mógł dać pani żadnej gwarancji.

- Nie żądam gwarancji. Jedynie przyrzeczenia, że będzie korzystał z pieniędzy mądrze i w sposób przemyślany.

- Proponuje pani jednorazową wpłatę?

- Nie, szejku Bin Tayyib, proponuję długoterminową współpracę. On ich będzie atakował. A ja za to będę płacić.

- Jaką kwotę jest pani gotowa dostarczyć?

- Taką, jakiej on potrzebuje.

Szejek uśmiechnął się.

- *Al-hamdu lillah.*

*

Nadia pozostała w namiocie szejka jeszcze przez godzinę. Następnie poszła za talibem skrajem wadi do swego samochodu. W drodze powrotnej do Rijadu jechali w strugach

deszczu i wciąż padało następnego dnia rano, kiedy Nadia i jej świta wsiadali do samolotu, by udać się w podróż powrotną do Europy. Kiedy tylko opuścili saudyjską przestrzeń powietrzną, zdjęła nikab i abaję i przebrała się w jasny kostium Chanel. Następnie zadzwoniła do Thomasa Fowlera przebywającego w swojej posiadłości na północ od Paryża, żeby go poinformować, że jej spotkania w Arabii Saudyjskiej poszły lepiej, niż można się było spodziewać. Fowler natychmiast zadzwonił do mało znanej firmy *venture capital* w północnej Wirginii - i został automatycznie przekierowany na biurko Gabriela w Raszidyście. Gabriel spędził następny tydzień na uważnym śledzeniu finansowych i prawnych manipulacji niejakiego Samira Abbasa z banku TransArabian w Zurychu. Potem, po kiepskim obiedzie w towarzystwie Cartera w restauracji specjalizującej się w owocach morza w McLean, wyruszył z powrotem do Londynu. Carter pozwolił mu skorzystać z agencyjnego gulfstreama. Bez kajdanek. Bez zastrzyków. Bez negatywnych uczuć.

Nazajutrz po powrocie Gabriela do Londynu szacowny dom aukcyjny Christie's ogłosił niespodziewany dodatek do swej zbliżającej się aukcji Dawnych Mistrzów Weneckich: *Madonna z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną*, olej na płótnie, 110 na 92 centymetry, wcześniej przypisywany pracowni Jacopa Palmy Starszego, obecnie uznany kategorycznie za dzieło samego wielkiego Tycjana. W południe w Christie's urywały się telefony, a pod koniec dnia aż czterdzieści ważnych muzeów i kilkunastu kolekcjonerów wzięło się do dzieła. Tego wieczoru atmosfera w barze Green's Restaurant była napięta, chociaż Juliana Isherwooda wyraźnie nie było wśród obecnych. „Widziałem, jak wsiadał do taksówki na Duke Street - wymamrotał Jeremy Crabbe do swojego dżinu i piwa. - Wyglądał naprawdę okropnie, biedaczysko. Mówił, że zamierza spędzić spokojny wieczór sam na sam ze swoim kaszlem”.

Rzadko się zdarza, że nagle pojawia się obraz takiego artysty jak Tycjan, a jeśli już, to na ogół towarzyszy temu ciekawa historia. Tak było z całą pewnością w przypadku *Madonny z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną*, chociaż czy to była tragedia, komedia czy moralitet, zależało wyłącznie od tego, kto ją opowiadał. Christie's podało do publicznej wiadomości skróconą wersję ze względu na oficjalne pochodzenie obrazu, ale w położonej w zachodnim Londynie małej wiosce St James's natychmiast uznano ją za gruntownie ocenzone bzdury. I ostatecznie pojawiła się „nieoficjalna” wersja tej historii.

Ponoć jakoś w sierpniu ubiegłego roku anonimowy arystokrata z Norfolk, człowiek bardzo utytułowany, ale coraz mniej majątny, niechętnie postanowił rozstać się z częścią swojej kolekcji sztuki. Ów arystokrata skontaktował się z londyńskim marszandem, również anonimowym, i spytał, czy ten zechciałby się podjąć tego zadania. Londyński marszand nie miał wtedy czasu - prawdę powiedziawszy, wygrzewał się na słońcu w Costa del Sol - i dopiero pod koniec września wybrał się do posiadłości arystokraty. Marszand uznał kolekcję za przeciętną, delikatnie mówiąc, zgodził się jednak przyjąć od arystokraty kilka obrazów, w tym bardzo brudne płótno przypisywane jakiemuś malarzynie z pracowni Jacopa Palmy Starszego. Nie ujawniono kwoty, jaka przeszła z rąk do rąk. Mówiło się, że była dość mała.

Z niewiadomych powodów marszand pozwolił, by obrazy marniały w jego magazynach, zanim zlecił szybkie czyszczenie wyżej wymienionego Palmy Starszego. Tożsamość restauratora nigdy nie została wyjawiona, choć wszyscy się zgadzali, że całkiem

dobrze się spisał, i to w wyjątkowo krótkim czasie. Obraz był w tak dobrym stanie, że zdołał wpaść w czujne oko niejakiemu Oliverowi Dimbleby'emu, znanemu marszandowi z Bury Street specjalizującemu się w dawnych mistrzach. Oliver nabył go drogą wymiany - pozostałych obrazów, których dotyczyła transakcja, nigdy nie ujawniono - i natychmiast powiesił w swojej galerii, udostępniając go klientom jedynie po wcześniejszym ustaleniu terminu.

Obraz nie pozostał tam jednakże długo. Prawda była taka, że już czterdzieści osiem godzin później został kupiony przez Onyx Innovative Capital, firmę inwestycyjną z ograniczoną odpowiedzialnością zarejestrowaną w szwajcarskiej Lucernie. Oliver nie miał do czynienia bezpośrednio z OIC, tylko z sympatycznym gościem o nazwisku Samir Abbas z banku TransArabian. Po ustaleniu ostatnich szczegółów przy herbacie w hotelu Dorchester Abbas wręczył Oliverowi czek na dwadzieścia dwa tysiące funtów. Oliver szybko wpłacił pieniądze na swoje konto w banku Lloyds, w ten sposób przypieczętowując sprzedaż, i rozpoczął skomplikowane starania o uzyskanie koniecznego pozwolenia na wywóz obrazu z kraju.

Na tym właśnie etapie sprawa przybrała katastrofalny obrót, przynajmniej z punktu widzenia Olivera. Ponieważ pewnego ponurego popołudnia pod koniec stycznia w galerii Olivera zjawiała się wymięta postać odziana w wiele warstw ubrania, która jednym bezceremonialnym pytaniem wywołała burzę. Oliver za nic nie chciał zdradzić tożsamości przybysza, wyjawiał jedynie, że był specjalistą w dziedzinie sztuki włoskiego renesansu, a zwłaszcza szkoły weneckiej. Jeśli chodzi o zadane przez niego pytanie, Oliver był gotów przytoczyć je słowo w słowo. Prawda była taka, że za cenę dobrej szklaneczki sancerre odgrywał z uczuciem całą scenę. Bo Oliver niczego tak nie uwielbiał, jak opowiadania historii z własnego życia, zwłaszcza jeśli były niezbyt dla niego pochlebne, a takie zdarzały mu się najczęściej.

- Słuchaj, no, Oliver, stary capie, czy ten Tycjan jest już sprzedany?

- To nie Tycjan, dobry człowieku.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent.

- To kto to jest w takim razie?

- Palma.

- Naprawdę? Całkiem dobry jak na niego. To jego własne dzieło czy też pochodzi z jego pracowni?

- Z pracowni, kochanieńki. Z pracowni.

Wtedy właśnie wymięta postać pochyliła się niebezpiecznie do przodu, żeby się lepiej przyjrzeć - Oliver co wieczór w Green's odtwarzał to pochylenie, wywołując gromki śmiech.

- Sprzedany, mówisz? - spytał tamten, pociągając się za ucho.

- W zeszłym tygodniu - odparł Oliver.

- Jako Palma?

- Jako dzieło z jego pracowni, kochanieńki.

- Za ile?

- Dobry człowieku!

- Na twoim miejscu znalazłbym jakiś sposób, żeby się z tego wykręcić.

- Niby dlaczego?

- Spójrz na rysunek. Spójrz na sposób kładzenia farby. Właśnie wypuściłeś z rąk Tycjana. Wstydź się, Oliverze. Zwieś głowę i bij się w piersi.

Oliver nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko w ciągu paru minut zadzwonił do starego kumpla z British Museum, który wiedział o Tycjanie więcej, niż większość historyków sztuki kiedykolwiek będzie wiedziała. Kumpel pospieszył do St James's w ulewnym deszczu i stanął przed płótnem, niczym jedyny rozbitek ocalały z katastrofy morskiej.

- Oliver! Jak mogłeś?

- To takie oczywiste?

- Ręczę swoją reputacją.

- Przynajmniej ją masz. Moja legnie w gruzach, jeśli to się wyda.

- Masz j e d n o wyjście.

- Jakie?

- Zadzwon do pana Abbasa. Powiedz mu, że czek okazał się bez pokrycia.

I nie można powiedzieć, że ta przewrotna myśl nie powstała w głowie Olivera. Prawda była taka, że większą część z następných czterdziestu godzin spędził na próbach znalezienia jakiegoś prawnie i moralnie dopuszczalnego kruczka, który mógłby wykorzystać, by się wycofać z tej transakcji. Żadnego jednak nie znalazł - w każdym razie takiego, który by mu pozwolił spać spokojnie - toteż zadzwonił do pana Abbasa z informacją, że Onyx Innovative Capital może się uważać dumnym właścicielem nowo odkrytego Tycjana. Oliver zaproponował także, że wystawi obraz na sprzedaż, licząc, że przynajmniej ocali z tej klęski pokazną prowizję, ale Abbas oddzwonił następnego dnia i oznajmił, że OIC ma inne plany. „Próbował jakoś mi to osłodzić - opowiadał Oliver z rzewną miną. - Miło było robić z panem interesy, panie Dimbleby. Umówmy się na lunch, kiedy następnym razem będzie pan w

Zurychu, panie Dimbleby. A nawiasem mówiąc, panie Dimbleby, za godzinę wpadną do pana chłopaki z Christie's".

Pojawili się z nagłością zawodowych porywaczy i zabrali obraz na King Street, gdzie został zbadany przez całą armię specjalistów od Tycjana z całego świata. Wszyscy jednogłośnie potwierdzili autentyczność obrazu i - jakimś cudem - żaden nie złamał drakońskiej umowy dotyczącej poufności ekspertyzy, jaką Christie's kazał im podpisać w zamian za ich honorarium. Nawet gadatliwy normalnie Oliver zdołał zachować milczenie aż do chwili, gdy Christie's ujawnił swoją zdobycz. Ale też Oliver miał powód, by trzymać język za zębami. Oliver był kozłem ofiarnym, który wypuścił z rąk Tycjana.

Ale nawet Oliver zdawał się czerpać pewną przyjemność z szaleństwa, jakie nastąpiło po rewelacji Christie's. Bo dlaczegoż by nie? Aż dotąd to naprawdę była okropna zima, same cięcia rządowe, burze śnieżne i zamachy bombowe. Oliver cieszył się, że może poprawić humor sobie i innym, nawet jeśli to oznaczało robienie z siebie idioty w zamian za drinki w Green's. Poza tym dobrze znał tę rolę. Odgrywał ją już wiele razy, zyskując wielki poklask.

Wieczorem w dniu aukcji dał ostatnie przedstawienie dla tłumów wypełniających bar. Na koniec trzykrotnie wychodził przed kurtynę, wywoływany burzą oklasków, a potem przyłączył się do tłumów ciągnących do Christie's na wielką aukcję. Kierownictwo było na tyle uprzejme, że zarezerwowało mu miejsce w drugim rzędzie, bezpośrednio naprzeciw trybuny licytatora. Po jego lewej stronie siedział jego przyjaciel i rywal Roddy Hutchinson, a po lewej stronie Roddy'ego - Julian Isherwood. Miejsce po prawej stronie Olivera pozostawało wolne. Chwilę później zajął je nie kto inny, jak tylko Nicholas Lovegrove, doradca artystyczny prawdziwych bogaczy. Lovegrove właśnie przyleciał z Nowego Jorku. Na prywatne zlecenie, oczywiście. Lovegrove nie zajmował się już instytucjami.

- Skąd na smętna mina, Ollie?
- Myślę sobie, co by było gdyby...
- Przykro mi z powodu Tycjana.
- Raz na wozie, raz pod wozem. Jak interesy, Nicky?
- Nie mogę narzekać.
- Nie wiedziałem, że zajmujesz się dawnymi mistrzami.
- Prawdę mówiąc, przerażają mnie. Popatrz na to miejsce. Człowiek czuje się tu jak w jakimś pieprzonym kościele: same anioły i święci, męczeństwa i ukrzyżowania.
- To co cię sprowadza do miasta?
- Klient, który chce poszerzyć sferę zainteresowań.
- Ten klient ma jakieś nazwisko?

- Pragnie pozostać anonimowy. B a r d z o anonimowy.
- Znam to uczucie. Twój klient chce poszerzyć sferę zainteresowań, kupując Tycjana?
- Dowiesz się wkrótce, Ollie.
- Mam nadzieję, że twój klient ma dużo pieniędzy.
- Mam tylko takich klientów.
- Chodzą słuchy, że on pójdzie za kupę kasy.
- To tylko takie gadanie, żeby podkreślić atmosferę.
- Pewnie masz rację, Nicky. Ty zawsze masz rację.

Lovegrove nie sprostował. Zamiast tego wyjął telefon komórkowy z kieszonki na piersi swego blezera i przeglądał listę kontaktów. Oliver nie byłby Oliverem, gdyby nie zerknął ukradkiem na ekranik, kiedy Lovegrove wybierał numer. *A to dopiero*, pomyślał. *A to ci dopiero*.

45.

ST JAMES'S, LONDYN

Obraz pojawił się na sali w połowie aukcji, jak ładna dziewczyna przychodząca na imprezę odpowiednio spóźniona. Do tej pory impreza była raczej nudna i ładna dziewczyna od razu ożywiła atmosferę. Oliver Dimbleby wyprostował się nieco na swoim składanym krześle. Julian Isherwood poprawił węzeł krawata i mrugnął do jednej z kobiet na podium z telefonami.

- Pozycja numer dwadzieścia siedem, Tycjan - zamruczał Simon Mendenhall, zmysłowy główny licytator Christie's. Simon był jedynym mężczyzną w Londynie z opalenizną. Zaczynała plamić kołnierzyk jego szytej na miarę koszuli. - Zaczniemy od dwóch milionów?

Pierwszy był Terry O'Connor, ostatni irlandzki potentat mający jeszcze pieniądze. W ciągu trzydziestu sekund oferta doszła do sześciu i pół miliona funtów. Oliver Dimbleby nachylił się w prawo i wymamrotał:

- Nadal uważasz, że to było tylko takie gadanie, Nicky?

- Jesteśmy dopiero na pierwszym zakręcie - odszepnął Lovegrove - a słyszałem, że na tylnej prostej wieje silny wiatr przeciwny.

- Na twoim miejscu jeszcze raz sprawdziłbym prognozy, Nicky.

Licytacja zatrzymała się na siedmiu milionach. Oliver, drapiąc się po nosie, pchnął ją do siedmiu i pół.

- Sukinsyn - mruknął Lovegrove.

- Zawsze do usług, Nicky.

Oferta Olivera na nowo wywołała szaleństwo. Terry O'Connor przebijał kilka kolejnych ofert, ale jego konkurenci nie chcieli się wycofać. Irlandczyk ostatecznie opuścił swoją tabliczkę przy dwunastu milionach, kiedy to Isherwood niechcący przyłączył się do walki, bo Mendenhall omyłkowo uznał dyskretne kasznięcie za ofertę dwunastu i pół miliona. To było bez znaczenia; kilka sekund później telefoniczny oferent zadziwił salę, oferując piętnaście milionów. Lovegrove wyjął telefon i wybrał numer.

- Jak stoją sprawy? - spytał pan Hamdali.

Lovegrove zarysował mu sytuację. W czasie gdy czekał na połączenie, telefoniczna oferta została już przebita. Terry O'Connor zaoferował szesnaście milionów.

- Pan O'Connor uważa się za boksera, prawda?

- Na uniwersytecie był mistrzem wagi półśredniej.

- Powalmy go silnym hakiem, dobrze?

- Jak silnym?

- Wystarczająco, żeby wiedział, że nie żartujemy.

Lovegrove złowił spojrzenie Mendenhalla i podniósł dwa palce.

- Dwadzieścia milionów na sali. Nie u pani, proszę pani. Ani nie u pana. Ani też u Lisy przy telefonie. Na sali u pana Lovegrove'a, dwadzieścia milionów funtów. Czy ktoś da dwadzieścia milionów pięćset tysięcy?

Owszem. Julian Isherwood. Terry O'Connor natychmiast podniósł stawkę do dwudziestu jeden milionów. Telefoniczny oferent przebił ją, dając dwadzieścia dwa. Drugi zaoferował dwadzieścia cztery, a zaraz po nim trzeci - dwadzieścia pięć. Mendenhall wyginał się i obracał niczym tancerz flamenco. Licytacja nabrała charakteru walki na śmierć i życie, dokładnie tak, jak chciał. Lovegrove podniósł telefon do ucha i powiedział:

- Coś mi tu śmierdzi.

- Proszę znów zalicytować, panie Lovegrove.

- Ale...

- Proszę zalicytować.

Lovegrove wykonał polecenie.

- Oferta wynosi teraz dwadzieścia sześć milionów, u pana Lovegrove'a na sali. Czy ktoś da dwadzieścia siedem?

Lisa przy biurku z telefonami zamachała dłonią.

- Dwadzieścia osiem przez telefon. I dwadzieścia dziewięć na sali. Trzydzieści. I trzydzieści jeden u pana O'Connora na sali. Trzydzieści dwa. Trzydzieści trzy. Nie, nie przyjmę trzydziestu trzech i pół, bo czekam na trzydzieści cztery. I wygląda na to, że dostanę je od pana Isherwooda. Czy tak? Tak. Trzydzieści cztery miliony na sali u pana Isherwooda.

- Proszę znów zalicytować - polecił Hamdali.

- Odradzałbym to.

- Proszę zalicytować, panie Lovegrove, albo mój klient znajdzie innego doradcę, który to zrobi.

Lovegrove zasygnalizował trzydzieści pięć. W ciągu kilku sekund oferenci telefoniczni przepchnęli stawkę powyżej czterdziestu.

- Proszę znów zalicytować, panie Lovegrove.

- Radziłbym...

- Proszę licytować.

Mendenhall przyjął ofertę Lovegrove'a w wysokości czterdziestu dwóch milionów funtów.

- Mam czterdzieści trzy u Lisy przy telefonie. Czterdzieści cztery u Samantha. Czterdzieści pięć u Cynthii.

Tu nastąpiła cisza, na którą Lovegrove czekał. Zerknął na Terry'ego O'Connora i zobaczył, że wola walki opuściła go. Do Hamdalego powiedział:

- Jak bardzo pański klient chce mieć ten obraz?

- Na tyle, by zaliczyć czterdzieści sześć milionów.

Lovegrove tak właśnie uczynił.

- Oferta wynosi obecnie czterdzieści sześć milionów, u pana Lovegrove'a na sali - oznajmił Mendenhall. - Czy ktoś da czterdzieści siedem?

Cynthia przy biurku z telefonami zaczęła machać ręką, jakby dawała znaki helikopterowi ratunkowemu.

- Cynthia przy telefonie, czterdzieści siedem milionów funtów.

Kolejnych ofert telefonicznych nie było.

- Zakończymy to? - spytał Lovegrove.

- Tak zrobimy - odparł Hamdali.

- Ile?

- Mój klient lubi okrągłe liczby.

Lovegrove uniósł brew i pokazał pięć palców.

- Oferta wynosi pięćdziesiąt milionów funtów - obwieścił Mendenhall. - Nie u pana, proszę pana. Nie u Cynthii przy telefonie. Pięćdziesiąt milionów na sali za Tycjana. Uwaga. Ostatnia szansa. Kończymy?

Niezupełnie. Ponieważ nastąpiło jeszcze mocne uderzenie młotka Mendenhalla i radosne okrzyki na sali oraz ostatnia ożywiona wymiana zdań z panem Hamdalim, chociaż Lovegrove nie słyszał go dobrze, bo Oliver Dimbleby wrzeszczał mu coś do drugiego ucha, czego też dobrze nie słyszał. A potem nastąpiły nieszczerze uściski dłoni z przegranymi oraz obowiązkowy flirt z dziennikarzami chcącymi poznać tożsamość kupującego, a potem długa droga na górę do biur Christie's, gdzie z pogrzebową powagą i w ślimaczym tempie dopełniono ostatnich formalności. Dochodziła dziesiąta, kiedy Lovegrove złożył swój podpis na ostatnim dokumencie. Wyłonił się z imponujących drzwi Christie's, by ujrzeć Olivera i resztę towarzystwa kręcących się na King Street. Wybierali się do Nobu na pikantną bułkę z tuńczykiem i szybki rzut oka na najnowszy rosyjski talent.

- Chodź z nami, Nicky - zawołał Oliver. - Naciesz się towarzystwem swoich

angielskich braci. Za dużo czasu spędzasz w Ameryce. Zrobiłeś się cholernym sztywniakiem.

Lovegrove'a kusilo, by pójść z nimi, ale wiedział, że ten wypad może się źle skończyć, więc tylko odprowadził ich do karawany taksówek i piechotą ruszył w stronę swego hotelu. Idąc Duke Street, ujrzał mężczyznę wychodzącego z Mason's Yard i wsiadającego do czekającego samochodu. Mężczyzna był średniego wzrostu i budowy; lśniący jaguar sedan trącił brytyjską biurokracją. Podobnie jak siedzący z tyłu przystojny facet o srebrzystych włosach. Żaden nawet nie spojrział na Lovegrove'a, gdy ich mijał, ale Lovegrove odniósł nieprzyjemne wrażenie, że bawią się jego kosztem.

To samo czuł w związku z samą aukcją, w której właśnie odegrał główną rolę. Ktoś został dziś wieczorem nabrany, Lovegrove był tego pewien. I obawiał się, że to jego klient. Lovegrove'owi było wszystko jedno. Zarobił kilka milionów funtów za to, że kilka razy podniósł palec w górę. Całkiem niezły sposób na życie, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Może powinien był przyjąć zaproszenie Olivera na poaukcyjną balangę. Nie, pomyślał, skręcając w Piccadilly, chyba jednak lepiej, że się z tego wykręcił. To by się źle skończyło. Jak zwykle, kiedy w sprawę zamieszany jest Oliver.

46.

LANGLEY, WIRGINIA

Trzy dni robocze później szacowny dom aukcyjny Christie's, przy King Street, w St James's, wpłacił kwotę pięćdziesięciu milionów funtów - minus prowizje, podatki i liczne opłaty transakcyjne - do zuryckiego oddziału banku TransArabian. Christie's otrzymał potwierdzenie przelewu o 14:18 czasu londyńskiego, podobnie jak dwieście osób zgromadzonych w podziemnym centrum operacyjnym, znanym jako Raszidystan. W sali dały się słyszeć głośne okrzyki, które rozległy się echem po gabinetach szefów amerykańskiego wywiadu, a nawet w samym Białym Domu. Świętowanie nie trwało jednakże długo, bo było mnóstwo pracy do wykonania. Po wielu tygodniach trudów i niepokojów operacja Gabriela wreszcie przyniosła owoce. Teraz miały zacząć się zbiory. A po zbiorach, jeśli Bóg pozwoli, przyjdzie ucztowanie.

Pieniądze spędziły spokojny dzień w Zurychu, po czym przeniosły się do głównej siedziby banku TransArabian w Dubaju. Nie wszystkie jednakże. Z polecenia Samira Abbasa, który miał pełnomocnictwo, dwa miliony funtów zostały przesłane do małego prywatnego banku przy Talstrasse w Zurychu. Ponadto Abbas zatwierdził duże wpłaty na rzecz kilku islamskich ugrupowań i organizacji charytatywnych - w tym dla Światowego Funduszu Islamskiego na rzecz Sprawiedliwości, Inicjatywy Wolnej Palestyny, Centrów Studiów Islamskich, Islamskiego Towarzystwa Zachodniej Europy, Islamskiej Ligi Światowej oraz Instytutu Pojednania Judeo-Islamskiego, osobistego ulubieńca Gabriela. Abbas również przydzielił sobie szczodre honorarium jako doradcy, które - o dziwo - podjął w gotówce. Część tych pieniędzy dał na dowolny cel imamowi swego meczetu. Resztę ukrył w spiżarni swego zuryckiego mieszkania, co zostało zarejestrowane przez kamerę jego komputera i wyświetlone na żywo na gigantycznych ekranach Raszidystanu.

Z powodu od dawna podejrzewanych powiązań TransArabian z globalnym ruchem dżihadystycznym Langley i NSA były już obeznane z księgami rachunkowymi banku, podobnie jak specjaliści od finansowania terroru w Ministerstwie Skarbu oraz FBI. W efekcie Gabriel i pracownicy Raszidystanu mogli niemalże w rzeczywistym czasie śledzić, jak pieniądze przepływają przez szereg przykrywek, spółek holdingowych i fałszywych korporacji, stworzonych pospiesznie dzięki lukom prawnym w ciągu kilku dni po spotkaniu Nadii z szejkiem Bin Tayyibem w Nadżdzie. Tempo, w jakim pieniądze przemieszczały się z konta na konto, świadczyło o stopniu złożoności siatki Raszida przeczącym jej rozmiarom i

stosunkowej młodości. Objawiło ono także - ku przerażeniu Langley - że siatka rozrosła się już daleko poza Bliski Wschód i Europę Zachodnią.

Dowody na globalny zasięg Raszida były przytłaczające. Trzysta tysięcy dolarów pojawiło się nagle na koncie firmy przewozowej w Ciudad del Este w Paragwaju. A pięćset tysięcy trafiło do komercyjnej firmy budowlanej w Caracas. Z kolei osiemset tysięcy przekazano internetowej firmie konsultingowej z siedzibą w Montrealu - firmie należącej do Algierczyka mającego wcześniejsze powiązania z Al-Kaidą w islamskim Maghrebie. Największa pojedyncza wpłata - dwa miliony dolarów - poszła do QTC Logistics, firmy spedycyjnej z siedzibą w znanym ze swobodnego traktowania prawa emiracie Asz-Szarika nad Zatoką Perską. W ciągu kilku godzin od zaksięgowania przelewu zespół Raszidystanu monitorował rozmowy telefoniczne QTC i ślęczał nad historią firmy z ostatnich trzech lat. To samo dotyczyło internetowej firmy z Montrealu, chociaż fizyczną obserwację Algierczyka powierzono kanadyjskim służbom bezpieczeństwa i wywiadu. Gabriel był zdecydowanie przeciwny włączaniu Kanadyjczyków do śledztwa, ale jego argumenty zostały zlekceważone przez Adriana Cartera i jego nowo odkrytego sprzymierzeńca w Białym Domu, Jamesa A. McKennę. To była jedna z wielu większych i mniejszych bitew, które Gabriel miał przegrać, w miarę jak operacja coraz bardziej wymykała mu się z rąk.

Do centrum operacyjnego napływały coraz to nowe wiadomości, a jego pracownicy stworzyli i ciągle uaktualniali tablicę powiązań, przy której ta sporządzona przez Dinę i zespół Gabriela tuż po pierwszych atakach wydawała się teraz śmiesznie mała. McKenna wpadał co parę dni tylko po to, by ją podziwiać, podobnie jak członkowie różnych komisji kongresowych zajmujących się wywiadem i bezpieczeństwem narodowym. A pewnego śnieżnego popołudnia pod koniec lutego Gabriel dostrzegł prezydenta we własnej osobie stojącego na górnej platformie obserwacyjnej wraz z dyrektorem CIA i Adrianem Carterem wyprężonym dumnie u jego boku. Prezydent był wyraźnie zadowolony z tego, co zobaczył. Sprawa była czysta. Wyrafinowana. Przyszłościowa. Zakrojona na szeroką skalę. Współpraca pomiędzy islamem a Zachodem mająca na celu pokonanie sił ekstremizmu. Szare komórki przeciwko przemocy.

Operacja była dziełem Gabriela, jego dziełem sztuki, jednak jak dotąd nie dostarczyła żadnych konkretnych tropów dotyczących miejsca pobytu operacyjnego mózgu siatki ani jej duchowego przywódcy i inspiratora. Dlatego też takim zaskoczeniem były dla Gabriela pogłoski o planowanych aresztowaniach. Następnego dnia poruszył tę kwestię z Adrianem Carterem w dźwiękoszczelnej sali konferencyjnej centrum. Carter przez chwilę porządkował zawartość jednej z teczek, zanim wreszcie potwierdził prawdziwość owych pogłosek. Gabriel

postukał w zielony identyfikator wiszący na jego szyi i zapytał:

- Czy to mnie upoważnia do wyrażenia własnego zdania?

- Obawiam się, że tak.

- Popelniasz błąd, Adrianie.

- Nie pierwszy.

- Mój zespół i ja poświęciliśmy wiele czasu i wysiłku, by zorganizować tę operację. A teraz wszystko diabli wezmą, bo ty zgarniesz kilku agentów z ulicy.

- Obawiam się, że mylisz mnie z kimś innym - odparł Carter beznamiętnym tonem.

- Z kim?

- Z kimś, kto ma władzę wydawania rozkazów. Ja jestem zastępcą dyrektora operacyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mam przełożonych w tym budynku. Mam ambitnych odpowiedników w innych agencjach o sprzecznych interesach. Mam nad sobą dyrektora narodowego wywiadu, komisje kongresowe i Jamesa A. McKennę. No i wreszcie mam prezydenta.

- Jesteśmy szpiegami, Adrianie. Nie dokonujemy aresztowań. My ratujemy ludziom życie. Musisz być cierpliwy, tak jak twoi wrogowie. Jeśli w dalszym ciągu pozwolisz pieniądзом płynąć, będziesz ich wyprzedzać o krok przez l a t a. Będziesz ich obserwować. Będziesz ich podsłuchiwać. Pozwolisz im tracić cenny czas i marnować energię na planowanie ataków, które nigdy nie dojdą do skutku. Aresztowań zaś dokonasz jedynie w ostateczności, i tylko wówczas gdy będą naprawdę konieczne, żeby nie dopuścić do wybuchu bomby albo katastrofy samolotu.

- Biały Dom jest odmiennego zdania - powiedział Carter.

- Więc to sprawa polityczna?

- Wolałbym nie wdawać się w spekulacje na ten temat.

- A Malik?

- Malik to płotka. Malik to przeczucie Diny.

Gabriel przyglądał się Carterowi ze sceptyczną miną.

- Sam w to nie wierzysz, Adrianie. W końcu to ty powiedziałaś, że te zamachy w Europie zaplanował ktoś, kto nabierał doświadczenia w Bagdadzie.

- I podtrzymuję to. Ale celem tej operacji nigdy nie było schwytanie jednego człowieka, tylko zniszczenie siatki terrorystycznej. Dzięki twojej pracy sądzimy, że mamy dość dowodów, by zgarnąć przynajmniej sześćdziesięciu agentów w ponad dziesięciu krajach. Kiedy ostatnim razem ktoś aresztował sześćdziesięciu zbirów? To niesamowite osiągnięcie. T w o j e osiągnięcie.

- Miejmy tylko nadzieję, że to właściwych sześćdziesięciu agentów. W przeciwnym razie ich aresztowanie mogłoby nie powstrzymać kolejnego ataku. Co więcej, mogłoby popchnąć Raszida i Malika do przyspieszenia ich planów.

Carter rozprostował spinacz, ostatni w całym Langley, ale nic nie odpowiedział.

- Czy zastanawiałeś się nad tym, co to będzie oznaczać dla bezpieczeństwa Nadii?

- Możliwe, że Raszid mógłby uznać czas tych aresztowań za podejrzany - przyznał Carter. - Dlatego właśnie zamierzamy ją chronić poprzez szereg dobrze przemyślanych przecieków do prasy.

- Jakiego rodzaju przecieków?

- Takich, które przedstawiają te aresztowania jako kulminację wieloletniego śledztwa, które rozpoczęło się, gdy Raszid był jeszcze w Ameryce. Sądzymy, że to zasieje niezgodę w jego bliskim otoczeniu i w konsekwencji sparaliżuje siatkę.

- Czyżby?

- Taką mamy nadzieję - odparł Carter bez śladu ironii w głosie.

- Dlaczego nie porozumiano się ze mną w tych wszystkich sprawach? - spytał Gabriel.

Carter podniósł spinacz, który był teraz całkowicie prosty.

- Wydawało mi się, że właśnie teraz to robimy.

Przez kilka dni nie rozmawiali. Carter trzymał się siódmego piętra, podczas gdy Gabriel większość czasu spędzał, nadzorując wycofywanie się jego ludzi z pola bitwy. Pod koniec lutego Agencja przejęła całkowitą odpowiedzialność za fizyczną i elektroniczną obserwację Nadii al-Bakari i Samira Abbasa. Z pierwotnej operacji Gabriela nie pozostało nic poza dwiema pustymi kryjówkami - jedna w małej wiosce na północ od Paryża, druga na brzegu Jeziora Zuryskiego. Ari Szamron postanowił zachować Château Treville na wszelki wypadek, kazał natomiast zlikwidować dom zuryski. Chiara osobiście dopilnowała wszystkich formalności, zanim przyleciała do Waszyngtonu, żeby być z Gabrielem. Wprowadzili się do należącego do Biura mieszkania przy Tunlaw Road, naprzeciwko rosyjskiej ambasady. Carter wyznaczył dwóch ludzi do czuwania nad nimi, żeby nie było żadnych niespodzianek.

Teraz gdy Chiara była w Waszyngtonie, Gabriel wyraźnie ograniczył czas spędzany w Raszidyście. Zjawiał się w Langley w samą porę na poranne zebranie wyższych rangą pracowników, następnie przez dwie godziny zaglądał przez ramię analitykom i zbieraczom danych, a potem wracał do Georgetown zjeść z Chiarą lunch. Później, jeśli była ładna pogoda, szli na małe zakupy albo po prostu spacerowali po przyjemnych uliczkach, dyskutując o swojej przyszłości. Czasem można wręcz było odnieść wrażenie, że podejmują na nowo

rozmowę, którą przerwał im zamach bombowy w Covent Garden. Chiara poruszyła nawet temat pracy w galerii Isherwooda. „Pomyśl o tym - powiedziała, kiedy Gabriel zaczął protestować. - Tylko o to proszę, kochanie. Po prostu o tym pomyśl”.

Na razie jednakże Gabriel mógł myśleć wyłącznie o bezpieczeństwie Nadii. Za zgodą Cartera przejrzał plany Agencji dotyczące długoterminowej ochrony Nadii, a nawet przyłożył rękę do opracowania materiału, który miał przecieknąć do amerykańskiej prasy. Głównie jednak niestrudzenie prowadził w Raszidystanie kampanię przeciwko planowanym aresztowaniom, tłumacząc każdemu, kto chciał go słuchać, że Agencja, ulegając presji politycznej, popełni katastrofalny błąd. Carter przestał przychodzić na zebrania, gdy uczestniczył w nich Gabriel. Nie było sensu. Biały Dom nakazał Carterowi wprowadzić plan w życie. Był w kontakcie z przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w dziesięciu przynajmniej krajach, koordynując akcję, która miała być największym połowem dżihadystycznych bojowników i agentów od upadku Afganistanu.

W piątkowy poranek pod koniec marca Gabriel zdołał odciągnąć go na bok, by mu powiedzieć, że zamierza opuścić Waszyngton i wrócić do Anglii. Carter zasugerował, by Gabriel został trochę dłużej. W przeciwnym razie przegapi wielki show.

- Kiedy on się zacznie? - zapytał Gabriel posepnie.

Carter spojrzął na zegarek i uśmiechnął się.

*

W ciągu kilku godzin kostki domina zaczęły się sypać. Przewracały się tak szybko i na tak szeroka skalę, że prasa nie nadążała z relacjonowaniem kolejnych wydarzeń.

Pierwsze aresztowania miały miejsce w Stanach, gdzie brygady antyterrorystyczne FBI przeprowadziły wiele równoczesnych nalotów w czterech miastach. Komórka Egipcjan w Newark zamierzała wykoleić jadący do Nowego Jorku ekspres Amtrak. Komórka Somalijczyków w Minneapolis szykowała ataki chemiczne na kilka biurowców w centrum miasta. A komórka Pakistańczyków w Denver była na ostatnim etapie przygotowań do wymordowania setek ludzi poprzez szereg ataków na zatłoczone obiekty sportowe. Najbardziej niepokojące były jednak również znajdujące się na ostatnim etapie przygotowań plany sześciuosobowej komórki z Falls Church w stanie Wirginia polegające na zaatakowaniu nowego centrum informacji turystycznej amerykańskiego Kongresu. W jednym z komputerów należących do podejrzanych FBI znalazło zdjęcia turystów i wycieczek szkolnych czekających w kolejce do wejścia. Inny podejrzany niedawno wynajął położony na uboczu magazyn, by zacząć przygotowywać bomby na bazie perhydroflu. Pieniądze pochodziły od Algierczyka z Montrealu, który został aresztowany w tym samym czasie, wraz

z ośmioma innymi mieszkańcami Kanady.

W Europie połów był jeszcze większy. W Paryżu terroryści planowali ataki na wieżę Eiffla i Musée d'Orsay. W Londynie za cel obrali Millennium Wheel i Parliament Square. A w Berlinie szykowali ataki w stylu Mumbai na odwiedzających pomnik ofiar Holokaustu koło Bramy Brandenburskiej. Kopenhaga i Madryt, ofiary pierwszej serii ataków, przyniosły dodatkowe komórki. Podobnie jak Sztokholm, Malmö, Oslo i Rzym. W całej Europie zamrażano konta bankowe i zamykano przedsiębiorstwa. A wszystko to dzięki pieniądzom Nadii.

Po kolei premierzy, prezydenci i kanclerze wygłaszali oświadczenia dla mediów, że udało się zapobiec katastrofie. Amerykański prezydent przemówił jako ostatni. Stanowczo określił zagrożenie jako najpoważniejsze od jedenastego września i dał do zrozumienia, że to nie koniec aresztowań. Proszony o opisanie, w jaki sposób komórki zostały ujawnione, oddał głos swemu doradcy antyterrorystycznemu, Jamesowi McKennie, który odmówił odpowiedzi. Zadał sobie natomiast wiele trudu, by wykazać, że cel osiągnięto bez uciekania się do metod stosowanych przez poprzednią administrację. „Zagrożenie ewoluowało - oświadczył McKenna. - My także”.

Następnego ranka „New York Times” i „Washington Post” zamieściły rozwlekłe artykuły opisujące triumf niemalże dziesięcioletniej współpracy wielu agencji wywiadu i stróżów prawa. Ponadto obie gazety w artykułach wstępnych wychwalały prezydenta za „wizję walki z globalnym ekstremizmem prawdziwie na miarę dwudziestego pierwszego wieku”, wieczorem zaś w talk-show telewizji kablowych członkowie opozycyjnej partii politycznej wydawali się zniechęceni. Prezydent dokonał czegoś więcej, niż tylko zlikwidował groźną siatkę terrorystyczną, stwierdził pewien wybitny strateg. Zapewnił sobie kolejne cztery lata urzędowania. Wyścig wyborczy z roku 2012 już się zakończył. Teraz przyszła pora, by zacząć myśleć o roku 2016.

Tego samego wieczoru dyrektor CIA wezwał pracowników do futurystycznego audytorium w Langley, tak zwanej Bańki, na wiec dopingujący. Ellis Coyle postanowił, że nie pójdzie. Takie imprezy, wiedział dobrze, były równie przewidywalne jak wieczory w domu w towarzystwie Nory. Trzeba będzie wysłuchiwać zwykłych bredni o odzyskanej dumie i Agencji wracającej do zdrowia, która w końcu znalazła swoje miejsce w świecie bez Związku Radzieckiego. Coyle słyszał tę samą gadkę z ust siedmiu poprzednich dyrektorów, z których każdy pozostawił CIA słabszą i bardziej dysfunkcyjną, niż ją zastał. Pozbawiona talentów, osłabiona reorganizacją amerykańskiego środowiska wywiadu Agencja była tłącą się ruiną. Nawet Coyle, hipokryta pierwszej wody, nie mógł siedzieć w Bańce i udawać, że aresztowanie sześćdziesięciu podejrzanych o terroryzm oznaczało bardziej świetlaną przyszłość - zwłaszcza że wiedział, w jaki sposób rozpracowano siatkę.

Na Canal Road zdarzył się czterosamochodowy karambol. W rezultacie Coyle zdołał wysłuchać zakończenia *Atlas Shrugged* w drodze powrotnej do domu. Kiedy dotarł do Palisades, ujrzał dom Rogera Blankmana cały rozświetlony na miarę Wielkiego Gatsby'ego i dziesiątki luksusowych wozów stojących wzdłuż wąskiej uliczki.

- Wydaje kolejne przyjęcie - powiedziała Nora, przyjmując beznamiętny pocałunek Coyle'a. - To jakiś bal dobroczynny.

- Pewnie dlatego nas nie zaprosili.

- Nie bądź małostkowy, Ellis. To do ciebie nie pasuje.

Dolała trochę merlota do swojego kieliszka, a do kuchni weszła Lucy, trzymając smycz w pysku. Coyle posłusznie przypiął ją suce do obroży i poszli razem do Battery Kemble Park. Przy podstawie drewnianego znaku, dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni z lewa na prawą, widniał ślad kredy. Oznaczał on, że w kryjówce numer trzy czeka na Coyle'a pakunek. Coyle starł znak czubkiem buta i wszedł do parku.

Między drzewami było ciemno, ale Coyle nie potrzebował latarki; znał tę ścieżkę, tak jak niewidomy zna ulice wokół swego domu. Od MacArthur Boulevard ścieżka biegła płasko tylko kilka metrów, a potem wznosiła się ostro po zboczu wzgórza. Na szczycie znajdowała się polanka, gdzie kiedyś stały stufuntowe działa dawnej baterii artyleryjskiej. Po prawej stronie płynął wąski strumyczek, a nad nim rozciągnięto drewnianą kładkę dla pieszych. Kryjówka numer trzy znajdowała się tuż za tym mostkiem, pod zwalonym dębem. Była

trudno dostępna, zwłaszcza dla wkraczającego w wiek średni mężczyzny z chronicznymi problemami z kręgosłupem, ale nie dla Lucy. Znała wszystkie kryjówki, wystarczyło, że wypowiedział głośno numer, a opróżniała ją w ciągu kilku sekund. Co więcej - o ile Biuro nie odkryje jakiegoś sposobu porozumiewania się z psami - nie można było wezwać jej na świadka. Lucy była idealnym agentem terenowym, myślał Coyle: bystra, sprawna, nieustraszona i w pełni lojalna.

Coyle przystanął na chwilę, nasłuchując dźwięku kroków czy głosów. Niczego nie usłyszawszy, wydał Lucy komendę do opróżnienia skrytki numer trzy. Popędziła między drzewa, czarna sierść czyniła ją praktycznie niewidoczną, słychać było tylko plusk, gdy wskoczyła do strumienia. Chwilę później już wdrapywała się na nasyp, trzymając w pysku patyk, który zaraz położyła posłusznie u stóp Coyle'a.

Miał około trzydziestu centymetrów długości i średnicę może pięciu centymetrów. Coyle chwycił patyk za oba końce i mocno przekręcił. Rozłożył się na dwie części, ujawniając skrytkę. Wewnątrz znajdował się mały kawałek papieru. Coyle wyjął go, z powrotem złożył patyk i dał Lucy, by odniosła go do kryjówki. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zleceniodawca Coyle'a zabierze patyk przed świtem. Nie był on najbystrzejszym oficerem wywiadu, jakiego Coyle kiedykolwiek spotkał, ale był skrupulatny na swój mozolny sposób i nigdy nie kazał Coyle'owi czekać na pieniądze. Zresztą trudno się dziwić. Jego służba borykała się z wieloma zagrożeniami, tak wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi, ale brak pieniędzy do nich nie należał.

Coyle przeczytał wiadomość w blasku swojej komórki, a potem wrzucił świstek do foliowej torebki Safeway. Pięć minut później wykorzystał tę samą torebkę do zebrania wieczornej ofiary Lucy. Ciasno zawiązana, kołysała się niczym wahadło, objijając się lekko o nadgarstek Coyle'a, gdy ten schodził ścieżką w dół, w stronę domu. Już niedługo, myślał. Jeszcze kilka tajemnic, jeszcze kilka wypraw do parku z Lucy u boku. Zastanawiał się, czy naprawdę starczy mu odwagi, żeby odejść. A potem pomyślał o niemodnych okularach Nory, o ogromnym domu sąsiada i o książce o Winstonie Churchill, której słuchał, tkwiąc w korku. Coyle zawsze podziwiał stanowczość Churchilla. W końcu Coyle także okaże się stanowczy.

*

Po drugiej stronie rzeki, w Langley, impreza trwała przez większą część następnego tygodnia. Świętowali swoją ciężką pracę. Świętowali wyższość swojej technologii. Świętowali fakt, że wreszcie udało im się przechytryć wroga. Głównie jednakże świętowali sukces Adriana Cartera. Ta operacja, powtarzali, z pewnością będzie uważana za jedną z jego

najlepszych. Wszystkie minusy zostały wymazane; grzechy odpuszczone. Nieważne, że Raszid i Malik wciąż gdzieś tam byli. Teraz stali się terrorystami bez siatki, a to wszystko zasługa Cartera.

Raszidystan wciąż działał, ale jego szeregi przerzedziła fala pospiesznych przegrupowań. To, co zaczęło się jako intensywne gromadzenie ściśle tajnych informacji, teraz stało się w znacznym stopniu sprawą dla policji i prokuratury. Zespół nie śledził już dłużej przepływu pieniędzy w ramach siatki terrorystycznej. Zamiast tego prowadził gorące dyskusje z prawnikami z Departamentu Sprawiedliwości na temat tego, co stanowi dopuszczalny materiał dowodowy, a co nie powinno nigdy ujrzeć światła dziennego. Żadnemu z prawników nie przyszło do głowy, by zasięgnąć opinii Gabriela Allona, legendarnego, acz krnąbrnego syna izraelskiego wywiadu, bo żaden z nich nie wiedział, że był on do ich dyspozycji.

Teraz, gdy operacja dobiegała końca, Gabriel większość czasu i energii poświęcał na wypisanie się z niej. Na życzenie Bulwaru Króla Saula przeprowadził wiele końcowych spotkań instruktażowych i negocjował stały system dzielenia się gromadzonymi informacjami, doskonale wiedząc, że Amerykanie i tak nie dotrzymają warunków umowy. Porozumienie podpisano z wielką pompą podczas kameralnej ceremonii w gabinecie dyrektora, po czym Gabriel przeszedł do działu kadr, by oddać swój zielony identyfikator. To, co powinno zająć pięć minut, pochłonęło ponad godzinę, jako że był zmuszony podpisywać niezliczone pisemne zobowiązania, z których żadnego nie zamierzał spełnić. Kiedy żądza atramentu kadr została w końcu zaspokojona, umundurowany strażnik odprowadził Gabriela na dół do holu. Gabriel postać tam jeszcze kilka minut, patrząc, jak w ścianie pamięci CIA zostaje wyryta nowa gwiazda, następnie wyszedł na pierwszą gwałtowną burzę waszyngtońskiej nazbyt krótkiej wiosny.

Zanim Gabriel dotarł do Georgetown, deszcz ustał i znów zaświeciło słońce. Spotkał się z Chiarą na lunchu w urokliwej kafejce na wolnym powietrzu koło uniwersytetu, a potem poszli razem na Tunlaw Road, żeby się spakować na samolot do domu. Przed wejściem do budynku, w którym mieszkali, ujrzeli czarnego opancerzonego escalade; z rury wydechowej wydobywał się dyskretny dymek. Czyjaś dłoń przywołała ich skinieniem. Jak się okazało, należała do Adriana Cartera.

- Jakiś problem? - spytał Gabriel.
- Zależy chyba, jak na to spojrzeć.
- Możesz przejść do rzeczy, Adrianie? Musimy zdążyć na samolot.
- Prawdę powiedziawszy, pozwoliłem sobie odwołać wasze rezerwacje.

- To miło z twojej strony.

- Wsiadajcie.

Część trzecia

Pusty Kwartał

Dom stał w najwyższym punkcie terenu, osłonięty laskiem dębów i wiązów. Miał zmatowiały miedziany dach i piękną piętrową werandę wychodzącą na zieloną łąkę. Sąsiedzi żyli w przeświadczeniu, że właścicielem domu jest bogaty lobbysta z Waszyngtonu, nazwiskiem Hewitt. Nie istniał żaden lobbysta z Waszyngtonu nazwiskiem Hewitt, w każdym razie nie taki, który miałby coś wspólnego z pełną uroku, liczącą czterdzieści akrów farmą rekreacyjną znajdującą się dwie mile na wschód od The Plains przy drodze krajowej numer 601. To nazwisko zostało wybrane losowo przez komputery Centralnej Agencji Wywiadowczej, do której należała farma i która zarządzała nią za pośrednictwem fikcyjnej firmy. Agencja była także w posiadaniu traktora John Deere, forda pick-upa, kosiarki rotacyjnej Bush Hog i pary gniadoszy. Jeden nazywał się Colby, drugi Helms. Po Agencji krążyły dowcipy o tym, że poddawano je, tak jak wszystkich pracowników Agencji, corocznym testom za pomocą poligrafu, żeby mieć pewność, że nie przeszły na drugą stronę, cokolwiek to by mogło w ich przypadku oznaczać.

Następnego popołudnia oba konie skubały świeżą trawę na dolnym pastwisku, kiedy escalate wiozący Gabriela i Chiarę nadjechał długim żwirowanym podjazdem, wznecając tumany kurzu. Ochroniarz CIA wpuścił ich do domu, a następnie odebrawszy od nich wierzchnie okrycia i telefony komórkowe, skierował ich do dużego pokoju. Wchodząc, ujrzeni Uziego Nawota spoglądającego tęsknie w stronę bufetu i Ariego Szamrona usiłującego nalać sobie kawy z uruchamianego dzwignią termosu. Przy zimnym kominku siedział Graham Seymour, ubrany odpowiednio na długi weekend na angielskiej wsi. Obok niego siedział Adrian Carter, ze zmarszczonym czołem słuchając czegoś, co James McKenna szeptał mu żarliwie do ucha.

Mężczyźni zebrani w tym pokoju stanowili swego rodzaju tajne bractwo. Od ataków z jedenastego września pracowali razem przy licznych wspólnych operacjach, o których w większości zwykli ludzie nic nie wiedzieli. Walczyli za siebie nawzajem, zabijali, a w paru wypadkach przelewali krew. Pomimo sporadycznych różnic zdań łącząca ich więź nie poddawała się upływowi czasu ani kaprysom ich politycznych zwierzchników. Swoją misję postrzegali jednoznacznie - tworzyli, by zapożyczyć określenie od ich wroga - Radę Shury cywilizowanego świata. Brali na siebie przykre obowiązki, jakich nikt inny nie chciał wykonać, a o konsekwencje martwili się później, zwłaszcza gdy w grę wchodziło ludzkie

życie. James McKenna nie był i nigdy nie miał się stać członkiem tego zgromadzenia. On był zwierzęciem politycznym, co z definicji oznaczało, że stanowił część problemu. Jego obecność zapowiadała komplikacje, zwłaszcza jeśli zamierzał cały czas szeptać Carterowi do ucha.

McKenna najwyraźniej czuł się najlepiej, siedząc przy prostokątnym stole, toteż za jego sugestią przenieśli się do oficjalnej jadalni. Nietrudno było się domyślić, dlaczego Carter go nie lubi; McKenna uosabiał wszystko to, czego Carter nie mógł o sobie powiedzieć. Był młody. Wysportowany. Świetnie wyglądał na podium. Wydawał się także nadzwyczaj pewny siebie, bez względu na to, czy ta pewność była uzasadniona i poparta faktami. McKenna nie miał rąk splamionych krwią, a na sumieniu żadnych grzeszków w zawodowej przeszłości. Nigdy nie musiał z bronią w ręku stawić czoła wrogowi ani też nie przesłuchiwał go w sali przesłuchań. Nie mówił nawet żadnym z języków wroga. Przeczytał natomiast wiele instruktażowych książek na jego temat i podczas wielu spotkań wypowiadał się o nim z wielką wrażliwością. Jego głównym wkładem w literaturę antyterrorystyczną był artykuł, który napisał kiedyś dla magazynu „Foreign Affairs”, gdzie przekonywał, że Stany Zjednoczone mogłyby przyjąć kolejny atak terrorystyczny i wyjść z niego silniejsze. Artykuł ten zwrócił uwagę pewnego charyzmatycznego senatora, a kiedy senator został prezydentem, złożył większą część odpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju na barki politycznego pismaka, który spędził kiedyś tydzień w Langley, podając kawę dyrektorowi.

Nastąpił niezręczny moment niepewności, kto ma siedzieć u szczytu stołu, Carter czy McKenna. Zgodnie z niepisanymi zasadami bractwa o przewodnictwie spotkań decydowała geografia, ale nie było podpunktów dotyczących tego, jak się zachować wobec politycznego intruza. Ostatecznie McKenna ustąpił miejsca u szczytu stołu Carterowi, a sam usiadł obok Grahama Seymoura, który w jego oczach stanowił pewnie mniejsze zagrożenie niż izraelski kwartet. Carter położył fajkę i kapciuch z tytoniem na stole i uniósł wieko swego bezpiecznego laptopa. Na twardym dysku miał kopię nagrania z podsłuchaną przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego rozmową. Była to rozmowa telefoniczna przeprowadzona poprzedniego dnia o 10:36 rano czasu środkowoeuropejskiego pomiędzy zuryskim oddziałem banku TransArabian a paryskim biurem AAB Holdings. Rozmówcami byli Samir Abbas, bankier o niebezpiecznie bliskich więziach z podejrzanymi islamskimi organizacjami charytatywnymi, i jego nowa klientka, Nadia al-Bakari. Rozmawiali przez dwie minuty i dwanaście sekund, po arabsku. Carter rozdał kopie tłumaczenia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Następnie odnalazł w komputerze właściwy plik dźwiękowy i kliknął: odtwarzaj.

Pierwszy głos nagrania należał do sekretarki Nadii, która poprosiła Abbasa, żeby chwilę zaczekał, aż przełączy rozmowę. Nadia podniosła słuchawkę dokładnie sześć sekund później. Po obowiązkowym islamskim powitaniu Abbas powiedział, że właśnie rozmawiał ze „wspólnikiem Jemeńczyka”. Wyglądało na to, że przedsiębiorstwo Jemeńczyka borykało się ostatnio z wieloma niepowodzeniami i rozpaczliwie potrzebowało dofinansowania. Ów wspólnik pragnął osobiście zaapelować do Nadii w tej sprawie i omówić plany na przyszłość, w tym kilka spodziewanych transakcji w Ameryce. Wspólnik, którego Abbas określił jako pozostającego „w bardzo bliskich stosunkach” z Jemeńczykiem, zaproponował Dubaj jako miejsce spotkania. Najwyraźniej był częstym gościem bajecznie bogatego emiratu, a nawet posiadał skromne mieszkanie w dzielnicy Jumeirah Beach. Rzecz jasna, wspólnik Jemeńczyka w pełni zdawał sobie sprawę z dbałości panny al-Bakari o swoje bezpieczeństwo i był skłonny spotkać się z nią w miejscu, gdzie będzie czuła się zarówno bezpiecznie, jak i swobodnie.

- *Gdzie?*

- *W Burdż al-Arab.*

- *Kiedy?*

- *W czwartek za tydzień.*

- *Tego dnia mam być w Stambule w interesach.*

- *Plan zajęć wspólnika jest bardzo napięty. To będzie jego jedyna szansa na spotkanie z panią w najbliższej przyszłości.*

- *Kiedy mam mu dać odpowiedź?*

- *Obawiam się, że od razu.*

- *O której chciałby się ze mną spotkać?*

- *O dziewiątej wieczorem.*

- *Mój ochroniarz nie pozwoli na żadne zmiany.*

- *Wspólnik zapewnia, że żadnych nie będzie.*

- *W takim razie proszę mu przekazać, że będę w Burdżu w czwartek wieczorem o dziewiątej. I proszę mu powiedzieć, żeby się nie spóźnił, ponieważ nigdy nie inwestuję pieniędzy w interesy z ludźmi, którzy spóźniają się na spotkania.*

- *Mogę panią zapewnić, że się nie spóźni.*

- *Czy ktoś jeszcze będzie obecny?*

- *Tylko ja, chyba że, oczywiście, woli pani spotkać się z nim sama.*

- *Prawdę powiedziawszy, wolałabym, żeby pan był przy tym.*

- *Wobec tego będę zaszczycony, mogąc pani towarzyszyć. Będę czekał w holu. Ma*

pani numer mojej komórki.

- *Do zobaczenia w czwartek. Inszallah.*

- *Inszallah, panno al-Bakari.*

Carter kliknął: zatrzymaj.

- Następne nagranie to zapis rozmowy telefonicznej, jaką Samir odbył w swoim domu zaledwie sześć godzin wcześniej. Spał twardo i nie był zadowolony, kiedy zadzwonił telefon. Ale nastrój zaraz mu się zmienił, gdy usłyszał, kto mówi. Mężczyzna nawet się nie przedstawił. Dzwonił z Dżuddy w Arabii Saudyjskiej, korzystając z komórki, która nie ma żadnej historii i - jak się zdaje - już dłużej nie działa. W tle był duży hałas i nie wszystko dało się usłyszeć. Oto próbka.

Carter kliknął „odtworzaj”.

- Powiedz jej, że potrzebujemy więcej pieniędzy. Powiedz, że chcemy omówić dalsze plany. Daj jej jasno do zrozumienia, że wysyłamy kogoś ważnego.

Przerwa.

- Więc kim właściwie jest ów bliski wspólnik Jemeńczyka, który pragnie spotkać się z Nadią? - Carter zadał pytanie retoryczne. - Ta rozmowa chyba dostarcza odpowiedzi. Z powodu marnej jakości nagrania wymagało to trochę pracy, ale pracownicy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego poddali nagranie obróbce i dokonali analizy głosu, porównując go ze wszystkimi, jakie mamy w naszych bazach danych, włączając w to bazy danych z rozmów przez radiodbiorniki i telefony komórkowe zarejestrowane w Iraku w samym szczycie rebelii. Godzinę temu znaleźli pasujący głos. Czy któryś z panów zechce odgadnąć tożsamość rozmówcy Samira Abbasa?

- Korci mnie, żeby powiedzieć, że to Malik al-Zubair - powiedział Gabriel - ale to niemożliwe. Widzisz, Adrianie, Malik to płotka. Malik to przeczucie Diny.

- Nie, to nieprawda - przyznał Carter. - Dina miała rację. Malik istnieje. Dwa dni temu był w Dżuddzie. I być może to właśnie on w przyszły czwartek przyjedzie do hotelu Burdż al-Arab w Dubaju, żeby się rozmówić ze swoją nową protektorką, Nadią al-Bakari. Pytanie, co w związku z tym zrobimy?

Carter postukał swoją fajką o brzeg popielniczki. Rada Shury obradowała.

To była amerykańska operacja, co oznaczało, że decyzja należała do Amerykanów. McKenna wyraźnie nie chciał zabierać głosu jako pierwszy, żeby nagle ziemia nie osunęła mu się spod nóg, więc zrzęcznie oddał głos Carterowi, który - jak to Carter - zaczął od dygresji. Czyli od miejsca zwanego Forward Operating Base Chapman, placówki CIA w odległym zakątku wschodniego Afganistanu, gdzie w grudniu 2009 agent CIA nazwiskiem Humam Khalil Abu-Mulal al-Balawi zgłosił się do swoich przełożonych z raportem. Dr Balawi, jordański lekarz, mający powiązania z ruchem dżihadystycznym, dostarczał CIA kluczowe informacje wykorzystywane do namierzania bojowników Al-Kaidy w Pakistanie. Jego prawdziwa misja jednakże polegała na penetrowaniu CIA i jordańskiego wywiadu - misja, która zakończyła się katastrofą, kiedy to dr Balawi detonował bombę ukrytą pod kurtką, zabijając siedmiu oficerów CIA. Był to jeden z najgorszych pojedynczych ataków wymierzonych w Agencję w całej jej historii i z pewnością najgorszy w długiej karierze Adriana Cartera jako dyrektora operacyjnego. Stanowił on dowód, że Al-Kaida gotowa była poświęcać wiele czasu i wysiłku, by dokonać zemsty na ścigających ją służbach wywiadowczych. Dowodził także, że kiedy szpiedzy ignorują podstawowe zasady swej profesji, oficerowie mogą stracić życie.

- Sugerujesz, że Nadia al-Bakari jest w zмовie z Al-Kaidą? - spytał McKenna.

- Bynajmniej. Prawdę powiedziawszy, uważam, że kiedy zostanie już napisana tajna historia globalnej wojny z terrorem, Nadia będzie uznawana za jedną z najcenniejszych agentek, jakie kiedykolwiek działały po stronie Zachodu. I dlatego właśnie nie chciałbym, żebyśmy ją stracili, w naszej zachłanności pakując ją w sytuację, w jakiej nie powinna się znaleźć.

- Malik nie zaprasza jej do Południowego Waziristanu - powiedział McKenna. - Proponuje jej spotkanie w jednym z najszynniejszych hoteli na świecie.

- Właściwie to nie wiemy, czy to będzie Malik al-Zubair, czy też Ktoś al-Nikt - odparł Carter. - Ale nie o to chodzi.

- A o co w takim razie chodzi?

- O pogwałcenie naszych zasad. Pamiętasz jeszcze co to takiego, Jim? Zasada numer jeden brzmi, że staramy się kontrolować jak najwięcej okoliczności. My wybieramy czas. My wybieramy miejsce. My wybieramy meble. My zamawiamy drinki. A jeśli to możliwe,

również je podajemy. I, jasna cholera, nie pozwalamy komuś takiemu jak Nadia al-Bakari zbliżyć się nawet na kilometr do typa pokroju Malika.

- Ale czasem to nie my rozdajemy karty i wtedy musimy robić dobrą minę do złej gry - odparował McKenna. - Czy nie to właśnie powiedziałeś prezydentowi dzień po tym, jak straciliśmy tamtych siedmiu oficerów?

Gabriel dostrzegł w oczach Cartera błysk wściekłości, jaki rzadko się w nich pojawiał, ale kiedy znów się odezwał, głos miał spokojny i opanowany jak zawsze.

- Mój ojciec był episkopalnym pastorem, Jim. Nie gram w karty.

- To co proponujesz?

- Ta operacja udała się bardziej, niż ktokolwiek z nas ośmielał się liczyć - powiedział Carter. - Może nie powinniśmy kusić losu ryzykownym podaniem pod koniec czwartej kwarty meczu.

Szamron wyglądał na rozdrażnionego. Uważał używanie tych amerykańskich sportowych metafor za niewłaściwe dla tak ważnej branży jak szpiegostwo. Zdaniem Szamrona oficerowie wywiadu nie tracili prowadzenia w czwartej kwarcie ani też nie wypadali z gry po trzecim nieudanym uderzeniu, nie upuszczali też piłki. Istniały jedynie sukces albo porażka - a ceną porażki w takiej okolicy jak Bliski Wschód na ogół była krew.

- Mamy więc zakończyć sprawę? - spytał Szamron. - Czy to właśnie chcesz powiedzieć, Adrianie?

- Czemu nie? Prezydent odniósł zwycięstwo, podobnie jak Agencja. Co więcej, nikt nie stracił życia. - Carter dwukrotnie potarł o siebie dłonie i powiedział: - *Halas*.

McKenna wydawał się zmieszany. Gabriel wytłumaczył mu okrzyk Cartera.

- *Halas* znaczy po arabsku „skończone”. Ale Adrian wie aż za dobrze, że ta wojna nigdy nie będzie skończona. Ona będzie trwać wiecznie. I Adrian boi się, że stanie się znacznie bardziej krwawa, jeśli pozwoli, by taki zręczny mózg terrorystyczny jak Malik wymknął mu się z rąk.

- Nikt nie pragnie głowy Malika tak bardzo jak ja - przyznał Carter. - Zasłużył na to za piekło, jakie wywołał w Iraku. Wszyscy będziemy bezpieczniejsi, jeśli on zniknie z powierzchni ziemi. Zamachowców samobójców jest na pęczki. Ale prawdziwe terrorystyczne mózgi bardzo trudno zastąpić. Jeśli wyeliminujemy takie mózgi jak Malik, zostanie nam garstka dżihadystów amatorów usiłujących wykombinować, jak zrobić perhydrolową bombę w garażu matki.

- To czemu nie mielibyśmy pozwolić Nadii stawić się na to spotkanie? - zapytał McKenna. - Dlaczego nie pozwolić jej wysłuchać tego, co Malik ma do powiedzenia na temat

swoich planów na przyszłość?

- Ponieważ czuję dziwne mrowienie w karku.

- Ale oni jej ufają. Dlaczego mieliby jej nie ufać? Jest córką Ziziego. Wywodzi się od samego Wahhaba, na litość boską.

- Jestem pewien, że ufali jej p r z e d t e m - odrzekł Carter. - Wątpliwe jest jednak, czy nadal ufają jej teraz, gdy ich siatka została zniszczona.

- To jest dmuchanie na zimne - skwitował McKenna. - Ale pewnie trudno ci się dziwić. W końcu siedzisz w tym od bardzo dawna. Przez ostatnich dziesięć lat czytałeś ich e-maile i słuchałeś ich rozmów telefonicznych, doszukując się w nich ukrytego znaczenia. Ale czasem drugie dno nie istnieje. Czasami ślub to po prostu ślub. A spotkanie w hotelu to po prostu spotkanie w hotelu. Poza tym jeśli nie potrafimy sprawić, by tak świetnie chroniona bizneswoman jak Nadia al-Bakari bezpiecznie weszła do hotelu Burdż al-Arab i wyszła z niego, to może działamy w niewłaściwej branży.

Carter milczał przez chwilę.

- Myślisz, że moglibyśmy zachowywać się jak zawodowcy, Jim?

- Sądziłem, że tak się właśnie zachowujemy.

- Czy mam przyjąć, że mówisz w imieniu Białego Domu?

- Nie - odparł McKenna. - Powinieneś przyjąć, że mówię w imieniu prezydenta.

- Skoro tak dobrze znasz myśli prezydenta, to może nam powiesz, czego prezydent chce.

- Tego, czego chcą wszyscy prezydenci. Chce drugiej kadencji. W przeciwnym razie chorzy znów przejmą dom wariatów i wszelki postęp, jakiego dokonaliśmy w wojnie z terroryzmem, zostanie unieważniony.

- Chcesz powiedzieć z e k s t r e m i z m e m - poprawił go Carter.

- Ale co ze spotkaniem w Dubaju?

- Zarówno prezydent, jak i ja chcielibyśmy, żeby stawiła się na spotkanie, oczywiście, w asyście aniołów stróżów zaglądających jej przez ramię. Wysłuchajcie, co on ma do powiedzenia. Zróbcie mu zdjęcie. Weźcie odciski palców. Nagrajcie jego głos. Ustalcie, czy to Malik, czy jakiś inny ważny członek siatki.

- A co mamy powiedzieć naszym przyjaciółom z emirackich służb bezpieczeństwa?

- Nasi przyjaciele z Emiratów okazali się niezbyt solidnymi sojusznikami w wielu sprawach, od terroryzmu do prania pieniędzy i nielegalnego handlu bronią. Zresztą, z mojego doświadczenia wynika, że w Emiratach człowiek nigdy do końca nie wie, z kim ma do czynienia. Zaangażowany przeciwnik dżihadystów równie dobrze może się okazać ich

niedalekim krewnym.

- Więc nic im nie mówimy? - zapytał Carter.

- Nic - przytaknął McKenna.

- A jeśli ustalimy, że to Malik?

- Wówczas prezydent chciałby, żeby go usunąć z obiegu.

- Co to znaczy?

- Uruchom swoją wyobraźnię, Adrianie.

- Dokładnie to zrobiłem po jedenastym września, Jim, a ty powiedziałeś publicznie, że powinienem za to trafić do więzienia. Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wiedzieć, czego d o k ł a d n i e oczekuje ode mnie prezydent.

To Szamron, nie McKenna, udzielił mu odpowiedzi.

- Prezydent nie oczekuje niczego od c i e b i e, Adrianie. - Szamron spojrzał na McKennę i spytał: - Mam rację?

- Ostrzegano mnie, żebym przy panu miał się na baczności.

- Mnie udzielono podobnego ostrzeżenia w związku z panem.

McKennie ta odpowiedź wyraźnie sprawiła przyjemność.

- Prezydent nie chce zezwolić na amerykańską tajną akcję w poniekąd zaprzyjaźnionym arabskim kraju w tak delikatnym momencie - powiedział. - Ma wrażenie, że to mogłoby nie spodobać się tamtejszemu rządowi, a tym samym narazić go na wpływy radykalnych sił działających na Bliskim Wschodzie.

- Ale Izraelici szalejący w amoku po Dubaju to całkiem inna historia.

- To się ładnie wpisuje w fakty.

- Cóż to za fakty?

- Malik ma ręce splamione izraelską krwią, co oznacza, że macie wszelkie powody, by chcieć jego śmierci.

- Nieźle to pan rozegrał, panie McKenna - powiedział Szamron.

- Ale co dostaniemy w zamian?

- Wdzięczność najważniejszego i najbardziej gotowego do zmian amerykańskiego prezydenta od pokolenia.

- Poczucie słuszności? - spytał Szamron.

McKenna uśmiechnął się i odparł:

- Poczucie słuszności.

Na tym etapie obrad James A. McKenna, specjalny asystent prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i walki z terroryzmem, na szczęście postanowił się pożegnać. Carter zaprosił swoich tajnych braci z powrotem do salonu i spytał, czy ktoś z nich pamięta, gdzie Khalid Sheikh Mohammed, mózg planu ataku z jedenastego września, ukrywał się tej nocy, gdy został schwytany. Pamiętali oczywiście wszyscy, ale to Chiara odpowiedziała.

- Był w domu w Rawalpindi, tuż obok kwatery głównej pakistańskiej armii.

- Kto mógł przypuszczać! - Carter pokręcił głową. - A pamięta pani może, jak udało nam się go dopaść?

- Wysłał pan informatora, który miał potwierdzić, że to rzeczywiście on. Kiedy informator upewnił się już co do tego, wymknął się do łazienki i wysłał panu SMS-a.

- A kilka godzin później człowiek, który zaplanował najgorszy atak terrorystyczny w historii, został zakuty w kajdanki. Był uderzająco podobny do faceta, który naprawia volvo mojej żony. Bolałem nad tym wszystkim, co zrobiliśmy KSM i jak z nim postępowaliśmy, ale widok tego, jak go wyprowadzają, był tego warty. A wystarczył do tego facet z telefonem komórkowym. To było takie proste.

- Jeśli zgodzimy się w to wejść - powiedział Gabriel - możesz być pewien, że Nadia nie będzie biegać do toalety i wysyłać żadnych SMS-ów.

- J e ś l i się zgodzicie? - Carter przechylił głowę w stronę Szamrona i Nawota, którzy siedzieli obok siebie na kanapie, obaj ze skrzyżowanymi na piersi rękami i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Oni mają wielką wprawę w ukrywaniu swoich myśli - powiedział Carter - ale ja wiem doskonale, co się tam kłębi w ich głowach. Chcą dopaść Malika za wszelką cenę, może nawet zależy im na tym bardziej niż prezydentowi i McKennie. I mowy nie ma, żeby przepuścili okazję dorwania go. Więc darujmy sobie te gierki, jacy to wy jesteście nie do zdobycia, i przejdźmy od razu do planowania.

Gabriel spojrział na zwierzchników, licząc na jakąś wskazówkę z ich strony. Nawot pocierał grzbiet nosa w miejscu, gdzie uciskały go modne okulary. Szamron nie wykonał jeszcze żadnego ruchu. Patrzył nie na Gabriela, ale na Chiarę, jakby dając jej szansę włączenia się do rozmowy. Nie skorzystała z niej.

- Pragnę zaznaczyć - odezwał się Gabriel - że nie jedziemy do Dubaju, żeby

kogokolwiek pojmać. Jeśli to Malik, nie wyjdzie z tego żywy.

- Jestem pewien, że nie słyszałem, by McKenna wspominał cokolwiek o aresztowaniu.

- Żeby nie było nieporozumień.

- Nie będzie - zapewnił Carter. - Możesz myśleć o sobie jako o pocisku Hellfire, tyle że nieprzynoszącym niepotrzebnych zniszczeń i niewinnych ofiar.

- Pociski Hellfire nie potrzebują paszportów, pokoi w hotelu i biletów na samolot. Nie mają także problemów z działaniem w krajach arabskich. My tak. - Gabriel przerwał. - Zdajesz sobie sprawę, że Dubaj to kraj arabski, prawda, Adrianie?

- Chyba coś o tym czytałem.

Gabriel zawahał się. Mieli teraz wkroczyć na delikatny obszar związany z możliwościami i zwyczajami operacyjnymi. Agencje wywiadu zazdrośnie strzegą tych tajemnic i ujawniają je sprzymierzeńcom jedynie pod przymusem. Dla Biura to była niemalże herezja. Skinieniem głowy Gabriel zlecił to zadanie Uziemiu Nawotowi, który z powrotem włożył okulary i długą chwilę spoglądał na Cartera w milczeniu.

- Żyjemy w złożonym świecie, Adrianie - powiedział wreszcie - więc czasem dobrze jest uprościć sprawy. Jeśli chodzi o nas, istnieją dwa rodzaje krajów: miejsca, gdzie możemy działać bezkarnie, i takie, gdzie nie możemy. Tę pierwszą kategorię określamy jako kraje bazowe.

- Na przykład Stany Zjednoczone - podchwycił Carter z uśmiechem.

- I Zjednoczone Królestwo - dodał Nawot, zerkając w stronę wicedyrektora MI5. - Pomimo waszych usilnych starań możemy swobodnie poruszać się po kraju i robić właściwie wszystko, co chcemy. Jeśli wpakujemy się w kłopoty, mamy całą sieć baz i kryjówek, które zorganizował człowiek siedzący u mego boku. W razie katastrofy, Boże broń, nasi agenci mogą się schronić w ambasadzie albo prosić o pomoc zaprzyjaźnionego tajnego policjanta, takiego jak Graham.

Szamron rzucił Nawotowi mordercze spojrzenie. Nawot ciągnął dalej, jak gdyby nigdy nic.

- Tę drugą kategorię nazywamy krajami docelowymi. To wrogie krainy. Bez ambasad. Bez kryjówek. Tajni policjanci nie są przyjaźni. Prawdę powiedziawszy, gdyby tylko dostali nas w swoje ręce, torturowaliby nas, zastrzelili, powiesili przed kamerami telewizyjnymi, żeby wszyscy mogli to zobaczyć, albo wsadzili nas do więzienia na bardzo, bardzo długo.

- Czego potrzebujecie? - spytał Carter.

- Paszportów - powiedział Gabriel, wyręczając Nawota. - Takich, które umożliwią nam wjazd do Dubaju bez konieczności wcześniejszego starania się o wizę.

- Jakich krajów?

- Amerykańskich, brytyjskich, kanadyjskich, australijskich.

- Po co kanadyjskie i australijskie? - zapytał Graham Seymour.

- Bo będziemy potrzebowali dużego zespołu i muszę porozdzielać ludzi geograficznie.

- Dlaczego nie wykorzystacie własnych fałszywych paszportów?

Tym razem odpowiedział Szamron.

- Bo ich sprokurowanie wymaga bardzo dużo czasu, wysiłku i sprytu. A my wolelibyśmy tego wszystkiego nie trwonić na operację, którą przeprowadzamy przez wzgląd na amerykańskie poczucie słuszności.

Carter nie mógł się nie uśmiechnąć z tej drwiny pod adresem McKenny.

- Dostarczymy wam wszystkie paszporty, jakich tylko potrzebujecie - powiedział.

- I karty kredytowe do kompletu - dodał Gabriel. - Nie takie typu prepaid. Chcę mieć prawdziwe karty kredytowe z prawdziwych banków.

Carter kiwnął głową, podobnie jak Graham Seymour.

- Co jeszcze? - spytał Carter.

- Geografia Dubaju stanowi dla nas nie lada wyzwanie - powiedział Nawot. - Jeśli o nas chodzi, jest tylko jeden sposób, by tam dotrzeć, a potem się stamtąd wydostać.

- Lotnisko - powiedział Carter.

- Zgadza się - odparł Gabriel. - Ale nie możemy być zdani na komercyjne loty. Będziemy potrzebowali własnego samolotu, zarejestrowanego w Ameryce, czystej proweniencji.

- Dam wam G5.

- Gulfstream nie jest wystarczająco duży.

- To czego chcecie?

Gabriel powiedział mu. Carter wbił wzrok w sufit, jakby szacował wpływ tego żądania na swój budżet operacyjny.

- W następnej kolejności pewnie mi powiesz, że chcesz też amerykańską załogę.

- Owszem - przytaknął Gabriel. - Potrzebujemy także broni.

- Marka i model?

Gabriel podał je. Carter kiwnął głową.

- Dostarczę broń przez ambasadę. Czy to już będzie wszystko?

- Wszystko poza gwiazdą całego przedstawienia - powiedział Gabriel. - Sądząc po tonie jej głosu podczas tamtej nagranej rozmowy, nie będziesz miał żadnych trudności z przekonaniem jej do udziału w tej akcji.

- Cieszę się, że tak uważasz - powiedział Gabriel - bo ona zasługuje na to, by mieć pewność, że może liczyć na całkowite zaufanie i uznanie ze strony amerykańskiego rządu. - Gabriel przerwał, po czym dodał: - My zresztą też.

- Obiecałem wam paszporty, pieniądze, broń i boeinga business jeta z amerykańską załogą. Jakiego jeszcze chciałbyś gestu poparcia z naszej strony?

- Chciałbym porozmawiać z twoim szefem.

- Z dyrektorem?

Gabriel pokręcił głową. Carter podszedł do bezpiecznego telefonu i wybrał numer.

*

Dochodziła dziesiąta wieczorem, kiedy escalade wjechał na teren Białego Domu przez bramę przy Piętnastej Ulicy. Umundurowany agent ochrony prezydenta pobieżnie obejrzał list uwierzytelniający Cartera, po czym polecił kierowcy, by podjechał jeszcze kawałek, żeby mógł ich obwąchać Oscar, wszytkožerny owczarek niemiecki, który usiłował odgryźć Gabrielowi kawał nogi podczas jego ostatniej wizyty. Bestia nie wywąchała nic nieprzyjemnego w oficjalnym pojeździe Cartera, nie licząc prawej przedniej opony, którą pies obsikał obficie, zanim wrócił do swojego boksu.

Kiedy inspekcja dobiegła końca, jeep pokonał labirynt z żelbetonu i stali i dotarł na parking znajdujący się wzdłuż East Executive Drive. Carter i Chiara pozostali w wozie, podczas gdy Gabriel sam ruszył wznoszącym się łagodnie w górę podjazdem ku Executive Mansion. Pod markizą nad wejściem dla dyplomatów czekał wysoki szczupły mężczyzna ubrany w ciemny garnitur i niezapiętą pod szyją białą koszulę. Powitanie było serdeczne, acz powściągliwe - krótki uścisk dłoni i leniwy gest ręką, sugerujący przechadzkę po najlepiej strzeżonych osiemnastu akrach na świecie. Gabriel skinął tylko głową, a kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych skierował się w prawo, w stronę starej magnolii, która nigdy całkiem nie odżyła po uderzeniu przez samolot, Gabriel ruszył za nim.

Carter bacznie przyglądał się obu mężczyznom schodzącym podjazdem w dół - jednemu o energicznych i precyzyjnych ruchach, drugiemu gibkiemu i pełnemu wdzięku. Kiedy zbliżali się do alejki prowadzącej do Gabinetu Ovalnego, przystanęli nagle i równocześnie zwrócili się przodem jeden do drugiego. Nawet z daleka i po ciemku Carter widział, że ta wymiana zdań nie jest szczególnie przyjemna.

Najwyraźniej doszli jednakże do porozumienia i ruszyli dalej, obok pola puttingowego i niewielkiego placu zabaw zbudowanego dla dzieci prezydenta, po czym zniknęli z pola widzenia. Carter, mający przyzwyczajenia koordynatora agentów, zanotował czas w swojej bezpiecznej komórce firmy Motorola i zrobił to samo jeszcze raz, kiedy Gabriel i prezydent

ponownie wyłonili się z ciemności. Prezydent trzymał teraz ręce w kieszeniach spodni i pochylał się nieznacznie do przodu, jakby z wysiłkiem szedł pod wiatr. Wydawało się, że głównie Gabriel mówi. Dźgał palcem powietrze, jakby chciał podkreślić szczególnie ważną kwestię.

Zatoczywszy pełne koło wokół Południowego Trawnika, obaj mężczyźni wrócili do wejścia dla dyplomatów, gdzie odbyła się ostatnia wymiana zdań. Gabriel sprawiał wrażenie zdecydowanego, podobnie jak prezydent. Położył dłoń na ramieniu Gabriela, po czym, skinąwszy głową na pożegnanie, wszedł do Białego Domu. Gabriel stał jeszcze przez chwilę zupełnie sam. Następnie odwrócił się i zszedł podjazdem z powrotem do escalade. Carter milczał, dopóki nie pokonali labiryntu ochrony i nie wyjechali z powrotem na Piętnastą Ulicę.

- I jak było?

- On z całą pewnością wie, jak masz na imię - powiedział Gabriel. - I bardzo cię podziwia.

- Może mógłby szepnąć słówko swojemu terrorystycznemu tyranowi.

- Pracuję nad tym.

- Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

- Nasza rozmowa była poufna, Adrianie, i taka pozostanie.

Carter uśmiechnął się.

- Cieszy mnie to.

Firma *venture capital* Rogers & Cressey zajmowała dziewiąte piętro szklano-stalowego koszmarku architektury przy Cannon Street, niedaleko katedry Świętego Pawła. W londyńskich kręgach finansowych R&C cieszyło się zasłużoną sławą ze względu na swe podstępne działania i nieczne sztuczki. Tak więc nikogo nie zdziwiło, że przejęcie firmy Thomas Fowler Associates zostało przeprowadzone z dyskrecją godną tajemnicy państwowej. Pojawiło się krótkie oświadczenie prasowe, którego nikt nie zauważył, i dziwnie nieostre zdjęcie reklamowe, zamieszczone jedynie na nudnej stronie internetowej R&C. Zdjęcie zostało upozowane przez człowieka wysoko wykwalifikowanego w sztukach plastycznych i zrobione przez fotografa, który pracował głównie w furgonetkach inwigilacyjnych o zaciemnionych szybach.

Jak można się było spodziewać, Thomas Fowler i jego zespół wspólników, który liczył dwanaście osób, natychmiast wzięli się ostro do pracy. We wtorek rano zainstalowali się w narożnym kompleksie biurowym i jeszcze tego wieczoru byli zajęci przygotowywaniem swojej pierwszej transakcji w ramach R&C. To była złożona transakcja, z wieloma zmiennymi, dużym ryzykiem i mnóstwem sprzecznych interesów. Jednakże jej trzon stanowiła pewna stojąca wolno nieruchomość w dzielnicy nabrzeżnej w Dubaju oraz saudyjska miliarderka nazwiskiem Nadia al-Bakari.

Fowler i jego zespół dobrze znali pannę al-Bakari, bo odbyli swego czasu wiele tajnych spotkań ze swoją saudyjską inwestorką w pałacu na północ od Paryża. W środę wymienili z nią e-maile, a w czwartek rano jej prywatny samolot wylądował na londyńskim lotnisku Stansted. R&C zajęło się transportem naziemnym z tajną asystą MI5. Koszt dwóch opancerzonych bentleyów wzbudził lekkie zdziwienie wśród księgowych Thames House, który skrupulatnie śledził swoje bilanse jak każdy inny wydział splukanego rządu Jej Królewskiej Mości. Wszelkie wątpliwości zostały jednak rozwiane, kiedy Graham Seymour przesłał rachunki do Langley do natychmiastowego uregulowania. Langley mamrotało coś o wspólnych wyrzeczeniach i szczególnych stosunkach. Następnie uregulowało rachunek za pośrednictwem jednego ze swych na pozór niewyczerpanych kont i nigdy już nie poruszano tej kwestii w kulturalnym towarzystwie.

Na Cannon Street widok limuzyn marki Bentley nie jest niczym nadzwyczajnym, chociaż trudno było nie zwrócić uwagi na Nadię al-Bakari wyłaniającą się z jednej z nich w

tłumie ochroniarzy w ciemnych garniturach. Wprowadzili ją do holu paskudnego budynku R&C, gdzie młody człowiek o twarzy plebana czekał, by ją powitać. Jeśli nawet się przedstawił, nikt jakoś nie dosłyszał jego nazwiska. W rzeczywistości był to Nigel Whitcombe, młody oficer MI5, który zawodowe szlify zdobywał u boku Gabriela podczas operacji przeciwko rosyjskiemu handlarzowi bronią, nazwiskiem Iwan Charkow.

Whitcombe zaprowadził Nadię i jej ochroniarzy do czekającej na nich windy i wcisnął guzik, wysyłając windę na dziewiąte piętro. Tam, na korytarzu, czekali już wyżsi rangą pracownicy R&C, w tym ich najnowszy wspólnik, Thomas Fowler, który w pewnych kręgach znany był jako Jossi Gawisz. Ubrany był w szary prążkowany garnitur Anthony'ego Sinclaira z Savile Row, na ustach miał uśmiech obiecujący sute zyski. Powitał Nadię jak dawną przyjaciółkę, po czym - wciąż w asyście Whitcombe'a - wprowadził ją do królewskiej sali konferencyjnej R&C. Whitcombe zaprosił jej ochroniarzy, by usiedli na korytarzu, co też uczynili bez sprzeciwu. Następnie wszedł za Jossim i Nadią do sali konferencyjnej i zamknął drzwi z krzepiącym łupnięciem.

Rolety były szczelnie opuszczone, światło gustownie przytłumione. Wokół lśniącego mahoniowego stołu siedzieli członkowie zespołu Gabriela, prezentujący się równie wytwornie. Nawet Gabriel ubrał się stosownie do okazji. Zajął centralną pozycję przy stole od strony okna, po jednej jego ręce zasiadali Adrian Carter i Graham Seymour, po drugiej - Ari Szamron i Uzi Nawot. Szamron przyglądał się Nadii uważnie, gdy siadała na krześle obok Sary, trudnej do rozpoznania w ciemnej peruce i okularach.

Wciąż odgrywając rolę Thomasa Fowlera, Jossi z ożywieniem dokonał fikcyjnych prezentacji. Była to czysta formalność; pomieszczenie było dźwiękoszczelne i odporne na elektroniczne ingerencje. W efekcie Gabriel bez obaw puścił z odtwarzacza rozmowę nagraną przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego przed pięcioma dniami o 10:36 czasu środkowoeuropejskiego. Pierwszy głos należał do Samira Abbasa z banku TransArabian.

- Plan zajęć wspólnika jest bardzo napięty. To będzie jego jedyna szansa na spotkanie z panią w najbliższej przyszłości.

- Kiedy mam mu dać odpowiedź?

- Obawiam się, że potrzebuje jej od razu.

- O której chciałby się ze mną spotkać?

- O dziewiątej wieczorem.

- Moi ochroniarze nie pozwolą na żadne zmiany.

- Wspólnik zapewnia, że żadnych nie będzie.

- W takim razie proszę mu przekazać, że będę w Burdżu w następnym czwartek o

dziewiątej wieczorem. I proszę mu powiedzieć, żeby się nie spóźnił, ponieważ nigdy nie inwestuję pieniędzy w interesy z ludźmi, którzy spóźniają się na spotkania.

Gabriel wcisnął guzik „stop” na pilocie i popatrzył na Nadię.

- Chciałbym rozpocząć to spotkanie od podziękowania pani. Odpowiadając Samirowi twierdząco, dała nam pani cenny czas, żeby rozważyć kolejny ruch. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem, Nadio. Rozegrała to pani zadziwiająco dobrze jak na amatorkę.

- Od bardzo dawna żyję w dwóch różnych światach, panie Allon. Nie jestem amatorką. - Powiodła wzrokiem wokół stołu, aż wreszcie jej spojrzenie zatrzymało się na Szamronie. - Widzę, że wasza liczebność wzrosła, odkąd widzieliśmy się ostatnio.

- Obawiam się, że to jedynie ekipa wyjazdowa.

- Są gdzieś jeszcze inni?

- Prawdziwe tłumy - odparł Gabriel. - I w tej chwili wielu z nich dręczy jedno pytanie.

- Cóż to za pytanie?

- Czy powinniśmy pozwolić pani lecieć do Dubaju, czy też raczej oddzwonić do Samira i powiedzieć mu, że jest pani zbyt zajęta, by odbyć tę podróż.

- Dlaczego mielibyśmy mu to powiedzieć?

- Na to pytanie odpowiem pani za chwilę - oświadczył Gabriel. - Ale najpierw chcę, żeby wysłuchała pani jeszcze jednego nagrania.

Sięgnął po pilota i wcisnął „play”.

- Jak on się nazywa?

- Nie powiem pani.

- Dlaczego?

- Bo to bez znaczenia. A znajomość jego nazwiska tylko narazi panią później na niebezpieczeństwo.

- Naprawdę myślicie o wszystkim.

- Staramy się, ale czasem nawet my popełniamy błędy.

Spytała, czy może jeszcze raz wysłuchać nagrania. Gabriel wcisnął „play”.

- Moim zdaniem brzmi jak Jordańczyk - powiedziała Nadia, słuchając w skupieniu.

- On j e s t Jordańczykiem. - Gabriel przerwał odtwarzanie. - Jest także jednym z najbrutalniejszych terrorystów, z jakimi ktokolwiek z nas kiedykolwiek się zetknął. Od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że należy do siatki Raszida. Teraz jesteśmy tego pewni.

- Co wam dało tę pewność?

- To samo, co panią upewniło, że jest Jordańczykiem.

- Brzmienie jego głosu?

Gabriel skinął głową.

- Niestety, znamy je aż za dobrze. Słyszeliśmy ten głos, kiedy jego właściciel wysyłał shahidów do detonowania bomb w kawiarniach i autobusach Tel Awiwu i Jerozolimy. A nasi amerykańscy przyjaciele słyszeli go na falach radiowych Sunni Triangle, kiedy to przyczyniał się do wywołania chaosu w Iraku. Ale dawno go już nie słyszeliśmy, tak dawno, że niektórzy członkowie naszego bractwa zaczęli wręcz się łudzić, że jego właściciel nie żyje. Niestety, ta rozmowa telefoniczna dowodzi, że jak najbardziej żyje.

Wyglądało na to, że Nadia nie ma na razie więcej pytań. Popatrzyła na Cartera i Grahama Seymoura i zmarszczyła brwi.

- Widzę, że przyprowadziliście swoich współników.

- Uznaliśmy, że przyszła pora, żebyście się poznali.

- Kim oni są?

- Ten dostojny mężczyzna o siwych włosach to Graham. Jest Brytyjczykiem.

- Oczywiście. - Przeniosła wzrok na Cartera. - A on?

- To Adrian.

- Amerykanin?

- Obawiam się, że tak.

Omiotła wzrokiem Gabriela i raz jeszcze zatrzymała spojrzenie na Szamronie.

- A tego skąd wystraszyliście?

- Z najgłębszej studni czasu.

- Ma jakieś imię?

- Woli, żeby go nazywać Herr Heller.

- Czym się zajmuje Herr Heller?

- Głównie wykradaniem tajemnic. Czasami wynajduje innowacyjne sposoby na unieszkodliwianie grup terrorystycznych. To właśnie z powodu Herr Hellera jest pani tutaj. To był jego pomysł, żeby panią poprosić o przeniknięcie do siatki Raszida.

- Czy on uważa, że powinnam stawić się na spotkanie w Dubaju w przyszłym tygodniu?

- Trudno mu się oprzeć takiej sposobności. Ale ma pewne obawy co do wiarygodności tego zaproszenia. A za nic nie pozwoliłby pani znaleźć się w sytuacji, w której nie moglibyśmy zagwarantować pani bezpieczeństwa.

- Wielokrotnie zatrzymywałam się w hotelu Burdż al-Arab. I nigdy nie wydawał mi się szczególnie niebezpiecznym miejscem. Chyba że był pełen Brytyjczyków - dodała, zerkając na Grahama Seymoura. - Pańskim rodakom zdarza się zachowywać trochę zbyt swobodnie, kiedy są w Dubaju.

- Słyszałem coś o tym.

Znów spojrzała na Gabriela i powiedziała:

- Czytałam w gazetach, że terroryści ponieśli poważną porażkę w ubiegłym tygodniu. Amerykański prezydent wydawał się bardzo zadowolony.

- Miał do tego prawo.

- Zakładam, że moje pieniądze miały z tym coś wspólnego.

- Pani pieniądze miały z tym bardzo wiele wspólnego, żeby nie powiedzieć wszystko.

- Czyli zadaliście siatce Raszida poważny cios.

Gabriel powoli skinął głową.

- Ale nie ostateczny?

- W tej branży nic nie jest ostateczne, Nadio.

- Macie wystarczające informacje, żeby namierzyć Raszida?

- W tej chwili nie.

- A co z człowiekiem, którego nazwiska nie chce mi pan podać?

Gabriel pokręcił głową.

- Nie wiemy, jakiego nazwiska używa, jakim posługuje się paszportem ani nawet, jak wygląda.

- Wiecie natomiast, że chciałby się ze mną spotkać w następny czwartek wieczorem w Dubaju. - Nadia wyjęła z torebki papierosa i zapaliła go. - Moim zdaniem wybór jest oczywisty, panie Allon. Zniszczyliście siatkę, teraz musicie jeszcze odciąć bestii głowę. W przeciwnym razie za rok lub za dwa lata znów będziecie tutaj siedzieć i zastanawiać się, w jaki sposób rozbić n o w ą siatkę.

Gabriel bez słowa popatrzył na Szamrona. Wreszcie, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy, Szamron dał mu znak, by kontynuował.

- Kłamstwo to nasz zawód - powiedział Gabriel, znów przenosząc wzrok na Nadię - uważamy się jednak za ludzi słownych. Złożyliśmy pani pewną obietnicę i chcielibyśmy jej dotrzymać.

- Co to za obietnica?

- Poprosiliśmy panią, żeby zechciała nam pomóc, przekazując pieniądze siatce terrorystycznej. Nic jednak nie mówiliśmy o tym, że będziemy panią prosić o zidentyfikowanie mordercy twarzą w twarz.

- Sytuacja się zmieniła.

- Ale nasze zobowiązanie wobec pani nie.

Wydychała nikłą smugę dymu w kierunku sufitu i uśmiechnęła się.

- Wasza troska o moje bezpieczeństwo jest godna podziwu, ale też całkowicie bezpodstawna. Jak wiecie, jestem jedną z najlepiej chronionych osób prywatnych na świecie. W Dubaju cały czas będę otoczona ogromną ekipą ochroniarzy. Będą przeszukiwać każde pomieszczenie, do którego wejdę, i każdego, kto znajdzie się w mojej obecności. Jestem idealną osobą do takiej misji, bo nie może mnie spotkać nic złego.

Gabriel raz jeszcze spojrzął na Szamrona. I znów Szamron odpowiedział przyzwalającym skinieniem.

- Nasze obawy dotyczą nie tylko pani fizycznego bezpieczeństwa - powiedział Gabriel. - Musimy także wziąć pod uwagę pani kondycję emocjonalną i psychiczną. Zdarzają się agenci, dla których nie stanowi żadnego problemu wystawienie kogoś ze swojej własnej społeczności dla pieniędzy, poklasku, ze złości, mógłbym tu podać jeszcze z tuzin powodów. Ale są i tacy, dla których to doświadczenie okazuje się traumatyczne i jeszcze długie lata nie mogą się z tego otrząsnąć.

- Nie uważam dżihadystycznych terrorystów za członków mojej społeczności czy

mojej wiary, tak jak oni z całą pewnością nie uważają mnie za przedstawicielkę ich społeczności i wiary. Poza tym czy nie wykorzystał pan już moich pieniędzy do zidentyfikowania i aresztowania ponad sześćdziesięciu podejrzanych o terroryzm? - Przerwała, po czym dodała: - Proszę mi wybaczyć, panie Allon, ale mam wrażenie, że dokonuje pan bezsensownych rozróżnień.

Gabriel pochylił się do przodu, zmniejszając odległość pomiędzy sobą a swoją agentką. Chciał, żeby nie było żadnych nieporozumień, żadnych niejednoznaczności i absolutnie żadnych niedopowiedzeń.

- Czy ma pani świadomość, co się stanie z tym człowiekiem, jeśli okaże się tym, kogo szukamy?

- Nie wydaje mi się, żeby to pytanie było konieczne.

- Potrafi pani żyć z takim wspomnieniem?

- Już żyję. - Zdobyła się na uśmiech. - Poza tym, jak pan wie, panie Allon, nic nie trwa wiecznie.

Gabriel oparł się w krzesło i przez chwilę przypatrywał się swoim dłoniom. Tym razem nie zaprzął sobie głowy zerkaniem na Szamrona. Nie potrzebował wskazówek, ta decyzja należała do niego i tylko do niego.

- Potrzebujemy czasu, żeby panią przygotować.

Nadia wyjęła z torebki skórzaną teczkę i spojrzała na swój plan zajęć.

- Jutro jestem w Moskwie, pojutrze w Pradze, a popojutrze w Sztokholmie.

- A jak wygląda pani weekend?

- Zamierzałam wyskoczyć do Casablanki i trochę się poopalać.

- Być może będziemy musieli prosić, żeby odwołała pani ten wyjazd.

- Przemyślę to sobie jeszcze - powiedziała z uporem. - Tak się natomiast składa, że jestem wolna przez resztę tego popołudnia.

Gabriel wziął teczkę od Uziego Nawota. W środku znajdowało się ostatnie znane zdjęcie Malika al-Zubaira, wraz z kilkoma wygenerowanymi z komputera fotografiami. Gabriel ułożył je w rzędzie na stole.

- Oto człowiek, który być może przyjdzie spotkać się z panią w następnym czwartek wieczorem w hotelu Burdż al-Arab w Dubaju - powiedział, wskazując stare zdjęcie. Następnie przesunął dłoń ku fotografiom. - Oto on cięższy o dwadzieścia funtów. Tutaj ten sam człowiek z brodą. Tutaj bez brody. Z wąsami. Z guzem od modlitw. Bez guza. W okularach. Z krótkimi włosami. Z długimi włosami. Z siwymi. Całkiem bez włosów...

Londyński „Financial Journal” stracił sporo ze swego splendoru, odkąd został zakupiony przez rosyjskiego oligarchę Wiktora Orłowa, mimo to następnego ranka wywołał poruszenie w City, donosząc, że wyrachowana firma Rogers & Cressey szykowała poważny projekt w Dubaju. Sprawa nabrała dodatkowego rozmachu, kiedy Zoe Reed z CNBC poinformowała opinię publiczną, że przedsięwzięcie to jest finansowane częściowo przez AAB Holdings, saudyjską firmę inwestycyjną zarządzaną przez nieprzystępną dziedziczkę Nadię al-Bakari. Poproszona o komentarz w Paryżu nieprzepracowująca się zbyt rzeczniczka AAB, Yvette Dubois, wystosowała podręcznikowe oświadczenie typu „ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam”, ale tego wieczoru w Londynie w biurach R&C przy Cannon Street światła paliły się do późna. Wytrawni obserwatorzy firmy nie byli zdziwieni. W R&C, mówili, zawsze najwięcej dokonywano pod osłoną nocy.

Gdyby mogli wiedzieć, co działo się w dźwiękoszczelnych salach konferencyjnych R&C i na bezpiecznych liniach telefonicznych, zaskoczyłby ich język zupełnie inny niż ten, którego używano na ogół w świecie biznesu. Jego etymologia sięgała masakry podczas olimpiady w Monachium we wrześniu 1972 i tajnej odwetowej operacji, która nastąpiła potem. Od tamtej pory świat bardzo się zmienił, ale zasady obowiązujące przy tamtych zabójstwach pozostały nienaruszalne. *Alef Beta, Ajn, Kej*: cztery litery hebrajskiego alfabetu. Cztery operacyjne reguły, tak ponadczasowe i trwałe jak męczyzna, który je napisał.

W niektórych działach biur R&C był znany jako Herr Heller. Ale w pomieszczeniach zarezerwowanych dla Gabriela i jego zespołu nazywano go Ari albo Stary, albo *Memuneh*, co oznacza po hebrajsku: „ten, który dowodzi”. Dzięki świstkowi papieru noszącemu podpis Uziego Nawota Szamron faktycznie był nominalnym dowódcą operacji, jednak ze względów praktycznych scedował odpowiedzialność za jej planowanie i wykonywanie na Gabriela i jego zdolnego zastępcę, Eliego Lawona. Dla Szamrona nie była to trudna decyzja. Gabriel i Lawon stosowali tę samą metodologię co Szamron, mieli podobne instynkty, dzielali także jego podstawowe i najgłębsze lęki. Cokolwiek mówili, można było pomyśleć, że przemawia przez nich głos Memuneha. A obserwując, jak skrupulatnie planują koniec takiego potwora jak Malik, odnosiło się wrażenie, że to sam Szamron w kwiecie wieku.

Z wielu powodów ta operacja miała należeć do najtrudniejszych w karierze Gabriela i jego zespołu. Niesprzyjające środowisko stanowiło tylko jedną z przeszkód. Nie wiedzieli na

pewno, czy cel naprawdę tam będzie, ani też, jeśli się nawet pojawi, czy nadarzy się okazja, by go zabić, nie ryzykując zdemaskowania się. Podobnie jak Adrian Carter Gabriel nie uznawał zdawania się na los. Tak więc pierwszego dnia planowania narysował na piasku linię, której nie wolno było przekroczyć. Misje samobójcze mieli zostawić swoim wrogom. Jeśli ich łup nie da się upolować bez ryzyka dla myśliwych, mieli go śledzić i czekać na kolejną sposobność. I w żadnym wypadku nie będą strzelać do niego, o ile nie będą bezwzględnie pewni, że mężczyzna, do którego celują, to Malik al-Zubair.

Pracowali na okrągło, żeby wyeliminować tyle innych zmiennych, ile tylko możliwe. W kwestiach porządkowych wydział Biura odpowiedzialny za bezpieczne zakwaterowanie załatwił trzy mieszkania w Dubaju, podczas gdy wydział transportu rozmieścił zawczasu pół tuzina samochodów i motocykli w różnych punktach miasta-państwa. Bulwarowi Króla Saula udało się także przygotować sensowne wyjście awaryjne. Nazywało się „Neptun” i było zarejestrowanym w Liberii statkiem towarowym, który w rzeczywistości stanowił pływającą stację radarowo-nasłuchową, prowadzoną przez AMAN, izraelski wywiad wojskowy. Na pokładzie znajdowała się ekipa komandosów Sayeret Matkal specjalizujących się w szybkich akcjach morskich. Zapewnienie udziału tego okrętu w operacji kosztowało Nawota bardzo drogo i jasno dał do zrozumienia, że mieli z niego korzystać tylko w ostateczności. A o jego istnieniu nie mieli się dowiedzieć ani Amerykanie, ani Brytyjczycy, jako że „Neptun” większość czasu spędzał, wyłapując angloamerykańskie sygnały krążące na falach radiowych Zatoki Perskiej.

Jednak głównym źródłem niepokoju zespołu w tych dniach pospiesznych przygotowań było bezpieczeństwo ich agentki, Nadii al-Bakari. I tutaj znów Gabriel wprowadził nienaruszalne wytyczne. Czas, który Nadia spędzi w Dubaju, będzie krótki i ściśle zaplanowany. Zawsze będą otaczać ją dwa kręgi ochrony - jeden złożony z jej własnych ochroniarzy, a drugi z przedstawicieli Biura. Po spotkaniu w Burdż al-Arab natychmiast wróci na lotnisko i wsiądzie do swojego samolotu. Wówczas tajny krąg ochrony Biura wycofa się i Nadia znów przejdzie pod wyłączną opiekę jej własnej brygady.

Czas na jej przygotowanie był ograniczony, zresztą wiedzieli, że będzie. Zgodziwszy się odwołać wyjazd do Maroka, wróciła do Londynu w sobotę, żeby udać się na kameralne przyjęcie w miejskiej rezydencji Fowlerów w Mayfair, podczas którego właściwie nie było czasu na jedzenie. W niedzielę była w Mediolanie na ważnym pokazie mody, ale zdołała ponownie pojawić się na Cannon Street na ostatnie instruktażowe spotkanie. Na zakończenie dali jej torebkę Prady, kostium Chanel i zegarek na rękę od Harry'ego Winstona. W torebce znajdował się dobrze ukryty nadajnik o zasięgu pięciu kilometrów. Dodatkowy nadajnik

został wszyty w podszewkę kostiumu Chanel, wraz z dwoma miniaturowymi nadajnikami naprowadzającymi GPS. Trzeci nadajnik naprowadzający był ukryty w zegarku od Harry'ego Winstona. To był ten sam zegarek, który ojciec Nadii pięć lat wcześniej podarował Sarze w ramach zachęty, by dla niego pracowała. Jubiler zatrudniony w dziale dokumentów usunął oryginalną inskrypcję i zastąpił ją napisem: *Za przyszłość, Thomas*. W oczach Nadii zaślnęły łzy, kiedy go przeczytała. Na pożegnanie objęła Gabriela w taki sposób, że Szamron wyraźnie poczuł się niezręcznie.

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć o naszej dziewczynie? - zapytał Gabriela, gdy stali przy oknie i patrzyli, jak Nadia wsiada do swojego samochodu.

- To jedna z najbardziej niezwykłych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. I jeśli stanie jej się coś złego, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- To teraz powiedz mi coś, czego nie w i e m - zachnął się Szamron.

- Ona wie, kto zabił jej ojca. I wybacza mu.

Zespół zakładał, że zarówno ich wrogowie, jak i przyjaciele mają oczy i uszy otwarte, i zachowywał się stosownie do tego założenia. Przeważnie barykadowali się w biurach Rogers & Cressey, a wszystkie sprawy zewnętrzne załatwiał brytyjski personel, niemający bezpośredniego związku z operacją. Szamron większość czasu spędzał w znanym MI5 mieszkaniu Biura przy Bayswater Road. Gabriel wpadał raz dziennie, by z nim pospacerować po alejkach Kensington Gardens. Ostatniego dnia ich pobytu w Londynie Brytyjczycy deptali im po piętach. Podobnie jak Amerykanie.

- Zawsze wolałem dokonywać zabójstw sam - powiedział Szamron, patrząc ponuro na tajniaków idących za nimi brzegiem Long Water. - Dziwię się, że twój przyjaciel prezydent nie upierał się, by iść z tym do ONZ-u.

- Udało mi się to wyperswadować.

- O czym właściwie rozmawialiście?

- O Adrianie Carterze - powiedział Gabriel. - Powiedziałem prezydentowi, że zajmimy się Malikiem pod warunkiem, że Departament Sprawiedliwości zaniecha śledztwa w sprawie podejścia Adriana do wojny z terrorem.

- Zgodził się?

- W nieco zawołowany, ale niedwuznaczny sposób - odparł Gabriel. - Przystał także na moje drugie żądanie.

- To znaczy?

- Żeby zwolnił Jamesa McKennę, zanim ten nas wszystkich pozabija.

- Zawsze sądziliśmy, że prezydent i McKenna są nierozłączni.

- W Waszyngtonie nie ma ludzi nierozłącznych.

Szamron zaczął czuć się zmęczony. Doszli do Włoskich Ogrodów i usiedli na ławce z widokiem na fontannę. Szamron nie bardzo potrafił ukryć swojej irytacji. Fontanny, podobnie jak wszelkie inne formy człowieczej rozrywki, nudziły go.

- Musisz wiedzieć, że twoje starania już nam zyskały cenny polityczny kapitał u Amerykanów - powiedział. - Ubiegłego wieczoru sekretarz stanu po cichu przystała na wszystkie nasze warunki dotyczące wznowienia procesu pokojowego z Palestyńczykami. Napomknęła także, że prezydent będzie być może skłonny złożyć wizytę w Jerozolimie w najbliższej przyszłości. Zakładamy, że stanie się to p r z e d kolejnymi wyborami.

- Nie doceniasz go. To błąd.

- Ależ doceniam - odparł Szamron - ale nie jestem pewien, czy mu zazdrozczę. Wielkie Arabskie Przebudzenie zdarzyło się za jego kadencji i jego działania przyczynią się do rozstrzygnięcia tego, czy Bliski Wschód przechyli się w stronę takich osób jak Nadia al-Bakari, czy dżihadystów jak Raszid al-Husseini. - Szamron przerwał. - Przyznaję, że nawet ja nie wiem, jak to się wszystko potoczy. Wiem tylko, że zabicie takiego typu jak Malik ułatwi zwycięstwo siłom postępu i przyzwoitości.

- Chcesz powiedzieć, że cała przyszłość Bliskiego Wschodu zależy od wyniku mojej operacji?

- To byłaby przesada z mojej strony - powiedział Szamron. - A ja od zawsze za wszelką cenę staram się unikać przesady.

- Chyba że masz w tym akurat swój cel.

Na twarzy Szamrona pojawił się cień uśmiechu, gdy zapalał tureckiego papierosa.

- Zastanawiałeś się już nad tym, kto wykona wyrok ciężący na Maliku?

- Najprawdopodobniej tę decyzję podejmie sam Malik.

- I to jest właśnie jeden z wielu aspektów tej operacji, które mi się nie podobają. - Szamron przez chwilę palił w milczeniu. - Wiem, że zawsze wolałeś nieodwołalność broni palnej, ale w tym wypadku igła jest znacznie lepszym rozwiązaniem. Hałaśliwe zabójstwo tylko utrudni tobie i twojemu zespołowi ucieczkę. Zaaplikuj mu śmiertelną dawkę sukcynylocholiny. Poczuje ukłucie. A potem będzie miał kłopoty z oddychaniem, w miarę jak będzie postępować paraliż. W ciągu kilku minut umrze. A wy będziecie już wsiadać do prywatnego samolotu na lotnisku.

- Sukcynylocholina ma jedną cechę wspólną z kulą - powiedział Gabriel. - Pozostaje w ciele jeszcze na długo po śmierci ofiary. I w końcu lekarze sądowi w Dubaju ją znajdą, a policja ustali dokładnie, co się stało.

- To cena, jaką płacimy za działanie w nowoczesnych hotelach. Postaraj się tylko zasłaniać twarz przed kamerami. Jeśli twoje zdjęcie znowu trafi do gazet, skomplikuje ci powrót do cywilnego życia. - Szamron przez chwilę w milczeniu przypatrywał się Gabrielowi. - Bo przecież tego właśnie chcesz, prawda?

Gabriel nie odpowiedział. Szamron upuścił niedopałek na ziemię i zdusił go obcasem.

- Nie możesz mi mieć za złe, że wciąż próbuję - powiedział.

- Byłbym rozczarowany, gdybyś nie próbował.

- Szczerze mówiąc, ośmieliłem się mieć nadzieję, że tym razem twoja odpowiedź będzie inna.

- Dlaczego?

- Bo pozwalasz żonie jechać do Dubaju.

- Nie miałem wyboru. Nalegała.

- Kazesz prezydentowi Stanów Zjednoczonych zwolnić jednego z najbliższych współpracowników, a ulegasz wobec ultimatum własnej żony? - Szamron pokręcił głową i powiedział: - Może powinienem wybrać j ą na następnego szefa Biura.

- Zrób Bellę Nawot jej zastępcą.

- Bellę? - Szamron uśmiechnął się. - Świat arabski zadrży.

*

Dziesięć minut później rozstali się przy Lancaster Gate. Szamron wrócił do mieszkania Biura, a Gabriel udał się na lotnisko Heathrow. Kiedy tam dotarł, był już Rolandem Devereaux, dawniej z Grenoble, we Francji, ostatnio z Quebecu, w Kanadzie. Miał paszport człowieka, który za dużo podróżował, i także postawę. Sprawnie przeszedłszy odprawę i kontrolę paszportową, skierował się, pod tajną eskortą MI5, do poczekalni pasażerów pierwszej klasy British Airways. Tam znalazł spokojne miejsce z dala od podniebnych alkoholików i obejrzał wiadomości w telewizji. Znużony zdradzającą rażące niedoinformowanie dyskusją na temat obecnego zagrożenia terrorystycznego, otworzył swój biznesowy notatnik i z pamięci naszkicował piękną młodą kobietę o kruczoczarnych włosach. To był portret kobiety z odkrytą twarzą, myślał Gabriel. Portret szpiega.

W chwili gdy wywołano jego lot, natychmiast podarł szkic na drobne kawałeczki i idąc do swojego wyjścia, wrzucił je do trzech różnych koszy na śmieci. Usadowiwszy się na swoim miejscu, ostatni raz sprawdził e-maile. Miał kilka nowych; wszystkie fałszywe poza jednym - od bezimiennej kobiety, która pisała, że zawsze go kochała. Wyłączając BlackBerry, poczuł ukłucie dziwnej paniki. Następnie zamknął oczy i po raz ostatni przebiegł w myślach plan całej operacji.

Liście Palm Jumeirah, największej na świecie wyspy stworzonej przez człowieka, leżały płasko na sennych wodach zatoki, zapadając się powoli pod ciężarem niesprzedanych luksusowych willi. W monstrualnym różowym hotelu wznoszącym się w najwyższym punkcie wyspy drobny deszczyk padał na marmurową posadzkę ogromnego holu. Jak niemal wszystko inne w Dubaju, deszczyk był sztuczny. Jednak w tym wypadku niezamierzony; strop znów zaczął przeciekać. Zamiast go naprawić, kierownictwo zdecydowało się zamieścić małą żółtą wywieszkę, ostrzegającą nielicznych gości, żeby uważali.

Dalej wzdłuż wybrzeża, w dzielnicy finansowej, było więcej oznak nieszczęścia, jakie spotkało państwo-miasto. Dźwigi budowlane, niegdyś symbole ekonomicznego cudu Dubaju, stały nieruchomo nad niedokończonymi biurami i apartamentowcami. Luksusowe centra handlowe były prawie puste, krążyły też pogłoski o bezrobotnych expatriantach z Europy śpiących na piaskowych wydmach pustyni. Wiele osób wolało uciec z emiratu wobec perspektywy pobytu w niesławnym więzieniu dla dłużników. W pewnym momencie szacowano, że lotniskowy parking blokuje trzy tysiące porzuconych samochodów. W niektórych do przedniej szyby przyklejono karteczki z pospiesznie nagryzmołonymi przeprosinami wobec wierzycieli. Używany samochód w Dubaju nie miał praktycznie żadnej wartości. Korki uliczne, niegdyś stanowiące poważny problem, prawie się teraz nie zdarzały.

Władca wciąż patrzył z góry na swoich poddanych z niezliczonych billboardów, ale ostatnio wyraz jego twarzy wydawał się nieco ponury. Jego plan, by przemienić senną osadę rybacką w centrum globalnego handlu, finansów i turystyki, runął przywalony górą długów. Dubajskie marzenie okazało się nie do utrzymania. Co więcej, pociągnęło za sobą ekologiczną katastrofę. Mieszkańcy Dubaju wytwarzali najwięcej dwutlenku węgla na świecie. Zużywali więcej wody niż ktokolwiek inny na naszej planecie, która w całości pochodziła ze zużywających energię zakładów odsalających wodę morską, a ogromne ilości energii elektrycznej szły na schładzanie ich domów, biur, basenów i sztucznych stoków narciarskich. Tylko cudzoziemscy robotnicy obywali się bez klimatyzacji. Harowali w bezlitosnym słońcu - czasem po szesnaście godzin dziennie - i mieszkali w nędznych, pełnych much barakach z piętrowymi łóżkami, nie mając nawet wentylatora dla ochłody. Ich życie było tak żalosne, że setki z nich co roku decydowało się na samobójstwo, choć władca i jego współpracownicy zaprzeczali temu faktowi.

Osiemdziesiąt tysięcy szczęśliwych obywateli Dubaju faktycznie nie mogło narzekać. Rząd płacił za ich opiekę zdrowotną, mieszkanie i wykształcenie, zapewniał im także dożywotnie zatrudnienie - oczywiście pod warunkiem że powstrzymają się od krytykowania Władcy. Ich dziadkowie żywili się wielbłądzim mlekiem i daktylami; oni mieli całą armię cudzoziemskich robotników, którzy napędzali gospodarkę i zaspokajali każdą ich potrzebę i zachciankę. Mężczyźni paradowali po mieście w nieskazitelnie białych kandurach i gutrach. Niewielu ekspatriantów kiedykolwiek rozmawiało z obywatelami emiratu. A jeśli już, to rzadko była miła rozmowa.

W środowisku obcokrajowców również obowiązywała ścisła hierarchia. Brytyjczycy i inni dobrze sytuowani imigranci zaszywali się w eleganckich dzielnicach Satwa i Jumeirah, podczas gdy proletariat z krajów rozwijających się mieszkał głównie po drugiej stronie Zatoki Dubajskiej, w starej dzielnicy znanej jako Deira. Przechadzając się po jej ulicach i placach, miało się wrażenie, że idzie się przez wiele różnych krajów - tutaj indyjska prowincja, tu pakistańska wioska, tam znów zakątek Teheranu czy Rosji. Każda społeczność przywiozła ze sobą coś z domu. Z Rosji przybyły przestępczość i kobiety, jednego i drugiego pod dostatkiem było w Odessie, dyskoteci i barze mieszczącymi się niedaleko Złotego Suku. Gabriel siedział samotnie na wyścielanej ławie w ciemnym kącie w głębi sali, przy jego łokciu stała szklaneczka wódki. Przy sąsiednim stoliku czerwony na twarzy Brytyjczyk obmacywał niedożywną dziewczyninę z odległych rejonów Rosji. Żadna z dziewczyn nie narzucała się Gabrielowi. Wyglądał na faceta, który przyszedł tylko popatrzeć.

Tego nie można było natomiast powiedzieć o patykowatym, jasnowłosym Rosjaninie, który z fasonem wkroczył do Odessy kilka minut po północy. Podszedł do baru, żeby poklepać parę co kształniejszych pośladków, zanim skierował się do stolika, przy którym siedział Gabriel. Jedna z dziewczyn natychmiast próbowała do nich dołączyć, ale chudy Rosjanin odprawił ją nonszalanckim gestem smukłej bladej dłoni. Kiedy wreszcie zjawiała się kelnerka, zamówił wódkę dla siebie i jeszcze jedną dla swojego towarzysza.

- Wypij coś - powiedział Michaił. - W przeciwnym razie nikt nie uwierzy, że jesteś naprawdę Rosjaninem.

- Nie chcę być Rosjaninem.

- Ja też nie. Dlatego właśnie przeprowadziłem się do Izraela.

- Czy w drodze z hotelu ktoś mnie śledził?

Michaił pokręcił głową.

Gabriel wylał swojego drinka między poduszki ławy i powiedział:

- Wynośmy się stąd.

*

Michaił mówił wyłącznie po rosyjsku, kiedy szli do bloku mieszkalnego niedaleko Corniche. Był to typowy dla stylu zatoki czteropiętrowy blok z kilkoma krytymi miejscami parkingowymi w przyziemiu. Klatka schodowa cuchnęła ciecierzycą i kminem, podobnie jak mieszkanie na najwyższym piętrze. W kuchni była dwupalnikowa kuchenka, w pokoju dziennym rozkładana kanapa. Pylisty piasek z pustyni pokrywał wszystkie powierzchnie.

- Sąsiedzi pochodzą z Bangladeszu - powiedział Michaił. - Jest ich tam co najmniej dwanaścioro. Śpią na zmianę. Ktoś powinien powiedzieć światu, jak ci ludzie są tu naprawdę traktowani.

- Niech to będzie ktoś inny, nie ty, Michaił.

- Ja? Ja jestem tylko przedsiębiorczym młodym człowiekiem z Moskwy, który próbuje zbić majątek w tym mieście złota.

- Wygląda na to, że przyjechałeś w złym momencie.

- Co ty powiesz - odparł Michaił. - Kilka lat temu to miejsce dosłownie pławiło się w forsie. Rosyjska mafia wykorzystywała tutejszy rynek nieruchomości do prania swoich fortun. Kupowali apartamenty i wille, a po tygodniu je sprzedawali. A dziś nawet dziewczyny z Odessy ledwo wiążą koniec z końcem.

- Jestem pewien, że jakoś dadzą sobie radę.

Michaił wyjął walizkę z jedynej szafy w mieszkaniu i otworzył ją. W środku znajdowało się osiem pistoletów - cztery beretty i cztery glocki. Każdy był wyposażony w tłumik.

- Beretty to dziewiątki - powiedział Michaił. - Glocki to czterdziestki piątki. Mocne i ostentacyjne. Robią duże dziury i dużo hałasu, nawet z tłumikami. Natomiast ta broń jest całkiem bezgłośna.

Wyjął z walizki zapinaną na suwak kosmetyczkę. W środku znajdowały się igły do zastrzyków i kilka fiolek z nalepką INSULINA. Gabriel wziął dwie igły i dwie fiołki i wsunął je do kieszeni kurtki.

- A co ze spluwą? - spytał Michaił.

- W Burdz al-Arab kręcą na nie nosem.

Michaił podał mu berettę wraz z zapasowym magazynkiem wypełnionym nabojami. Gabriel zatknął broń za pasek spodni i spytał:

- Jakie wozy załatwił nam transport?

- Bmw i toyoty land cruisery, nowe okręty pustyni. Jeśli uznamy, że ten wspólnik Jemeńczyka to Malik, nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów ze śledzeniem go, kiedy już

opuści hotel. To nie Kair ani Gaza. Wszystkie drogi są tu bardzo proste i szerokie. Jeśli wybierze się do jednego z pozostałych emiratów, możemy udać się tam za nim. Natomiast jeśli będzie chciał zwać do Arabii Saudyjskiej, musimy go dopaść, zanim dotrze do granicy. Tu sprawa może się skomplikować.

- Chciałbym uniknąć strzelaniny na pustyni, jeśli to w ogóle możliwe.

- Ja też. Ale kto wie? Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że postanowi spędzić noc w swoim apartamencie w Jumeirah Beach. Damy mu lekarstwo, żeby lepiej mu się spało, a potem... - Michał zawiesił głos. - A jak ci się żyje w Burdżu?

- Tak jak można się tego spodziewać po jedynym siedmiogwiazdkowym hotelu na świecie.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz - powiedział Michał z rozżaleniem.

- Gdybyś mnie posłuchał, żyłbyś teraz w Ameryce razem z Sarą.

- I co bym tam robił?

Gabriel chwilę milczał.

- Jeszcze nie jest za późno, Michał - powiedział wreszcie. - Z jakiegoś powodu ona wciąż cię kocha. Nawet taki głupiec jak ty chyba to widzi.

- Ale i tak nam się nie uda.

- Dlaczego? - Gabriel rozejrzył się po obskurnym mieszkanku.

- Bo chcesz tak właśnie żyć?

- I kto to mówi. - Michał zamknął walizkę i schował ją z powrotem do szafy. - Czy to ona prosiła, żebyś ze mną porozmawiał?

- Zabiłaby mnie, gdyby wiedziała.

- To co ci powiedziała?

- Że źle się wobec niej zachowywałeś. - Gabriel urwał, po czym dodał: - A przysięgałeś, że nigdy tego nie zrobisz.

- Nie traktowałem jej źle, Gabrielu. Ja tylko...

- Przeszedłeś piekło w Szwajcarii.

Michał nie odpowiedział.

- Wyświadczyć sobie przysługę, kiedy to się skończy - powiedział Gabriel. - Znajdź jakąś wymówkę, żeby pojechać do Ameryki. Spędź z nią trochę czasu. Jeśli ktokolwiek na świecie potrafi zrozumieć, przez co przeszedłeś, to jest to właśnie Sara Bancroft. Nie zmarnuj tego. Ona jest wyjątkowa.

Michał uśmiechnął się ze smutkiem, to był taki uśmiech, jakim młodzi kwitują dobre rady starych głupców.

- Wracaj do hotelu - powiedział. - Postaraj się zasnąć. I pamiętaj, żeby schować te fiołki w takim miejscu, gdzie nie znajdą ich pokojówki. Tu funkcjonuje ogromny czarny rynek kradzionych leków. Nie chciałbym, żeby zdarzył się tragiczny wypadek.

- Jeszcze jakieś rady?

- Wróc do Burdżu taksówką. Tutaj jeżdżą jeszcze gorzej od nas. W Dubaju tylko nędzarze i samobójcy chodzą piechotą.

*

Wbrew radzie Michaiła Gabriel poszedł pieszo tętniącymi życiem uliczkami Deiry na nabrzeże Zatoki Dubajskiej. Niedaleko od głównego bazaru był dworzec *abra*. To była dubajska wersja weneckiego *traghetto*, mały prom przewożący pasażerów z jednej strony zatoki na drugą. Podczas przeprawy Gabriel wdał się w rozmowę ze znękanym życiem mężczyzną z przygranicznych terenów Pakistanu. Człowiek ten przyjechał do Dubaju, uciekając przed talibami i Al-Kaidą w nadziei, że zarobi dość pieniędzy, żeby sprowadzić tu żonę i czworo dzieci. Jak dotąd udawało mu się jedynie znaleźć dorywcze zajęcia, dzięki którym z trudem sam się utrzymywał, a co tu mówić o sześciuosobowej rodzinie.

Kiedy wysiadali z promu, Gabriel wsunął pięćset dirham do kieszeni workowatych spodni tamtego. Następnie w całonocnym kiosku kupił egzemplarz „Khaleej Times”, dubajskiej angielskojęzycznej gazety. Na pierwszej stronie był artykuł o planowanej wizycie Nadii al-Bakari, prezesce AAB Holdings. Gabriel włożył gazetę pod pachę i szedł jeszcze kawałek, zanim zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Michaił miał rację, myślał, sadowiąc się bezpiecznie na tylnym siedzeniu. W Dubaju tylko nędzarze i samobójcy chodzili piechotą.

Jego królewska wysokość, minister finansów, stał na skraju osłonecznionej płyty lotniska, olśniewający w swych przystrojonych złotem i kryształkami szatach. Po jego prawej stronie stało dziesięciu identycznie odzianych niższych rangą ministrów, a po ich prawej stronie snuła się gromada wyraźnie znudzonych dziennikarzy. Ministrów i dziennikarzy czekał uświęcony tradycją w sunnickich królestwach Zatoki Perskiej rytuał: powitanie na lotnisku. W świecie, w którym nie istniała tradycja niezależnego dziennikarstwa, przyloty i wyloty ważnych osobistości uważano za najważniejsze krajowe wydarzenia. Sednem pracy dziennikarza było zobaczyć, jak dostojnik ląduje, a następnie odlatuje po jakże owocnych rozmowach pełnych wzajemnego szacunku. Podczas tych spotkań rzadko mówiono prawdę, a sparaliżowane media i tak nigdy nie ośmielały się podać jej do wiadomości publicznej. Dzisiejsza ceremonia miała stanowić swego rodzaju kamień milowy, gdyż już za kilka minut nawet książęta zostaną oszukani.

Pierwszy samolot pojawił się krótko po dwunastej w południe, srebrzystobiałe błysk ponad tumanem różowawego pyłu z Pustego Kwartału Arabii Saudyjskiej. Na pokładzie znajdował się angielski potentat finansowy nazwiskiem Thomas Fowler, który wcale nie był Anglikiem i w rzeczywistości nie miał grosza przy duszy. Gdy schodził po schodkach dla pasażerów, tuż za nim szła żona, która tak naprawdę nie była jego żoną, i trzy asystentki, które znacznie więcej wiedziały o islamskim terroryzmie niż o biznesie i finansach. Jedna pracowała dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, a dwie pozostałe dla tajnych służb wywiadowczych Izraela. Towarzysząca im ekipa ochroniarzy również pracowała dla izraelskiego wywiadu, chociaż w paszportach figurowali jako obywatele Australii i Nowej Zelandii.

Angielski potentat szedł w stronę ministra z ręką wyciągniętą niczym bagnet. Minister opieszale wyjął swoją z fałd szat, podobnie jak jego dziesięciu podwładnych. Gdy rytuał powitalny dobiegł końca, Anglik został podprowadzony do dziennikarzy, by wygłosić krótkie oświadczenie. Mówił bez pomocy notatek, za to z wielkim przekonaniem i pasją. Recesja Dubaju skończyła się, oznajmił. Przyszła pora, by znów podjąć marsz ku przyszłości. Świat arabski zmieniał się z minuty na minutę. I tylko Dubaj - postępowy, tolerancyjny i stabilny Dubaj - mógł wytyczyć kierunek tych zmian.

Końcowa część oświadczenia nie wywołała takiej reakcji mediów, na jaką

zasługiwała, gdyż w dużej mierze zagłuszył ją przyłot drugiego samolotu - boeinga business jeta z logo AAB Holdings z siedzibą w Rijadzie i Paryżu. Towarzystwo, które wkrótce zaczęło się wyłaniać z przedniej kabiny, przyćmiło ekipę angielskiego potentata. Najpierw pokazali się prawnicy z firmy Abdul & Abdul. Następnie Herr Wehrli, szwajcarski doradca finansowy. Potem Daoud Hamza. Następnie córka Hamzy, Rahimah, która przyleciała dla rozrywki. Po Rahimie dwóch pracowników ochrony, a za nimi Mansur, szef prężnego działu podróży AAB, i Hasan, szef IT i komunikacji.

Wreszcie, kilka sekund później, w drzwiach samolotu pojawiła się Nadia al-Bakari wraz ze swym szefem ochrony, Rafiqiem al-Kamalem, idącym krok za nią. Miała na sobie prostą czarną abaję opływającą jej ciało niczym suknią wieczorowa i czarną jedwabistą chustkę na głowie, odsłaniającą całą twarz i sporą część lśniących włosów. Tym razem to minister ruszył w jej stronę. Sądził, że ich powitanie jest intymne, ale bynajmniej tak nie było. Zostało uchwycone przez specjalnie oprogramowany BlackBerry Nadii i przez nadajnik ukryty w jej stylowej torebce Prady, a następnie transmitowane bezpiecznie na czterdzieste drugie piętro hotelu Burdż al-Arab, gdzie Gabriel i Eli Lawon siedzieli w napięciu przed komputerami.

Kiedy ceremonia powitalna dobiegła końca, minister pogardliwym gestem wskazał reporterów, jednak słynąca ze swej nieprzystępności dziedziczka odmówiła i skierowała się prosto do swojej limuzyny. A wtedy minister zaproponował, by zamiast tego jechała wraz z nim. Po krótkiej naradzie z Rafiqiem al-Kamalem Nadia wsiadła do urzędowego wozu ministra - co pół godziny później cały kraj mógł zobaczyć w telewizji Dubai TV. Gabriel wysłał bezpieczny e-mail do Adriana Cartera w Raszidystanie, informując go, że NAB bezpiecznie dotarła na miejsce. Tym razem jednak nie była sama. NAB była u boku ministra finansów. I NAB była gwiazdą południowych wiadomości.

*

Rzeczona nieruchomość nie prezentowała się zbyt okazale - parę mało zachęcających akrów nizin solnych i piasku tuż nad plażą Palm Jumeirah. Kilka lat wcześniej włoska firma rozpoczęła tutaj budowę dosyć konwencjonalnego ośrodka wypoczynkowego, została jednak zmuszona do zwinięcia manatków, kiedy fundusze wyparowały niczym woda na pustyni. AAB Holdings oraz jej brytyjski partner, drapieżna firma inwestycyjna Rogers & Cressey, zamierzali reanimować ten projekt, choć ich plany bynajmniej nie były konwencjonalne. Wielopiętrowy hotel miał przewyższać Burdż al-Arab pod względem luksusu, centra fitness i korty tenisowe miały należeć do najwspanialszych na świecie, a baseny pływackie stanowić zarówno architektoniczne, jak i urbanistyczne cuda. Najlepsi szefowie kuchni będą prowadzić

restauracje, a styliści o międzynarodowej sławie - salony fryzjerskie. Ceny lokali mieszkalnych miały się zaczynać od równowartości trzech milionów dolarów. Pasaż handlowy zdecydowanie przyćmi centrum handlowe Mall of the Emirates.

Wpływ tej inwestycji na podupadającą gospodarkę Dubaju zapowiadał się szalenie obiecująco. Według przewidywań AAB miała ona przynosić Dubajowi ponad sto milionów dolarów rocznie. I od razu wysłać reszcie finansowego świata jednoznaczny sygnał, że emirat znów jest otwarty na interesy. Dlatego właśnie minister zdawał się spijać każde słowo z ust Nadii, gdy ta oglądała parcelę, z projektami w dłoni i w kasku ochronnym na głowie. Ten wizerunek był przez nią starannie przemyślany. Świat muzułmański nie mógł dłużej gnębić połowy swej populacji jedynie z powodu płci. Tylko wtedy, gdy Arabowie będą traktować kobiety na równych prawach, zdołają odzyskać niegdysiejszą chwałę.

Po opuszczeniu placu budowy delegacja udała się do ozdobnych biur ministerialnych, żeby omówić pakiet motywacyjny, proponowany przez Dubaj w ramach zachęty do sfinalizowania umowy. Po zakończeniu spotkania Nadia została zawieziona do pałacu, by porozmawiać na osobności z władcą, a następnie rozpoczęła się tak zwana nieoficjalna część jej wizyty. Obejmowała ona herbatkę z członkiniami dubajskiego Biznesowego Forum Kobiecego, odwiedzinę w islamskiej szkole dla dziewcząt oraz zwiedzanie obozu dla cudzoziemskich robotników w Sonapur. Poruszona do łez straszliwymi warunkami przerwała swoje długie publiczne milczenie, wzywając rząd i przedsiębiorców do wprowadzenia minimalnych standardów płacy i odpowiedniego traktowania imigranckich robotników. Zobowiązała się również do przekazania dwudziestu milionów dolarów z własnych pieniędzy na budowę nowego obozu w Sonapur, łącznie z klimatyzowanymi budynkami mieszkalnymi, bieżącą wodą i podstawowymi obiektami rekreacyjnymi. Ani telewizja Dubai TV, ani „Khaleej Times” nie ośmieliły się opublikować jej uwag. Minister ostrzegł dziennikarzy, by lepiej tego nie robili.

Dochodziła szósta wieczorem, kiedy Nadia opuściła obóz i ruszyła z powrotem do miasta. Zapadł zmrok, gdy kawalkada samochodów dotarła do dzielnicy Jumeirah Beach, a słynne skrzydła hotelu Burdż al-Arab w kształcie arabskiego jednomasztowca zostały oświetlone na purpurowo-różowo. Dyrektor generalny i wyżsi rangą pracownicy czekali przed wejściem, gdy Nadia wysiadała ze swojej limuzyny, mając rąbek abai ubrudzony błotem Sonapur. Zmęczona podróżą i spotkaniami, które zaczęły się o świcie w Paryżu, przywitała się z nimi pospiesznie i udała się prosto do swego zwykłego apartamentu na czterdziestym drugim piętrze. Dwaj pracownicy jej ochrony już stali przy drzwiach. Rafiq al-Kamal dokonał pobieżnej inspekcji pokoi, zanim pozwolił Nadii wejść do środka.

- Moje ostatnie dzisiejsze spotkanie będzie trwało od dziewiątej do około dziesiątej - powiedziała, rzucając torebkę od Prady na sofę w salonie. - Przekaż Mansurowi, żeby zarezerwował czas wylotu na jedenastą. I poproś, proszę, Rahimę, żeby raz w życiu stawiała się w porę. W przeciwnym wypadku może wracać do Paryża liniami Air France.

- Może powinienem jej powiedzieć, żeby była na lotnisku nie później niż o jedenastej trzydzieści.

- To kusząca propozycja - uśmiechnęła się Nadia - ale nie wydaje mi się, żeby jej ojciec był zadowolony.

Al-Kamal najwyraźniej zwlekał z odejściem.

- Czy coś nie tak? - zapytała.

Zawahał się.

- Dzisiaj w tym obozie...

- O co chodzi, Rafiq?

- Nikt nigdy nie kiwnął nawet palcem w sprawie tych nieszczęśników. Najwyższa pora, by ktoś przemówił w ich imieniu. Cieszę się, że to właśnie pani. - Urwał, po czym dodał: - I byłem dumny, że mogłem stać u pani boku.

Uśmiechnęła się.

- O dziewiątej - przypomniała. - Nie spóźnij się.

- Zasady Ziziego - powiedział.

Przytaknęła.

- Zasady Ziziego.

Gdy została sama, Nadia zdjęła abaję i chustkę, po czym przebrała się w kostium Chanel. Zakryła część włosów dobraną kolorystycznie apaszką i wsunęła na nadgarstek zegarek od Harry'ego Winstona. Następnie przejrzała się w lustrze. *Proszę trzymać się prawdy, kiedy to tylko możliwe. Kłamać jedynie w ostateczności.* Prawda spoglądała na nią z lustra. Kłamstwo czekało w sąsiednim pokoju. Otworzyła drzwi łączące pokój z sąsiednim apartamentem i zapukała dwa razy w drzwi z przeciwnej strony. Otworzyły się natychmiast, ukazując kobietę, która przypominała nieco Sarę Bancroft. Ta położyła palec na ustach i w milczeniu wciągnęła Nadię do środka.

Apartament został zarejestrowany na nazwisko Thomas Fowler. Stąd istna džungla darmowych kwiatów, półmiski pełne darmowych arabskich słodczy i nieotwarta butelka darmowego Dom Perignon pocąca się w wiaderku stopionego lodu. Adresat tej szczodrości przemierzał krzykliwie urządzonego salon, dopracowując ostatnie szczegóły transakcji, której tak naprawdę wcale nie zamierzał zrealizować. Co kilka sekund jego współpracownicy zadawali jakieś pytanie albo rzucali kilka zachęcających liczb - wszystko to z uwagi na ukryte mikrofony Władcy. Nikt z członków zespołu nie zwrócił uwagi na obecność Nadii ani też nie zdziwił się, kiedy Sara natychmiast zaprowadziła ją do łazienki. W części z umywalką znajdowała się przypominająca namiot konstrukcja z matowego srebrnego materiału. Przed otwarciem klapy Sara wzięła od Nadii jej BlackBerry. Gabriel już siedział w środku. Gestem poprosił Nadię, by usiadła na wolnym krześle.

- Namiot w łazience - uśmiechnęła się Nadia. - Jakie to beduińskie z waszej strony.

- Nie tylko wy pochodzicie z pustyni.

Rozejrzała się po wnętrzu namiotu, wyraźnie zaintrygowana.

- Co to jest?

- Nazywamy to chupą. Pozwala nam rozmawiać swobodnie w pomieszczeniach, w których wiemy, że jest podsłuch.

- Mogę to dostać, kiedy już będzie po wszystkim?

Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że nie.

Dotknęła materiału. Miał metaliczną fakturę.

- Czy chupy nie używa się podczas żydowskiej ceremonii zaślubin?

- Śluby i przysięgi składamy pod chupą. Są dla nas bardzo ważne.

- Więc to nasza ceremonia zaślubin? - spytała, wciąż głaszcząc materiał.

- Jestem już zajęty. Poza tym złożyłem pani uroczyste przyrzeczenie w pewnej rezydencji pod Paryżem.

Położyła dłoń na kolanach.

- Pański scenariusz na dziś to prawdziwe dzieło sztuki - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że stanęłam na wysokości zadania.

- Była pani wspaniała, Nadio, chociaż ta improwizacja w Sonapur może się wydawać

dość kosztowna.

- Dwadzieścia milionów dolarów na nowy obóz? Chociaż tyle mogę dla nich zrobić.

- Czy mam poprosić CIA, żeby za to zapłacili?

- Ja zapłacę - odparła.

Gabriel przyjrzał się kostiumowi Nadii.

- Pasuje jak ulał.

- Lepiej niż te, które mam szyte na zamówienie.

- Jesteśmy krawcami z zawodu, wysoko wyspecjalizowanymi krawcami. Ten kostium może zrobić wszystko poza pójściem na spotkanie z potworem, który ma ręce we krwi. Do tego potrzebujemy pani.

- Urwał, po czym powiedział: - Ostatnia szansa, Nadio.

- Żeby się wycofać?

- Nie myślelibyśmy o tym w ten sposób. I nikt z nas nie miałby pani tego za złe.

- Nie wycofuję się ze zobowiązań, panie Allon, już nie. Zresztą oboje wiemy, że teraz nie ma już czasu na wątpliwości. - Spojrzała na zegarek od Harry'ego Winstona. - Właściwie w każdej chwili spodziewam się telefonu od mojego bankiera. Więc jeśli ma pan dla mnie jakąś ostatnią radę...

- Proszę tylko pamiętać, kim pani jest, Nadio. Jest pani córką Ziziego al-Bakariego. Potomkinią Wahhaba. Nikt nie może pani mówić, dokąd iść ani co robić. I nikt nie może zmieniać planów. Jeśli będą próbowali zmienić plan, proszę im powiedzieć, że spotkanie odwołane. Następnie proszę zadzwonić do Mansura, żeby przyspieszył czas odlotu. Czy to jasne?

Kiwnęła głową.

- Zakładamy, że spotkanie będzie miało miejsce raczej w apartamencie niż w publicznej części hotelu. Kluczowe jest, żeby kazała pani Samirowi podać numer pokoju, zanim opuści pani hol. Proszę nalegać. A jeśli będzie usiłował mamrotać, proszę powtórzyć numer na tyle głośno, żebyśmy go usłyszeli. Zrozumiano?

Znów kiwnęła głową.

- Spróbujemy wysłać kogoś windą razem z panią, ale będzie musiał wysiąść na innym piętrze. Od tej pory będzie pani poza naszym zasięgiem i jedyną pani ochroną będzie Rafiq. W żadnym wypadku nie wolno pani wejść do pokoju bez niego. To kolejna czerwona linia. Gdyby próbowali panią do tego skłonić, proszę natychmiast odejść. Jeśli wszystko pójdzie gładko, proszę wejść i rozpocząć spotkanie. To nie będzie okazja towarzyska ani dyskusja polityczna. To transakcja biznesowa. Proszę wysłuchać, co on ma do powiedzenia,

powiedzieć mu to, co chce usłyszeć, a potem jechać na lotnisko. Pani samolot to łódź ratunkowa. A wylot zaplanowany na jedenastą to wymówka, żeby się spieszyć. O dziesiątej ma pani...

- Opuścić hotel - dopowiedziała.

Gabriel skinął głową.

- Proszę pamiętać o etykiecie telefonicznej. Niech pani zaproponuje, że wyłączy swój aparat jako dowód dobrych intencji. Proszę poprosić, żeby wyłączyli swoje i wyjęli karty SIM. Jeśli odmówią albo powiedzą, że to niekonieczne, proszę nie nalegać. To bez znaczenia.

- Gdzie są pluskwy?

- Jakie pluskwy?

- Nie bawmy się w takie gierki, panie Allon.

Postukał bok jej torebki i skinął głową w stronę przodu jej zakietu.

- Możliwe, że poproszą, by zostawiła pani torebkę w drugim pokoju. Jeśli tak się stanie, proszę zgodzić się bez wahania. Nie ma mowy, żeby znaleźli to, co tam ukryliśmy.

- A jeśli poproszą, żebym zdjęła ubranie?

- To wojownicy świętej wojny. Nie ośmielą się.

- Mógłby się pan zdziwić. - Nadia opuściła wzrok na swój biust.

- Niech pani sobie nie zawraca głowy szukaniem mikrofonów. Nigdy ich pani nie znajdzie. Mogliśmy ukryć w tym kostiumie również kamerę, ale ze względu na pani bezpieczeństwo zrezygnowaliśmy z tego.

- Więc nie będziecie mogli zobaczyć, co się dzieje w pokoju?

- Z chwilą gdy wyłączy pani telefon, będziemy ślepi. To oznacza, że tylko pani będzie wiedziała, jak on wygląda. Jeśli będzie pani mogła zrobić to bezpiecznie, i t y l k o wtedy, proszę do mnie zadzwonić po spotkaniu i powiedzieć mi coś o jego wyglądzie. Podać kilka szczegółów. A potem proszę się rozłączyć i jechać na lotnisko. Będziemy jechać za panią tak długo, jak to będzie możliwe.

- A potem?

- Wróci pani do Paryża i zapomni o naszym istnieniu.

- Coś mi mówi, że to nie będzie możliwe.

- To nie takie trudne, jak się pani wydaje. - Ujął ją za rękę. - To prawdziwy zaszczyt pracować z panią, Nadio. Proszę tego źle nie zrozumieć, ale mam nadzieję, że po dzisiejszym wieczorze już nigdy się nie zobaczymy.

- Wcale bym tego nie chciała. - Spojrzała na zegarek, który jej ojciec dał Sarze, i zobaczyła, że jest trzy po dziewiątej.

- Facet się spóźnia - powiedziała. - Arabska przypadłość.
- Celowo posunęliśmy zegarek trochę do przodu, żeby panią zmobilizować.
- Która naprawdę jest godzina? - spytała, ale zanim Gabriel zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jej telefon. Była punktualnie dziewiąta. Pora, by Nadia ruszyła do akcji.

Osobliwością długiej i legendarnej kariery Ariego Szamrona był fakt, że prawie wcale nie przebywał w Langley, co on sam uważał za jedno ze swych największych osiągnięć. Tak więc, jak można było przewidzieć, był zbulwersowany, kiedy się dowiedział, że Uzi Nawot zgodził się ustanowić swoją kwaterę polową w imponującym centrum operacyjnym Langley - Raszidyście. Dla Szamrona przyjęcie zaproszenia Amerykanów było przyznaniem się do słabości, grzechem głównym w świecie szpiegostwa, ale Nawot postrzegał to w bardziej pragmatycznych kategoriach. Amerykanie nie byli wrogami - w każdym razie nie dziś wieczór - i dysponowali możliwościami technologicznymi, które były stanowczo zbyt cenne, by je odrzucić tylko z powodu zawodowej dumy.

W ramach drobnego ustępstwa na rzecz Szamrona Raszidyśta został oczyszczony ze wszystkich zbędnych i niewtajemniczonych osób, tak że pozostała tylko podstawowa załoga zaprawiona w bojach i nieugięta. O dziewiątej wieczorem czasu dubajskiego większość z nich krążyła niespokojnie wokół stanowiska pośrodku sali, gdzie Szamron, Nawot i Adrian Carter siedzieli wpatrzni w ostatnią bezpieczną wiadomość od zespołu z Burdż al-Arab. Stwierdziła ona, że Nadia al-Bakari zmierza do hotelowego holu, ze swym zaufanym szefem ochrony, Rafiqiem al-Kamalem, u boku. Trzech asów wywiadu wiedziało, że wiadomość ta została już usunięta na drugi plan przez wydarzenia na miejscu, ponieważ słuchali właśnie, jak Nadia i al-Kamal idą przez wysokie, mierzące 590 stóp atrium hotelu. Źródło przekazu dźwiękowego stanowił jej zapluskwiony BlackBerry, który tkwił w jej zapluskwionej torebce od Prady.

O 21:04 lokalnego czasu urządzenie uchwyciło krótką rozmowę pomiędzy Nadią i jej bankierem, Samirem Abbasem. Ponieważ została przeprowadzona w szybkim potocznym języku arabskim, Carter jej nie rozumiał. Co innego natomiast Nawot i Szamron.

- No i? - zapytał Carter.

- Jedzie na górę, żeby się z kimś spotkać - odparł Nawot. - Czy to Malik al-Zubair czy też Nikt al-Ktośtam, to się dopiero okaże.

- Zdołali panowie zrozumieć numer pokoju?

Nawot kiwnął głową.

- Mamy go wysłać Gabrielowi?

- To nie będzie konieczne.

- Usłyszał go?

- Bardzo wyraźnie.

*

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Nadia pozwoliła Abbasowi i al-Kamalowi wyjść na korytarz jako pierwszym, a sama wysiadła zaraz za nimi. Co ciekawe, zupełnie nie czuła strachu, jedynie determinację. Dziwnie podobną do tej, jaka towarzyszyła jej podczas pierwszych ważnych spotkań biznesowych po przejęciu kontroli nad AAB Holdings. Wielu członków zespołu jej ojca liczyło po cichu na jej porażkę - a kilku spiskowało wręcz przeciwko niej - ale Nadia zdołała zaskoczyć ich wszystkich. Jeśli chodziło o interesy, dowiodła już, że dorównuje swemu ojcu. A teraz miała jeszcze wykazać, że dorównuje mu w tej sferze jego życia, której nigdy nie opisywano na łamach „Forbesa” ani „Wall Street Journal”. To tylko kilka minut, przypominała sama sobie. To potrwa tylko tyle. Kilka minut w jednym z najbezpieczniejszych hoteli na świecie i potwora o rękach splamionych krwią tysięcy niewinnych ludzi spotka to, na co zasłużył.

Abbas zatrzymał się przed drzwiami pokoju 1437 i zapukał równie delikatnie, jak Esmeralda pukała każdego ranka do drzwi sypialni Nadii w Paryżu. Całkiem nieoczekiwanie Nadia pomyślała o zegarze Thomasa Tompiona stojącym na jej nocnym stoliku i o tych licznych nieuśmiechniętych fotografiach ojca oprawionych w srebro. Czekając, aż drzwi się otworzą, postanowiła wreszcie oddać zegar do naprawy. Poprzysięgła sobie także, że pozbędzie się tych fotografii. Po dzisiejszym wieczorze, myślała, koniec z pozorami. Jej czas na ziemi był policzony, a ona nie miała ochoty spędzać swych ostatnich dni ze zdjęciami mordercy.

Kiedy Abbas zapukał po raz drugi, drzwi uchyliły się, ukazując barczystego mężczyznę ubranego w białą kandourę i ghutrę typowe dla rodowitego mieszkańca emiratu. Miał przyciemniane okulary w złotej oprawce i starannie przystrzyżoną brodę z plamkami siwizny wokół podbródka. Pośrodku jego płaskiego czoła widniała wyraźna *zebiba*, guz od modlitw, która wyglądała na świeżo podrażnioną. Mężczyzna w niczym nie przypominał człowieka z komputerowych fotografii, które Nadia oglądała w Londynie.

Odziana w długie szaty postać otworzyła drzwi o kilka cali szerzej i ruchem oczu zaprosiła Nadię do środka. Mężczyzna pozwolił Rafiqowi al-Kamalowi wejść za nią, Abbasowi natomiast nakazał wrócić do holu. Miał akcent mieszkańca Górnego Egiptu. Za nim stało jeszcze dwóch mężczyzn w nieskazitelnych białych szatach i nakryciach głowy. Oni także mieli okulary w złotych oprawkach i przetykane siwizną przystrzyżone brody. Kiedy drzwi się zamknęły, Egipcjanin podniósł dłoń do ucha i powiedział cicho:

- Pani telefon, proszę.

Nadia wyjęła BlackBerry z torebki i oddała mu. Egipcjanin natychmiast przekazał urządzenie jednemu ze swoich klonów, który unieszkodliwił go z szybkością świadcząca o obeznaniu z technologią.

- Teraz pański - powiedziała Nadia pełnym głosem. Skinęła głową w stronę tamtych dwóch mężczyzn i dodała: - Ich także.

Barczysty Egipcjanin wyraźnie nie przywykł, by kobiety zwracały się do niego inaczej niż pokornym tonem. Spojrzał na swoich dwóch towarzyszy i kiwnięciem głowy polecił im rozmontować również ich komórki. Zrobili to bez protestów.

- Skończyliśmy? - spytała Nadia.

- Telefon pani ochroniarza - powiedział tamten. - I pani torebka.

- Co z moją torebką?

- Czuliśmy się swobodniej, gdyby zostawiła ją pani tutaj, przy drzwiach. Zapewniam panią, że jej zawartość będzie bezpieczna.

Nadia zsunęła torebkę z ramienia w sposób dający do zrozumienia, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Nie mamy całej nocy, moi bracia. Jeśli chcecie mnie prosić o kolejną donację, proponuję, żebyśmy przeszli do rzeczy.

- Proszę nam wybaczyć, panno al-Bakari, ale nasi wrogowie mają ogromne środki techniczne. Z pewnością kobieta z pani pozycją wie, co może się stać, kiedy człowiek jest nieostrożny.

Nadia popatrzyła na al-Kamala, który w odpowiedzi oddał swój telefon.

- Powiedziano mi, że życzy sobie pani, by pani ochroniarz był obecny podczas spotkania - powiedział Egipcjanin.

- Nie - sprostowała Nadia - n a l e g a m, by był obecny.

- Ufa pani temu człowiekowi? - spytał tamten, zerkając na al-Kamala.

- Bezgranicznie.

- Doskonale - skwitował. - Tędy, proszę.

Poszła za trzema odzianymi w szaty mężczyznami do należącego do apartamentu salonu, gdzie dwaj kolejni mężczyźni w takich samych strojach czekali w półmroku. Jeden siedział na kanapie i oglądał relację z ostatniego zamachu bombowego w Pakistanie w telewizji Al-Dżazira. Drugi podziwiał widok drapaczy chmur przy ulicy Szejka Zayed. Odwrócił się powoli, niczym posąg na cokole, i zmierzył Nadię wzrokiem przez przyciemnione okulary w złotych oprawkach. Nie odezwał się. Nadia też nie. Prawdę

mówiąc, w tym momencie bynajmniej nie była pewna, czy w ogóle będzie w stanie wydobyć z siebie głos.

- Czy coś się stało, panno al-Bakari? - zapytał jordańskim arabskim.

- Po prostu bardzo mi pan przypomina człowieka, który kiedyś pracował dla mojego ojca - odparła bez wahania.

Milczał długą chwilę. Wreszcie zerknął na ekran telewizora i powiedział:

- Właśnie przed momentem mówiono o pani w wieczornych wiadomościach. Miała pani dzisiaj pracowity dzień. Moje gratulacje, panno al-Bakari. Pani ojciec rozegrałby to w ten sam sposób. Słyszałem, że zawsze bardzo zręcznie łączył legalne interesy z zakatem.

- Był dobrym nauczycielem.

- Naprawdę zamierza go pani wybudować?

- Ośrodek wypoczynkowy? - Wzruszyła ramionami. - Ostatnie, czego Dubaj teraz potrzebuje, to kolejny hotel.

- Zwłaszcza taki, w którym podają alkohol i pozwalają pijanym cudzoziemcom paradować po plaży półnago.

Nadia w odpowiedzi popatrzyła jedynie na pozostałych mężczyzn w pokoju.

- To tylko środki ostrożności z mojej strony, panno al-Bakari. Ściany mają nie tylko uszy, ale i oczy.

- Niezwykle skuteczne - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Nie powiedział mi pan jeszcze, jak się pan nazywa.

- Może mnie pani nazywać panem Darwishem.

- Mój czas jest ograniczony, panie Darwish.

- Ma pani godzinę, jak mi przekazano.

- Dokładnie pięćdziesiąt minut - sprostowała Nadia, spoglądając na zegarek.

- Nasze przedsięwzięcie poważnie ucierpiało.

- Słyszałam.

- Potrzebujemy dodatkowych środków finansowych, by nadrobić straty.

- Dałam wam kilka milionów funtów.

- Obawiam się, że niemal w całości zostały zamrożone lub przechwycone. Jeśli mamy odbudować naszą organizację, szczególnie na Zachodzie, będziemy potrzebowali zastrzyku nowego kapitału.

- Dlaczego miałabym nagradzać waszą niekompetencję?

- Zapewniam panią, panno al-Bakari, że wyciągnęliśmy nauczkę z naszych błędów.

- Jakie zmiany zamierzacie wprowadzić?

- Lepszy system zabezpieczeń połączony z agresywnym planem przeniesienia walki bezpośrednio na teren naszych rywali.

- Ekspansja? - spytała.

- Jeśli człowiek się nie rozwija, panno al-Bakari, umiera.

- Słucham, panie Darwish.

*

Skoro BlackBerry Nadii był unieszkodliwiony, a jej torebka leżała na podłodze przy drzwiach, transmisja dźwiękowa spotkania, które odbywało się właśnie w pokoju 1437, pochodziła, całkiem dosłownie, z ubrania, które miała na sobie. Choć nadajnik wszyty w żakiet miał bardzo krótki zasięg, wystarczał, by bezpiecznie przesłać wyraźny sygnał na czterdzieste drugie piętro tego samego budynku. Tam, za drzwiami zamkniętymi na dwa spusty i zabarykadowanymi meblami, Gabriel i Eli Lawon czekali, aż ich komputery podadzą prawdziwe nazwisko mężczyzny, który właśnie przedstawił się jako pan Darwish.

Program do identyfikacji głosu uznał pierwszych kilka sekund spotkania za niewystarczające, by przeprowadzić porównanie. To się zmieniło, kiedy pan Darwish zaczął mówić o pieniądzach. Teraz program szybko porównywał próbkę jego głosu z wcześniejszymi nagraniami. Gabriel był właściwie pewien wniosku, do jakiego lada chwila miały dojść komputery. Morderca już złożył swój podpis, nie za pośrednictwem głosu, lecz czterech cyfr. Składały się na numer pokoju, w którym odbywało się spotkanie. Gabriel nie musiał ich dodawać, odejmować, mnożyć ani przestawiać w żaden sposób. Musiał jedynie przeczytać je jako godzinę: 14:37 to był dokładny czas detonowania przez Farida Khana bomby w Covent Garden.

Pięć minut po wejściu Nadii do apartamentu komputer wydał swój werdykt. Gabriel uniósł do ust bezpieczny radiotelefon i poinstruował swój zespół, by zaczęli się szykować do wykonania wyroku. To Malik, powiedział. I niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece.

Patykowaty Rosjanin zgłosił się do recepcji trzydzieści sekund później. Miał drobnokościstą, bladą twarz i oczy koloru glacialnego lodu. Legitymował się amerykańskim paszportem na nazwisko Anthony Colvin, jego karta American Express potwierdzała tę tożsamość. Bębnił palcami o blat, czekając, aż ładna Filipinka odszuka jego rezerwację. Trzymał przy uchu telefon komórkowy, jakby od tego zależało jego życie.

- O tutaj jest - zaśpiewała Filipinka. - Luksusowy apartament z jedną sypialnią na dwudziestym dziewiątym piętrze na trzy noce. Zgadza się, panie Colvin?

- Jeśli to nie kłopot - odparł, odejmując telefon od ucha - wolałbym coś na czternastym piętrze.

- Dwudzieste dziewiąte uchodzi za atrakcyjniejsze.

- Spędziliśmy z żoną miesiąc miodowy na czternastym piętrze. Chcielibyśmy znów tam się zatrzymać. Z powodów sentymentalnych - dodał. - Z pewnością pani to rozumie.

Nie rozumiała. Filipinka pracowała na dwunastogodzinne zmiany i dzieliła jednopokojowe mieszkanie w Deirze z ośmioma innymi dziewczynami. Jej życie miłosne polegało na bronieniu się przed pijanymi obmacywaczami i gwałcicielami, którzy błędnie zakładali, że dorabia na boku w kwitnym w Dubaju seksbiznesie. Wcisnęła kilka klawiszy w komputerze i na jej twarzy pojawił się plastikowy uśmiech.

- Tak się składa - powiedziała - że mamy kilka wolnych pokoi na czternastym piętrze. Pamięta pan numer pokoju, w którym zatrzymali się państwo podczas miesiąca miodowego?

- Wydaje mi się, że tysiąc czterysta trzydzieści siedem - odparł.

Wyglądała na zmartwioną.

- Niestety, ten pokój jest obecnie zajęty, panie Colvin. Natomiast apartament obok jest wolny, podobnie jak ten bezpośrednio naprzeciwko.

- Poproszę ten naprzeciwko.

- Jest trochę droższy.

- Nie ma problemu - odparł Rosjanin.

- Będę potrzebowała paszport pańskiej żony.

- Dołączy do mnie jutro.

- Proszę ją poprosić, żeby po przyjeździe zgłosiła się do recepcji.

- Oczywiście - zapewnił.

- Czy potrzebuje pan pomocy przy wnoszeniu bagaży?

- Dziękuję, dam sobie radę.

Dała mu dwa elektroniczne klucze do pokoju i skierowała go do właściwej windy. Zgodnie z obietnicą pokój znajdował się dokładnie naprzeciwko pokoju 1437. Po wejściu Rosjanin natychmiast włączył światelko „Nie przeszkadzać” i zamknął drzwi na dwa spusty. Następnie otworzył walizkę. W środku znajdowało się kilka ubrań cuchnących ciecierzycą i kminem. Była tam także beretta 9 mm i glock .45, dwie igły do zastrzyków, dwie fiołki sukcynylocholiny, laptop i mała wężowa kamera o wysokiej rozdzielczości. Umieścił kamerę w szparze pod drzwiami i podłączył ją kabelkiem do komputera. Po ustawieniu kąta widzenia napelnił strzykawki sukcynylocholiną i naładował broń. Następnie usadowił się przed komputerem i czekał.

Przez następne czterdzieści pięć minut miał okazję obserwować oblicze Burdż al-Arab, jakiego nie pokazywano na stronie internetowej hotelu ani w jego błyszczących broszurkach. Kelnerzy biegający jak oszalali od pokoju do pokoju. Zmęczone pokojówki. Etiopska niania trzymająca za rękę rozhisteryzowane dziecko. Australijski biznesmen pod rękę z ukraińską prostytutką. Wreszcie punkt dziesiąty zobaczył piękną Arabkę wychodzącą z pokoju 1437 wraz z czujnym ochroniarzem za plecami. Kiedy kobieta i ochroniarz już poszli, z drzwi wychylił się barczysty mężczyzna i rozejrzał się na korytarzu w obie strony. Biała *kandouraighutra*. Przyciemniane okulary w złotej oprawce. Starannie przystrzyżona broda z plamkami siwizny w okolicach podbródka. Rosjanin podniósł glocka i spokojnie umieścił nabój w komorze.

Szczegółami dotyczącymi wyjazdu Nadii al-Bakari z Burdż al-Arab zajął się nie Gabriel i jego zespół, lecz Mansur, szef działu podróży AAB. Nie musiała martwić się o bagaże, gdyż Mansur osobiście dopilnował, by wszystko zostało zabrane. Nie miała też nic do zapłacenia, ponieważ rachunki zostały już przesłane do głównej siedziby AAB w Paryżu. Nadia miała jedynie wyjść na okrągły podjazd, gdzie samochód czekał na nią tuż przed wejściem do hotelu. Kiedy już usadowiła się na tylnym siedzeniu, poprosiła kierowcę i Rafiqą al-Kamala, by na chwilę zostawili ją samą. Gdy spełnili jej prośbę, wybrała numer zapisany w pamięci jej BlackBerry. Gabriel natychmiast odebrał i odezwał się po arabsku.

- Proszę powiedzieć, jak wyglądał.

- Biała *kandoura*. Biała *ghutra*. Przyciemniane okulary w złotej oprawce. Starannie przystrzyżona broda z odrobiną siwizny.

- Świetnie się pani spisała, Nadio. Proszę jechać na lotnisko i wracać do domu.

- Niech pan zaczeka! - krzyknęła. - Muszę panu powiedzieć coś jeszcze.

*

Chociaż Nadia tego nie wiedziała, Gabriel siedział w holu, sprawiając wrażenie człowieka, który przyjechał do Dubaju raczej w sprawach zawodowych niż dla przyjemności, co zresztą było prawdą. Na stoliku przed nim stał laptop. Przy uchu miał umocowaną słuchawkę i mikrofon niewymagającej użycia rąk komórki, która służyła również jako bezpieczny radiotelefon. Użył go, by powiadomić swój rozległy zespół, że operacja właśnie natrafiła na pierwszą przeszkodę.

*

Nadia zastukała telefonem w szybę i dała znak kierowcy i al-Kamalowi, że mogą jechać. Kilka sekund później, gdy pędzili drogą na grobli dzielącej Burdż od stałego lądu, Rafiq al-Kamal spytał:

- Czy powinienem coś wiedzieć?

- Tego spotkania wcale nie było.

- Jakiego spotkania? - zapytał szef ochrony.

Nadia zdobyła się na uśmiech.

- Proszę powiedzieć Mansurowi, że jesteśmy w drodze na lotnisko. Proszę mu powiedzieć, żeby przyspieszył czas odlotu, jeśli to możliwe. Chciałabym dotrzeć do Paryża o

rozsądnej porze.

Al-Kamal wyjął swój telefon i wybrał numer.

*

- Może Allah jednak naprawdę jest po jego stronie - powiedział Adrian Carter. Wpatrywał się z niedowierzaniem w ostatnią wiadomość Gabriela z Dubaju. Głosiła ona, że Malik al-Zubair, mistrz terroru, miał właśnie opuścić Burdż al-Arab w otoczeniu czterech idealnych kopii.

- Obawiam się, że Bóg ma z tym bardzo niewiele wspólnego - odparł Nawot. - Malik od lat stawał w szranki z najlepszymi agencjami wywiadu na świecie. Zna reguły gry.

Nawot popatrzył na Szamrona, który obracał nerwowo w palcach swoją starą zapalniczkę Zippo.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo.

- Mamy przed hotelem cztery wozy - powiedział Nawot. - Zgodnie z naszymi zasadami operacyjnymi, to wystarczy, by śledzić j e d e n samochód, dwa góra. Jeśli pięciu podobnie ubranych mężczyzn wsiądzie do pięciu różnych samochodów... - zawiesił głos. - Może powinniśmy zacząć myśleć o zabranii ich stamtąd, szefie.

- Zadaliśmy sobie sporo trudu, żeby rozmieścić zespół w Dubaju na dzisiejszy wieczór, Uzi. Możemy przynajmniej pozwolić im zostać tam na tyle długo, żeby chociaż spróbowali rzucić okiem na głowę Malika. - Zerknął na rząd zegarów jarzących się na jednej ze ścian Raszidystanu i spytał: - Jaki jest stan samolotu Nadii?

- Zatankowany i gotowy do startu. Reszta jej zespołu właśnie wsiada na pokład.

- A gdzie znajduje się w tej chwili gwiazda wieczoru?

- Zmierza na północny wschód drogą Szejka Zayed'a z prędkością czterdziestu sześciu mil na godzinę.

- Mogę ją zobaczyć?

Gabriel chwycił za telefon. Kilka sekund później mrugające czerwone światelko pojawiło się na jednym ze ściennych ekranów, poruszając się na północny wschód po siatce współrzędnych miasta Dubaju. Szamron obracał z niepokojem zapalniczkę, śledząc równomierny ruch światelka.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

*

Pierwszy range rover wjechał na podjazd hotelu Burdż al-Arab dwie minuty po odjeździe Nadii. Drugi pojawił się zaraz potem, a chwilę później nadjechał jeszcze mercedes GL i dwa denali. Gabriel włączył swój bezpieczny radiotelefon, ale to Michał odezwał się

pierwszy.

- Wychodzą z pokoju - powiedział.

Gabriel nie musiał pytać, ilu ich jest. Odpowiedź znajdowała się na podjeździe. Pięć jeepów dla pięciu mężczyzn. Gabriel musiał stwierdzić, który z tej piątki to Malik, zanim którykolwiek z nich wyjdzie poza hotel. A był na to tylko jeden sposób. Gabriel wydał polecenie.

- Ich jest pięciu, ja jeden - odparł Michaił.

- Im dłużej będziesz gadał, tym większa szansa, że go zgubimy.

Michaił rozłączył się bez słowa. Gabriel zerknął na swój laptop, żeby sprawdzić, gdzie jest Nadia.

Była w połowie drogi na lotnisko.

*

Michaił zabezpieczył pokój i wyszedł na korytarz. Glocka, wraz z przykręconym tłumikiem, miał teraz w okolicach krzyża. Napelniona strzykawka znajdowała się w zewnętrznej kieszeni jego kurtki. Spojrzał w prawo i zobaczył pięciu mężczyzn w białych kandurach i ghutrach skręcających za róg do holu z windami. Przez kilka sekund szedł normalnie, ale przyspieszył kroku, kiedy usłyszał dźwięk sygnalizujący, że przyjechała winda. Kiedy doszedł do holu, pięciu mężczyzn zdążyło już wsiąść i lśniące złote drzwi zaczęły się zamykać. Wepchnął się do środka, mamrocząc słowa przeprosin, i stał z przodu, tuż przy drzwiach, gdy te zamykały się po raz drugi. W odbiciu widział pięciu identycznych mężczyzn. Pięć takich samych zarostów przetykanych siwizną. Pięć par takich samych okularów w złotych oprawkach. Pięć guzów od modlitw wyglądających na świeżo podrażnione. Była tylko jedna różnica. Czterech mężczyzn patrzyło prosto na Michaiła. Piąty miał wzrok wbity w swoje buty.

Malik...

*

Dwadzieścia dwa piętra wyżej Samir Abbas, bankier zajmujący się zbieraniem funduszy na rzecz globalnego ruchu dżihadystycznego, nadrabiał co nieco zaległości w legalnej pracy dla banku TransArabian, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Spodziewał się tego; Egipcjanin mówił, że przyśle kogoś do niego, kiedy spotkanie z Nadią dobiegnie końca. Jak się okazało, przysłał nie jednego, lecz dwóch ludzi. Byli ubrani jak mieszkańcy emiratu, ale akcent, z jakim mówili, zdradzał ich jordańskie pochodzenie. Abbas wpuścił ich bez wahania.

- Spotkanie się udało? - spytał.

- Znakomicie - odparł starszy z dwóch mężczyzn. - Panna al-Bakari zgodziła się raz

jeszcze wesprzeć naszą sprawę. Chcielibyśmy jeszcze omówić z panem kilka szczegółów.

Abbas odwrócił się, żeby ich zaprowadzić do saloniku. Dopiero gdy poczuł garotę wbijającą mu się w szyję, uświadomił sobie swój błąd. Nie mogąc zaczerpnąć oddechu ani wydobyć dźwięku, Abbas drapał rozpaczliwie cienki metalowy drut przecinający mu skórę. Brak tlenu szybko nadwątlił jego siły i stawiał jedynie symboliczny opór, gdy tamci rzucili go twarzą na podłogę. Wtedy poczuł, że coś jeszcze przecina mu szyję, i zdał sobie sprawę, że zamierzają uciąć mu głowę. To była kara dla niewiernych, apostatów i wrogów dżihadu. Samir Abbas nie był żadnym z nich. Był wierzący, był tajnym żołnierzem w armii Allaha. Ale za chwilę, z przyczyn, których nie pojmował, miał stać się shahidem.

Na szczęście Abbas zaczął tracić przytomność. Pomyślał jeszcze o pieniądzach ukrytych w spizarce jego mieszkania w Zurychu i miał nadzieję, że Johara i dzieci znajdą je któregoś dnia. Następnie zmusił się do bezruchu i poddania się woli Boga.

Nóż zadał mu jeszcze kilka gwałtownych cięć. Abbas ujrzał wybuch jaskrawego białego światła i uznał, że to światłość raju. Potem światło zgasło i nie było już nic.

Winda zatrzymywała się dwa razy, zanim zjechała na sam dół. Opalona Brytyjka wsiadła na jedenastym piętrze, chiński biznesmen na siódmym. Pojawienie się nowych pasażerów zmusiło Michaiła do cofnięcia się w głąb windy. Stał teraz tak blisko Malika, że czuł woń kawy w jego oddechu. Na plecach czuł krzepiący dotyk glocka, ale to strzykawka w kieszeni kurtki zaprzętała mu myśli. Korciło go, by wbić igłę w udo Malika. Zamiast tego patrzył na sufit albo na swój zegarek, albo na numery pięter wyświetlające się nad drzwiami - wszędzie, byle nie na twarz mordercy stojącego tuż obok niego. Kiedy drzwi wreszcie otwarły się po raz trzeci, poszedł za Brytyjką i chińskim biznesmenem w kierunku baru.

- To ten drugi od lewej - powiedział przez telefon.

- Jesteś pewien?

- Na tyle pewien, że mógłbym kropnąć go na miejscu, gdybyś mi kazał.

- Nie tutaj.

- Nie pozwól mu odjechać. Zróbmy to teraz, kiedy mamy okazję.

Gabriel rozłączył się. Michaił wszedł do baru, policzył powoli do dziesięciu i wyszedł.

*

Gabriel pakował swój laptop i prowadził fikcyjną pospieszną rozmowę po francusku, kiedy Malik i jego czterej towarzysze przemierzali dziarsko hol w swoich białych szatach. Na zewnątrz wdali się w wymianę zamasztych uścisków dłoni i formalnych pocałunków, zanim każdy z nich skierował się do swojego jeepa. Pomimo tego zamieszania, stanowiącego końcowy element fizycznej złudy, Gabriel nie miał kłopotów ze śledzeniem wzrokiem Malika, gdy ten wsiadał na tył jednego z denali. Kiedy pięć samochodów odjechało, dwie toyoty land cruisery zajęły ich miejsce. Michaił zdołał przybrać lekko znudzony wyraz twarzy, kiedy mijał parkingowego i wsiadał na przedni fotel dla pasażera. Gabriel wsiadł do drugiej toyoty. „Zapnij pas - poleciła mu Chiara, ruszając natychmiast. - Ci ludzie jeżdżą jak szaleńcy”.

*

Wiadomość, że Malik znajduje się pod obserwacją Biura, dotarła do Raszydystanu o 22:12 czasu dubajskiego. Wywołała krótki wybuch emocji wśród podstawowej załogi, ale nie u trzech asów wywiadu skupionych pośrodku sali. Szamron wydawał się szczególnie zasmucony, gdy śledził mrugające czerwone światełko, które przesuwano się po drodze Szejka

Zayed.

- Przyszło mi do głowy, że od jakiegoś czasu nie mamy wieści od naszego przyjaciela Samira Abbasa - powiedział, wciąż wpatrzony w ekran na ścianie. - Czy można by zadzwonić na jego komórkę z numeru, który rozpozna?

- Jakiegoś konkretnego? - spytał Carter.

- Może z numeru jego żony - odparł Szamron. - Samir zawsze wydawał mi się typem rodzinnym.

- Właśnie powiedziałeś o nim w czasie przeszłym.

- Naprawdę? - spytał Szamron w roztargnieniu.

Carter popatrzył na jednego z techników i rzucił:

- Zróbcie to.

*

Mieszkańcy Dubaju nie tylko należą do najbogatszych ludzi na świecie, ale też statystycznie są jednymi z najgorszych kierowców. Stłuczki - czy to z udziałem innego samochodu, czy to pieszego, czy to jakiegoś przedmiotu - zdarzają się w emiracie co dwie minuty, przynosząc średnio trzy wypadki śmiertelne dziennie. Typowy kierowca nie widzi żadnego problemu w przecinaniu w poprzek wielopasmówki przy dużym ruchu czy w siedzeniu na ogonie samochodowi jadącemu przed nim, prując z prędkością stu mil na godzinę i jednocześnie rozmawiając przez komórkę. W rezultacie mało kto zwrócił uwagę na szaleńczy pościg, który odbył się krótko po dziesiątej wieczorem na drodze wiodącej do Jebel Ali. To był po prostu kolejny wieczór na tutejszych drogach.

Szosa miała cztery pasy w każdą stronę i trawiasty pas zieleni pośrodku oraz sygnalizację świetlną, którą większość miejscowych traktowała jak niechciane rady. Gabriel kurczowo trzymał się podłokietnika, gdy Chiara sprawnie manewrowała wielkim land cruiserem w tłumie innych podobnych wozów. Ponieważ był czwartkowy wieczór, początek weekendu w islamskim świecie, ruch był większy niż w zwykły wieczór. Ogromne jeepy stanowiły raczej normę niż wyjątek. Za kierownicą większości z nich siedzieli brodaci mężczyźni w białych kandurach i gutrach.

Pięć wozów z kawalkady Malika rozgrywało swego rodzaju Thimblery na kółkach. Poruszali się zygziem, skręcali gwałtownie, włączali długie światła, by rozpędzić maruderów - a wszystko to było jak najbardziej stosowne na anarchicznych szosach Dubaju. Chiara i trzej pozostali kierowcy ekipy pościgu starali się jak mogli, by nie stracić kontaktu ze ściganym. To była niebezpieczna sprawa. Pomimo drogowego bezprawia policja emiratu nie odnosiła się przychylnie do cudzoziemców, którzy powodowali wypadki. Malik wiedział to

oczywiście. Gabriel zastanawiał się, co jeszcze wiedział Malik. Zaczynał się niepokoić, że te kunsztowne środki bezpieczeństwa to coś więcej niż zwykła ostrożność, że Malik, jak zwykle, wyprzedzał o krok swoich przeciwników.

Zblizali się do portu Jebel Ali. Śmignęli obok imponującego parku rozrywki Ibn Battuta i centrum handlowego, a potem obok zakładów odsalania: Dubaj w pigułce. Gabriel ledwie dostrzegł te atrakcje. Obserwował starannie rozpracowany choreograficznie manewr, który rozgrywał się na szosie tuż przed nimi. Cztery jeepy jechały teraz obok siebie, zajmując wszystkie cztery pasy ruchu. Zmniejszyły prędkość, stosując bardzo skuteczną taktykę blokowania. Piąty jeep, denali, w którym jechał Malik, przyspieszał gwałtownie.

- On ucieka, Chiaro. Musisz ich wyprzedzić.

- Jak?

- Znajdź jakiś sposób.

Chiara ostro skręciła w lewo. Potem w prawo. Za każdym razem któryś jeep tarasował drogę.

- Wciśnij się między nich.

- Gabriel!

- Zrób to!

Spróbowała. To było niemożliwe.

Dojeżdżali do końca wolnej strefy Jebel Ali. Za nią rozciągała się pustynia dzieląca Dubaj od emiratu Abu Zabi. Gabriel nie mógł już dojrzeć denali Malika; był jedynie odległą gwiazdą w galaktyce innych tylnych światła. Tuż przed nimi światła uliczne zmieniły się z zielonych na żółte. Cztery jeepy natychmiast zwolniły, z pewnością pierwszy taki przypadek w Dubaju, i zatrzymały się. Odezwały się klaksony, jedna z kopii Malika wysiadła i długą chwilę wpatrywała się w Gabriela, zanim powiodła kciukiem niczym nożem w poprzek własnej szyi. Gabriel szybko połączył się przez radio ze swoim zespołem, ustalił, że wszyscy są bezpieczni, i przedstawił im sytuację. Następnie wybrał numer BlackBerry Nadii. Nie było odpowiedzi.

61.

DUBAJ

Boeing business jet należący do AAB Holdings opuścił międzynarodowe lotnisko w Dubaju o 22:40. Wszystko wskazywało na to, że Nadii al-Bakari, prezeski firmy, nie było wówczas na pokładzie.

Jej BlackBerry przestał nadawać o 22:14, gdy jej samochód przemierzał Zatokę Dubajską, i od tamtej pory nie wysyłał żadnego sygnału. Chwilę przedtem Nadia gawędziła przyjaźnie z Rafiqiem al-Kamalem. Ostatnim dźwiękiem uchwyconym przez urządzenie było przylumiony stukot, który mógł oznaczać wszystko od walki na śmierć i życie do postukiwania przez Nadię palcem wskazującym w ekran telefonu, co często jej się zdarzało podczas jazdy samochodem. Nadajniki ukryte w jej torebce i ubraniu znajdowały się w chwili zerwania połączenia telefonicznego daleko poza zasięgiem urządzeń podsłuchowych w Burdz al-Arab, tak więc nie dostarczyły żadnych wskazówek dotyczących tego, co się zdarzyło.

W dalszym ciągu funkcjonowały jedynie sygnały GPS. W końcu przestały się poruszać na pustej parceli przy drodze Dubai-Hatta, niedaleko klubu polo. Gabriel znalazł kostium Chanel Nadii o 22:53, a zegarek kilka minut później. Zaniósł oba te przedmioty do land cruisera i obejrzał je w świetle tablicy rozdzielczej. Materiał kostiumu był rozdarty w kilku miejscach, a na kołnierzyku widniały plamy krwi. Szkiełko zegarka zostało zmiażdżone, ale napis na spodzie pozostał czytelny i wyraźny. *Za przyszłość, Thomas.*

Polecił Chiarze wracać do hotelu, a potem wysłał wiadomość do Langley ze swego BlackBerry. Odpowiedź przysłała dwie minuty później. Gabriel zaklął cicho, gdy ją przeczytał.

- Co piszą?

- Chcą, żebyśmy natychmiast jechali na lotnisko.

- A co z Nadią?

- Nie ma żadnej Nadii - odparł Gabriel, chowając BlackBerry do kieszeni kurtki. - W każdym razie jeśli chodzi o Langley i Szamrona. Dla nich ona już nie istnieje.

- Więc mamy ją zostawić? - spytała Chiara ze złością, patrząc na drogę przed sobą. - Tego właśnie chcą? Wykorzystać jej pieniądze i jej nazwisko, a potem rzucić ją wilkom na pożarcie? Wiesz, co oni z nią zrobią?

- Zabiją ją - odrzekł Gabriel. - I to na pewno nie będzie lekka śmierć. Oni nie tak załatwiają te sprawy.

- Może ona już nie żyje - powiedziała Chiara. - Może to właśnie usiłował ci powiedzieć kumpel Malika.

- Możliwe - odparł Gabriel - ale szczerze w to wątpię. Nie zawracaliby sobie głowy zdejmowaniem z niej ubrań i biżuterii, gdyby zamierzali zabić ją od razu. Takie postępowanie świadczy raczej o tym, że chcieli pomówić z nią na osobności, co zresztą jest zrozumiałe. W końcu to z jej powodu stracili swoją siatkę.

BlackBerry Gabriela znów zadzwieczał. To była kolejna wiadomość z Langley z prośbą o potwierdzenie, że otrzymał polecenie przerwania operacji. Gabriel zignorował wiadomość i z ponurą miną patrzył przez okno na światła dzielnicy finansowej.

- Czy jest coś, co możemy dla niej zrobić? - zapytała Chiara.

- Myślę, że to zależy wyłącznie od Malika.

- Malik to potwór. I możesz być pewien, że on wie, że jesteś tu, w Dubaju.

- Nawet potworom można przemówić do rozsądku.

- Nie dżihadystom. Oni nie uznają rozsądku. - Przez chwilę prowadziła w milczeniu, jedną rękę trzymając na kierownicy, a w drugiej ściskając zakrwawiony kostium Nadii. - Wiem, że dałeś jej słowo - powiedziała wreszcie - ale mnie też przysięgałeś.

- Mam pozwolić jej umrzeć, Chiaro?

- Na Boga, nie!

- To co chcesz, żebym zrobił?

- Dlaczego to ja muszę podejmować tę decyzję?

- Bo tylko ty możesz to zrobić.

Chiara miała w dłoni materiał kostiumu Chiary, po policzkach płynęły jej łzy. Gabriel spytał, czy chce, żeby to on prowadził. Zdawała się go nie słyszeć.

*

Wiadomość od Gabriela wyświetliła się na monitorach Raszydystanu trzydzieści sekund później. Szamron wpatrywał się w nią skonsternowany. Następnie zapalił papierosa, łamiąc obowiązujące w Langley drakońskie zasady dotyczące niepalenia, i powiedział: „Myślę, że to dobry moment, żeby umieścić w powietrzu kilka samolotów, a na ziemi trochę żołnierzy”. W odpowiedzi Carter i Nawot równocześnie sięgnęli po telefony. W ciągu kilku minut samoloty wyleciały z tajnej bazy CIA w Bahrajnie, a żołnierze zmierzali po cichu po czarnych wodach zatoki w stronę plaży w Jebel Ali.

*

Kiedy Gabriel i Chiara wrócili do hotelu, reszta zespołu była już pochłonięta pospieszną, acz metodyczną ewakuacją. Rozpoczęła się po otrzymaniu rozkazu Szamrona i

była prowadzona przez niejakiego Thomasa Fowlera, nowo mianowanego wspólnika w firmie inwestycyjnej Rogers & Cressey. Kierownictwu hotelu powiedziano, że to nieoczekiwane wymeldowanie wynika z nagłej choroby jednej z pracownic pana Fowlera. Operator naziemny międzynarodowego lotniska w Dubaju otrzymał tę samą informację. Przygotowywano prywatny samolot pana Fowlera na godzinę drugą w nocy. Załozce powiedziano, że nie przewiduje się żadnego opóźnienia.

Pomimo pośpiechu zespół zdołał zachować ścisłą operacyjną dyscyplinę w obrębie hotelu. W pokojach, w których podejrzewano podsłuch, zwracali się do siebie nawzajem fałszywymi imionami i mówili głównie o interesach i finansach. Jedyne wyraz ich twarzy zdradzał udrękę, jaką wszyscy odczuwali, i tylko pod osłoną chupy ośmielali się mówić prawdę. Chroniony przed podsłuchem Władcy Gabriel odbył pełną napięcia rozmowę telefoniczną z Szamronem i Nawotem w Raszidyście. Rozmawiał także twarzą w twarz z członkami swego zespołu. Większość z tych spotkań była konkretna i rzeczowa; kilka miało charakter konfrontacyjny. Chiara przyszła do niego jako ostatnia. Przypomniała mu tamto popołudnie, kiedy kochali się w domu nad Jeziorem Zuryskim, kiedy jej ciało płonęło jak od gorączki. Następnie po raz ostatni pocałowała go w usta, po czym wzięła swój bagaż i zjechała windą do holu.

Szamron zawsze uważał, że karierę w mniejszym stopniu wyznaczają osiągnięte sukcesy niż poniesione klęski. „Każdy głupi może odbyć rundę honorową - tę słynną uwagę uczynił kiedyś podczas wykładu w Akademii - ale tylko naprawdę wielki oficer potrafi zachować panowanie nad sobą i nie odsłonić się, kiedy jest załamany”. Gdyby tak było faktycznie, Szamron miałby do czynienia z uosobieniem wielkości tamtej nocy, kiedy legendarny zespół Gabriela opuszczał hotel Burdż al-Arab i jechał na lotnisko. Jedyne Chiara wyglądała na zrozpaczoną, częściowo dlatego, że naprawdę była załamana, ale również z tego powodu, że podjęła się odegrać rolę ciężko chorej pracownicy. Kierownictwo hotelu życzyło jej szybkiego powrotu do zdrowia, gdy pomagali jej usadowić się na tylnym siedzeniu hotelowej limuzyny. Pan Fowler dał sute napiwki parkingowym, zanim usadowił się obok niej.

Jechali tą samą drogą co Nadia wcześniej tego wieczoru, z tym że oni dotarli na lotnisko bez przeszkód. Po pobieżnej kontroli paszportowej zdecydowali się natychmiast wsiąść do samolotu, zamiast czekać w luksusowo wyposażonej poczekalni dla VIP-ów. Dzięki odwołanemu samolotowi mogli wystartować nawet wcześniej, niż oczekiwali, i o wpół do drugiej lecieli już ponad czernią Pustego Kwartału.

Dwóch członków załogi nie było na pokładzie. Michaił zmierzał na odludną plażę na

zachód od Jebel Ali; Gabriel zaś do starej dzielnicy Dubaju znanej jako Deira. Zostawił swoją toyotę land cruisera nad Corniche, poszedł pieszo do odrapanego budynku mieszkalnego niedaleko Złotego Suku i wspiął się na górę po schodach cuchnących ciecierzycą i kminem. W mieszkaniu usiadł przy łuszczącym się kuchennym stole i wpatrywał się w ekran swojego BlackBerry. Dla zabicia czasu odtworzył w myślach całą operację. Gdzieś po drodze nastąpił jakiś przeciek albo akt zdrady. Zamierzał znaleźć osobę, która była za to odpowiedzialna. A potem ją zabić.

*

Minęło kolejne dwadzieścia minut, zanim Michaił usłyszał trzeszczenie głosu w swoim radiotelefonie. Powiedział słowo albo dwa, nie więcej. Mimo to Michaił go rozpoznał. Słyszał ten głos wiele razy przedtem - w piekle Gazy, na wzgórzach południowego Libanu, w zaułkach Jerycha, Nablusu i Hebronu. Dwukrotnie błysnął światłami, na chwilę oświetlając kredowobiałą plażę, i niespokojnie bębnił palcami na kierownicy, gdy zaciemniony ponton Zodiac przybił do brzegu. Wysiadło z niego czterech mężczyzn, każdy z nylonową torbą w rękę. Wyglądali jak Arabowie. Poruszali się jak Arabowie. Używali nawet wody kolońskiej, która sprawiała, że pachnieli jak Arabowie. Ale to nie byli Arabowie. To byli członkowie elitarniej jednostki specjalnej Sayeret Matkal. A jeden z nich, Joaw Sawir, był kiedyś dowódcą Michaiła.

- Kopę lat - zagaił Joaw, siadając na przednim fotelu dla pasażera.
- Co się stało?
- Straciliśmy kogoś bardzo ważnego.
- Jak on się nazywa?
- To ona - odparł Michaił. - Ma na imię Nadia.
- Kto ją dorwał?
- Malik.
- Jaki Malik?
- Jedyny, który się liczy.
- O kurwa.

*

Światła gigantycznej stacji wydobywczej ropy naftowej Shaybah lśniły niczym neonowo zielone żarzące się węgielki na ściennych ekranach Raszidystanu. Obraz ten przekazywał na żywo bezzałogowy zdalnie sterowany samolot Predator, obecnie pod kontrolą załogi w Langley. Na polecenie Cartera samolot skręcił na wschód, następnie leciał nad główną drogą z powrotem w kierunku Dubaju, a jego noktowizyjne, sporządzające termogram

kamery przeszukiwały pustynię, wypatrując jakichkolwiek oznak życia tam, gdzie zazwyczaj ich nie było. Kiedy predator zbliżył się do portu w Jebel Ali, jego kamery zatrzymały się przelotnie na małym zodiacu wypływającym z powrotem na morze, z jedną świetlistą postacią na rufie. Nikt w Raszidystanie nie zwrócił zbytniej uwagi na ten obraz, ponieważ słuchali właśnie rozmowy telefonicznej Gabriela. Komputery rozpoznały numer dzwoniącego. Rozpoznały także jego głos. To był Malik al-Zubair. Jedyne Malik, który się liczył.

- Dziwię się, że odebrałeś. Może to prawda, co o tobie mówią.
- A co mówią, Malik?
- Że jesteś odważny. Że dotrzymujesz słowa. Osobiście jestem jednak sceptyczny.

Nigdy nie spotkałem Żyda, który nie byłby tchórzem i kłamcą.

- Nie wiedziałem, że w Zarqa jest taka duża społeczność żydowska.
- Dzięki Bogu w Zarqa nie ma Żydów, jedynie ofiary Żydów.
- Gdzie ona jest, Malik?
- Kto?
- Nadia - odparł Gabriel. - Co z nią zrobiłeś?
- Skąd przypuszczenie, że to ja ją mam?
- Bo tylko z jednego źródła mogłeś zdobyć ten numer telefonu.
- Cwany Żyd.
- Wypuść ją.
- W tej chwili chyba nie bardzo możesz stawiać żądania.
- Niczego nie żądam - odparł Gabriel spokojnie. - Proszę tylko, żebyś ją wypuścił.
- Taki humanitarny gest?
- Nazwij to sobie, jak chcesz. Tylko zachowaj się przyzwoicie.
- Zamordowałeś jej ojca na jej oczach i prosisz m n i e, żebym zachował się

przyzwoicie?

- Czego chcesz, Malik?
- Żądamy, żebyście wypuścili wszystkich naszych braci, którzy zostali aresztowani przez Amerykanów i ich sprzymierzeńców po waszym małym przedstawieniu. Ponadto domagamy się uwolnienia braci, którzy są nielegalnie przetrzymywani w Guantanamo Bay.

- Żadnych palestyńskich więźniów? Rozczarowujesz mnie.

- Nie chciałbym przeszkadzać w trwających negocjacjach pomiędzy wami a braćmi z Hamasu.

- Poproś o coś sensownego, Malik. O coś, co faktycznie mogę ci zapewnić.

- Nigdy nie negocjujemy z terrorystami. Wypuście naszych braci, a my wypuścimy waszego szpiega, bez dalszych krzywd cielesnych.

- Co jej zrobiłeś?

- Zapewniam cię, że to nic takiego w porównaniu z cierpieniami, jakich każdego dnia doznają nasi bracia w salach tortur w Kairze, w Ammanie i Rijadzie.

- Nie czytasz gazet, Malik? Świat arabski się zmienia. Nie ma już faraona. Dynastia saudyjska się rozpada. Mały haszemicki król Jordanii drży o własne życie. Porządni ludzie z arabskiego świata osiągnęli więcej w ciągu kilku miesięcy, niż Al-Kaida i jej podobni dokonali przez lata bezsensownych rzezi. Twój czas przeminął, Malik. Świat arabski już cię nie chce. Wypuść ją.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, Allon. - Umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, jak wyjść ze stworzonego przez siebie impasu. - Ale jest jeszcze inna możliwość.

Gabriel wysłuchał wskazówek Malika. Podobnie jak Szamron, Nawot i Carter.

- A co będzie, jeśli się nie zgodzimy? - zapytał Gabriel.

- Wtedy spotka ją tradycyjna kara za apostazję. Ale nie martw się. Będziesz mógł obejrzeć jej śmierć w internecie. Jemeńczyk chce wykorzystać ten film do rekrutacji nowych agentów na miejsce tych, których przez nią straciliśmy.

- Muszę mieć dowód, że ona wciąż żyje.

- Obawiam się, że będziesz musiał po prostu mi zaufać - odparł Malik. I rozłączył się.

*

BlackBerry Gabriela zadzwonił kilka sekund później. To był Adrian Carter.

- Z całą pewnością wciąż jest w Emiratach.

- Gdzie?

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie zdołała tego jeszcze wyliczyć, ale sądzą, że może być na zachodniej pustyni, niedaleko oazy Liwa. Mamy samolot nad tym terenem, a dwa kolejne już tam lecą.

Gabriel wyjął małe urządzenie z wewnętrznej kieszeni torby. Było wielkości przeciętnej tabletki antybiotyku. Z jednej strony znajdował się mikroskopijny metalowy przełącznik. Gabriel wcisnął go, po czym zapytał:

- Widzisz sygnał?

- Widzę - odparł Carter.

Gabriel połknął urządzenie.

- A teraz?

- Widzę.

- Suk rybny, za dziesięć minut.

- Zrozumiałem.

*

Gabriel wciąż miał na sobie strój biznesmena, którego udawał. Przelotnie rozważał, czyby się nie przebrać w coś bardziej odpowiedniego na noc na pustyni, ale uświadomił sobie, że to nie będzie konieczne. Ci, w których ręce wpadnie, zrobią to za niego. Włożył swój zegarek do torby, wraz z BlackBerry, portfelem, paszportem, bronią i paroma drobiazgami bez znaczenia, zaśmiecającymi mu kieszenie. Nie miał już przy sobie strzykawek ani sukcyňlocholiny, jedynie advil i lek na biegunkę. Połknął dość advilów, żeby tymczasowo przytłumić ból wskutek obrażeń, jakich mógłby doznać w ciągu najbliższych kilku godzin, i dość pastylek na biegunkę, żeby jego jelita skamieniały na następny miesiąc. Następnie zamknął torbę w szafie i zszedł po schodach na ulicę.

Pozostało mu sześć minut na dotarcie do suku rybnego. Mieścił się niedaleko ujścia Zatoki Dubajskiej nad Corniche. Mimo późnej pory przy nabrzeżu kręciły się grupki młodych mężczyzn - Pakistańcy, Banglijczycy, Filipińcy i czterej Arabowie, którzy wcale nie byli Arabami. Gabriel stanął blisko latarni, żeby być wyraźnie widoczny, i w ciągu kilku sekund jeep denali zatrzymał się tuż przed nimi.

Za kierownicą siedział jeden z klonów Malika. Drugi siedział z tyłu. Podobnie jak Rafiq al-Kamal, były szef ochrony Nadii al-Bakari.

To al-Kamal gestem nakazał Gabrielowi wsiąść do samochodu, to również al-Kamal trzydzieści sekund później zadał pierwszy cios - wbił Gabrielowi łokieć w pierś z taką siłą, że omal nie stanęło mu serce. Następnie rzucili go na podłogę i bili, ile sił w rękach. Żniwa się skończyły, pomyślał Gabriel, tracąc przytomność. Teraz przyszła pora na uctowanie.

63.

PUSTY KWARTAŁ, ARABIA SAUDYJSKA

Na mapach ten obszar określa się złowieszczym mianem Rub' al-Khali - dosłownie Kwartał Pustki. Beduini jednakże znają go pod inną nazwą. Nazywają go Piaski albo Wielka Pustynia. Obejmuje ona obszar wielkości Francji, Belgii i Holandii i rozciąga się od Omanu i Emiratów przez Arabię Saudyjską aż po część Jemenu. Wydmy wielkie jak góry wędrują po dnie pustyni gnane bezustannym wiatrem. Niektóre stoją samotnie. Inne łączą się w łańcuchy ciągnące się przez setki mil. Latem temperatura przekracza zwykle 60 stopni, w nocy spadając do 35. Deszczu prawie nie ma, roślin i zwierząt jest bardzo niewiele, podobnie jak ludzi, nie licząc Beduinów, bandytów i terrorystów z Al-Kaidy przemieszczających się swobodnie między granicami. Czas ma niewielkie znaczenie na Piaskach. Jeszcze dziś mierzy się go długością wyprawy do najbliższej studni.

Jak większość Saudyjczyków Nadia al-Bakari nigdy nie była w Pustym Kwartale. To zmieniło się jednak trzy godziny po jej porwaniu, chociaż Nadia nie była tego świadoma. Wstrzyknięto jej środek znieczulający, ketaminę, po którym miała wrażenie, że błąka się zagubiona po złoconych pokojach swojej młodości. Na chwilę ukazał jej się ojciec; miał na sobie tradycyjne szaty Beduinów i gniewne oblicze znane jako *juhayman*. Ciało miał podziurawione przez kule. Kazał jej dotykać swoich ran, a następnie skarcił ją za spiskowanie z tymi samymi ludźmi, którzy mu je zadali. Będzie musiała zostać ukarana, powiedział, tak jak Rena została ukarana za zhańbienie swojej rodziny. Taka była wola Boga. I nic już nie można zrobić.

Z chwilą gdy ojciec skazał ją na śmierć, Nadia zaczęła odzyskiwać przytomność. Miała wrażenie, że powoli unosi się ku górze, niczym nurek wynurzający się z wielkiej głębokości. Gdy wreszcie wyłoniła się na powierzchnię, zmusiła się do otwarcia oczu i wzięła głęboki oddech. Następnie usiłowała zorientować się w sytuacji. Leżała na boku na derce cuchnącej męskim potem i wielbłądem. Miała związane w przegubach ręce i była okryta cienkim strojem z półprzezroczystej bawełny. Materiał lśnił w świetle księżyca, podobnie jak *thobe* w stylu salafickim pilnującego jej mężczyzny. Na głowie miał czapkę *taqiyah*, a w ręce trzymał broń automatyczną z magazynkiem o kształcie banana. Pomimo to jego oczy były niezwykle łagodne jak na Araba. Nadia uświadomiła sobie, że już je kiedyś widziała. To były oczy Alego, taliba szejka Marwana Bin Tayyiba.

- Gdzie jestem? - spytała.

Odpowiedział zgodnie z prawdą. To nie był dobry znak.

- Jak się miewa Safia?

- Dobrze - odparł talib, uśmiechając się pomimo sytuacji.

- Ile jeszcze zostało do narodzin dziecka?

- Trzy miesiące - odpowiedział.

- *Inszallah*, to będzie chłopiec.

- Lekarze mówią, że będziemy mieli córeczkę.

- Nie wydajesz się niezadowolony.

- Bo nie jestem.

- Wybraliście już imię?

- Chcemy ją nazwać Hanan.

Po arabsku to znaczy „łaska, miłosierdzie”. Może więc jednak była nadzieja.

Talib zaczął recytować sobie cicho wersety Koranu. Nadia przekręciła się na plecy i patrzyła na gwiazdy. Wydawały się tak bliskie, że można by ich dotknąć. Słysząc było jedynie wersety Koranu i jakieś odległe buczenie. Przez chwilę sądziła, że to kolejna halucynacja wywołana narkotykiem - a może, pomyślała, jakieś zaburzenie w jej mózgu. A potem zamknęła oczy, wyciszając głos taliba, i nasłuchiwała uważnie. To nie halucynacja, uznała. To był jakiś samolot. I zbliżał się coraz bardziej.

*

Jedna wąska droga łączy Liwę, miasteczko-oazę Emiratów, ze stacją wydobywczą ropy naftowej Shaybah po drugiej stronie granicy w Arabii Saudyjskiej. Nadia przekroczyła graniczny punkt kontrolny jako śpiąca, ukryta pod abają i nikabem żona jednego z porywaczy. Gabriel musiał znieść tę samą zniewagę, chociaż - w przeciwieństwie do Nadii - był w pełni świadomy, co się dzieje.

Pod abają i nikabem miał na sobie niebieski kombinezon dubajskiego robotnika. Dostał go w magazynie fabrycznym w al-Khaznah, pustynnym miasteczku emiratu Abu Zabi, po tym jak został rozebrany z własnego ubrania i przeszukany pod kątem urządzeń sygnalizacyjnych i podsłuchowych. Tam został także pobity po raz drugi, w czym przodował Rafiq al-Kamal. Gabriel uważał, że Saudyjczyk ma prawo być na niego zły. W końcu Gabriel zabił jego dawnego szefa, a potem zwerbował córkę szefa jako agentkę. Udział al-Kamala w porwaniu Nadii nie dawał Gabrielowi spokoju. Z czyjego rozkazu, zastanawiał się, Saudyjczyk był tutaj? Terrorystów? Czy Saudów?

Chwilowo to nie miało znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, by ocalić życie Nadii. To wymagało ostatniego kłamstwa. Ostatniego oszustwa. Obmyślał to kłamstwo w drodze do

Shaybah, mając na sobie niebieski roboczy kombinezon i czarny kobiecy strój. Powtarzał je sobie raz po raz, aż sam w nie uwierzył.

*

Na ogromnych ekranach plazmowych w Langley był jedynie smugą migającego zielonego światła przesuwaną się przez Pusty Kwartał. Grupka pięciu kolejnych światełek mrugała w pobliżu miasta-oazy Liwa. Oznaczały położenie geograficzne Michaiła Abramowa i ekipy Sayeret Matkal.

- Nie ma mowy, żeby udało im się przekroczyć punkt kontroli granicznej - powiedział Carter.

- Więc go ominą - odparł Szamron.

- Wzdłuż całej granicy jest ogrodzenie.

- Ogradzenia nic nie znaczą dla żołnierzy Sayeret.

- Jak przeniosą przez nie land cruisera?

- Mają dwa land cruisery - sprostował Szamron - ale obawiam się, że żaden nie przejdzie przez to ogrodzenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Poczekamy, aż Gabriel przestanie się przemieszczać.

- A wtedy?

- Pójdą pieszo.

- Przez Pusty Kwartał? - spytał Carter z niedowierzaniem.

- Do tego właśnie zostali wyszkoleni.

- A jeśli natkną się na saudyjski patrol wojskowy?

- To myślę, że wtedy będziemy musieli odmówić za patrol kadysz - odparł Szamron. - Bo jeśli wpadnie na Michaiła Abramowa i Joawa Sawira, to przestanie istnieć.

*

W Liwie była całonocna stacja benzynowa i sklep obsługujące cudzoziemskich robotników i kierowców ciężarówek. Hindus za kontuarem wyglądał, jakby nie spał od miesiąca. Joaw, Arab, który nie był Arabem, kupił tyle jedzenia i wody, że starczyłoby dla małej armii, a do tego kilka tanich ghutr i trochę luźnych bawełnianych ubrań lubianych przez Pakistańczyków i Banglijczyków. Powiedział Hindusowi, że wraz z przyjaciółmi zamierzają spędzić parę dni na wydmach, obcując z Bogiem i przyrodą. Sprzedawca powiedział mu o szczególnie inspirującym wypiętrzeniu na północ od Liwy, przy granicy saudyjskiej. „Tylko uważajcie - dodał. - Tam się roi od przemytników i członków Al-Kaidy. Są bardzo niebezpieczni”. Joaw podziękował za ostrzeżenie, po czym zapłacił bez targowania się i

wyszedł do land cruiserów.

Jechali kawałek na północ, jak doradził im Hindus, ale kiedy znaleźli się za miastem, skręcili gwałtownie na południe. Wydmy były różowe i wysokie jak Wzgórza Judejskie. Jechali przez godzinę, trzymając się twardych piaszczystych równin, aż zatrzymali się pod płotem granicznym. Zbliżał się świt, więc szybko przykryli land cruisery siatkami maskującymi i przebrali się w kupione w Liwie ubrania. Joaw i inni członkowie Sayeret wyglądali jak Arabowie, ale Michał przywodził na myśl zachodniego podróżnika przybyłego tu w poszukiwaniu zaginionego miasta Arabii. Wyprawa rozpoczęła się pół godziny później, kiedy zielona smuga światła, oznaczająca Gabriela Allona, wreszcie przestała się poruszać w miejscu odległym o czterdzieści mil na zachód od pozycji ekipy. Załadowali do plecaków tyle broni i wody, ile mogli udźwignąć. Następnie przeleźli przez ogrodzenie graniczne i zaczęli iść.

64.

PUSTY KWARTAŁ, ARABIA SAUDYJSKA

Namiot postawiono we wgłębieniu ogromnej wydmy w kształcie podkowy. Zrobiony był zgodnie z beduińską tradycją z czarnych kozich skór, a otaczało go kilka odbarwionych od słońca pick-upów i jeepów. Kilka stóp od wejścia cztery zawoalowane kobiety z tatuażami z henny na rękach parzyły kawę z ziarnami kardamonu przy małym ognisku. Żadna nie zwróciła uwagi na pobitego mężczyznę w niebieskim kombinezonie, który ślaniając się, wysiadł z jeepa denali, dygocząc od zimnego porannego powietrza.

Wgłębienie wydmy wciąż pozostawało w ciemności, ale nad jej grzbietem pojawiła się nikła luna, a gwiazdy zaczęły blednąć. Pchnięty przez al-Kamala Gabriel ruszył chwiejnie w stronę namiotu. Głowa mu pękała, ale myśli pozostały jasne. I skupione na kłamstwie. Będzie je wykladał powoli, kawałeczek po kawałeczku, niczym miódowe ciastka. Tamci nie będą w stanie mu się oprzeć. Będzie grał na zwłokę, dopóki Michał i ekipa Sayeret nie dotrą do niego, kierując się sygnałem emitowanym przez urządzenie w jego wnętrznościach. Wyrzucił ten sygnał ze swoich myśli. Nie było żadnego sygnału, przypomniał sobie. Była tylko Nadia al-Bakari, kobieta o wiarygodnych dżihadystycznych referencjach, którą Gabriel szantażem zmusił do wypełnienia jego poleceń.

Malik stał teraz w otwarciu namiotu. Lśniącą białą kandourę zamienił na szarą *thobe*. Stopy miał gołe, głowę natomiast owiniętą ghutrą w czerwoną kratkę. Spoglądał na Gabriela nienawistnym wzrokiem, jakby się zastanawiał, gdzie wymierzyć pierwszy cios, poczym odsunął się na bok. W odpowiedzi al-Kamal pchnął Gabriela mocno między łopatkami, tak że wpadł do namiotu głową naprzód.

To jego pozbawione godności wejście najwyraźniej sprawiło ogromną przyjemność mężczyznom zebranych w środku. Było ich ośmiu, siedzieli w półkolu, pijąc pachnącą kardamonem kawę z filiżanek wielkości naparstka. Kilku miało tradycyjne wygięte sztylety džambija charakterystyczne dla Jemeńczyków, jeden natomiast wpatrywał się w ekran laptopa. Jego twarz wydała się Gabrielowi znajoma, podobnie jak głos, gdy wreszcie się odezwał. To był głos człowieka, którego Allah obdarzył piękną i uwodzicielską mową. To był głos Raszida.

*

W kamerach do sporządzania termogramu należących do predatora krążącego nad obozowiskiem zgromadzenie w beduińskim namiocie z kozich skór wyglądało niczym

jedenaście przypominających ameby świetlistych kul. W pobliżu było jeszcze kilka innych ludzkich źródeł ciepła. Cztery postacie siedziały przy małym ognisku. Wśród wydmy rozrzucone były oddziały strażników. I były jeszcze dwie postacie jakieś tysiąc jardów od południowego boku namiotu - jedna leżała na plecach na piasku, druga siedziała ze skrzyżowanymi nogami. Ponieważ zaczynało powoli świtać, Szamron zapytał Cartera, czy byłoby możliwe popatrzeć na te dwie postacie przez normalny obiektyw. Minęło kolejne pięć minut, zanim zrobiło się dostatecznie jasno, ale kiedy obraz pojawił się na ekranach Langley, był niezwykle wyraźny. Ukazywał ubraną na biało kobietę o kruczoczarnych włosach, strzeżoną przez brodatego mężczyznę, który trzymał coś, co wyglądało na AK-47. Niedaleko, po drugiej stronie dużej wydmy, w piasku pustyni wykopano cylindryczny dół. Obok dołu wznosił się stos kamieni.

Kiedy pracownicy Raszidystanu odzyskali panowanie nad sobą, Carter powiedział:

- Nie ma mowy, żeby Michaił i ekipa Sayeret dotarli tam na czas. A nawet gdyby, i tak zostaną zauważeni.

- Tak, Adrianie - odparł Szamron. - Zdaję sobie z tego sprawę.

- Może zadzwonię do księcia Nabila z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

- Po co miałbyś tracić czas na coś takiego?

- Może on mógłby coś zrobić, żeby zapobiec ich zabiciu.

- Może - odrzekł Szamron. - A może to wszystko sprawka Nabila.

- Myślisz, że Nabil wystawił Nadię Raszidowi i Malikowi?

- Jeśli chodzi o Nabila, ona jest heretyczką i dysydentką. Czy może być lepszy sposób na pozbycie się jej od wydania jej brodatym, żeby dokonali egzekucji?

Carter zaklął pod nosem. Szamron patrzył na zdjęcie z pustyni.

- Zakładam, że predatory są w pełni uzbrojone? - spytał.

- W pociski Hellfire - odparł Carter.

- Wystrzeliliście kiedyś jakiś w Arabii Saudyjskiej?

- Mowy nie ma.

- Rozumiem, że potrzebowalibyście zgody prezydenta, żeby to zrobić.

- Słuszne rozumowanie.

- To proszę, zadzwoń do niego teraz, Adrianie.

65.

PUSTY KWARTAŁ, ARABIA SAUDYJSKA

Raszid zaczął od wykładu. Był po części poetą, po części kaznodzieją, po części profesorem dżihadu. Ostrzegał, że Izrael wkrótce pójdzie w ślady rządów faraonów w Egipcie. Przepowiadał, że szariat przyjdzie do Europy, bez względu na to, czy Europa tego chce, czy nie. Ogłaszał, że wiek Ameryki wreszcie dobiegał końca, *al-hamdu lillah*. To było jedno z niewielu arabskich wyrażeń, jakich użył. Reszta została wygłoszona jego nienagannym potocznym angielskim. Zupełnie jakby zasad Salafa nauczał dzieciak z Best Buy.

Zwracał się nie do Gabriela, lecz do kamery cyfrowej ustawionej na statywie. Od czasu do czasu kiwał z emfazą długim palcem albo wymierzał go w swego sławnego jeńca, który siedział kilka stóp dalej, mrużąc nieco oczy w oślepiającym blasku dwóch stojących lamp. Gabriel mógł sobie tylko wyobrażać, jak te wykwyty gorąca wyglądały w kamerach predatora krążącego w górze. Miał poczucie, że znajduje się w dżihadystycznej wersji studia telewizyjnego, w którym Raszid pełni rolę konfrontacyjnego gospodarza programu. Malik, mistrz terroru, chodził powoli tam i z powrotem poza kamerą. Taki był właśnie charakter ich wzajemnych stosunków, myślał Gabriel. Raszid był gwiazdą występującą na wizji. Malik był zawziętym producentem, który dbał o kłopotliwe szczegóły. Raszid inspirował. Malik okaleczał i mordował, a wszystko to w imię Allaha.

Kiedy Raszid wreszcie zakończył swój wstępny monolog, przeszedł do głównej części programu: wywiadu. Na początek poprosił Gabriela, by podał swoje nazwisko i miejsce zamieszkania. Kiedy Gabriel odparł: „Roland Devereaux, Quebec, Kanada”, Raszid aż się zarumienił ze złości. Było w tym pewne dziecięce nadąsanie, które Gabriel mógłby uznać za zabawne, gdyby nie otaczali go mężczyźni z zakrzywionymi sztyletami dżambija. Poglądy Raszida były potworne, ale on sam jako osoba wydawał się dziwnie niegroźny. Dlatego właśnie potrzebował Malika.

- P r a w d z i w e imię i nazwisko - warknął Raszid. - Podaj mi imię, jakie nadano ci po urodzeniu.

- Znasz moje prawdziwe imię.

- Dlaczego nie chcesz mi go podać? - zapytał Raszid. - Wstydzisz się go?

- Nie - odparł Gabriel. - Po prostu nie używam go zbyt często.

- Chcę je usłyszeć.

Gabriel spełnił jego życzenie.

- Gdzie się urodziłeś?
- W dolinie Jezreel, w Izraelu.
- A gdzie się urodzili twoi rodzice?
- W Niemczech.

Raszid najwyraźniej uznał to za dowód wielkiej historycznej zbrodni.

- Twoi rodzice przeżyli tak zwany Holokaust? - zapytał.
- Nie, przeżyli prawdziwy Holokaust.
- Pracujesz dla służb wywiadowczych Państwa Izrael?
- Czasami.
- Jesteś zabójcą?
- Zabijałem na służbie.
- Uważasz się za żołnierza?
- Tak.
- Zabiłeś wielu Palestyńczyków?
- Tak, wielu.
- Jesteś dumny ze swojej pracy?
- Nie - odparł Gabriel.
- To dlaczego ją wykonujesz?
- Z powodu takich osób jak ty.
- Nasza sprawa jest słuszna.
- Wasza sprawa jest groteskowa.

Raszid wydawał się wytrącony z równowagi. Wywiad nie szedł zgodnie z planem.

Skierował go z powrotem na pewniejszy grunt.

- Gdzie byłeś wieczorem dwudziestego czwartego sierpnia dwa tysiące szóstego roku?
- W Cannes - odparł Gabriel bez wahania.
- We Francji?
- Tak, we Francji.
- I co tam robiłeś?
- Kierowałem pewną operacją.
- Jaki był charakter tej operacji?
- To było zabójstwo na zlecenie.
- A kto był jego celem?
- Abdul Aziz al-Bakari.

- Kto zlecił jego zabójstwo?

- Nie wiem.

Widać było, że Raszid mu nie wierzy, ale najwyraźniej nie chciał tracić cennego czasu antenowego na zamierzchłe dzieje.

- Czy brałeś udział w samym zabójstwie? - spytał.

- Tak.

- Czy widziałeś Nadię al-Bakari tamtego wieczoru?

- Tak, widziałem.

- A kiedy widziałeś ją następnym razem?

- W grudniu.

- Gdzie?

- W pałacu pod Paryżem.

- Co wydarzyło się potem?

*

Potem, powiedział Gabriel, powstał misterny plan, by szantażem zmusić jedną z najbogatszych kobiet świata do wykonania poleceń izraelskiego i amerykańskiego wywiadu. CIA dowiedziała się przez informatora, że tworząca się siatka Raszida rozpaczliwie potrzebuje pomocy finansowej. Agencja chciała dostarczyć pieniądze siatce, a potem śledzić je, gdy będą przepływać przez różne komórki i biznesowe przykrywki. Był tylko jeden problem. Pieniądze musiały pochodzić od kogoś, komu terroryści ufali. CIA zapytała wywiad izraelski, czy nie mają jakiegoś pomysłu. Wywiad izraelski miał pomysł. Podsunął nazwisko Nadii al-Bakari. Wysłannik izraelskiego wywiadu odwiedził pannę al-Bakari w Paryżu pod fałszywym pretekstem i jasno dał do zrozumienia, że firma AAB Holdings zostanie zrujnowana, jeśli panna al-Bakari nie zgodzi się współpracować.

- W jaki sposób mieliście zaszkodzić firmie? - zapytał Raszid.

- Poprzez szereg dobrze wyreżyserowanych przecieków do naszych przyjaciół z mediów.

- Żydowskich przyjaciół oczywiście.

- Tak, oczywiście.

- Jaki miał być charakter tych przecieków?

- Że AAB Holdings to dżihadystyczne przedsięwzięcie, tak jak było za życia jej ojca.

- Mów dalej.

Gabriel usłuchał. Przed kamerą przyjął strategię powściągliwości. To było kłamstwo, tak jak inne kłamstwa wychodzące z jego spuchniętych ust. Snuł te kłamliwe opowieści

powoli i w szczegółach. Raszid zdawał się słuchać uważnie każdego słowa.

- Twoja historia jest ciekawa - powiedział - ale obawiam się, że pozostaje w sprzeczności z tym, co już nam powiedziała panna al-Bakari. Twierdzi, że pomogła wam dobrowolnie.

- Kazaliśmy jej tak mówić.

- Groziliście jej?

- Stale.

- Skąd pochodziły pieniądze na operację?

- Od Nadii.

- Zmusiliście ją do użycia własnych pieniędzy?

- Zgadza się.

- Dlaczego nie skorzystaliście z funduszy rządowych?

- Budżet jest napięty.

- Nie mogliście znaleźć bogatego żydowskiego sponsora dla tego projektu?

- Sprawa była zbyt delikatna.

Raszid z pogardą popatrzył na kamerę, a potem na Gabriela.

- Panna al-Bakari odwiedziła wczoraj Dubaj - powiedział po chwili. - Jaki był cel tej wizyty?

- Sądzę, że miała tam zawrzeć ważną umowę związaną z zakupem i zagospodarowaniem nieruchomości.

- Prawdziwy cel, Allon.

- Wysłaliśmy ją tam, żeby zidentyfikowała wysokiego rangą agenta z waszej siatki.

- Miał zostać aresztowany?

- Nie - odparł Gabriel. - Miał zostać zabity.

Duchowny uśmiechnął się. Jego gość właśnie poczynił ważne wyznanie, takie, które Raszid mógł wykorzystać do wywołania wrzawy medialnej na całym świecie.

- Mam wrażenie, że ten epizod jest typowy dla całej tak zwanej wojny z terrorem. Nie możecie nas pokonać, Allon. A każda próba z waszej strony czyni nas tylko silniejszymi.

- Nie stajecie się silniejsi - odparował Gabriel. - Prawda jest taka, że umieracie. Świat arabski się zmienia. Wasz czas przeminął.

Uśmiech Raszida znikł. Przemówił tonem surowego nauczyciela sfrustrowanego tępotą ucznia.

- Z pewnością, Allon, człowiek taki jak ty nie jest na tyle naiwny, by sądzić, że to wielkie arabskie przebudzenie przyniesie demokrację w zachodnim stylu na Bliskim

Wschodzie. Może i rewolta zaczęła się od studentów i zwolenników sekularyzmu, ale to bracia będą mieli ostatnie słowo. My jesteśmy przyszłością. Niestety, ty już nie zobaczysz tej przyszłości. Ale zanim opuścisz tę ziemię, muszę zadać ci ostatnie pytanie. Czy chcesz poddać się woli islamu i stać się muzułmaninem?

- Tylko jeśli to powstrzyma cię przed zabiciem Nadii.
- To niemożliwe. Jej zbrodnia jest dużo gorsza niż twoja.
- W takim razie pozostanę Żydem.
- Więc niech tak będzie.

Raszid wstał. Malik wyłączył kamerę.

*

Pusty Kwartal był zalany światłem, kiedy pierwsze postacie wyłoniły się z namiotu. W sumie było ich dziesięć - pięć ubranych na białą, pięć na czarno. Szybko wsiadły do karawany jeepów i pick-upów i objechały obóz naokoło, zbierając strażników. Chwilę później śmigali przez piaski na południowy wschód w stronę Jemenu.

- Ile chcesz postawić na to, że jeden z tych sukinsynów to Raszid? - zapytał Adrian Carter bezradnie.

- Tym bardziej powinniście strzelić - powiedział Nawot.
 - Biały Dom na to nie pozwoli. Nie na saudyjskiej ziemi. Ani też nie wiedząc na pewno, kto tam jest.
 - To terroryści i kumple terrorystów - powiedział Szamron. - Strzelajcie.
 - A jeśli jeden z nich to Gabriel?
 - Obawiam się, że to niemożliwe - odrzekł Szamron.
 - Skąd ta pewność?
- Szamron bez słowa wskazał jeden z ekranów.
- Jesteś pewien, że to on? - zapytał Carter.
 - Poznałbym ten chód wszędzie.

Talib szedł wzdłuż ogromnej wydmy w kształcie gwiazdy. W jednej ręce trzymał swój karabin maszynowy, a drugą prowadził Nadię za więzy krępujące jej nadgarstki. Kiedy obeszli wydmy naokoło, zobaczyła dziurę wykopaną w piasku. Obok niej wznosiła się piramida z kamieni. W ostrym jak brzytwa słońcu wydawały się białe jak odsłonięta kość. Nadia starała się być dzielna, tak jak sobie wyobrażała, że Rena była dzielna w ostatnich chwilach przed śmiercią. A potem poczuła, że pustynia zaczyna wirować, i upadła.

- To nie będzie takie straszne, jak ci się wydaje - powiedział talib, ostrożnie podnosząc ją na nogi. - Pierwszych kilka spowoduje ogromny ból. A potem, *inszallah*, stracisz przytomność i nie będziesz już nic czuć.

- Proszę - odezwała się Nadia - musisz znaleźć jakiś sposób, żeby mi tego oszczędzić.

- Taka jest wola Boga - odparł talib. - Nic nie da się zrobić.

- To nie jest wola Boga, Ali. To wola złych ludzi.

- Idź - powiedział tylko. - Musisz iść.

- Zrobiłbyś to Safii?

- Idź.

- Zrobiłbyś, Ali?

- Gdyby pogwałciła prawa boże, nie miałbym wyboru.

- A Hanan? Ukamienowałbyś własne dziecko?

Tym razem talib nic nie odpowiedział. Po kilku krokach zaczął recytować sobie cicho wersety Koranu, ale do Nadii nie odezwał się już ani słowem.

*

Po drugiej stronie ogromnej wydmy Gabriel szedł boso po piasku z Malikiem u boku. Otaczało ich czterech innych mężczyzn. Trzech było z Malikiem w Dubaju; czwartym był Rafiq al-Kamal. Ochroniarzowi powierzono zadanie niesienia noża, który miał zostać użyty do egzekucji Gabriela, i kamery wideo, którą miała zostać nagrana. Malik i reszta nieśli broń automatyczną. To były stare radzieckie AK-47, takie, które można było kupić za kilka riali nawet w najbardziej odizolowanych wioskach Jemenu. Pocierając ostrożnie nadgarstki o srebrną taśmę izolacyjną, Gabriel starał się ocenić, jakie są szanse, że dostanie jeden z tych karabinów w swoje ręce. Były marne, uznał, ale śmierć przez rozstrzelanie była z pewnością lepsza od śmierci przez obcięcie głowy. Skoro już miał tego ranka zginąć w Pustym Kwartale,

chciał umrzeć na swoich własnych warunkach. I - jeśli to możliwe - zamierzał zabrać ze sobą Malika al-Zubaira.

Wyłaniając się z cienia wydmy, Gabriel ujrzał Nadię po raz pierwszy od chwili, kiedy minęła go w holu Burdż al-Arab. Spowita śmiertelnym całunem wydawała się sparaliżowana ze strachu. Podobnie jak młody dżihadysta o skąym zarostie, który jej pilnował. Malik podszedł do nich i odepchnął chłopaka na bok. Następnie chwycił Nadię za ciemne włosy i pociągnął ją w stronę Gabriela.

- Zobacz, co zrobiłeś! - ryknął, przekrzykując jej krzyki. - Oto, jakie są efekty, kiedy mami się naszymi ludźmi, żeby wyrzekli się swojej wiary.

- Ona nie wyrzekła się swojej wiary, Malik. Puść ją.

- Pracowała dla was przeciwko nam. Musi zostać ukarana. A za swoje grzechy to ty rzucisz pierwszy kamień.

- Nie zrobię tego. - Gabriel spojrział na niebo, jakby czegoś wypatrywał. Ostatni podstęp. Ostatnie kłamstwo. - Ty też nie, Malik.

Malik uśmiechnął się. To był szczery uśmiech.

- To nie jest Pakistan ani Jemen, Allon. To Arabia Saudyjska. A Amerykanie nigdy nie wystrzelą pocisku Hellfire na terytorium swojego wielkiego sprzymierzeńca, dynastii Saudów. Poza tym nikt nie wie, gdzie jesteś. Zostałeś zupełnie sam.

- Jesteś tego pewien, Malik?

Najwyraźniej nie był. Wciąż trzymając Nadię za włosy, zadarł głowę ku niebu. Podobnie jak inni, w tym również al-Kamal. Stał jakieś trzy stopy na lewo od Gabriela, trzymając nóż i kamerę.

- Słuchajcie uważnie - powiedział Gabriel. - Słyszycie? Krąży tuż nad nami. Obserwuje nas przez kamery. Puść ją, Malik. W przeciwnym razie wszyscy zginiemy w błysku ognia. Wy pójdziecie do waszego Boga; Nadia i ja do naszego.

- Jest tylko jeden Bóg, Allon. Jest tylko Allah.

- Mam nadzieję, że masz rację, Malik, bo już za chwilę staniesz przed jego obliczem. Chcesz być męczennikiem? Czy wolisz zostawiać męczeństwo innym?

Malik odepchnął Nadię i z wściekłością zamachnął się kałasznikowem w stronę głowy Gabriela. Gabriel z łatwością odskoczył w bok przed ciosem i z całej siły uderzył kolanem w krocze Malika, powalając go na piasek. Następnie Gabriel okręcił się, wyciągając przed siebie ręce i układając dłonie w formę ostrza siekiery. Ostrze uderzyło pod kątem prostym szyję Rafiqa al-Kamala, miażdżąc mu krtań. Gabriel popatrzył na Nadię i na stos białych jak kość kamieni. A potem zaczął wymachiwać rękami jak szaleniec i wrzeszczeć pod niebo:

- Strzelajcie! Strzelajcie! To Malik, do diabła! Strzelajcie!

*

Adrian Carter rozłączył się z Białym Domem i ukrył twarz w dłoniach. Uzi Nawot patrzył przez kilka sekund dłużej, po czym zamknął oczy. Jedyne Szamron nie odwracał wzroku. To wszystko była jego wina. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to chociaż patrzeć do końca.

*

Malik podniósł się na jedno kolano i szukał po omacku swojego kałasznikowa. Gabriel wciąż wygrażał bezlitosnemu niebu. Usłyszał metaliczny szcęk kurka karabinu i zobaczył unoszącą się lufę. A potem kątem oka ujrzał przypominający ducha błysk lśniaco białego śmiertelnego całunu Nadii, gdy rzuciła się ku niemu. Kiedy przebiegła przed karabinem, dwa szkarłatne kwiaty wykwitły gwałtownie na jej piersi, choć twarz miała dziwnie spokojną, kiedy upadła na Gabriela. Malik oderwał ją od niego i skierował lufę kałasznikowa w dół ku twarzy Gabriela, ale zanim zdążył ponownie pociągnąć za spust, bok jego głowy wybuchł na różowo. Nastąpiło kilka kolejnych strzałów, aż tylko młody dżihadysta pozostał na nogach. Spojrzał w dół na Gabriela, przesłaniając twarzą słońce, po czym przeniósł smutny wzrok na Nadię.

- Wolą Boga było, że dzisiaj umrze - powiedział - ale przynajmniej nie cierpiała.

- Nie - odparł Gabriel - nie cierpiała.

- Jesteś ranny? - zapytał chłopak.

- Jednym pociskiem - odpowiedział Gabriel.

- Przyjdą po ciebie?

- W końcu przyjdą.

- Wytrzymasz do ich przyjścia?

- Chyba tak.

- Muszę zostawić cię tu samego. Mam żonę. I dziecko w drodze.

- Chłopiec czy dziewczynka? - zapytał Gabriel, którego siły zaczęły opuszczać.

- Dziewczynka.

- Wybraliście już imię?

- Hanan.

- Bądź dla niej dobry - powiedział Gabriel. - Traktuj ją zawsze z szacunkiem.

Chłopak odsunął się; słońce padło na twarz Gabriela. Usłyszał dźwięk zapalnego silnika, a potem dostrzegł chmurę pyłu przesuwającą się przez morze piasku. Potem była już tylko martwa cisza pustyni. Zamachał rękami po raz ostatni, żeby dać im znać, że żyje.

Następnie zamknął Nadii oczy i płakał, złożywszy głowę na jej piersi, podczas gdy jej ciało powoli kamieniało.

Część czwarta

Przebudzenie

Upłynęło więcej niż dwadzieścia cztery godziny, zanim AAB Holdings ujawniło w końcu światu, że prezeska i dyrektorka naczelna firmy, Nadia al-Bakari, zaginęła i przypuszczalnie została porwana. Według oświadczenia rzecznika firmy w chwili zaginięcia jechała limuzyną, w drodze ze słynnego dubajskiego hotelu Burdż al-Arab na lotnisko. Z samochodu zrealizowano dwa połączenia telefoniczne, oba z komórki jej długoletniego szefa ochrony. W pierwszej rozmowie polecił on szefowi działu podróży AAB przyspieszyć wylot samolotu firmy o piętnaście minut, z 23:00 na 22:45. Siedem minut później zadzwonił ponownie, żeby powiedzieć, że panna al-Bakari źle się poczuła i wróci na noc do hotelu. Życzyła sobie, powiedział, żeby reszta pracowników wróciła do Paryża zgodnie z planem. Rzecz jasna, władze emirackie uznały teraz ten drugi telefon za mocno podejrzany, chociaż musiały dopiero ustalić, czy ochroniarz należał do spisku, czy też był tylko jego jeszcze jedną ofiarą. Ochroniarz zaginął, podobnie jak kierowca limuzyny.

Jak można się było spodziewać, wiadomość ta wstrząsnęła już i tak chwiejnym globalnym rynkiem finansowym. W Europie, gdzie portfel AAB był ogromny, kursy akcji spadły gwałtownie, tak samo jak na Wall Street. Jednak najbardziej ucierpiał Dubaj, Inc. Emirat, który wydawał niewyobrażalne miliardy na to, by przedstawiać się jako oaza stabilizacji w niespokojnym regionie, teraz okazał się miejscem, w którym nawet najlepiej chronieni miliarderzy nie są bezpieczni. Władca oznajmił na falach radiowych, że jego państwo-miasto jest bezpieczne i otwarte na interesy, ale inwestorzy nie byli tego tacy pewni. Uderzyli bezlitosną falą sprzedaży w firmy z siedzibą w Dubaju i suwerenne fundusze majątkowe. Miasto złota po raz kolejny znalazło się na krawędzi niewypłacalności.

Kiedy minęły kolejne dwadzieścia cztery godziny bez żadnych wieści o losie Nadii, media nie miały innego wyboru, jak tylko na chybił trafił snuć domysły, co też mogło się zdarzyć. Jedna teoria głosiła, że została zamordowana przez rosyjski gang, który stracił miliony, inwestując w AAB Holdings. Inna zakładała, że obraziła wpływowe osoby swoim wezwaniem do lepszego traktowania cudzoziemskich robotników w emiracie. Jeszcze inna sugerowała, że całe to porwanie stanowi podstęp i że Nadia al-Bakari, jedna z najbogatszych kobiet na świecie, po prostu się ukrywa z jakichś sobie tylko znanych powodów.

Niestety, właśnie ta ostatnia teoria zyskała największą popularność w niektórych kręgach medialnych i już wkrótce zaroilo się od doniesień o pojawieniu się Nadii w kolejnych

luksusowych miejscach na całym świecie. W ostatnim z tych doniesień miała jakoby mieszkać na trudno dostępczej wyspie na Morzu Bałtyckim wraz z synem najbogatszego człowieka w Szwecji.

Ta rewelacja ukazała się tego samego dnia, w którym Królestwo Arabii Saudyjskiej wreszcie ogłosiło, że ciało Nadii znaleziono w Pustym Kwartale. Wraz z nią znaleziono również ciała kilku mężczyzn, obwieścili Saudyjczycy, w tym ciało jej szefa ochrony. Wszyscy zginęli od strzałów, podobnie jak panna al-Bakari. Jak dotąd saudyjskie władze nie miały żadnych podejrzanych.

Podobnie jak wcześniejsze wypowiedzi saudyjskiego rządu ta również ujmowała sprawę jedynie częściowo. Nie ujawniała na przykład faktu, że saudyjski wywiad znał już doskonale okoliczności zamordowania panny al-Bakari. Nie wspomniano też w niej o tym, że saudyjski patrol wojskowy znalazł ciało panny al-Bakari w kilka godzin po jej śmierci, wraz z jedyną osobą, która przeżyła strzelaninę. Poważnie ranna, osoba ta była obecnie przedmiotem intensywnej, choć tajnych negocjacji między Centralną Agencją Wywiadowczą a życzliwymi przedstawicielami dynastii Saudów. Jak dotąd w rozmowach tych nie doszło do żadnych punktów zwrotnych. Właściwie, jeśli chodziło o rząd Arabii Saudyjskiej, rzezony człowiek w ogóle nie istniał.

Obiecywali wszcząć poszukiwania, ale nie dawali większych nadziei. Pusty Kwartal, mówili, nie obchodził się łagodnie z intruzami. *Inszallah*, znajdą ciało, ale tylko jeśli Beduini pierwsi na nie nie natrafiają.

*

Miniaturowy nadajnik GPS umieszczony w ciele Gabriela opowiadał całkiem inną historię. Była to historia człowieka, który został znaleziony żywy w Pustym Kwartale, przewieziony helikopterem do Rijadu i umieszczony w ogromnym obozie jenieckim podlegającym *mabahith*, wydziałowi tajnej policji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po tygodniu pobytu wyglądało na to, że został zabrany na powolną przejażdżkę samochodową przez Rijad i dalej na pustynię na wschód od miasta. Przez kilka niespokojnych godzin ekipa Raszidystanu obawiała się najgorszego, że został stracony i pochowany zgodnie z tradycją wahhabicką, w nieoznakowanym grobie. Ostatecznie analitycy agencji zdołali potwierdzić z ogromną ulgą, że jego nowym miejscem pobytu była w rzeczywistości główna oczyszczalnia ścieków w Rijadzie. Oznaczało to, że Gabriel wydalil w końcu nadajnik z przewodu pokarmowego. Oznaczało to także, że teraz zniknął z siatki współrzędnych i był całkowicie poza zasięgiem Langley.

*

Pocisk złamał Gabrielowi dwa żebra i uszkodził prawe płuco. Saudyjczycy czekali z rozpoczęciem przesłuchania, aż wystarczająco wydobrzeje. Przeprowadził je wysoki, kościsty facet o twarzy sokoła. Jego mundur w kolorze khaki był wykrochmalony i wyprasowany, ale mieścił niewiele, jeśli chodzi o insygnia. Facet nazywał się Khalid. Uczęszczał do szkoły w Anglii i miał dykcję prezentera wiadomości BBC.

Na początek poprosił Gabriela o podanie nazwiska i zarysowanie pokrótce, w jaki sposób znalazł się w Pustym Kwartale przytulony do ciała saudyjskiej kobiety. Gabriel przedstawił się jako Roland Devereaux z Quebecu. Twierdził, że został porwany przez islamskich ekstremistów, gdy przebywał w interesach w Dubaju; pobili go do nieprzytomności i wywieźli na pustynię, by go zabić. Pomiędzy terrorystami doszło do sprzeczki, w wyniku której wywiązała się strzelanina. Nie wiedział, czego dotyczyła sprzeczka, ponieważ nie mówił po arabsku.

- Wcale?

- Potrafię zamówić kawę.

- Jaką pan lubi?

- Średnio słodką.

- Jakiego rodzaju interesy sprowadziły pana do Dubaju?

- Pracuję w firmie spedycyjnej.

- A kobieta, która umarła w pana ramionach?

- Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

- A wie pan, jak się nazywała?

Gabriel pokręcił głową, po czym spytał, czy jego ambasada została powiadomiona, że tu jest.

- Co to za ambasada? - zapytał Saudyjczyk.

- Kanadyjska, oczywiście.

- Ach, tak - odparł Khalid z uśmiechem. - Co ja sobie myślałem?

- Skontaktowaliście się z nimi?

- Pracujemy nad tym.

Oficer zanotował kilka słów w notesie i wyszedł. Gabriela zakuto w kajdanki i zaprowadzono z powrotem do celi. Potem nikt z nim nie rozmawiał przez wiele dni.

*

Kiedy znów zabrano Gabriela do sali przesłuchań, zastał tam stos teczek piętrzących się złowieszczą na stole. Khalid sokół palił papierosa, czego nie robił podczas ich pierwszego spotkania. Tym razem nie zadawał żadnych pytań. Zamiast tego rozpoczął monolog,

nieróżniący się tak bardzo od tego, który Gabriel musiał znosić u stóp Raszida al-Husseiniego. W tym wypadku jednakże tematem nie był nieunikniony triumf salafistycznego islamu, lecz długa i kontrowersyjna kariera oficera izraelskiego wywiadu, nazwiskiem Gabriel Allon. Relacja Khalida była niezwykle dokładna. Szczególną uwagę poświęcił roli Gabriela w zabójstwie Abdula Aziza al-Bakariego i późniejszemu wykorzystaniu przez niego córki Ziziego do przeniknięcia siatki terrorystycznej Raszida al-Husseiniego i Malika al-Zubaira.

- To Nadia umarła w pańskich ramionach w Pustym Kwartale - powiedział Saudyjczyk. - Malik też tam był. Chcemy, żeby nam pan powiedział, co tam dokładnie zaszło.

- Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi.

- Film z pańskim przyznaniem się do winy jest w całym internecie i w telewizji, Allon. Jeśli nie będzie pan z nami współpracował, nie będziemy mieli innego wyboru, jak postawić pana przed sądem i dokonać publicznej egzekucji.

- Jak miło z waszej strony.

- Obawiam się, że saudyjski wymiar sprawiedliwości działa szybko.

- Na pańskim miejscu poradziłbym Jego Wysokości, żeby jeszcze przemyślał tę część o publicznej egzekucji. To może go kosztować jego pola naftowe.

- Pola naftowe należą do narodu saudyjskiego.

- Ach, tak - odparł Gabriel. - Co ja sobie myślałem?

*

Przez kilka kolejnych nocy cela Gabriela rozbrzmiewała echem krzyków torturowanych więźniów. Z braku snu zapadł na infekcję, która wymagała serii dożylnych antybiotyków. Już i tak był szczupły, a teraz stracił jeszcze kilka funtów. Schudł tak bardzo, że kiedy zaprowadzono go na kolejne przesłuchanie, nawet sokół wydawał się zaniepokojony.

- Może pan i ja moglibyśmy pójść na kompromis - zaproponował.

- Na czym miałyby polegać ten kompromis?

- Pan odpowie na moje pytania, a ja z czasem dopilnuję, żeby wrócił pan do swoich bliskich, wciąż mając głowę na karku.

- Dlaczego miałbym panu zaufać?

- Ponieważ chwilowo, mój drogi, jestem pana jedynym przyjacielem.

*

Jest taki truizm dotyczący przesłuchań. Prędzej czy później wszyscy zaczynają mówić. Nie tylko terroryści, ale również zawodowi oficerowie wywiadu. Natomiast to, j a k mówią i co mówią, decyduje o tym, czy po uwolnieniu będą mogli spojrzeć w oczy swoim

kolegom. Gabriel to rozumiał. Podobnie jak sokół.

Przez następny tydzień prowadzili subtelny balet wzajemnego oszukiwania się. Khalid zadawał wiele starannie sformułowanych pytań, a Gabriel w odpowiedzi uciekał się do wielu półprawd i całkowitych kłamstw. Operacje, które ujawniał, nie istniały. Podobnie jak płatni agenci, kryjówki czy metody bezpiecznej komunikacji; wszystko to zostało wysrane z palca, Gabriel miał na to mnóstwo czasu, gdy siedział zamknięty w celi. Twierdził też, że pewnych rzeczy nie wie, ujawnienia innych odmawiał. Na przykład kiedy Khalid zapytał o nazwiska wszystkich tajnych agentów działających w Europie, Gabriel nic nie odpowiedział. Odmówił także odpowiedzi zapytany o nazwiska agentów współpracujących z nim podczas operacji wymierzonej w Raszida i Malika. Nieprzejednanie Gabriela nie rozgniewało sokoła. Wyglądało wręcz na to, że jego szacunek dla Gabriela tylko wzrósł z tego powodu.

- Dlaczego nie poda mi pan fałszywych nazwisk, które mógłbym przekazać przełożonym? - zapytał Khalid.

- Bo pańscy przełożeni znają mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie zdradziłbym najbliższych przyjaciół - odparł Gabriel. - Nigdy by nie uwierzyli, że te nazwiska są prawdziwe.

Jest jeszcze jeden truizm dotyczący przesłuchań. Czasem ujawniają one więcej o człowieku zadającym pytania niż o tym, który na nie odpowiada. Gabriel doszedł do wniosku, że Khalid jest raczej prawdziwym profesjonalistą niż prawdziwym fanatykiem. Nie był pozbawiony rozsądku. Ani sumienia. Dało się z nim negocjować. Powoli, stopniowo, udało im się stworzyć swego rodzaju więź. Była to więź oparta na kłamstwach, bo tylko taka jest możliwa w tajnym świecie.

- Pański syn zginął tamtej nocy w Wiedniu? - zapytał Khalid z nienacka pewnego popołudnia. A może był już późny wieczór; Gabriel miał jedynie niejasne poczucie czasu.

- Mój syn nie ma z tym nic wspólnego.

- Wręcz przeciwnie - sprostował Khalid z naciskiem. - To właśnie z powodu pańskiego syna poszedł pan za tamtym shahidem do Covent Garden. To również z jego powodu pozwolił pan, by Szamron i Amerykanie wciągnęli pana z powrotem do gry.

- Ma pan dobre źródła - powiedział Gabriel.

Khalid przyjął ten komplement z uśmiechem.

- Ale nadal nie rozumiem jednego - powiedział. - Jak udało się panu namówić Nadię, by z wami współpracowała?

- Jestem profesjonalistą, tak jak pan.

- Dlaczego nie poprosiliście nas o pomoc?

- A udzielilibyście jej nam?

- Oczywiście, że nie.

Saudyjczyk przekartkował swój notes, marszcząc lekko czoło, jakby się zastanawiał, w jakim kierunku poprowadzić dalsze przesłuchanie. Gabriel, sam biegły w sztuce przesłuchań, wiedział, że to tylko przedstawienie na jego użytek. Wreszcie, jakby po namyśle, Saudyjczyk spytał:

- Czy to prawda, że była chora?

Tym pytaniem zdołał zaskoczyć Gabriela. Nie widział powodu, by nie powiedzieć prawdy.

- Tak - odrzekł po chwili - nie zostało jej już wiele czasu.

- Słyszeliśmy takie pogłoski - powiedział Saudyjczyk - ale nie mieliśmy pewności.

- Trzymała to w tajemnicy przed wszystkimi, w tym również przed swoimi pracownikami. Nawet jej najbliżsi przyjaciele o niczym nie wiedzieli.

- Ale pan wiedział?

- Zwierzyła mi się z powodu naszej operacji.

- A jaki był charakter tej choroby? - zapytał Saudyjczyk, trzymając długopis zawieszony nad swoim notesem, jakby choroba Nadii była jedynie drobnym szczegółem, który wymagał wyjaśnienia dla dopełnienia formalności.

- Przypadłość, na którą cierpiała, nazywa się malformacją tętniczo-żylną - odparł Gabriel gładko. - To nieprawidłowe połączenie pomiędzy żyłami i arteriami w mózgu. Lekarze powiedzieli jej, że w tym przypadku leczenie jest niemożliwe. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim dostanie wylewu. Mogła umrzeć właściwie w każdej chwili.

- Więc popełniła samobójstwo na pustyni, zasłaniając pana przed pociskiem dla niego przeznaczonym?

- Nie - sprostował Gabriel. - Złożyła siebie w ofierze. - Przerwał, po czym dodał: - Za nas wszystkich.

Khalid znów popatrzył na swoje zapiski.

- Niestety, stała się męczennicą dla naszych bardziej postępowych kobiet. Pojawiają się pytania dotyczące jej działalności filantropijnej. Wygląda na to, że była swego rodzaju reformatorką.

- Czy dlatego właśnie kazaliście ją zabić?

Twarz Khalida pozostała bez wyrazu.

- Panna al-Bakari została zabita przez Raszida i Malika.

- To prawda - zgodził się Gabriel - ale ktoś im powiedział, że pracowała dla nas.

- Może mieli informatora blisko waszej operacji.

- A może to wy go mieliście - odparł Gabriel. - Może Raszid i Malik byli tylko pionkami, dogodnymi środkami do zlikwidowania poważnego zagrożenia wobec dynastii Saudów.

- To jedynie domysły z pana strony.

- Owszem - powiedział Gabriel - ale te domysły mają potwierdzenie w historii. Ilekroć Saudowie czują się zagrożeni, zwracają się do brodatych.

- Ci brodaci, jak pan ich nazywa, stanowią większe zagrożenie dla nas niż dla was.

- To dlaczego wciąż ich popieracie? Od jedenastego września minęło dziesięć lat. Dziesięć lat - powtórzył Gabriel - a Arabia Saudyjska wciąż jest bankomatem dla terrorystów i ekstremistów sunnickich. Jest tylko jedno możliwe wytłumaczenie. Pakt z diabłem został odnowiony. Dynastia Saudów gotowa jest przymknąć oko na terror islamski, dopóki święty gniew skierowany jest na zewnątrz, z dala od pól naftowych.

- Nie jesteśmy tak ślepi, jak pan sądzi.

- Przekazałem dziesiątki milionów dolarów sunnickiej grupie terrorystycznej w ramach transakcji zrealizowanej na saudyjskiej ziemi.

- Dlatego właśnie jest pan teraz tutaj.

- W takim razie zakładam, że szejik Bin Tayyib również przebywa w areszcie gdzieś w tym budynku?

Khalid uśmiechnął się niewyraźnie, ale nic nie odpowiedział. Zadał jeszcze kilka pytań, bez większego znaczenia, po czym zakończył przesłuchanie. Następnie, co nie zdarzyło się wcześniej, sam odprowadził Gabriela do celi. Zatrzymał się chwilę na korytarzu, zanim otworzył drzwi.

- Powiedziano mi, że amerykański prezydent osobiście zaangażował się w pańską sprawę - oznajmił. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pański pobyt u nas dobiegł już prawie końca.

- Kiedy wychodzę?

- O północy.

- A która jest teraz?

Sokół uśmiechnął się.

- Pięć po.

*

Na pryczy w celi Gabriela położono świeży komplet ubrań. Khalid zostawił go na chwilę, żeby mógł się przebrać. Następnie wyprowadził go schodami w górę na wewnętrzny

dziedziniec. W świetle księżycy czekał tu jeep z włączonym silnikiem. Był duży i bardzo amerykański, podobnie jak czterech mężczyzn stojących wokół niego.

- Włożyłem panu dwie rzeczy do kieszeni marynarki - powiedział Khalid cicho, gdy przemierzali dziedziniec. - Pierwsza z nich to nabój, który przeszedł przez ciało Nadii i ranił pana. Druga to wiadomość dla Adriana Cartera. Proszę to potraktować jako mały prezent pożegnalny na pamiątkę pańskiego pobytu u nas.

- Co to za wiadomość?

- Informacja, która może mu się przydać. Byłbym wdzięczny, gdyby nie łączył jej pan z moją osobą.

- Jest coś warta?

- Ta informacja? Myślę, że po prostu musi mi pan zaufać.

- Obawiam się, że nie znam tego słowa.

- Niczego się pan od niej nie nauczył? - Khalid skinął głową w stronę jeepa. - Na pana miejscu wsiadałbym jak najszybciej. Jego Wysokości zdarzało się już zmieniać zdanie.

Gabriel uściskał dłoń Saudyjczyka, zanim oddał się w ręce Amerykanów. Z ogromną prędkością zawieźli go do bazy wojskowej na północ od Rijadu i wsadzili do czekającego gulfstreama. Na pokładzie był lekarz Agencji; przez większą część lotu pompował płyny do wycieńzonego ciała Gabriela i zamartwiał się stanem rany w jego boku. Wreszcie pozwolił Gabrielowi zasnąć. Dręczony snami o śmierci Nadii obudził się gwałtownie, kiedy samolot uderzył o pas startowy londyńskiego lotniska. Gdy drzwi kabiny otworzyły się, zobaczył Chiare i Szamrona czekających na płycie lotniska. Podejrzewał, że byli jedynymi osobami na świecie, które wyglądały jeszcze gorzej niż on.

Szamron zamieszkał w dodatkowej sypialni. Wszystko wskazywało na to, że zamierza zostać na stałe. Koszmar w Pustym Kwartale, powiedział Chiarze, wyznaczył mu ostatnią misję.

Mianował się osobistym ochroniarzem Gabriela, jego doradcą i terapeutą. Udzielał rad nieproszony i ze stoickim spokojem znosił depresję i huśtawki nastrojów swojego pacjenta. Właściwie nie spuszczał Gabriela z oczu. Chodził za nim po pokojach domku, towarzyszył mu na spacerach wzdłuż plaży, a nawet szedł razem z nim na zakupy do miasteczka. Gabriel powiedział sklepikarzom, że Szamron jest jego wujem z Mediolanu. W miejscach publicznych mówił do Szamrona wyłącznie po włosku, z czego Szamron nie rozumiał ani słowa.

W ciągu kilku dni od powrotu Gabriela do Kornwalii pogoda zrobiła się deszczowa, co szło w parze z nastrojami ich wszystkich. Chiara gotowała skomplikowane potrawy i patrzyła z ulgą, jak Gabriel odzyskuje wagę utraconą w saudyjskim więzieniu. Jego stan emocjonalny, jednakże, pozostawał bez zmian. Mało spał i wyraźnie nie mógł rozmawiać o tym, co zaszło na pustyni. Uzi Nawot wysłał lekarza, żeby go zbadał.

- Poczucie winy - oznajmił lekarz po spędzeniu godziny sam na sam z Gabrielem. - Potworne, niezgłębione, nieustające poczucie winy. Przysiągł, że będzie ją chronić, ale ostatecznie ją zawiódł. A on nie lubi zawodzić kobiet.

- Co możemy zrobić? - spytała Chiara.

- Dać mu czas i przestrzeń - powiedział lekarz. - I nie wymagać od niego za dużo przez pewien czas.

- Nie jestem pewna, czy obecność Ariego jest pomocna.

- Jeśli spróbujecie się go pozbyć, to życzę powodzenia - odparł lekarz. - Gabriel w końcu dojdzie do siebie, ale jeśli chodzi o starego, nie byłbym taki pewien. Niech zostanie tak długo, jak chce. Sam będzie wiedział, kiedy przyjdzie pora się pożegnać.

Gabrielowi umykał rytm dnia i nocy. Nie mogąc spać w nocy, podsypiał w dzień, gdy tylko pozwalało mu sumienie. Snuł się bez celu, patrzył na deszcz i na morze, spacerował nad zatoką. Czasami siedział na werandzie i rysował węglem na papierze. Wszystkie szkice, które sporządzał, dotyczyły operacji. Wiele przedstawiało Nadię. Zaniepokojona Chiara w tajemnicy sfotografowała szkice i wysłała je e-mailem doktorowi do przeanalizowania. „On

sam jest dla siebie najlepszym terapeutą - uspokoił ją lekarz. - Niech sam to sobie przepracuje".

Nadia towarzyszyła im zawsze i wszędzie. Nie próbowali się przed tym bronić; zresztą nawet gdyby chcieli, wydarzenia na Bliskim Wschodzie nie pozwoliłyby im na to. Od Maroka aż po Emiraty świat arabski ogarnęła nowa fala społecznych niepokojów. Tym razem nawet stare sunnickie monarchie wydawały się zagrożone. Ośmielone brutalnym morderstwem Nadii arabskie kobiety tysiącami wychodziły na ulice. Nadia była ich męczennicą i patronką. Skandowały jej imię i nosiły transparenty z jej zdjęciem. W makabryczny sposób wypaczając jej przesłanie i przekonania, niektóre twierdziły, że chcą ją naśladować i same również umrzeć męczeńską śmiercią.

Strażnicy starego porządku usiłowali zbrukać reputację Nadii, piętnując ją jako izraelskiego szpiega i prowokatorkę. Z powodu przyznania się Gabriela do winy, które wciąż krążyło po internecie i w panarabskich sieciach informacyjnych, zarzuty przeciwko Nadii zostały jednak powszechnie oddalone. Jej kult wzrósł jeszcze po tym, jak Zoe Reed z CNBC poświęciła całe wydanie swego wieczornego programu pośmiertnemu wpływowi Nadii na Arabskie Przebudzenie. W trakcie audycji Zoe wyjawiała, że kilkakrotnie spotkała się z Nadią prywatnie, a podczas tych spotkań saudyjska dziedziczka przyznała, że przekazywała w tajemnicy dziesiątki milionów dolarów reformatorskim organizacjom w całym arabskim i islamskim świecie. Program oskarżył także służby wywiadowcze Arabii Saudyjskiej o współudział w jej śmierci - oskarżenie to spotkało się z natychmiastowym potępieniem ze strony dynastii saudyjskiej, czemu towarzyszyły też zwykłe groźby dotyczące wstrzymania sprzedaży ropy na Zachód. Tym razem nikt na to specjalnie nie zważał. Jak wszelkie inne rządy w tym regionie, Saudowie z całych sił walczyli o utrzymanie władzy.

Tymczasem nadszedł czerwiec i Amerykanie domagali się pooperacyjnego raportu. Chiara narzuciła surowe ograniczenia względem czasu, jaki natrętom wolno będzie spędzać z Gabrielem - dwie godziny rano, dwie godziny późnym popołudniem, wszystkiego trzy dni. Udając turystów, zatrzymali się w okropnym pensjonacie w Helston, który Gabriel wybrał osobiście. Sesje odbywały się przy stole w jadalni. Szamron cały czas pozostawał przy boku Gabriela, niczym adwokat podczas składania zeznań. Spotkań nie nagrywano.

Chiara bała się, że te sprawozdania ponownie otworzą rany, które właśnie zaczęły się goić. Okazały się natomiast dokładnie takim rodzajem terapii, jakiego Gabriel rozpaczliwie potrzebował. Wymogi profesjonalizmu narzuciły spotkaniom chłodny, pozbawiony emocji ton. Amerykanie zadawali pytania beznamiętnie niczym policjanci prowadzący dochodzenie w sprawie drobnego wypadku drogowego, a Gabriel odpowiadał w ten sam sposób. Jedyne

kiedy poproszono go o opisanie chwili śmierci Nadii, głos mu się załamał. Gdy Szamron zażądał zmiany tematu, Amerykanie wyjęli zdjęcie młodego Saudyjczyka, który niedawno ukończył program resocjalizacji terrorystów, i położyli je ostrożnie na stole.

- Poznaje go pan?

- Tak - odparł Gabriel. - To on zabił Malika i pozostałych.

- Nazywa się Ali al-Masri - powiedział jeden z Amerykanów.

- Gdzie jest teraz?

- Żyje sobie spokojnie w Dżiddzie. Jest poza strefą wpływów szejka Bin Tayyiba i wygląda na to, że na dobre opuścił ruch dżihadystyczny. Jego żona urodziła właśnie córeczkę.

- Hanan - powiedział Gabriel. - Dziewczynka ma na imię Hanan.

To była ostatnia sesja. Wieczorem Chiara uchyliła zakaz oglądania telewizji podczas kolacji, żeby mogli zobaczyć, jak wali się świat arabski. Rządy Syrii i Jordanii chwiały się, były też doniesienia, że Saudyjczycy nakazali Gwardii Narodowej strzelać do protestantów w Rijadzie i Dżiddzie, zabijając dziesiątki osób. Księżę Nabil, potężny saudyjski minister spraw wewnętrznych, winą za te zamieszki obarczył szyicki rząd Iranu i zwolenników Nadii al-Bakari. Niezamierzony skutek jego wypowiedzi był taki, że ranga Nadii wśród demonstrujących jeszcze wzrosła.

Następnego ranka Nadia stała się także pośmiertną bohaterką świata sztuki, kiedy nowojorskie Muzeum Sztuki Współczesnej ogłosiło, że powierzono mu całą jej kolekcję. W zamian za dzieła, których wartość oceniano na przynajmniej pięć miliardów dolarów, MoMA zgodziło się, by to spadkobiercy Nadii wyznaczyli pierwszego kuratora kolekcji. Kiedy nowo mianowana kuratorka weszła na podium, by po raz pierwszy spotkać się z mediami, bywalcy nowojorskich kręgów sztuki odetchnęli z wielką ulgą. Nie wiedzieli zbyt wiele o Sarze Bancroft, ale przynajmniej była jedną z nich.

*

Następnego dnia zadzwoniła do Chiary. Słyszała od Adriana Cartera, że rekonwalescencja Gabriela nie postępuje zbyt dobrze, i wymyśliła coś, co mogłoby pomóc. Miała dla niego propozycję pracy. Obraz na zamówienie. Chiara przyjęła zlecenie, nawet nie pytając Gabriela o zdanie. Spytała tylko o wymiary i termin oddania. Wymiary były duże. Termin krótki. Gabriel miał jedynie dwa miesiące. Chiara nie martwiła się tym; jej mąż odrestaurował Tycjana w ciągu kilku dni. Dwa miesiące to była cała wieczność. Gabriel rozpoczął pracę następnego ranka, rozpinając płótno na blejtramicie, który sam zrobił. Następnie posadził Chiare na brzegu kanapy i manipulował jej kończynami, jakby była drewnianym modelem do szkiców anatomicznych, aż ułożył je w taki sposób, że odpowiadały

obrazowi w jego pamięci. Usatysfakcjonowany, przystąpił do malowania.

*

Letnie dni były bardzo długie. Ten portret nadał im sens. Gabriel pracował przez kilka godzin rano, w południe robił sobie przerwę na posiłek i spacer nad zatoką, a potem znów pracował wieczorem, póki słońce nie zanurzyło się w morzu. Ku jego konsternacji Szamron czuwał nad nim bezustannie. Chiara też miała na niego oko, ale z daleka. Tak jak miała nadzieję, ta praca okazała się dla Gabriela wybawieniem. Niektórzy radzili sobie z żalobą, rozmawiając z terapeutami, inni czuli nieodpartą potrzebę pisania o tym. Ale dla Gabriela, tak jak przedtem dla jego matki, najlepszy był zawsze leczniczy balsam farby olejnej na płótnie. Stojąc przy sztalugach, w pełni panował nad sytuacją. Błędy można było poprawić kilkoma pociągnięciami pędzla albo skutecznie je ukryć pod warstwą farby. Nikt nie krwawił. Nikt nie umierał. Nikt nie szukał zemsty. Istniały jedynie piękno i prawda, tak, jak on je postrzegał.

Pracował bez szkicu pomocniczego, a jego paleta wykorzystywała kolory, jakie widział w Pustym Kwartale. Łącząc precyzję rysunku dawnych mistrzów ze swobodą impresjonistów, stworzył klimat jednocześnie klasyczny i współczesny. Na jej szyi zawiesił perły, a dłonie ozdobił brylantami i złotem. Nad jej ramieniem tarcza zegara lśniła niczym księżyc. U jej nagich stóp leżały orchidee. Przez kilka dni zmagał się z drugim planem. W końcu postanowił namalować ją wyłaniającą się z caravaggińskiej ciemności. A może właśnie zapadała się w ciemność? Odpowiedź na to pytanie miało przynieść powstanie szalejące w arabskim świecie.

Pomimo intensywnej pracy wygląd Gabriela bardzo się poprawił. Przybrał na wadze. Więcej sypiał. Rany przestały go boleć. Z czasem poczuł się na tyle silny, by wrócić do spacerów po klifach. Z każdym dniem wyprawiał się trochę dalej, tak że Szamron nie miał innego wyboru - musiał obserwować go z dystansu. Był coraz bardziej ponury, w miarę jak Gabriel powoli mu się wymykał. Wiedział, że nadszedł czas, by się pożegnać, nie wiedział natomiast, jak się do tego zabrać. Chiara po cichu usiłowała wywołać jakiś kryzys, który wymagałby jego powrotu na Bulwar Króla Saula. Gdy to się nie udało, nie miała innego wyjścia, musiała prosić o pomoc Dżilę, która sprawiała wrażenie, jakby bardzo się cieszyła z długiej nieobecności Szamrona. Niechętnie zarządziła, że jej mąż może zostać w Kornwalii jedynie do chwili, gdy obraz będzie ukończony. Potem będzie musiał wrócić do domu.

Tak więc Szamron z mieszanymi uczuciami patrzył, jak Nadia al-Bakari powoli nabiera życia na płótnie. Gdy obraz był już niemal gotowy, Gabriel pracował ciężiej niż kiedykolwiek. Równocześnie jednak zdawał się zwlekać z ukończeniem dzieła. Z nietypowym jak na niego niezdecydowaniem wprowadzał niezliczone drobne poprawki, tu

coś dodawał, tam coś odejmował. Szamron w głębi duszy cieszył się z tej wyraźnej niechęci Gabriela do rozstania się z obrazem. Każdy dzień zwłoki oznaczał dla Szamrona jeden dzień więcej spędzony z Gabrielem.

W końcu Gabriel skończył z poprawkami i powoli zaczął się godzić ze swoją pracą. Nie tylko z Nadią - ze wszystkim. Szamron widział, jak cień śmierci znika stopniowo z twarzy Gabriela. A w pewien pogodny ranek pod koniec sierpnia wszedł do prowizorycznej pracowni Gabriela i zobaczył, że wygląda zupełnie jak tamten utalentowany młodzieniec, którego wyłuskał spośród studentów Akademii Sztuki i Projektowania Bezalel w Jerozolimie owej potwornej jesieni 1972 roku. Tylko włosy miał inne. Wtedy były niemal tak czarne jak włosy Nadii. Teraz na skroniach miał pasma siwizny.

Stał przy sztalugach, podpierając podbródek dłonią i przechylając nieznacznie na bok głowę. Nadia lśniła w silnym białym świetle lampy halogenowej. To był portret kobiety z odkrytą twarzą. Portret męczennicy. Portret szpiega.

Szamron przez kilka minut przypatrywał się Gabrielowi bez słowa. Wreszcie spytał:

- Jest skończony, synu?

- Tak, abba - odparł Gabriel po chwili. - Chyba tak.

Spedytorzy zjawili się następnego ranka. Kiedy Gabriel wrócił ze spaceru po klifach, Szamrona już nie było. Tak będzie lepiej, powiedział Chiarze przed wyjazdem. Ostatnie, czego Gabriel teraz potrzebował, to kolejna rozdzierająca scena.

To był pomysł Sary Bancroft, żeby uroczyste otwarcie skrzydła Nadii al-Bakari odbyło się w rocznicę jedenastego września. Dowódca nowojorskiego połączonego oddziału specjalnego do walki z terroryzmem sugerował, że może byłoby rozsądniej, zważywszy na aktualny poziom niepokojów na Bliskim Wschodzie, gdyby wybrała mniej symboliczną datę, ale Sara upierała się przy swoim. Gala odbędzie się wieczorem jedenastego września. A jeśli oddział specjalny nie potrafi zapewnić gościom bezpieczeństwa, Sara znała ludzi, którzy potrafią.

Demonstratorzy zjawili się przed czasem, tysiące ludzi zablokowało Pięćdziesiątą Trzecią Zachodnią. Byli to w większości działacze na rzecz praw człowieka i feministki, wszyscy oni popierali cele Nadii, by dokonać radykalnych zmian na Bliskim Wschodzie, ale przyszło też trochę opętanych nienawiścią dżihadystów z Brooklynu i New Jersey, by potępić Nadię jako heretyczkę. Nikt bodaj nie zwrócił uwagi na Gabriela i Chiareę, gdy wysiedli z escalade i wślizgnęli się do muzeum. Strażnik zaprowadził ich na górę, gdzie mieściły się biura MoMA. Zastali tam Sarę zmagającą się z suwakiem wieczorowej sukni. Wszędzie leżały sterty wydanej przez MoMA oficjalnej monografii kolekcji. Na okładce był portret Nadii namalowany przez Gabriela.

- Wystawiłeś naszą cierpliwość na ciężką próbę - powiedziała Sara, całując Gabriela w policzek. - Niewiele brakowało, a dalibyśmy zastępczą okładkę.

- Miałem trochę trudności z podjęciem paru ostatecznych decyzji.

- Gabriel rozglądał się po wielkim gabinecie. - Nieźle jak na była kuratorkę kolekcji Phillipsa. Mam nadzieję, że twoi współpracownicy nigdy się nie dowiedzą o małej przerwie, jaką sobie zrobiłaś po odejściu z Isherwood Fine Arts w Londynie.

- Sądzą, że spędziłam kilka lat na prywatnych studiach w Europie. Wygląda na to, że ta luka w moim CV tylko zwiększyła mój urok.

- Coś mi mówi, że twoje życie uczuciowe bardzo się poprawi.

- Zerknął na jej suknię. - Zwłaszcza po dzisiejszym wieczorze.

- To Givenchy. Była skandalicznie droga.

- Jest piękna - powiedziała Chiara, pomagając jej zapiąć suwak.

- Podobnie jak ty.

- Zabawne, jak zupełnie inaczej wygląda świat, kiedy nie siedzi się w ciemnym pokoju

w Langley, śledząc ruchy terrorystów.

- Tylko nie zapominaj, że oni wciąż tam są - powiedział Gabriel.

- I że niektórzy z nich wiedzą, jak się nazywasz.

- Myślę, że jestem najlepiej chronioną kuratorką muzealną na świecie.

- Kto się tym zajmuje?

- Agencja - odparła Sara - z pomocą połączonego oddziału specjalnego. Obawiam się, że w tej chwili są na mnie trochę źli. Adrian też. Usiłuje znaleźć jakiś sposób, żeby mnie zatrzymać w Agencji.

- Jak on się miewa?

- Znacznie lepiej, odkąd James McKenna opuścił Biały Dom.

- Spadł na cztery łapy?

- Jeśli wierzyć plotkom, przejdzie do Instytutu Pokoju.

- Jestem pewien, że będzie tam bardzo szczęśliwy. - Gabriel podniósł egzemplarz monografii i przyjrzał się okładce.

- Chciałbyś zobaczyć oryginał, zanim zjawią się tłumy?

Popatrzył na Chiarę.

- Idź - powiedziała. - Ja tu poczekam.

Sara poprowadziła go schodami na dół do wejścia do skrzydła al-Bakari. Pracownicy firmy cateringowej ustawiali stoliki z kanapkami i koreczkami i otwierali pierwsze butelki szampana. Gabriel podszedł do portretu Nadii i przeczytał umieszczoną obok tabliczkę z informacjami biograficznymi. Opis okoliczności jej śmierci był daleki od prawdy. Jej ojca wspomniano jedynie mimochodem.

- Jeszcze nie jest za późno - odezwała się Sara.

- Na co?

- Na to, żebyś sygnował obraz.

- Rozważałem to.

- I?

- Nie jestem gotowy być normalnym człowiekiem. Jeszcze nie.

- Też nie wiem, czy jestem gotowa. Ale w pewnym momencie... - Zawiesiła głos. - Chodź - powiedziała, prowadząc go korytarzem - musisz zobaczyć resztę, żeby w to uwierzyć. Nasz stary przyjaciel Zizi miał niesamowity gust jak na terrorystę.

Szli we dwoje przez sale pełne obrazów, Sara w wieczorowej sukni, Gabriel w smokingu. Kiedy indziej mogliby odgrywać swoje role w jednej z operacji Gabriela. Ale nie teraz. Z pomocą Nadii Gabriel przywrócił Sarę światu, w którym ją znalazł, przynajmniej na

razie.

- Jest tego więcej - mówiła, wskazując ścianę z obrazami Moneta, Renoira, Degasa i Sisleya. - Znacznie więcej. Możemy wystawić zaledwie może jedną czwartą tego, co dała nam Nadia. Już czynimy ustalenia w związku z wypożyczeniem części kolekcji muzeum z całego świata. Myślę, że Nadia byłaby zadowolona.

Weszli do sali z obrazami Eгона Schielego. Sara podeszła do portretu młodego mężczyzny, który przypominał nieco Michaiła.

- Prosiłam, żebyś nic mu nie mówił - powiedziała, oglądając się przez ramię na Gabriela. - Naprawdę nie powinieneś być.

- Nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz.

- Jesteś jednym z najbardziej utalentowanych oszustów, jakich kiedykolwiek znałam, ale nigdy nie potrafiłeś okłamywać osób, na których ci zależy. Zwłaszcza kobiet.

- Dlaczego nie zaprosiłaś go na dzisiejszy wieczór?

- A jak niby miałabym go przedstawić? - spytała Sara. - Poznajcie państwo mojego przyjaciela, Michaiła Abramowa. Michaił jest zabójcą pracującym dla izraelskich tajnych służb. Uczestniczył w zabójstwie człowieka, do którego kiedyś należały te obrazy. Pracowaliśmy razem przy kilku operacjach. Było miło, zanim się skończyło. - Raz jeszcze zerknęła w stronę Gabriela. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Takie rzeczy można jakoś obejść, Saro, ale tylko jeśli ci na tym naprawdę zależy.

- Nadal mi zależy.

- Czy on o tym wie?

- Wie. - Odwróciła się od płótna i dotknęła policzka Gabriela.

- Skąd to potworne przecucie, że nigdy już cię nie zobaczę?

- Wyślij mi do odrestaurowania jakiś obraz od czasu do czasu.

- Nie stać mnie na ciebie.

Spojrzała na zegarek. To był ten sam, który Nadia miała na ręku w chwili porwania. Wciąż spieszył się o trzy minuty.

- Muszę przećwiczyć swoje przemówienie, zanim przyjdą goście - powiedziała. - Chciałbyś powiedzieć parę słów dziś wieczorem?

- Wolałbym wrócić do mojej celi w Rijadzie.

- Nadal nie wiem, co właściwie mam o niej powiedzieć.

- Powiedz prawdę - poradził Gabriel. - Tyle że nie całą.

*

Z wybiciem siódmej świat sztuki, w całym swym szaleństwie i ekstrawagancji,

przybył tłumnie do skrzydła Nadii al-Bakari w Muzeum Sztuki Współczesnej. Gabriel i Chiara zostali na przyjęciu jedynie kilka minut, a potem wycofali się na murek nad atrium, żeby wysłuchać przemówień. Sara zabrała głos jako ostatnia. Udało jej się jakoś stąpać po cienkiej linii dzielącej prawdę od fikcji. Jej przemówienie było po części mową pochwalną, po części wezwaniem do działania.

- Nadia dała światu coś więcej niż tylko swoją kolekcję sztuki - powiedziała Sara. - Oddała własne życie. Jej ciało zostało pochowane w nieoznakowanym grobie w Nadzdzie, ale ta wystawa będzie jej pomnikiem.

Gdy świat sztuki wiwatował, BlackBerry Gabriela zaczął wibrować w kieszeni marynarki. Znalazł ustronne miejsce, żeby odebrać, po czym wrócił do Chiary.

- Kto to był? - spytała.

- Adrian.

- Czego chciał?

- Żebyśmy przyjechali do Langley.

- Kiedy?

- Teraz.

Raszid był szaleństwem Cartera. Jego genialnym pomysłem, który okazał się katastrofalny. Gabriel posprzątał najgorszy bałagan. Khalid sokół, dzięki swemu pożegnalnemu prezentowi, dał Carterowi środki do wymięcenia reszty śmieci.

Tym prezentem był młody saudyjski dżihadysta imieniem Jusuf. Langley i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego podsłuchiwały jego rozmowy telefoniczne od kilku miesięcy. Był teraz jednym z najbardziej zaufanych kurierów Raszida. Raszid dawał mu zaszyfrowane wiadomości; on dostarczał je wiernym. Tego wieczoru spodziewał się telefonu od pewnego człowieka z Niemiec. Jusuf sądził, że to przywódca nowej komórki w Hamburgu. Ale w Hamburgu nie istniała żadna nowa komórka. Wymyślili ją Carter i zespół Raszidystanu.

- Siedzi na przednim siedzeniu dla pasażera tego daihatsu - wyjaśnił Carter, ruchem głowy wskazując jeden z ogromnych ekranów centrum operacyjnego Raszidystanu. - W tej chwili jadą odludną drogą w dolinie Rafadh w Jemenie. Przed jakąś godziną dosiadło do nich dwóch mężczyzn. Sądzymy, że jednym z nich jest Raszid. Za dziesięć minut nasz udawany przywódca komórki z Hamburga zadzwoni do Jusufa. Poprosiliśmy, żeby przedłużał rozmowę, jak tylko zdoła. Jeśli nam się poszczęści, Raszid odezwie się w trakcie połączenia. Jak wiesz, Raszid jest dość gadatliwy. Swego czasu doprowadzał do szału swoich zwierzchników z Agencji. Gęba mu się dosłownie nie zamyka.

- Kto podejmie decyzję o oddaniu strzału? - zapytał Gabriel.

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego powiadomi mnie, jeśli wyłowią jakieś inne głosy z tła, i poinformuje, czy udało im się jakiś zidentyfikować. Jeśli komputery potwierdzą, że to on, strzelamy. Jeśli będzie choćby cień wątpliwości, wstrzymujemy ogień. Pamiętaj, że ostatnie, na czym nam zależy, to zabić Jusufa, zanim doprowadzi nas do Raszida.

- Chcę posłuchać - powiedział Gabriel.

- Po to właśnie cię tu ściągnąłem.

Gabriel założył słuchawki na głowę. Dziesięć minut dłużyło się niemiłosiernie. Wreszcie agent z Hamburga zadzwonił. Mężczyźni zaczęli rozmawiać po arabsku. Gabriel w myślach odsunął ich na bok. Teraz byli nieważni. Stanowili jedynie drzwi do człowieka o pięknej i uwodzicielskiej mowie. *Odezwij się*, przemawiał do niego Gabriel w myślach. *Powiedz mi coś ważnego, choćby to miało być kolejne kłamstwo.*

Jusuf i podstawiony przywódca komórki z Hamburga wciąż rozmawiali, ale ich

rozmowa wyraźnie zaczynała zmierzać do końca. Jak dotąd jedynym dźwiękiem w tle był odgłos opon jeepa na wyboistej jemeńskiej drodze. Wreszcie Gabriel usłyszał to, na co czekał. To była przypadkowa uwaga, nic więcej. Nie zadawał sobie trudu, by przetłumaczyć ją w myślach; słuchał jedynie tonu i tembru głosu. Znał go dobrze. To był ten sam głos, który skazał go na śmierć w Pustym Kwartale.

Czy chcesz się poddać woli islamu i zostać muzułmaninem?

Gabriel odwrócił się do Adriana Cartera. Rozmawiał w napięciu przez telefon z przedstawicielem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Gabriel miał ochotę spytać, na co czekają, ale znał odpowiedź. Czekają, aż komputery potwierdzą to, co on już wiedział, że ten głos w tle należy do Raszida. Patrzył, jak jeep pędzi po jemeńskiej drodze, i słuchał, jak dwóch dżihadystów, jeden prawdziwy, drugi sprytnie podstawiony, kończą rozmowę. Carter trzasnęła słuchawką z nietypową dla siebie wściekłością.

- Wybacz, że niepotrzebnie cię tutaj ściągałem - powiedział. - Może następnym razem.

- Nie będzie następnego razu, Adrianie.

- Jak to?

- Bo to się kończy tutaj, teraz.

Carter zawahał się.

- Jeśli wydam rozkaz, by predator strzelił - powiedział - zginie czterech ludzi, w tym Jusuf.

- To czterej terroryści - odparł Gabriel. - A jednym z nich jest Raszid al-Husseini.

- Jesteś pewien?

- Strzelajcie, Adrianie.

Carter sięgnął po telefon łączący go ze sterownią predatora, ale Gabriel go powstrzymał.

- Co się stało? - zapytał Carter.

- Nic - odpowiedział Gabriel. - Poczekaj chwilkę.

Wpatrywał się w zegar. Trzydzieści sekund później skinął głową i powiedział: „Teraz”. Carter przekazał rozkaz i daihatsu zniknął w błysku jaskrawej bieli. Kilku członków ekipy Raszidystanu zaczęło klaskać, ale Carter siedział z twarzą w dłoniach i nic nie mówił.

- Robiłem to setki razy - powiedział wreszcie - i za każdym razem wciąż czuję, że zaraz będę wymiotować.

- Zasłużył na śmierć, chociażby z powodu Nadii.

- To dlaczego tak się czuję?

- Bo ostatecznie to nigdy nie jest czyste, wyrafinowane czy przyszłościowe, nawet

jeśli oddajesz strzał z pokoju na drugiej półkuli.

- Dlaczego kazałeś mi czekać?

- Spójrz, która godzina jest w Jemenie.

Była 10:03 rano, dokładnie o tej porze samolot United Airlines, lot 93, spadł na ziemię w Shanksville, w stanie Pensylwania, zamiast uderzyć w swój prawdopodobny cel, kopułę Kongresu Stanów Zjednoczonych. Carter nic już nie powiedział. Prawa dłoń mu drżała.

*

Teraz została już tylko jedna sprawa do załatwienia. Ostatecznie sprowadzała się do prostej transakcji biznesowej: pięć milionów dolarów w zamian za nazwisko. Dostarczył je Faisal Qahtani, dawny informator Szamrona z saudyjskiego wywiadu. Bardzo właściwie te pięć milionów dolarów wpłacono do zuryjskiego oddziału banku TransArabian.

Cel był pod obserwacją, a oni tygodniami debatowali, co zrobić. Ze swego tronu nad Jeziorem Tyberiadzkim Szamron orzekł, że jedynie biblijna sprawiedliwość wchodzi w grę. Ale Uzi Nawot, niejako na znak swej rosnącej władzy, zdołał uchylić jego decyzję. Gabriel omal nie stracił życia w imię amerykańskiej słuszności i Nawot w żadnym wypadku nie zmarnuje tego przez jedną nierozważną tajną operację w samym sercu amerykańskiej stolicy. Poza tym, powiedział, przekazanie Amerykanom nazwiska zdrajcy jeszcze dodatkowo podniesie wartość Bulwaru Króla Saula w ich oczach.

Nawot poczekał na swoją kolejną oficjalną wizytę w Waszyngtonie, by szepnąć Adrianowi Carterowi to nazwisko. W zamian miał tylko jedną prośbę. Carter chętnie zgodził się ją spełnić. Przynajmniej tyle, powiedział, mogą zrobić.

FBI przejęło obserwację i zaczęło przetrząsać billingi telefoniczne, rachunki karty kredytowej i dyski komputerowe. Nie minęło wiele czasu, a mieli już dość danych, by przejść do kolejnego etapu. Wysłali samolot do Kornwalii. Zrobili kredą krzyżyk na podstawie brązowego drewnianego znaku przy MacArthur Boulevard i czekali.

*

Kredowy krzyżyk zaintrygował Ellisa Coyle'a, ponieważ po raz pierwszy użyto takiego właśnie znaku. Oznaczał on, że zwierzchnik Coyle'a chce się z nim pilnie spotkać twarzą w twarz. To było ryzykowne - każdy bezpośredni kontakt pomiędzy informatorem a agentem jest ze swej natury niebezpieczny - ale stanowiło też rzadką okazję.

Coyle stał znak czubkiem buta i wszedł do parku z Lucy przy nodze. Smycz wciąż była przypięta do obroży. Coyle nie miał odwagi jej odpiąć. Stara zgorzkniała matrona ze Spring Valley naskoczyła na niego ostatnio za to, że nie sprząta odchodów Lucy. Groziła mu sankcjami ze strony lokalnej społeczności, a może nawet doniesieniem do władz. Ostatnim,

czego Coyle teraz potrzebował, kiedy zaledwie kilka tygodni dzieliło go od emerytury, było spotkanie z policją. Obiecał, że skończy z tą buntowniczą postawą, a w tajemnicy zaczął planować ukatrupienie ohydneho mopsa staruchy.

Było kilka minut po dziewiątej i polanka na szczycie szlaku pogrążyła się w mroku. Coyle zerknął w stronę drewnianych piknikowych stołów i zobaczył ciemną sylwetkę mężczyzny siedzącego tam samotnie. Zanim do niego podszedł, poprowadził Lucy naokoło polanki, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Dopiero gdy od tamtego dzieliło go kilka kroków, zorientował się, że to nie jest jego zwykły zwierzechnik z saudyjskiego wywiadu. Mężczyzna miał siwe skronie i zielone oczy, które zdawały się lśnić w ciemności. Popatrzył na psa takim wzrokiem, że Coyle aż się wzdrygnął.

- Przepraszam - powiedział. - Wziąłem pana za kogoś innego.

Odwrócił się, żeby odejść. Tamten przemówił do jego pleców.

- A kogo się spodziewałeś?

Coyle odwrócił się. Mężczyzna o świetlistych zielonych oczach nie poruszył się.

- Kim pan jest? - zapytał Coyle.

- Człowiekiem, którego sprzedałeś saudyjskiemu wywiadowi za trzydzieści srebrników, wraz z Nadią al-Bakari. Gdyby to zależało ode mnie, posłałbym cię do piekła za to, co zrobiłeś. Ale to twój szczęśliwy wieczór, Ellis.

- Czego chcesz?

- Chcę widzieć twoją twarz, kiedy będą ci zakładać kajdanki.

Coyle odskoczył w popłochu i zaczął rozglądać się gorączkowo.

Mężczyzna przy stole uśmiechnął się nieznacznie.

- Zastanawiałem się, czy przyjmiesz swój los z taką samą godnością, z jaką ona przyjęła swój. Chyba uzyskałem odpowiedź.

Coyle puścił smycz Lucy i rzucił się do ucieczki, ale agenci FBI otoczyli go w mgnieniu oka. Gabriel został w parku, dopóki nie zabrali Coyle'a, a potem zszedł ścieżką do MacArthur Boulevard. W południe następnego dnia był już z powrotem w Kornwalii.

71.

PÓLWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Kiedy wrócił z Ameryki, był zupełnie odmieniony; wszyscy to widzieli. Rany się zagoiły, udreka minęła i koszmar, jaki przeżył - cokolwiek to było - najwidoczniej wreszcie się zakończył. Spotkawszy go w pewien deszczowy poranek przed starym kamiennym kościółkiem, Vera Hobbs ogłosiła, że jest w pełni odrestaurowany i gotów do oprawienia. Komu jednakże powierzył to zadanie? „Nasz tajemniczy przyjaciel znad zatoki nie należy do osób, które oddawałyby się innym w opiekę - odparła Dottie Cox. - Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że sam oparł się o sztalugi i własnoręcznie wszystkim się zajął. Dlatego właśnie robota tak się udała”.

Była już jesień, dni znów stały się krótkie, kilka godzin jasnej szarości wśród niekończącej się nocy. Widywali go rano, kiedy przychodził do wsi na zakupy, a potem znów popołudniami, gdy chodził samotnie po klifach. Nic nie wskazywało na to, żeby pracował nad czymś poważnym. Czasami udawało im się zobaczyć go gdzieś ze szkicownikiem na kolanach, ale sztalugi w pracowni stały puste. Dottie obawiała się, że ogarnęło go okresowe poczucie bezcelowości, Vera upatrywała wyjaśnienia gdzie indziej. „Po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwy - powiedziała. - Teraz potrzeba mu już tylko paru słodkich maleństw do pary z tą jego śliczną żonką”.

Co dziwne, teraz to właśnie ona wydawała się niespokojna. Wciąż była nienagannie uprzejma, kiedy spotykano ją na ulicach wioski, ale jasne było, że przeraża ją perspektywa nadchodzącej zimy. Zajmowała się przyrządzaniem wykwintnych posiłków, które wypełniały zatokę zapachem rozmarynu, czosnku i pomidorów. Czasami, jeśli okna były otwarte i człowiek przechodził akurat w odpowiednim miejscu, można było usłyszeć, jak śpiewa po włosku ponętym głosem. Były to zawsze przejmująco smutne melodie. Duncan Reynolds zdiagnozował u niej depresję spowodowaną długotrwałym zamknięciem i zasugerował, żeby kobiety zaprosiły ją na babski wieczór do Godolphin Arms. Próbowaly. Odmówiła. Uprzejmie, oczywiście.

Jeśli konserwator zdawał sobie sprawę z emocjonalnego stanu żony, w żaden sposób tego nie okazywał. Obawiając się, że para przeżywa kryzys, Dottie Cox postanowiła pomówić z nim, gdy następnym razem przyjdzie do jej sklepu sam. Minął tydzień, zanim nadarzyła się okazja. Zjawił się o zwykłej porze, wpół do jedenastej, wziął koszyk ze sterty przy wejściu i zaczął go napełniać z werwą godną żołnierza plądrującego okolicę w poszukiwaniu żywności.

Dottie obserwowała go nerwowo zza kasy, powtarzając w myślach swoją przemowę, ale kiedy zaczął wyklądać towary na ladę, nie zdobyła się na nic więcej poza zwykłym: „Dzień dobry, kochanieńki”.

Coś w tonie Dottie kazało restauratorowi obrzucić ją podejrzliwym spojrzeniem. Następnie przeniósł wzrok na gazety leżące w stosach na podłodze i ze zmarszczonym czołem podał jej wymięty banknot dwudziestofuntowy. „Chwileczkę - powiedział nagle, biorąc egzemplarz «Timesa». - Jeszcze to”. Dottie wsunęła mu gazetę do torby z zakupami i patrzyła, jak restaurator wychodzi ze sklepu. Następnie wychyliła się przez kontuar, żeby spojrzeć na gazetę. Artykuł na pierwszej stronie dotyczył nieuchronnego upadku rządu syryjskiego, ale tuż poniżej była wzmianka o niedawnym anonimowym ofiarowaniu obrazu Tycjana National Gallery w Londynie. Nikt w Gunwalloe nie domyślał się, że te dwie sprawy mogą jakoś się łączyć. I nigdy nie mieli się domyślić.

*

National Gallery wydała mało konkretne oficjalne oświadczenie w związku z przekazaniem obrazu, ale w kularach brytyjskiego wywiadu pojawiła się nieoficjalna wersja tej historii, która szła mniej więcej tak: Wyglądało na to, że legendarny oficer izraelskiego wywiadu, Gabriel Allon, za wiedzą i zgodą MI5, zrezygnował licytacją w szacownym domu aukcyjnym Christie's, by przekazać kilka milionów funtów siatce terrorystycznej Raszida al-Husseiniego. W rezultacie nowo odkryty obraz Tycjana na krótko trafił do kolekcji saudyjskiej dziedziczki Nadii al-Bakari. Jednak po jej śmierci został po cichu zwrócony prawowitemu właścicielowi, znanemu londyńskiemu marszandowi Julianowi Isherwoodowi. Ze zrozumiałych powodów Isherwood początkowo rozważał zatrzymanie obrazu, ale zmienił zdanie, gdy wyżej wspomniany Allon zaproponował dużo szlachetniejsze rozwiązanie. Marszand skontaktował się ze starym kumplem z National Gallery - specjalistą od dawnych mistrzów włoskich, który nieświadomie odegrał pewną rolę w pierwotnym oszustwie - tym samym nadając bieg jednej z najważniejszych darowizn na rzecz publicznej instytucji brytyjskiej w ostatnich latach.

- A tak swoją drogą, złociutki, wciąż nie dostałem od CIA złamanego grosza.
- Ani ja, Julianie.
- Nie płacą ci za te drobne sprawunki, które wciąż dla nich załatwiasz?
- Najwidoczniej uważają, że moje usługi są gratisowe.
- Najwidoczniej.

Szli ścieżką wzdłuż wybrzeża. Isherwood miał na sobie tweedowe ubranie i kalosze. Stawiał chwiejne kroki. Gabriel, jak zwykle, walczył z odruchem, by wyciągnąć rękę i go

podtrzymać.

- Jak daleko jeszcze każesz mi iść, do jasnej cholery?

- Minęło dopiero pięć minut, Julianie.

- Co oznacza, że już znacznie przekroczyliśmy odległość, jaką pokonuję dwa razy dziennie z galerii do baru Green's.

- Jak się miewa Oliver?

- Jak zwykle.

- Dobrze się sprawuje?

- Jasne, że nie - odparł Isherwood. - Ale nie puścił pary z gęby o swoim udziale w twoim małym szwindlu.

- W n a s z y m małym szwindlu, Julianie. Ty też byłeś w to zamieszany.

- Ale ja w tym siedzę od samego początku - odrzekł Isherwood.

- A dla Oliviera to wszystko jest nowe i podniecające. Olivier ma swoje wady, ale Bóg mi świadkiem, że pod całą tą krzykliwą fasadą bije serce patrioty. Nie przejmuj się Oliverem. Twoja tajemnica jest bezpieczna.

- W przeciwnym razie zajmie się nim MI5.

- Chciałbym to zobaczyć. - Isherwood szedł coraz wolniej. - Nie wydaje mi się, żeby tu w okolicy był jakiś pub. Muszę się napić.

- Na to przyjdzie pora później. Potrzebujesz trochę ruchu.

- Niby po co?

- Lepiej się poczujesz.

- Czuję się świetnie, złociutki.

- To dlatego chcesz, żebym przejął galerię?

Isherwood zatrzymał się i oparł ręce na biodrach.

- Jeszcze nie w przyszłym tygodniu - powiedział po chwili. - Ani w przyszłym miesiącu. Ani nawet w przyszłym roku. Ale kiedyś.

- Sprzedaj ją, Julianie. Przejdź na emeryturę. Ciesz się życiem.

- Komu miałbym ją sprzedać? Oliverowi? Roddy'emu? Jakiemuś cholernemu ruskiemu oligarsze, który chce się zająć kulturą? - Isherwood pokręcił głową. - Za dużo włożyłem w to miejsce, by pozwolić, żeby wpadło w ręce kogoś obcego. Chcę, żeby zostało w rodzinie. A skoro nie mam żadnej, zostajesz ty.

Gabriel milczał. Isherwood niechętnie ruszył dalej.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy Szamron po raz pierwszy przyprowadził cię do mojej galerii. Byłeś taki cichy, nie byłem pewien, czy w ogóle potrafisz mówić. Skronie

miałeś tak siwe jak ja. Szamron nazwał to...

- Piętnem chłopca, który wykonał męską robotę.

Isherwood uśmiechnął się smutno.

- Kiedy zobaczyłem cię z pędzlem w dłoni, znenawidziłem Szamrona za to, co ci zrobił. Powinien zostawić cię w Bezael, żebyś skończył studia. Byłbyś jednym z najlepszych malarzy twojego pokolenia. A w tej chwili wszyscy w Nowym Jorku usiłują odgadnąć, kto namalował portret Nadii al-Bakari. Żałuję, że nie mogą poznać prawdy.

Isherwood znów przystanął, by popatrzeć w dół na fale uderzające o czarne skały na północnym krańcu zatoki.

- Przyjedź popracować u mnie - powiedział. - Nauczę cię zawodowych sztuczek, na przykład jak stracić ostatni grosz w dziesięciu łatwych krokach, albo i mniej. A kiedy przyjdzie czas, żebym poświęcił resztę energii, jaka mi pozostanie, na uprawianie ogródka, zostawię ci więcej niż dość środków finansowych, żebyś sobie radził beze mnie. Tego właśnie chcę, złociutki. A co ważniejsze, tego chce twoja żona.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, Julianie, ale nie mogę przyjąć twojej propozycji.

- Dlaczego nie?

- Bo pewnego dnia dawny wróg umówi się ze mną na obejrzenie Bordone albo Luiniego i skończę z kilkoma kulkami w głowie. Podobnie jak Chiara.

- Twoja żona będzie rozczarowana.

- Lepiej rozczarowana niż martwa.

- Bóg jeden wie, że nie jestem specjalistą od stałych związków - powiedział Isherwood - ale coś mi mówi, że twojej żonie dobrze by zrobiła zmiana scenerii.

- Tak - odparł Gabriel z uśmiechem - dała mi to wystarczająco jasno do zrozumienia.

- To przyjedźcie do Londynu, przynajmniej na zimę. Chiara będzie miała odmianę, jakiej potrzebuje, a ja oszczędzę kupę forsy na kosztach transportu. Mam panneau Piera di Cosimy, które rozpaczliwie potrzebuje twojej uwagi. Postaram się, żeby ci się opłaciło.

- Prawdę mówiąc, mam coś na oku w Rzymie.

- Serio? - spytał Isherwood. - Publiczne zamówienie czy prywatne?

- Prywatne - odparł Gabriel. - Właściciel mieszka w wielkim domu na końcu Via della Conciliazione. Proponuje mi odrestaurowanie jednego z moich ulubionych obrazów.

- Którego?

Gabriel odpowiedział.

- Obawiam się, że z tym nie mogę rywalizować - odparł Isherwood. - Zapłaci ci coś?

- Grosze - odrzekł Gabriel - ale i tak warto. Choćby ze względu na Chiare.

- Tylko staraj się nie pakować w żadne kłopoty. Ostatnim razem, jak byłeś w tym mieście...

Isherwood urwał. Po minie Gabriela widać było wyraźnie, że nie chce już dłużej rozpamiętywać przeszłości.

Wiatr zrobił dziurę w zasłonie z chmur i słońce unosiło się tuż nad morzem, niczym biały krążek. Pozostali na klifach jeszcze chwilę, dopóki słońce się nie schowało, po czym zawrócili w stronę domu. Gdy weszli do środka, usłyszeli, że Chiara śpiewa. To była jedna z tych głupich popowych piosenek, które zawsze śpiewała, gdy była szczęśliwa.

Od Autora

Portret szpiega to fikcja literacka. Nazwiska, postacie, miejsca i zdarzenia ukazane w powieści są wytworem wyobraźni autora lub też zostały wykorzystane w fikcyjnym kontekście. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żyjących lub zmarłych, firm, zdarzeń czy miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Obraz *Madonna z Dzieciątkiem i Marią Magdaleną* opisany w powieści nie istnieje. Gdyby istniał, w łudzący sposób przypominałby podobny obraz Tiziana Vecellia, znanego także jako Tycjan, wiszący w Ermitażu w Sankt Petersburgu. Pozycja numer 12, *Ocher and Red on Red*, olej na płótnie, Marka Rothki również jest fikcyjny, chociaż w maju 2007 podobny obraz *White Center (Yellow, Pink and Lavender on Rose)* poszedł za sumę 72 milionów 840 tysięcy dolarów na aukcji w Nowym Jorku, osiągając rekordową cenę dla tego artysty. Według opublikowanych sprawozdań, kupującym był władca Kataru.

Marszandzi, licytatorzy i doradcy, którzy pojawiają się w powieści, podobnie jak w innych książkach z tej serii, zostali stworzeni przez autora i bynajmniej nie należy ich postrzegać jako fikcyjnych portretów rzeczywistych osób. Przy Mason's Yard 7-8 w Londynie naprawdę znajduje się czarowna galeria sztuki, jednak jej właściciel, niezrównany Patrick Matthiesen, nie ma nic wspólnego z Julianem Isherwoodem, poza serdecznością i błyskotliwym humorem. Techniki restaurowania i dublażu obrazów przedstawione są w powieści prawdziwie i precyzyjnie, łącznie z tempem, w jakim utalentowany restaurator w razie konieczności może doprowadzić obraz do porządku. Najmocniej przepraszam kierownictwo Christie's w Londynie za wykorzystanie aukcji dawnych mistrzów do finansowania siatki terrorystycznej, ale obawiam się, że bezpieczeństwo operacyjne wymagało utrzymania sprawy w tajemnicy.

Badacze globalnej wojny z terrorem rozpoznają bez wątpienia, że tworząc postać Raszida al-Husseiniego, w dużej mierze wykorzystałem życiorys urodzonego w Ameryce duchownego odpowiedzialnego za werbunek do Al-Kaidy Anwara al-Awlaki - w tym jego jemeńskie pochodzenie, niepokojące powiązania z dwoma porywaczami biorącymi udział w ataku z 9/11 w San Diego i północnej Wirginii oraz jego przejście od umiarkowania do radykalizmu i terroru. Fikcyjna postać Malika al-Zubaira również inspirowana była rzeczywistymi mózganymi terrorystycznymi - mianowicie osobami Yahyi Ayyasha, specjalisty od budowy bomb z Hamasu, znanego jako „Inżynier”, oraz Abu Musaba al-Zarqawiego, jordańskiego terrorysty, który przewodził Al-Kaidzie w Iraku. Ayyash został zabity w styczniu 1997 za pomocą małej bomby ukrytej w telefonie komórkowym. Zarqawi, który

odpowiadał za śmierć setek niewinnych Irakijczyków w najbardziej krwawej fazie irackiej rebelii, został zabity podczas amerykańskiego ataku z powietrza na kryjówkę Al-Kaidy na północ od Bagdadu w czerwcu 2006.

Przejście graniczne pomiędzy Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi a Arabią Saudyjską opisane w powieści nie istnieje. Rzeczywiste przejście znajduje się wiele mil na północ i w ostatnich miesiącach tworzyły się przy nim długie zatory wskutek zmian w saudyjskich procedurach celnych. Spektakularny wzlot i upadek Dubaju został ukazany wiernie, wraz z godnym ubolewania traktowaniem licznej cudzoziemskiej siły roboczej. Niestety, Dubaj nie jest jedynym emiratem nad Zatoką Perską, gdzie cudzoziemscy robotnicy są na ogół źle traktowani i uważani za zakontraktowanych niewolników. W marcu 2011 Muzeum Guggenheima budowane w sąsiednim Abu Zabi stało pod groźbą bojkotu ze strony ponad stu wybitnych artystów oburzonych warunkami panującymi na budowie. „Ci, którzy pracują z użyciem cegieł i zaprawy murarskiej - powiedział urodzony w Libanie artysta medialny Walid Raad w swoim oświadczeniu - zasługują na taki sam szacunek jak ci, którzy pracują z użyciem aparatów fotograficznych i pędzli”.

Wywiad finansowy, czy też „finint”, od wielu lat stanowi ważną broń w walce z terroryzmem. Biuro do spraw terroryzmu i wywiadu finansowego Departamentu Skarbu gromadzi i analizuje dane dotyczące transakcji, podobnie jak Dział Terrorystycznych Operacji Finansowych FBI. Ponadto CIA i wiele prywatnych firm związanych z ogromnym systemem amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego rutynowo śledzi przepływ pieniędzy przez krwiobieg globalnego ruchu dżihadystycznego.

Niestety, dziesięć lat po atakach z jedenastego września duża część tych pieniędzy nadal pochodzi od mieszkańców Arabii Saudyjskiej i - w mniejszym stopniu - z sunnicko muzułmańskich emiratów Zatoki Perskiej. W tajnej depeszy upublicznionej w grudniu 2010 roku sekretarz stanu Hillary Clinton napisała: „Od lat wyzwaniem stanowi przekonanie wysokich saudyjskich urzędników, by potraktowali finansowanie terrorystów pochodzące z Arabii Saudyjskiej jako strategiczną sprawę nadrzędną”. Na zakończenie Clinton oznajmia, że „ofiarodawcy z Arabii Saudyjskiej stanowią najistotniejsze źródło finansowania sunnickich grup terrorystycznych na całym świecie”.

Można by sądzić, że Arabia Saudyjska, kraj, z którego pochodził Osama Bin Laden i piętnastu z dziewiętnastu porywaczy z jedenastego września, zrobi więcej, by powstrzymać finansowanie terroryzmu na swoim terenie. Jednak inne depesze dyplomatyczne ujawniły, że dynastia Saudów nie zdołała bądź nie zechciała zlikwidować przepływu pieniędzy na rzecz Al-Kaidy i pokrewnych organizacji. Grupy bojowników bezkarnie korzystają z rzekomej

działalności charytatywnej w obrębie Arabii Saudyjskiej lub po prostu otwarcie zbierają pieniądze podczas corocznej pielgrzymki hadżdż do Mekki. Książę Mohammad Bin Nayef, kierujący walką z terroryzmem w Arabii Saudyjskiej, powiedział wysokiemu amerykańskiemu urzędnikowi, że „staramy się jak możemy”, by „powstrzymać przepływ gotówki na rzecz ekstremistów i morderców”. Ale, dodał, „jeśli pieniądze chcą płynąć” do terrorystów, władze saudyjskie niewiele mogą zrobić, by temu przeciwdziałać.

Tu rodzi się pytanie: czy dynastia Saudów, która swą władzę zawdzięcza umowie zawartej przed dwoma stuleciami z Muhammadem Abdulem Wahhabem, naprawdę chce zerwać więzy finansowe łączące ją z sunnickim ruchem ekstremistycznym, który pomogła stworzyć i kultywować? Pełne napięcia spotkanie z 2007 roku dostarczyło ważnej wskazówki w tej sprawie. Zgodnie z ujawnionymi depeşami rządowymi Frances Fragos Townsend, doradca prezydenta George'a Busha w kwestiach walki z terroryzmem, poprosił urzędników saudyjskich, by wyjaśnili, dlaczego ambasador królestwa na Filipinach miał kontakty z osobami podejrzanymi o finansowanie terroryzmu. Saudyjski minister spraw zagranicznych, książę Saud al-Faisal, zbył obawy Townsenda, oświadczając, że ambasadorowi zarzucić można „raczej brak rozeznania niż rozmyślne popieranie terroryzmu”. Następnie skrytykował bank amerykański za stawianie „niestosownych i agresywnych pytań” dotyczących kont posiadanych przez ambasadę saudyjską w Waszyngtonie.

Podczas gdy globalne zagrożenie terrorystyczne ewoluowało od poranka jedenastego września 2001, jedno pozostało bez zmian: Al-Kaida i jej naśladowcy wciąż aktywnie planowali mordowanie i okaleczanie na masową skalę w zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Dame Eliza Manningham-Buller, była dyrektor MI5, przewidywała, że walka z islamskim terrorem będzie „trwała całe pokolenie”, podczas gdy inni urzędnicy odpowiedzialni za bezpieczeństwo ostrzegali przed „wieczną wojną”, która zmusi Zachód do utrzymania agresywnych programów antyterrorystycznych przez całe dekady, jeśli nie dłużej. Prawdopodobnie ostateczną długość globalnej wojny z terrorem wyznaczą, po części, potężne wstrząsy, do jakich dochodzi w świecie arabskim w czasie powstawania tej książki. Wiele będzie zależało od tego, która strona wyjdzie z tego zwycięsko. Jeśli zwyciężą siły umiaru i nowoczesności, możliwe, że zagrożenie terrorystyczne stopniowo osłabnie. Ale jeśli radykalni muzułmańscy duchowni i ich zwolennicy zdołają przejąć władzę w takich krajach jak Egipt, Jordania i Syria, może się okazać, że będziemy z sentymentem oglądać się na burzliwy początek dwudziestego pierwszego wieku jako na złotą erę w stosunkach pomiędzy islamem a Zachodem.

Podziękowania

Ta powieść, podobnie jak poprzednie książki z serii o Gabrieli Allonie, nie mogłaby zostać napisana, gdyby nie pomoc Davida Bulla, który doprawdy należy do najlepszych konserwatorów dzieł sztuki na świecie. Co roku David poświęca wiele godzin swego cennego czasu na doradzanie mi w kwestiach technicznych związanych ze sztuką restaurowania obrazów i na przeglądanie mojego manuskryptu pod kątem ścisłości opisów. Jego znajomość historii sztuki przewyższa jedynie przyjemność przebywania w jego towarzystwie, a przyjaźń z nim wzbogaciła naszą rodzinę w wielu różnych aspektach.

Mam dług wdzięczności wobec wspaniałych doradców artystycznych, Gabriela Catone'a i Andrew Rutha, za to, że w listopadzie 2010 zabrali mnie na wieczorną aukcję sztuki powojennej i współczesnej w Christie's w Nowym Jorku i wtajemniczyli w taktykę związaną z kupnem obrazów wartych dziesiątki milionów dolarów. Prawdę powiedziawszy, świat aukcji o wysokich stawkach wydał mi się znacznie bardziej intrygujący niż świat szpiegów i terrorystów, a doświadczenie tamtego wieczoru miało ogromny wpływ na ostateczny kształt tej powieści. Rzecz jasna, Gabriel Catone i Andrew Ruth mają niewiele wspólnego z fikcyjną postacią Nicholasa Lovegrove'a poza wyrafinowaniem i nadzwyczajną wiedzą na temat rynku sztuki.

Kilku izraelskich i amerykańskich urzędników i ekspertów od antyterroryzmu rozmawiało ze mną na temat tła powieści i dziękuję im teraz anonimowo, czyli tak, jak by woleli. Roger Cressey, dyrektor do spraw ponadnarodowego zagrożenia w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa w latach 1999-2001, był nieocenionym źródłem informacji, jeśli chodzi o politykę antyterrorystyczną Stanów Zjednoczonych, i jeszcze lepszym przyjacielem. Dla porządku dodam, że nie ma on jakichkolwiek powiązań z firmą Rogers & Cressey z siedzibą przy Cannon Street w Londynie.

Mój drogi przyjaciel, wybitny anestezjolog doktor Andrew Pate, doradzał mi w kwestii choroby znanej jako malformacja tętniczo-żylna albo AVM. Ponadto specjalne podziękowania dla M. który wyjaśnił mi pewne sprawy związane z gromadzeniem danych. Nie będę udawać, że mam świadomość wszelkich technologii dostępnych amerykańskiemu, izraelskiemu i brytyjskiemu wywiadowi, ale starałem się pisać o nich w taki sposób, który zarazem służyłby opowieści i nie zanudził czytelników. Jestem pewien, że prawdziwe możliwości amerykańskiego rządu znacznie przekraczają wszystko, co opisałem na stronach *Portretu szpiega*.

Pracując nad tym manuskrytem, zaglądałem do setek książek, gazet i artykułów w

czasopismach, a także na strony internetowe - jest ich stanowczo zbyt wiele, by je tu wymienić. Byłoby jednakże zaniedbaniem z mojej strony, gdybym nie wspomniał dzieł naukowych i reportaży takich autorów, jak Steve Coli, Robert Lacey, James Bamford, Ron Suskind, Jane Mayer, Jim Krane, Dore Gold, Robert F. Worth, Scott Shane, Souad Mekhennet i Stephen F. Hayes.

Mieszkałem w świecie arabskim w latach osiemdziesiątych, toteż od samego początku byłem obeznany z potwornym uciskiem, jakiego doświadcza zbyt wiele kobiet w tym regionie. Ważna książka Jan Goodwin *Price of Honor (Cena honoru)* stanowiła nieocenione źródło, podobnie jak *Inside the Kingdom (Wewnątrz królestwa)* Carmen Bin Laden. Pisarka, aktywistka i komentatorka Irshad Manji zainspirowała mnie swoją siłą ducha i wizją. Poruszająca relacja doktor Qanty A. Ahmed z okresu, jaki spędziła, pracując w Arabii Saudyjskiej jako lekarka, pomogła mi lepiej zrozumieć wyzwania, przed jakimi stają kobiety profesjonalistki w jednym z najbardziej konserwatywnych społeczeństw na świecie. Zapadający w pamięć tytuł jej książki, *In the Land of Invisible Women (W krainie niewidzialnych kobiet)*, podobnie jak klarowność jej wizji przeniknęły do myśli mojej bohaterki, Nadii al-Bakari. Gdyby takie kobiety rządziły na Bliskim Wschodzie, jestem pewien, że świat byłby znacznie lepszym miejscem.

Louis Toscano, mój bliski przyjaciel i wieloletni osobisty redaktor, wprowadził niezliczone poprawki do manuskryptu, podobnie jak moja korektorka, Kathy Crosby. Bob Barnett, Deneen Howell, Linda Rappaport i Michael Gendler dawali mi bezcenne mądre rady w tym bardzo aktywnym roku, podobnie jak Jim Bell, Bruce Cohen, Henry Winkler, Ron Meyer i Jeff Zucker. Moi współpracownicy - David Gregory, Jeffrey Goldberg, Steven Weisman, Martin Indyk, Franklin Foer, David Brooks i Erica Brown - dbali o to, żebym pozostał skupiony na tym, co naprawdę ważne, nawet wtedy gdy odbiegałem myślami do niedokończonego manuskryptu leżącego na moim biurku. Niezrównany Burt Bacharach inspirował mnie swym geniuszem i niesłabnącą pasją dla swojej pracy. Jim Zorn ofiarował mi przyjaźń i wiarę, kiedy najbardziej ich potrzebowałem.

Najserdeczniejsze dzięki dla wspaniałego zespołu HarperCollins, zwłaszcza dla Jonathana Burnhama, Jennifer Barth, Briana Muraya, Cindy Achar, Any Marii Alessi, Tiny Andreadis, Lei Carlson-Stanisis, Leslie Cohena, Karen Dziekonski, Archiego Fergusonona, Marka Fergusonona, Olgi Gardner Galvin, Briana Grogana, Douga Jonesa, Davida Korala, Angie Lee, Michaela Morrisona, Nicole Reardon, Charliego Redmayne'a, Jasona Sacka, Kathy Schneider, Brendy Segel, Virginii Stanley, Lei Wasielewski i Josha Marwella, który jednym pytaniem wywarł głęboki wpływ na fabułę *Portretu szpiega*.

Chciałbym wyrazić całą wdzięczność i miłość dla moich dzieci, Nicholasa i Lily. Nie tylko pomagali mi w zbieraniu materiałów i ostatecznym opracowywaniu mojego manuskryptu, ale zapewнили mi także bezwarunkową miłość i wsparcie, gdy starałem się zmieścić w terminie. Wreszcie muszę podziękować mojej żonie, znakomitej dziennikarce NBC News, Jamie Gangel. Nie tylko kieruje moimi interesami, prowadzi nasz dom i wychowuje dwoje cudownych dzieci, ale również znalazła czas, żeby wprawnie redagować kolejne szkice tej powieści. Gdyby nie jej cierpliwość, dbałość o szczegóły i wyrozumiałość, *Portret szpiega* nigdy nie zostałby ukończony. Mój dług wobec niej jest niezmierny, podobnie jak moja miłość.